

Suzanne Collins

W Pierścieniu Ognia

CZY Z ISKRY WYBUCHNIE POŻAR? CZY SIĘ ROZPRZESTRZENI? JAKA BĘDZIE ZEMSTA KAPITOLU?

Głodowe Igrzyska wbrew przewidywaniom wygrywa szesnastoletnia Katniss. Wraz z nią po raz pierwszy w dziejach Kapitolu wygrywa je także drugi trybut — Peeta Mellark, z którym Katniss stanowiła na arenie parę. Po powrocie do Dwunastego Dystryktu sprawy się komplikują — postawa Katniss podczas igrzysk bardzo nie spodobała się władzom. Komplikuje się także jej życie osobiste — Katniss niełatwo się teraz rozeznac we własnych uczuciach. Polubiła Peetę, ale przecież jest jeszcze Gale — bliski przyjaciel i towarzysz wypraw do lasu na nielegalne polowania. Tymczasem jednak Katniss i Peeta muszą wziąć udział w odbywającym się po każdym igrzyskach Tournee Zwycięzców i odwiedzić wszystkie dystrykty. Ta podróż uświadamia im, że są ludzie skłonni zbuntować się przeciwko okrucieństwu władzy.

W pierścieniu ognia to drugi po Igrzyskach śmierci tom trylogii, w którym Suzanne Collins opisuje losy Katniss Everdeen — dziewczyny, która nieoczekiwanie staje się symbolem i zarzewiem buntu.

Dla moich rodziców Jane i Michaela Collinsów
oraz teściów, Dixie i Charlesa Pryorów

CZĘŚĆ I

ISKRA

Ściskam bidon w dłoniach, choć mroźne powietrze już dawno temu wyssało ciepło z herbaty. Moje mięśnie stężały na chłodzie, i gdyby teraz pojawiła się wataha dzikich psów, miałabym trudności z wdrapaniem się na drzewo i na pewno by mnie dopadły. Powinnam wstać, pochodzić, uporać się ze sztywnością kończyn, ale tylko siedzę, nieruchoma niczym skała pode mną, kiedy świt zaczyna rozjaśniać niebo nad lasem. Ze słońcem nie wygram, mogę tylko bezradnie przyglądać się, jak nadchodzi dzień, którego od miesiący wyczekiwałam z przerażeniem.

Do południa wszyscy dotrą do naszego nowego domu w Wiosce Zwycięzców. Dziennikarze, kamerzyści, nawet Effie Trinket, do niedawna moja opiekunka, przyjadą z Kapitolu do Dwunastego Dystryktu. Zastanawiam się, czy Effie ustroi się w tę idiotyczną różową perukę, czy też na Tournee Zwycięzców sprawi sobie nową, w równie nienaturalnym kolorze. Inni też będą na mnie czekać. Personel, gotów spełniać wszystkie moje życzenia podczas długiej podróży pociągiem. Ekipa przygotowawcza, która upiękaczy mnie przed występami. Mój stylistka i przyjaciel, Cinna, projektant fantastycznych kostiumów, dzięki którym przyciągnęłam uwagę publiczności Głodowych Igrzysk.

Gdyby to zależało ode mnie, starałabym się całkiem wymazać igrzyska z pamięci. Nigdy bym o nich nie mówiła, udawałabym, że były tylko złym snem. Ze względu na Tournee Zwycięzców jest to jednak niemożliwe — wyruszamy niemal dokładnie pół roku po igrzyskach i pół roku przed następnymi. W ten sposób Kapitol strategicznie podtrzymuje atmosferę grozy i nieuchronności, a my, mieszkańcy dystryktów, mamy obowiązek rok w rok przypominać sobie, że rządzi nami żelazną ręką, a na dodatek zmusza nas do urządzania uroczystości z tej okazji. W tym roku to ja jestem jedną z gwiazd widowiska. Będę jeździć od dystryktu do dystryktu, występować przed tłumem ludzi, którzy w duchu mnie nienawidzą, spoglądać z góry na twarze członków rodzin zabitych przeze mnie dzieci...

Słońce wschodzi, więc i ja wstaję. Bolać mnie wszystkie stawy, a lewa noga ścierpła mi tak bardzo, że dopiero po kilku minutach spaceru odzyskuję w niej czucie. Spędziłam w lesie trzy godziny, ale nawet nie próbowałam zapolować na serio, więc wracam z pustymi rękami. Dla mamy i mojej młodszej siostry to bez znaczenia. Stać je na mięso od rzeźnika w mieście, chociaż wcale nie smakuje nam bardziej niż świeża dziczyzna. Dzisiaj jednak mój najlepszy przyjaciel Gale Hawthorne i jego rodzina liczą na mnie i nie mogą ich zawieść, wobec czego wyruszam na półtoragodzinny obchód po wnykach. Gdy chodziliśmy do szkoły, popołudniami wystarczało nam czasu na sprawdzanie sideł, polowanie i zbieractwo, a także na powrót do miasta i handel. Teraz Gale pracuje przy wydobyciu węgla, a ponieważ ja całymi dniami nie mam nic do roboty, przejęłam jego obowiązki.

Do tej pory Gale zdążył już podbić kartę w kopalni, zjechać pod ziemię windą tak prędką, że żołądek podchodzi do gardła, i wziąć się do roboty na przodku. Wiem, jak tam jest, bo całą klasą co rok zwiedzaliśmy kopalnię w ramach szkolenia. Gdy byłam mała, uważałam tylko, że wąskie tunele, cuchnące powietrze i wszechogarniająca ciemność są nieprzyjemne. Kiedy jednak wybuch zabił mojego ojca i kilku innych górników, z trudem udawało mi się wejść do windy, a coroczne wycieczki budziły mój wielki niepokój. Dwa razy tak się pochorowałam, mając w perspektywie zwiedzanie kopalni, że mama uznała to za grypę i pozwoliła mi zostać w domu.

Myślę o Gale'u, który odżywa dopiero w lesie, na świeżym powietrzu, w promieniach słońca, nad czystą, wartką wodą. Nie wiem, jak on znosi kopalnię. A właściwie wiem — wytrzymuje, bo tylko w ten sposób zdoła wykarmić matkę, dwóch młodszych braci i siostrę. Ja mam forsy jak lodu, znacznie więcej niż potrzeba na utrzymanie obu naszych rodzin, a jednak Gale nie chce wziąć ode mnie ani grosza. Niechętnie przyjmuje nawet mięso, choć z pewnością zaopiekowałby się moją mamą i Prim, gdybym zginęła podczas Głodowych Igrzysk. Potwarzam mu, że oddaje mi przysługę, bo nie jestem w stanie wytrzymać codziennej beczynności, ale nigdy nie przynoszę zwierzyny, gdy Gale jest w domu. Zresztą niełatwo go zastać,

skoro pracuje przez pół doby. Tak naprawdę spotykam się z Galem tylko w niedziele, kiedy wyruszamy na wspólne łowy w lesie. Niedziela nadal jest najlepszym dniem w tygodniu, sporo się jednak zmieniło od czasów, gdy mogliśmy powiedzieć sobie wszystko. Igrzyska odebrały nam nawet to. Nie tracę nadziei, że z biegiem czasu odzyskamy dawną swobodę, chociaż w głębi duszy przeczuwam, że nie ma powrotu do przeszłości.

Nieźle mi dziś poszło — złapałam we wnyki osiem królików, dwie wiewiórki i bobra, który zaplątał się w drucianą pułapkę zaciskową. Gale zawsze świetnie sobie radził z budową i zastawianiem sideł. Przywiązywał je do młodych drzew, żeby zdobycz zawisała poza zasięgiem drapieżników, ustawiał kłody na cienkich patykach uruchamiających pułapkę, a do połów wypłatał koszyki, z których ryby nie były w stanie się wydostać. Idę szlakiem sideł i zastawiam pułapki na nowo, ale wiem, że nigdy nie dorównam Gale'owi. Ma doskonale rozwinięty zmysł równowagi i potrafi przewidzieć, w którym miejscu zwierzyna przetnie ścieżkę. To coś więcej niż doświadczenie, to wrodzony talent. Ja również mam dar — kiedy w niemal kompletnych ciemnościach strzelam do zwierzęcia, umiem je położyć jedną strzałą. Słońce stoi już wysoko na niebie, gdy docieram do ogrodzenia wokół Dwunastego Dystryktu. Jak zawsze na moment wyjężam uszy, ale nie słyszę charakterystycznego buczenia, które świadczyłoby o tym, że ogrodzenie jest pod napięciem. Rzadko kiedy bywa, choć powinno, i to przez cały czas. Przeciskam się przez szczelinę pod siatką i wyczołguję się na Łakę, rzut kamieniem od mojego domu, poprzedniego domu. Nadal należy do nas, ponieważ zgodnie z prawem to oficjalne miejsce zamieszkania mojej mamy i siostry. Gdybym teraz padła trupem, musiałyby tu wrócić, tymczasem jednak obie mieszkają w nowym domu w Wiosce Zwycięzców i tylko ja bywam w tej ciasnej chałupie, w której się wychowałam. To jest mój prawdziwy dom.

Idę tam, żeby się przebrać. Ściągam starą skórzaną kurtkę po ojcu i wkładam płaszcz z delikatnej wełny, który ciągle wydaje mi się za wąski w ramionach. Zostawiam miękkie, znoszone buty myśliwskie i biorę drogie, maszynowo szyte obuwie, zdaniem mamy stosowniejsze dla kogoś o mojej pozycji. Łuk i strzały ukryłam wcześniej w pustej kłodzie w lesie. Czas ucieka, ale pozwalam sobie na parę minut w kuchni. Z wygaszonym paleniskiem, bez obrusa na stole, wydaje się całkiem opuszczona. Opłakuję tu przeszłość. Z trudem wiązałyśmy koniec z końcem, ale przynajmniej znałam swoje miejsce na ziemi, byłam świadoma znaczenia tego domu dla delikatnej tkanki naszego życia. Chciałabym do niego wrócić, bo z perspektywy czasu wydaje mi się bezpieczniejszy niż to, co mam teraz, kiedy jestem sławna i bogata, i znienawidzona przez kapitołińskie władze.

Miauczenie za drzwiami z tyłu przykuwa moją uwagę, więc je otwieram i widzę za nimi Jaskra, brzydkiego kocura Prim. Nowy dom nie podoba mu się prawie tak samo jak mnie i zawsze znika, kiedy moja siostra jest w szkole. Nigdy nie przepadaliśmy za sobą, teraz jednak łączy nas nic porozumienia. Wpuszczam go, częstuję odrobiną bobrzego sadła, a nawet przez chwilę drapię za uszami.

— Paskuda z ciebie, wiesz? — mówię do niego. Jaskier trąca moją dłoń, domagając się dalszych pieszczot, ale na mnie pora. — No, chodź.

Podnoszę go jedną ręką, drugą chwytam torbę ze zwierzyną i wychodzę na ulicę. Kot zeskakuje i znika pod krzakiem.

Buty cisną, żużel chrzęści pod stopami. Przemykam się przez alejki, przekradam podwórzami i po kilku minutach docieram pod dom Gale'a. Hazelle, jego mama, pochyla się nad zlewem i zauważa mnie przez okno, więc wyciera ręce w fartuch i rusza, żeby powitać mnie u drzwi. Lubię Hazelle, szanuję ją. W wybuchu, który zabił mojego ojca, zginął także jej mąż, a była wtedy w zaawansowanej ciąży i miała trzech chłopaków na utrzymaniu. Niespełna tydzień po porodzie poszła szukać pracy. Do kopalni się nie nadawała, noworodek wymagał ciągłej opieki, ale udało się jej przekonać paru kupców, żeby dawali jej brudne rzeczy do prania. W wieku czternastu lat Gale, najstarszy z dzieciaków Hazelle, został głównym żywicie-

lem rodziny. Już wcześniej zgłaszał się po astragale, które upoważniały go do pobierania niewielkiej ilości zboża i oleju w zamian za dodatkowe wprowadzenie jego nazwiska do losowania trybutów. Był wtedy wykwalifikowanym traperem, ale i tak nie dałby rady utrzymać pięciosobowej rodziny, gdyby Hazelle nie urabiała sobie rąk przy tarze do prania. Zimą jej dłonie czerwieniały i pękała na nich skóra, w dodatku co rusz krwawiły. Pewnie do dziś by tak było, gdyby nie balsam ukrecony przez moją mamę. Hazelle i Gale robią wszystko, żeby pozostałe dzieciaki — dwunastoletni Rory, dziesięcioletni Vick i czterolatka Posy — nigdy nie musiały się zgłaszać po astragale.

Hazelle uśmiecha się na widok zwierzyny. Podnosi bobra za ogon, szacuje wagę.

— Będzie z niego przyzwoity gulasz — mówi. W przeciwieństwie do Gale'a, nie widzi problemu w naszym myśliwskim porozumieniu.

— Ma niezłe futro — zauważam. Lubię spędzać czas z Hazelle, rozmawiać o wartości dziczyzny, jak zawsze. Zaparza mi kubek ziołowej herbatki, z wdzięcznością ściskam go w zmarzniętych dłoniach. — Po powrocie z tournée mogłabym czasami zabierać ze sobą Rory'ego, po szkole. Nauczyłabym go strzelać.

Hazelle kiwa głową.

— Przydałoby się. Gale zamierza to zrobić, ale ma czas tylko w niedziele, a chyba woli je spędzać z tobą.

Rumienię się, nic nie mogę na to poradzić. To oczywiście głupota, przecież chyba nikt nie zna mnie lepiej niż Hazelle. Wie, jakie więzi łączą mnie z Galem. Z pewnością mnóstwo ludzi zakładało, że prędzej czy później weźmiemy ślub, nawet jeśli ja nigdy nie brałam tego pod uwagę. Tak było przed igrzyskami, zanim mój kompan i sojusznik Peeta Mellark oznajmił, że kocha mnie do szaleństwa. Nasza miłość stanowiła podstawę strategii przetrwania na arenie — tyle że dla Peety to nie była strategia. Sama nie wiem, czym była dla mnie, wiem za to, że Gale sporo przez to wycierpiał, i serce mi się ściska na myśl o Tournee Zwycięzców i o tym, że Peeta i ja znowu będziemy musieli udawać kochanków.

Przełykam herbatę, chociaż parzy mi język.

— Na mnie pora. — Odsuwam się od stołu. — Muszę się oporządzić przed występem w telewizji.

Hazelle mnie ściska.

— Najedz się do syta — mówi.

— Pewnie.

Następny przystanek to Ćwiek, gdzie tradycyjnie sprzedają lub wymieniam większość zdobyczy. Dawniej był tu magazyn węgla, ale odkąd przestano go wykorzystywać, Ćwiek upodobał sobie handlarze nielegalnym towarem, a z czasem stał się regularnym czarnym rynkiem. Jako że przyciąga mniej lub bardziej nieuczciwych, jest chyba odpowiednim miejscem dla mnie. Polowanie w lasach wokół Dwunastego Dystryktu oznacza złamanie kilkunastu praw i karane jest śmiercią. Bywalcy Ćwieka nigdy o tym nie mówią, ale jestem ich dłużniczką. Od Gale'a wiem, że Śliska Sae, stara sprzedawczyni zupy, zapoczątkowała zbiórkę pieniędzy, aby wesprzeć Peetę i mnie podczas igrzysk. Akcja miała pozostać wewnętrzną sprawą Ćwieka, ale wieść o niej się rozeszła i w kwestię zaangażowało się wiele innych osób. Nie wiem dokładnie, ile zebrano, ale podarunki dla trybutów kosztują krocie. Mam świadomość, że ludzka ofiarność uratowała mi życie.

Nadal dziwnie się czuję, kiedy z pustą torbą otwieram drzwi. Nie mam nic do przehandlowania, ale monety w kieszeni na biodrze wyraźnie mi ciążą. Staram się odwiedzić jak najwięcej stoisk, to tu, to tam kupuję kawę, bułki, jajka, przędzę, olej. Po namyśle decyduję się na trzy butelki przeźrocystego bimbru od jednorękiej kobiety o imieniu Ripper, ofiary górniczej katastrofy. Tylko dzięki własnej pomysłowości znalazła sposób na przeżycie. Trunek nie jest ani dla mnie, ani dla moich bliskich, tylko dla Haymitcha, naszego mentora na igrzyskach.

Jest opryskliwy, porywczy i zazwyczaj pijany, ale dobrze się spisał, nawet bardzo dobrze, bo także dzięki niemu po raz pierwszy w historii pozwolono zwyciężyć dwóm trybutom. Dlatego bez względu na to, jaki jest Haymitch, jestem również jego dłużniczką. Dozgonną. Biorę bimber, bo parę tygodni temu Haymitchowi skończyły się zapasy, nie miał gdzie ich uzupełnić i dostał ataku — cały się trząsł i darł na coś, co tylko on widział. Śmiertelnie wystraszył Prim i szczerze mówiąc, ja też mało fajnie się czułam, oglądając go w takim stanie. Odtąd staram się gromadzić bimber na wypadek następnego niedoboru.

Cray, nasz Główny Strażnik Pokoju, marszczy brwi, kiedy widzi mnie z butelkami. To starszy człowiek, z resztkami siwych włosów zaczesanych na bok nad jasnoczerwoną twarzą.

— To draństwo jest dla ciebie za mocne, dziewczyno.

Wie, co mówi. Haymitch i Cray to najwięksi pijacy, jakich w życiu spotkałam.

— Och, mama przyrządza z niego lekarstwa — tłumaczę beztrzesko.

— Ten bimber jest dobry na wszystko — przyznaje Cray, rzuca monetę i bierze butelkę. Dochodzę do straganu Śliskiej Sae, wskakuję na ladę i zamawiam zupę, chyba z dyni i fasoli. Kiedy jem, podchodzi Strażnik Pokoju o imieniu Darius i też kupuje miskę. To jeden z moich ulubionych przedstawicieli prawa, bo nigdy nie nadużywa władzy, zwykle można z nim pozartować. Pewnie ma dwadzieścia parę lat, ale nie wydaje się dużo starszy ode mnie. W jego uśmiechu i sterczących na wszystkie strony rudych włosach jest coś chłopięcego.

— Nie powinnaś już siedzieć w pociągu? — dziwi się.

— Zabiorą mnie w południe — wyjaśniam.

— Nie powinnaś lepiej się prezentować? — pyta głośnym szeptem. Mimowolnie się uśmiecham, bo chociaż jestem w kiepskim nastroju, bawią mnie jego zaczepki. — Może wpleć wstążkę we włosy, albo co? — Muska mój warkocz, a ja odtrącam jego rękę.

— Bez obaw. Jak ze mną skończą, nikt mnie nie pozna — zaręczam.

— To dobrze — mówi. — Dla odmiany warto by okazać dumę ze swojego dystryktu, co, panno Everdeen? — Z udawaną dezaprobatą spogląda na Śliską Sae i odchodzi do przyjaciół.

— Miska ma trafić do mnie z powrotem! — woła za nim Śliska Sae, ale ze śmiechem, więc nie brzmi to zbyt surowo.

— Gale cię odprowadzi? — pyta mnie.

— Nie, nie było go na liście — tłumaczę jej. — Ale widziałam się z nim w niedzielę.

— Byłam pewna, że jest na liście, jako twój kuzyn i w ogóle — zauważa z ironią.

To jeszcze jedno wymyślone przez Kapitol igrzysko. Kiedy wraz z Peetą trafiłam do finałowej ósemki Głodowych Igrzysk, organizatorzy rozesłali dziennikarzy z zadaniem opracowania materiałów na nasz temat. Na pytanie o najlepszego przyjaciela wszyscy z mojego otoczenia zgodnie wskazywali Gale'a, jednak on się nie nadawał do występowania publicznie w roli przyjaciela, a to przez romans, który odgrywałam na arenie. Był zbyt przystojny, zbyt męski i nie miał najmniejszej ochoty uśmiechać się i mizdrzyć przed kamerami. Trzeba jednak przyznać, że jesteśmy do siebie bardzo podobni, bo wyglądamy jak typowi mieszkańcy Złożyska — mamy ciemne, proste włosy, oliwkową skórę, szare oczy. Nic dziwnego, że jakiś geniusz zrobił z nas kuzynów. Nie miałam o tym pojęcia aż do powrotu, kiedy na peronie mama powiedziała: „Kuzyni nie mogli się ciebie doczekać!” Odwróciłam się i ujrzałam Gale'a i Hazelle z gromadką dzieci. Pozostało mi tylko pogodzić się z nowym stanem rzeczy. Śliska Sae wie, że nie jesteśmy spokrewnieni, ale nawet ludzie, którzy znają nas od lat, najwyraźniej o tym zapomnieli.

— Nie mogę się doczekać, aż to wszystko się skończy — wyznaję półgłosem.

— Wiem — odszeptuje Sae. — Ale musisz przez to przejść, żeby dotrzeć do końca. Lepiej się nie spóźnij.

Zaczyna prószyć lekki śnieg, a ja idę do Wioski Zwycięzców. Muszę pokonać niecały kilometr od placu w centrum miasta, ale wydaje się, że trafiam do zupełnie innego świata.

Wioska jest niezależnym osiedlem, zbudowanym wokół pięknego skweru, upstrzonego kwitnącymi krzewami. Stoi tu dwanaście budynków, każdy tak duży, że pomieściłby dziesięć takich domów jak ten, w którym dorastałam. Dziewięć od zawsze świeci pustkami, trzy są zamieszkałe przez Haymitcha, Peetę i mnie. Domy zamieszkałe przez moją rodzinę oraz Peetę emanują życiem. W oknach palą się światła, nad kominami unosi się dym, a na drzwiach wejściowych wiszą pęki pomalowanej na jaskrawe barwy kukurydzy, dekoracja na nadchodzące święto. Choć o teren wokół domu Haymitcha dba ogrodnik, już z daleka wyczuwa się atmosferę zapuszczenia i obojętności. Przed drzwiami przygotowuję się na najgorsze i niechętnie wchodzę do środka.

Już od progu z obrzydzeniem marszczę nos. Haymitch nie wpuszcza nikogo do sprzątania, a on sam porządek ma w nosie. Przez lata odór alkoholu, wymiocin, gotowanej kapusty i przypalonego mięsa, niepranych ubrań i mysich bobków stworzył fetor, od którego oczy zachodzą mi łzami. Brnę przez sterty walających się po podłodze opakowań, potłuczonego szkła i kości tam, gdzie znajdę Haymitcha. Siedzi przy kuchennym stole, z rękami rozłożonymi na blacie i twarzą w kałuży rozlanej wódki, i donośnie chrapie.

Trącam go w ramię.

— Niech pan wstaje! — mówię głośno, bowiem, że delikatniej nie da się go obudzić. Chrapanie na moment ustaje, jakby pytająco, a potem znów się rozlega. Popycham go bardziej stanowczo. — Proszę pana, pobudka! Dzisiaj jedziemy na tournée! — Z trudem otwieram okno i wdycham świeże powietrze, po czym rozgarniam stopami śmieci na podłodze i natrafiam na blaszany dzbanek do kawy, do którego nalewam wody z kranu nad zlewem. W piecu jest jeszcze odrobina żaru, więc trącam węgle, żeby rozniecić płomień. Wsypuję do dzbanka zmieloną kawę, dużo, żeby napar był mocny i smaczny, i stawiam dzbanek na piecu.

Haymitch nadal jest nieprzytomny. Skoro nic nie poskutkowało, napełniam miskę lodowatą wodą, wylewam ją Haymitchowi na głowę i momentalnie odskakuję. Z jego gardła wydobywa się niski, zwierzęcy pomruk. Haymitch zrywa się z miejsca tak gwałtownie, że krzesło odlatuje trzy metry do tyłu, i bez zastanowienia tnie powietrze nożem. Zapomniałam, że zawsze sypia z bronią w zaciśniętej dłoni. Powinnam była wyłuskać nóż z jego palców, ale miałam za dużo spraw na głowie. Przez chwilę bluzga i wymachuje nożem, lecz w końcu przytomnieje. Wyciera twarz w rękaw i obraca się w kierunku parapetu, na którym przypnęłam na wypadek, gdybym musiała stąd szybko zwiewać.

— Co ty wyprawiasz? — parska.

— Kazał pan obudzić się na godzinę przed przyjazdem telewizji — tłumaczę.

— Co? — zdumiewa się.

— Sam pan to wymyślił — podkreślam.

Chyba coś sobie przypomina.

— Dlaczego jestem cały mokry?

— Nie mogłam pana dobudzić. Jeśli pan chciał, żeby się z panem cackać, trzeba było poprosić Peetę.

— O co trzeba mnie było poprosić?

Na dźwięk tego głosu ściska mnie w żołądku, czuję się winna, smutna i przestraszona. I tęsknię, do tego też mogę się przyznać. Tyle że tęsknota ma zbyt silną konkurencję, aby kiedykolwiek zdołała zdominować inne uczucia. Patrzą, jak Peeta podchodzi do stołu. Promienie słońca zza okna rozświetlają płatki świeżego śniegu na jego jasnych włosach. Wydaje się silny i zdrowy, całkiem inny od schorowanego, wygłodzonego chłopca, którego znałam z areny, i prawie nie kuleje. Kładzie na stole bochenek świeżego chleba, po czym wyciąga rękę do Haymitcha.

— O obudzenie bez fundowania mi zapalenia płuc — burczy Haymitch i oddaje nóż. Ściąga brudną koszulę, odsłania równie odrażający podkoszulek i wyciera się jego suchym skrawkiem.

Peeta z uśmiechem zanurza ostrze w bimbrze z butelki na podłodze, a potem wyciera je o koszulę i kroci chleb. To on zaopatruje nas wszystkich w świeże pieczywo. Ja poluję, on piecze, Haymitch pije. Każde z nas na swój sposób zabija czas i stara się uciec od wspomnień związanych z Głodowymi Igrzyskami. Peeta podaje Haymitchowi piętękę i dopiero wtedy po raz pierwszy na mnie spogląda.

— Chcesz kromkę?

— Nie, jadłam już na Cwieku — odpowiadam. — Ale dziękuję.

Mój głos brzmi obco, dziwnie oficjalnie. To się powtarza przy każdej rozmowie z Peetą, odkąd telewizja przestała nagrywać sceny z naszego szczęśliwego przyjazdu do domu i powróciliśmy do normalnego życia.

— Nie ma za co — mówi sztywno.

Haymitch ciska koszulę gdzieś w kącie.

— Brr — otrząsa się. — Musicie się solidnie rozgrzać przed występem.

Ma rację, rzecz jasna. Widzowie będą oczekiwali zakochanych gołąbków, zwycięzców Głodowych Igrzysk, a nie dwójki ludzi, którzy nie potrafią spojrzeć sobie w oczy.

— Niech się pan wykąpie — oświadczam zwięźle, wyskakuję przez okno i idę do domu.

Śnieg zrobił się lepki, zostawiam za sobą ślady stóp. Przystaję przed drzwiami wejściowymi, żeby strząsnąć z butów mokrą breję. Mama pracowała dzień i noc, aby dom idealnie wypadł przed kamerami, więc to kiepski moment na brudzenie lśniących podłóg. Ledwie mijam próg, a ona zjawia się i chwyta mnie za ramię, jakby próbując zatrzymać.

— Bez obaw, już ściągam buty — zapewniam ją i zostawiam je na wycieracze.

Mama śmieje się z wysiłkiem, nerwowo zsuwa mi z ramienia myśliwską torbę z zakupami.

— To przez ten śnieg — tłumaczy. — Spacer się udał?

— Spacer? — Doskonale wie, że pół nocy spędziłam w lesie. Nagle dostrzegam za jej plecami mężczyznę, stoi w drzwiach do kuchni. Już na pierwszy rzut oka widać, że przyjechał z Kapitolu, ma garnitur na miarę i operacyjnie poprawione rysy twarzy. Dzieje się coś złego. — Raczej jazda na łyżwach. Na dworze jest prawdziwe lodowisko.

— Masz gościa — oznajmia mama. Jest bladejsza niż zwykle, w jej głosie słyszę złe skrywany niepokój.

— Spodziewałam się gości dopiero w południe. — Udaję, że nie zauważam jej zdenierowania. — Cinna wpadł wcześniej, aby pomóc mi w przygotowaniach?

— Nie, Katniss, przyszedł... — zaczyna mama i urywa.

— Proszę, panno Everdeen — odzywa się nieznajomy i gestem zaprasza mnie do środka. Dziwnie się czuję, nie przywykłam do tego, by ktoś mnie wprowadzał do mojego domu, ale mam dość rozumu, żeby trzymać język za zębami. Po drodze zerkam przez ramię na mamę i uśmiecham się do niej krzepiąco.

— Pewnie dostanę nowe instrukcje w związku z tournée.

Od pewnego czasu otrzymuję najrozmaitsze wskazówki odnośnie do trasy i protokołu w każdym dystrykcie. Gdy jednak zmierzam ku drzwiom gabinetu, które dotąd nigdy nie były zamknięte, różne myśli przelatują mi przez głowę. Kto tam jest? Czego od mnie chcą? Dlaczego mama jest blada jak kreda?

— Proszę wejść — ponagla mnie przybysz, który szedł za mną.

Obracam wypolerowaną gałkę z brązu i przekraczam próg gabinetu. Nozdrza wypełniają mi dysonans zapachów róż i krwi. Widzę niskiego, siwego mężczyznę, wydaje się dziwnie znajomy. Nie przerywając czytania książki, podnosi palec, jakby chciał powiedzieć: „Jeszcze chwilę”. Potem się odwraca, a mnie zamiera serce. Patrę w wężowe oczy prezydenta Snowa.

Gdy myślę o prezydencie Snowie, widzę go przed rzędem marmurowych kolumn, obwieszonych gigantycznymi flagami. Dziwnie wygląda w otoczeniu zwykłych przedmiotów w zwyczajnym pokoju. Czuję się tak, jakbym uchyliła wieczka garnka i zamiast potrawy ujrzała jadłowitą żmiję.

Co on tutaj robi? Szybko powracam myślami do dni otwarcia innych Tournee Zwycięzców i przypominam sobie triumfujących trybutów w otoczeniu mentorów i stylistów. Od czasu do czasu na wizji pojawiali się ważni urzędnicy rządowi, ale jeszcze nigdy nie widziałam prezydenta. Snow uczestniczy w uroczystościach na Kapitolu. Koniec, kropka. Skoro pokonał taki szmat drogi do mojego domu, oznacza to jedno — wpadłam po uszy w kłopoty, a wraz ze mną cała rodzina. Przeszywa mnie dreszcz, gdy sobie uświadamiam, że moja mama i siostra są tak blisko człowieka, który mnie nienawidzi. I zawsze będzie mnie nienawidził, bo byłam górą w jego sadystycznych Głodowych Igrzyskach. Wystrychnęłam na dudka cały Kapitol i tym samym osłabiłam jego władzę.

Tak naprawdę próbowałam tylko utrzymać przy życiu siebie i Peetę, jakkolwiek przejaw buntu był przypadkowy. Kiedy jednak Kapitol zapowiada, że tylko jeden trybut może przeżyć, a ktoś ma czelność podważać tę decyzję, wówczas można to zapewne uznać za bunt. Żeby się obronić, musiałam udawać, że oszalałam z namiętnej miłości do Peety, więc w rezultacie darowano życie nam obojemu i ogłoszono nas zwycięzcami. Mogliśmy wrócić do domu, świętować, na pożegnanie pomachać do kamer i wreszcie mieć spokój — aż do dzisiaj.

Czuję się jak intruz. Może dlatego, że jeszcze nie oswoiłam się z nowym domem, może jestem wstrząśnięta widokiem gościa, a może świadomością, że w każdej chwili może mnie zabić i dobrze o tym wie. Mam wrażenie, że bez zaproszenia trafiłam do jego domu, i dlatego nie witam go, nie proszę, by usiadł, nie mówię ani słowa. Właściwie traktuję go jak najprawdziwszego węża, w dodatku jadowitego. Stoję bez ruchu i nie odrywam od niego wzroku, obmyślając plan ucieczki.

— Pójdzie nam znacznie łatwiej, jeśli postanowimy mówić prawdę — odzywa się prezydent. — Co ty na to?

Mam wrażenie, że język stanął mi kołkiem i nie zdołam wykrztusić ani słowa, więc ze zdziwieniem słyszę swój spokojny głos:

— Tak, moim zdaniem oszczędzimy czas.

Snow uśmiecha się i po raz pierwszy zauważam jego usta. Spodziewałam się ujrzyć wargi jak u węża, czyli w zasadzie całkowity brak warg. Tymczasem są obfite, z przesadnie naciągniętą skórą. Mimowolnie zaczynam się zastanawiać, czy prezydent przeszedł operację plastyczną, żeby stać się bardziej pociągający. Jeśli tak, to niepotrzebnie zmarnował czas i pieniądze.

— Moi doradcy wyrazili obawę, że będziesz sprawiała kłopoty, ale przecież nie zamierzasz utrudniać mi życia, prawda? — pyta.

— Nie, nie zamierzam.

— To im właśnie powiedziałem. Że dziewczyna, która zrobiła wszystko, żeby przeżyć, na pewno nie ściągnie sobie na głowę śmiertelnego niebezpieczeństwa, zwłaszcza że musi myśleć o rodzinie. O matce, siostrze, wszystkich... kuzynach. — W ostatnim słowie wymownie przeciąga sylaby i jest jasne, że doskonale zdaje sobie sprawę z braku pokrewieństwa między mną i Galem. Wyłożył karty na stół. Może to i lepiej, kiepsko znoszę zawołane groźby. Wolę, kiedy ktoś mówi wprost, o co chodzi. — Usiądźmy. — Prezydent Snow zajmuje miejsce za dużym biurkiem z lśniącego drewna, przy którym Prim odrabia lekcje, a mama podlicza wydatki. Nie ma prawa tam siedzieć, tak jak nie ma prawa przebywać w naszym domu, choć w ostatecznym rozrachunku jest do tego jak najbardziej uprawniony. Zasiadam po drugiej stronie, na jednym z rzeźbionych krzesel o prostych oparciach. Zrobiono je dla osoby wyższej ode mnie, więc z trudem dosięgam podłogi czubkami palców u stóp.

— Mam pewien kłopot, panno Everdeen — kontynuuje prezydent. — Kłopot, który ma swój początek na arenie, a spowodowałaś go ty, wyciągając trujące jagody.

Ma na myśli chwilę, w której zrozumiałam, że jeśli organizatorzy będą musieli wybierać między patrzeniem na nasze samobójstwo — co oznaczałoby brak zwycięzcy — lub darrowaniem życia Peecie i mnie, wybiorą to drugie.

— Gdyby Główny Organizator Seneca Crane miał choć trochę oleju w głowie, z miejsca starłby was na proch. Niestety, tak się niefortunnie złożyło, że odezwała się w nim sentymentalna natura i dlatego tutaj jesteście. Domyślasz się, dokąd trafił Crane? — pyta.

Kiwam głową, bo z jego słów jasno wynika, że Senecę Crane'a stracono. Zapach róż i krwi jest silniejszy, odkąd dzieli nas tylko biurko. Prezydent Snow nosi w klapie różę, być może to ona jest źródłem tego aromatu, ale na pewno genetycznie zmodyfikowanym, bo prawdziwe róże tak nie cuchną. Co do krwi... sama nie wiem.

— Potem nie miałaś wyjścia musiałaś pociągnąć ten scenariusz. Przyznaję, całkiem nieźle wypadłaś w roli oszalałej z miłości nastolatki, mieszkańcy Kapitolu dali się przekonać. Niestety, nie wszyscy w dystryktach się na to nabrali.

Na mojej twarzy najwyraźniej odbija się zaskoczenie, gdyż Snow śpieszy z wyjaśnieniami:

— Rzecz jasna, nic o tym nie wiesz, nie masz przecież dostępu do informacji o nastrojach w państwie. Otóż w kilku dystryktach ludzie uznali twoją sztuczkę z jagodami za przejaw buntu, a nie dowód miłości. A skoro dziewczyna z marnego Dwunastego Dystryktu przeciwstawia się Kapitolowi i uchodzi jej to płazem, dlaczego nie mieliby pójść w jej ślady? Dajmy na to, wzniecić powstania?

Dopiero po chwili dociera do mnie sens ostatnich słowa prezydenta, zaczynam rozumieć ich powagę.

— Wybuchły powstania? — pytam, jednocześnie przerażona i uradowana tą możliwością.

— Jeszcze nie, ale dojdzie do nich, jeśli bieg wydarzeń się nie zmieni. Jak wiadomo, czasem powstania prowadzą do rewolucji. — Prezydent Snow pociera czoło nad lewą brwią. Moje bóle głowy koncentrują się w tym samym miejscu. — Czy masz pojęcie, co to oznacza? Wiesz, ilu ludzi zginie? W jakich warunkach będą żyli pozostali? Bez względu na problemy niektórych z Kapitołem, konsekwencje buntu będą straszne. Cała konstrukcja państwa legnie w gruzach, jeżeli choć na chwilę stracimy kontrolę nad dystryktami.

Jestem zdumiona jego bezpośredniością, a wręcz szczerością. Zachowuje się tak, jakby jego naczelną troską był dobrobyt obywateli Panem, co jest kompletną bzdurą. Nie wiem, skąd we mnie tyle śmiałości, ale mówię wprost:

— Państwo chyba się opiera na kruchych podstawach, skoro garść jagód może doprowadzić do jego upadku.

Zapada długotrwałe milczenie, Snow przygląda mi się bacznie. W końcu mówi zyczajnie:

— Państwo jest kruche, ale inaczej, niż podejrzewasz.

Słyszemy pukanie do drzwi i do pokoju wtyka głowę człowiek z Kapitolu.

— Jej matka chce wiedzieć, czy ma pan ochotę na herbatę.

— Mam. Chętnie napiję się herbaty — mówi prezydent. Drzwi uchylają się szerzej i na progu staje mama. W rękach trzyma tacę z porcelanową zastawą, którą przywiozła do Złotyska w posagu. — Proszę postawić to tutaj. — Snow kładzie książkę na skraju biurka i stuka w środek blatu. Mama stawia tacę we wskazanym miejscu. Przyniosła porcelanowy imbryk i filiżanki, a także śmietankę, cukier i talerz ciastek, pięknie ozdobionych kwiatami w stonowanych barwach. Za dekorację z pewnością odpowiada Peeta. — Aż miło popatrzeć — zachwyca się Snow. — To dziwne, ale ludzie bardzo często zapominają, że prezydenci także muszą jadać.

Wygląda na to, że mama odrobinę się odprężyła.

— Może podać panu coś jeszcze? Mogłabym przyrządzić coś konkretnego, jeżeli jest pan głodny.

— Nie, dziękuję. Herbata i ciastka całkowicie mnie satysfakcjonują. — Snow jasno daje jej do zrozumienia, że rozmowa skończona. Mama kiwa głową, zerka na mnie i wychodzi. Prezydent nalewa herbaty do dwóch filiżanek, a do swojej dodaje jeszcze śmietanki i cukru. Na koniec długo miesza.

Wyczuwam, że powiedział, co miał do powiedzenia, i teraz czeka na moją reakcję.

— Nie zamierzałam wzniecać żadnych powstań — oznajmiam.

— Wierzę ci, ale to bez znaczenia. Twój stylistą proroczo dobrał ci strój. Katniss Everdeen, dziewczyna, która igra z ogniem, wznieciła iskrę, a ta, nieugaszona w porę, podpaliła całe Panem i rozpęta piekło.

— Dlaczego po prostu mnie pan nie zabije? — pytam wprost.

— Publicznie? — zdumiewa się. — W ten sposób tylko dolałbym oliwy do ognia.

— Więc niech pan zaaranżuje wypadek.

— Kto by w to uwierzył? — wzdycha. — Ty na pewno nie, gdybyś się dowiedziała o czymś takim.

— Wobec tego niech mi pan powie, co mam robić, a ja się dostosuję.

— Niestety, to nie takie proste. — Bierze do ręki jedno z ukwieconych ciastek i przygląda mu się uważnie. — Urocze. Dzieło twojej mamy?

— Nie, Peety. — Po raz pierwszy nie mogę wytrzymać jego spojrzenia i odwracam wzrok. Sięgam po herbatę, ale odstawiam filiżankę, kiedy zaczyna grzechotać o spodek. Biorę ciastko, żeby zamaskować drżenie rąk.

— Peeta. Jak się miewa miłość twojego życia?

— Dobrze — odpowiadam krótko.

— Kiedy sobie uświadomił, jak bardzo jesteś obojętna? — Zanurza ciastko w herbatce.

— Nie jestem obojętna.

— Więc może nie aż tak zadurzona w tym młodzieńcu, jak to wmówiłaś całemu krajowi.

— Kto mówi, że go nie kocham?

— Ja — odpowiada prezydent. — I nie byłoby mnie tutaj, gdyby nikt nie podzielał moich wątpliwości. Jak się miewa twój przystojny kuzyn?

— Nie wiem... Naprawdę... — Głos więźnie mi w gardle. Niedobrze mi się robi na myśl o tym, że mam rozmawiać ze Snowem o moich uczuciach do dwóch ludzi, na których naprawdę mi zależy.

— Proszę mówić, panno Everdeen. Akurat jego mogę zabić bez obaw, jeśli nie osiągniemy satysfakcjonującego porozumienia. Nie oddajesz mu przysługi, znikając z nim w lesie każdej niedzieli.

Co jeszcze wie, skoro dowiedział się o naszych wyprawach? Kto mu o nich doniósł? Wielu ludzi mogło mu powiedzieć, że każdej niedzieli chodzę z Galem na polowanie, przecież na koniec dnia pojawiają się razem publicznie, objuczeni dziczyzną, i to od lat. Zasadnicze pytanie brzmi: co zdaniem Snowa dzieje się w lasach okalających Dwunasty Dystrykt? Na pewno nikt tam nas nie śledził. A jeśli? Czy to możliwe, że byliśmy obserwowani? Nie, niemożliwe, na pewno nie przez człowieka. To co, kamery? Dotąd nigdy nie przyszło mi to do głowy. Zawsze uważaliśmy las za nasze bezpieczne miejsce, azyl poza zasięgiem Kapitolu, gdzie można mówić otwarcie i zachowywać się naturalnie. Na pewno tak było do igrzysk. Jeżeli potem nas obserwowano, to co takiego zobaczyli? Dwoje ludzi na polowaniu wygadujących pachnące zdradą rzeczy o Kapitolu, i tyle. Na pewno nie zachowywaliśmy się jak za-

kochani, a chyba o to chodziło prezydentowi Snowowi. Pod tym względem nic nam nie groziło. Chociaż...

To się zdarzyło tylko raz, szybko i nieoczekiwanie, ale się zdarzyło. Po powrocie z igrzysk musiałam odczekać kilka tygodni, zanim spotkałam się sam na sam z Galem. Najpierw uczestniczyłam w obowiązkowych uroczystościach. Władze wydały bankiet na cześć zwycięzców i zaprosiły wyłącznie najważniejsze osobistości, a cały dystrykt miał wolny dzień z darmowym jedzeniem oraz występami artystów z Kapitolu. W Dniu Paczek, pierwszym z dwunastu, każdy w dystrykcie otrzymał gratis przesyłkę z żywnością. To podobało mi się najbardziej. Patrzyłam, jak głodne dzieci ze Złożyska biegają z puszkami przecieru jabłkowego oraz mięsnymi konserwami, nawet z cukierkami. W domach czekały na nie torby z ziarnem i blaszane bańki z olejem, zbyt ciężkie, żeby je dźwigać. Cieszyłam się, że co miesiąc przez okrągły rok wszyscy będą dostawali po paczce. Była to jedna z niewielu chwil, kiedy naprawdę czułam zadowolenie ze zwycięstwa. W zalewie uroczystości, imprez oraz spotkań z dziennikarzami, którzy chodzili za mną krok w krok, kiedy przewodniczyłam, dziękowałam i całowałam Peetę na potrzeby widzów, nie miałam ani odrobiny prywatności. Po kilku tygodniach sytuacja w końcu zaczęła się uspokajać. Kamerzyści i reporterzy spakowali walizki i wyjechali. Pomędzy mną a Peetą pojawił się chłodny dystans, który nadal utrzymujemy. Moja rodzina wprowadziła się do domu w Wiosce Zwycięzców. Życie w Dwunastym Dystrykcie wróciło do normy: górnicy zaczęli chodzić do kopalń, a dzieciaki do szkół. Czekałam jeszcze przez pewien czas, a w końcu doszłam do wniosku, że droga wolna, i pewnej niedzieli, nie informując nikogo, wstałam kilka godzin przed świtem i wyruszyłam do lasu.

Wciąż było na tyle ciepło, że obywałam się bez kurtki. Spakowałam do torby trochę odświętnej żywności: zimnego kurczaka, ser, chleb z piekarni, pomarańcze. Najpierw poszłam do starego domu po myśliwskie buty. Ogrodzenie jak zwykle nie było pod napięciem, więc bez trudu przemknęłam na drugą stronę, odszukałam łuk i strzały, a potem ruszyłam do naszego miejsca spotkań, gdzie razem z Galem jadłam śniadanie przed dożynkami, po których trafiłam na igrzyska.

Czekałam co najmniej dwie godziny. Już zaczynałam nabierać przekonania, że po ostatnich tygodniach Gale postawił na mnie krzyżyk albo kompletnie mu zobojeźniałam, może nawet mnie znienawidził. Nie potrafiłam znieść bólu na myśl o tym, że mogłabym stracić na zawsze najlepszego przyjaciela, jedyne go człowieka, któremu powierzałam tajemnice. Byłoby to zwieńczenie dramatu, który mnie spotkał. Oczy zaszły mi łzami, poczułam ucisk w gardle, jak zawsze w chwilach zdenerwowania. Potem podniosłam wzrok i zobaczyłam Gale'a. Stał trzy metry dalej i mnie obserwował. Bez zastanowienia zerwałam się na równe nogi, rzuciłam mu się na szyję i wydałam z siebie dziwny dźwięk, ni to śmiech, ni krztuszenie się, ni płacz. Ścisnął mnie tak mocno, że nie widziałam jego twarzy, ale minęło naprawdę sporo czasu, zanim mnie puścił, i to tylko dlatego, że właściwie nie miał wyboru — dostałam niewiarygodnie donośnej czkawki i musiałam się napić.

Tamten dzień był taki jak zawsze. Po śniadaniu polowaliśmy, łowiliśmy ryby, zbieraliśmy. Rozmawialiśmy o ludziach w mieście, starannie unikając wszystkiego, co było związane z nami. Nie padło ani słowo na temat jego nowego życia w kopalni ani mojego udziału w igrzyskach, ciekawiły nas inne sprawy. Kiedy znaleźliśmy się przed dziurą w ogrodzeniu, jak najbliżej Ćwieka, chyba uwierzyłam, że znowu będzie jak dawniej. Mogliśmy przecież żyć tak jak przed losowaniem. Przekazałam całą zwierzynę Gale'owi, bo teraz nie brakowało nam żywności, i oznajmiłam, że nie wybieram się na Ćwiek. Kusiło mnie, żeby tam wpaść, ale postanowiłam już wrócić do domu, bo nie powiedziałam mamie i siostrze, dokąd idę i na pewno się zastanawiały, gdzie jestem. Nieoczekiwanie, gdy proponowałam, że zajmę się codziennym obchodem sideł, Gale ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie w usta. Nie byłam na to przygotowana. Można by pomyśleć, że po tylu spędzonych z nim godzinach, kiedy patrzyłam, jak mówi, śmieje się i chmurzy, wiem już wszystko o jego ustach. Nie wyobrażałam

sobie jednak, że okażą się takie ciepłe w zetknięciu z moimi wargami. Nie sądziłam też, że jego dłonie, zdolne do zastawiania najbardziej skomplikowanych wyników, z taką łatwością mnie uwiężą. Pamiętam, że z głębi mojego gardła wydobył się dziwny dźwięk i że opierałam zaciśnięte palce na piersi Gale'a. Potem mnie puścił i powiedział:

— Musiałem to zrobić. Chociaż raz.

I odszedł.

Choć Słońce zachodziło i wiedziałam, że mama i siostra będą się martwić, usiadłam pod drzewem przy ogrodzeniu. Zastanawiałam się, co czuję w związku z pocałunkiem, czy mi się spodobał, czy też wzbudził moją niechęć. Tak naprawdę zapamiętałam tylko nacisk warg Gale'a i delikatny aromat pomarańczy na jego skórze. Nie było sensu porównywać tego pocałunku z wieloma, które wymieniłam z Peetą, nadal nie miałam pojęcia, czy któreś z nich naprawdę się liczyły. W końcu poszłam do domu.

Tamtego tygodnia sprawdzałam wyniki i zanosilałam zwierzynę Hazelle, ale z Galem spotkałam się dopiero w niedzielę. Obmyśliłam całą mowę: że nie chcę mieć chłopaka i nigdy nie planowałam ślubu, ale ostatecznie nie powiedziałam ani słowa na ten temat, bo Gale zachowywał się tak, jakby nigdy mnie nie pocałował. Może czekał, aż o tym wspomnę albo sama go pocałuję, lecz ja również udawałam, że do niczego nie doszło. A jednak doszło. Gale sforsował niewidzialną barierę, która nas dzieliła, i jednocześnie pogrzebał moje nadzieje na odbudowanie naszej dawnej, nieskomplikowanej przyjaźni. Choćbym nie wiadomo jak udawała, nie potrafiłam już patrzeć na jego usta tak jak kiedyś.

Te wszystkie myśli przelatują mi przez głowę, kiedy prezydent Snow świdruje mnie wzrokiem zaraz po tym, jak zagroził, że zabije Gale'a. Ależ byłam głupia, wierząc, że Kapitol da mi spokój, gdy wrócę do domu! Nie wiedziałam o ewentualnych powstaniach, fakt, ale nie wątpiłam, że władze są na mnie wściekłe. Powinnam była zachowywać się wyjątkowo ostrożnie, bo tego wymagała sytuacja, a co zrobiłam? Zdaniem prezydenta wypięłam się na Peetę i na oczach całego dystryktu skupiłam uwagę wyłącznie na Gale'u. W ten sposób otwarcie zakpiłam z Kapitolu. Przez własną beztroskę naraziłam na śmiertelne niebezpieczeństwo Gale'a i jego rodzinę, a także swoich bliskich oraz Peetę.

— Niech pan nie robi krzywdy Gale'owi, to tylko przyjaciel, naprawdę — proszę szeptem. — Przyjaźnimy się od lat, nic poza tym nas nie łączy. Zresztą wszyscy uważają nas teraz za kuzynów.

— Interesuje mnie tylko to, w jakim stopniu wasze relacje wpływają na dynamikę twojego związku z Peetą, bo od tego zależą nastroje w dystryktach — oświadcza.

— Nic się nie zmieni podczas tournée. Będę go kochała tak jak dawniej.

— Jak teraz — poprawia mnie.

— Jak teraz — potwierdzam.

— Aby zapobiec buntom, musisz się starać bardziej niż dotąd — uprzedza mnie. — Tournée będzie twoją jedyną szansą na odwrócenie biegu zdarzeń.

— Wiem. Zrobię to. Przekonam mieszkańców dystryktów, że nie rzuciłam wyzwania Kapitolowi, że naprawdę oszalałam z miłości.

Prezydent Snow wstaje i ociera wydatne usta serwetką.

— Postaw sobie ambitniejszy cel, na wypadek niepowodzenia.

— Jak to? Jak mogłabym postawić sobie ambitniejszy cel? — zdumiewam się.

— Postaraj się przekonać mnie.

Rzuca serwetkę, bierze książkę. Nie patrzę na niego, kiedy wychodzi, więc wzdygam się, słysząc jego szept tuż przy uchu:

— Tak między nami, wiem o pocałunku.

Z cichym trzaskiem zamyka za sobą drzwi.

Zapach krwi... Jego oddech był nim przesycony. Co takiego robi?, zastanawiam się. Pije ją? Wyobrażam sobie, jak sączy krew z filiżanki. Zanurza w niej ciasteczko i wyciąga je, ociekające czerwienią.

Zza okna dobiega warkot silnika samochodu, cichy i spokojny, niczym mruczenie kota, po czym zanika w oddali. Rozpływa się w powietrzu niezauważony, tak jak się pojawił. Czuję się tak, jakby pokój powoli wirował, chyba jestem bliska omdlenia. Pochyliłam się i chwytam biurko jedną ręką, w drugiej nadal ściskam piękne ciastko Peety. Wydaje mi się, że widniała na nim lilia tygrysia, z której zostało tylko kilka okruchów w mojej pięści. Sama nie wiem, kiedy ją zmiażdżyłam, widać musiałam zacisnąć na czymś palce, gdy świat wokół mnie wymykał się spod kontroli.

Odwiedziny prezydenta Snowa. Dystrykty na skraju buntu, otwarta groźba zabicia Gale'a, a po nim także innych. Śmierć grozi wszystkim, których kocham. Kto wie, komu jeszcze przyjdzie zapłacić za to, co zrobiłam? Chyba że powstrzymam katastrofę podczas tournée, uciszę niezadowolonych i uspokoję prezydenta. Jak? Demonstrując wszem wobec w całym kraju, że kocham Peetę Mellarkę.

Nie dam rady, myślę. Nie jestem dość dobra. Peeta to ten szlachetny, ludzie go lubią, sprawia, że wierzą we wszystko. Ja zamykam się w sobie i wycofuję, pozwalając mu mówić jak najwięcej. Tym razem jednak nie on musi dowieść szczerości swoich uczuć, tylko właśnie ja.

Na korytarzu słysząc lekki, pośpieszny tupot stóp mamy, a ja postanawiam nie puszczać pary z ust. Nie może poznać prawdy. Nad tacą pospiesznie otrzepuję dłonie z okruszków, nerwowo wypijam łyk herbaty.

— Katniss, wszystko w porządku? — niepokoi się.

— W jak najlepszym — uspokojam ją pogodnym tonem. — Nigdy nie puszczają tego w telewizji, ale przed tournée prezydent zawsze odwiedza zwycięzców, żeby życzyć im szczęścia.

Na jej twarzy odmalowuje się ulga.

— Ach, tak. Byłam pewna, że wpadłyśmy po uszy w kłopoty.

— Skąd. Kłopoty zaczną się wtedy, gdy moja ekipa przygotowawcza zobaczy, jak mi brwi odrosły. — Mama się śmieje, a ja myślę o tym, że odkąd po jedenastym roku życia zaczęłam opiekować się rodziną, nie mam już odwrotu. Zawsze będę musiała troszczyć się o mamę.

— Może naleję ci wody do kąpieli? — pyta mama.

— Świetnie — mówię i widzę, że jest zadowolona z mojej odpowiedzi.

Od powrotu do domu intensywnie próbuję naprawić nasze relacje. Proszę mamę, żeby zrobiła dla mnie to czy tamto i nie ignoruję jej propozycji pomocy, jak to ze złości robiłam przez całe lata. Pozwalam jej dysponować wszystkimi pieniędzmi, które wygrałam, odwzajemniam uściski, a nie tylko je znoszę. Dzięki pobytowi na arenie uświadomiłam sobie, że muszę przestać karać mamę za coś, z czym nie potrafiła się uporać, czyli za obezwładniającą depresję po śmierci męża. Ludziom zdarza się znaleźć w sytuacjach, z którymi nie umieją sobie poradzić, bo nie są odpowiednio przygotowani. Tak jak na przykład ja teraz, właśnie w tej chwili. Poza tym mama zrobiła coś absolutnie fantastycznego, kiedy wróciłam do dystryktu. Po tym, jak bliscy i przyjaciele powitali Peetę i mnie na stacji kolejowej, dziennikarze zadali nam kilka pytań. Któryś z nich spytał mamę, co sądzi o moim nowym chłopaku, a ona odpowiedziała, że Peeta to idealny młody człowiek, ale ja jestem jeszcze za młoda na chłopaka. Po tych słowach posłała Peecie tak wymowne spojrzenie, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Dziennikarze komentowali to w stylu: „Ktoś tu będzie miał kłopoty”, a Peeta puścił moją rękę i odsunął się ode mnie. Ta sytuacja nie trwała długo, bo presja, byśmy zachowywali się, jak na narzeczonych przystało, była zbyt silna, zyskaliśmy jednak pretekst, żeby odnosić się do siebie z nieco większym dystansem niż w Kapitolu. Niewykluczone, że dzięki temu

łatwiej mi będzie wyjaśnić, dlaczego tak rzadko spotykałam się z Peetą po wyjeździe ekip telewizyjnych.

Idę na górę, do łazienki, gdzie czeka na mnie parująca wanna. Mama wrzuciła do wody woreczek z suszonymi kwiatami, ich aromat unosi się w powietrzu. Nie jesteśmy przyzwyczajone do takiego luksusu: wystarczy, że odkręcimy kurek, a z kranu płynie tyle gorącej wody, ile sobie zażyczymy. Na Złożysku miałyśmy do dyspozycji tylko zimną, więc przed kąpielą trzeba było ją podgrzewać na ogniu. Rozbieram się, zanurzam w jedwabistym płynie — mama dodatkowo wlała jakiś olejek — i zastanawiam się, co dalej.

Przede wszystkim muszę zdecydować, komu o tym powiedzieć. Na pewno nie mamie ani nie Prim, rzecz jasna, tylko pochorowałyby się ze zmartwienia. Także Gale nie wchodzi w grę, bo nawet jeśli zdołałabym mu jakoś przekazać, co się dzieje, to co miałby zrobić z tą wiedzą? Gdyby był sierotą, pewnie namówiłabym go do ucieczki, bez wątpienia poradziłby sobie w lesie. Nie jest jednak sam, ma rodzinę, której za nic nie porzuci, mnie zresztą też nie. Po powrocie do domu będę musiała mu jakoś wyjaśnić, dlaczego nasze niedziele należą już do przeszłości, ale teraz nie chcę o tym myśleć, muszę się skupić na zaplanowaniu następnego posunięcia. Zresztą Gale jest frustrowany i wściekły na Kapitol, i czasami zachowuje się tak, jakby sam zamierzał wzniecić powstanie. Nie chcę dawać mu pretekstu. Nie, nie mogę powiedzieć tego żadnej z osób, które zostawiam w Dwunastym Dystrykcie.

Mogę jednak zaufać jeszcze trzem osobom, przede wszystkim Cinnie, mojemu stylisty. Podejrzewam jednak, że i tak grozi mu niebezpieczeństwo, a nie chcę dodatkowo pakować go w kłopoty. Druga osoba to Peeta, mój partner w oszustwie. Tylko niby jak miałabym zacząć rozmowę? „Hej, Peeta, pamiętasz, jak powiedziałam ci, że udaję miłość do ciebie? Teraz koniecznie musisz o tym zapomnieć i udawać niesamowicie zakochanego we mnie. Jeżeli tego nie zrobisz, prezydent zabije Gale'a". Nie dam rady, a poza tym Peeta postąpi, jak należy bez względu na to, czy powiem mu, o jaką stawkę gramy. Pozostaje tylko Haymitch, pijany, niezrównoważony, agresywny Haymitch, któremu właśnie wylałam miszkę lodowatej wody na głowę. Jako mój mentor w igrzyskach miał obowiązek utrzymać mnie przy życiu. Liczę na to, że nadal jest w stanie podołać temu zadaniu.

Osuwam się do wody, żeby nie słyszeć żadnych dźwięków. Szkoda, że wanna się nie rozciągnie i nie popływam w niej jak w upalne, letnie niedziele w lesie, z tatą. Tamte dni były zupełnie wyjątkowe. Wyruszyliśmy o świcie i wędrowaliśmy bardzo daleko w głąb lasu, do małego jeziora, na które tata natrafił podczas jednego z polowań. Nawet nie pamiętam, jak nauczyłam się pływać. Byłam zupełnie mała, kiedy tata mnie uczył. Przypominam sobie nurkowanie, fikołki, pływanie pieskiem. Palcami stóp wyczuwałam muliste dno, wdychałam woń kwiatów i ziół. Leżałam na wodzie, tak jak teraz, wpatrzona w błękitne niebo. Nie docierał do mnie szmer lasu. Tata wkładał do torby wodne ptactwo, które gniazdowało przy brzegu, a ja szukałam jaj w trawie. Oboje wykopywaliśmy na płyciźnie korzenie strzałki wodnej. Moje imię pochodzi od jednej z nazw tej rośliny. Kiedy wieczorem wracaliśmy do domu, mama udawała, że mnie nie poznaje, bo jestem taka czysta. Potem gotowała niesamowitą kolację z pieczoną kaczka i bulwami strzałki wodnej w mięsny sosie.

Nigdy nie zaprowadziłam Gale'a nad jezioro, choć mogłam. Dotarcie tam zajmuje mnóstwo czasu, lecz wodne ptactwo to wyjątkowo łatwy łup, można błyskawicznie uzupełnić zapasy. Tak naprawdę nie chciałam dzielić się tym miejscem z nikim, gdyż należało tylko do mnie i do taty. Od zakończenia igrzysk miałam niewiele do roboty, więc parę razy zapuściłam się w tamte okolice. Pływanie nadal sprawiało mi przyjemność, lecz ogólnie te wyprawy mnie przygnębiały, gdyż nie mogłam nie zauważyć, że od pięciu lat jezioro prawie wcale się nie zmieniło, a ja jestem zupełnie innym człowiekiem niż wtedy.

Nawet pod wodą słyszę odgłosy zamieszania. Trąbią samochody, ludzie witają się hałaśliwie, trzaskają drzwiami. To może oznaczać tylko jedno: zjawiła się moja ekipa przygotowawcza. Najwyższy czas, żebym wytarła się ręcznikiem i włożyła szlafrok, zanim cała trójka

wtargnie do łazienki. Nie mam co marzyć o prywatności, sprawy związane z moim ciałem nie są dla nich żadną tajemnicą.

— Katniss, twoje brwi! — piszczy Venia od progu i choć zebrały się nade mną czarne chmury, z trudem tłumię śmiech. Niebieskie włosy ma wystylizowane na ostre kolce sterczące na wszystkie strony, a złote tatuaże, dotąd umiejscowione nad brwiami, teraz przesunęły się pod oczy, i Venia wygląda tak, jakbym rzeczywiście niewiarygodnie ją zaszokowała.

Przychodzi Octavia i krzepiąco klepie ją po plecach. Na tle chudej, kościstej Venii jej pulchne ciało wydaje się jeszcze obfitsze niż zazwyczaj.

— No, już dobrze — mówi łagodnie. — Poprawisz to w parę sekund. Pytanie, co ja pocznę z tymi paznokciami? — Chwyta mnie za rękę i przytrzymuje ją w swoich groszkowozielonych dłoniach. Nie, to już nie jest zieleń w odcieniu groszku, kojarzy się raczej z jasnymi, zimozielonymi roślinami. Zmiana barwy bez wątplenia świadczy o chęci wyprzedzenia kapryśnych trendów kapitolńskiej mody. — Rety, Katniss, trzeba było zostawić mi coś, na czym mogłabym pracować! — jęczy.

Fakt, przez ostatnie dwa miesiące ogryzłam paznokcie prawie do żywego mięsa. Chciałam zerwać z tym nawykiem, ale jakoś zabrakło mi motywacji.

— Przepraszam — mamroczę. Nie poświęciłam zbyt wiele czasu rozmyślaniom o tym, jak moje przyzwyczajenia wpłyną na nastrój ekipy.

Flavius unosi kilka kosmyków moich mokrych, zlepionych w strąki włosów. Z dezaprobatą kręci głową, a pomarańczowe, gęste loki podskakują wokół jego twarzy.

— Czy ktoś majstrował przy twoich włosach od naszego ostatniego spotkania? — pyta surowo. — Przypominam, że szczególnie zależało nam na tym, aby nikt nie ruszał twojej fryzury.

— Tak! — oświadczam zadowolona, że nie całkiem zlekceważyłam zalecenia ekipy. — To znaczy nie, nikt mnie nie strzygł. O tym pamiętałam.

Nieprawda, po prostu ta kwestia ani razu nie wypłynęła. Od powrotu do domu nie robiłam nic z włosami, poza splataniem ich w prosty warkocz.

To ich chyba uspokaja, całują mnie i sadzają na krzesła w sypialni. Jak zwykle trajkoczą bez przerwy, nie zwracając uwagi na to, czy ich słucham. Kiedy Venia koryguje moje brwi, Octavia robi tipsy, a Flavius wmasowuje paskudztwo we włosy, dowiaduję się wszystkiego o Kapitolu. Igrzyska okazały się prawdziwym przebojem, od ich zakończenia nie wydarzyło się nic godnego uwagi, i ludzie z niecierpliwością wyczekują naszego przyjazdu na koniec tournée. Potem Kapitol rozpocznie przygotowania do Poskromienia.

— Nie mogę się doczekać!

— Ale masz szczęście, Katniss!

— W pierwszym roku po zwycięstwie zostaniesz mentorem w obchodach Ćwierćwiecza!

Z podniecenia przekrzykują się nawzajem.

— No, tak — przyznaję neutralnym tonem. Na więcej mnie nie stać.

Nawet w zwykłym roku obowiązki mentora trybutów to koszmar senny Teraz nie potrafię przejść spokojnie obok szkoły bez zastanawiania się, którego dzieciaka będę musiała szkolić. Co gorsza, w tym roku przypada siedemdziesiąta piąta rocznica pierwszych Głodowych Igrzysk, a to oznacza, że będziemy obchodzili także Ćwierćwiecze Poskromienia. Odbywa się ono co dwadzieścia pięć lat i przypomina o okrągłej rocznicy klęski dystryktów. W uroczystościach uczestniczą najwyższe władze, dodatkową atrakcją jest turniej Bogu ducha winnych trybutów. Jestem za młoda, aby pamiętać wcześniejsze Ćwierćwiecza, to oczywiste, ale w szkole słyszałam, że przy okazji drugiego dwudziestopięciolecia Kapitol dwukrotnie zwiększył liczebność trybutów na arenie. Nauczyciele nie zagłębiali się w szczegóły, co było dziwne, bo właśnie wtedy triumfy święcił Haymitch Abernathy z Dwunastego Dystryktu.

— Lepiej niech Haymitch zacznie się już oswajać z myślą, że znajdzie się w centrum uwagi — piszczy Octavia.

Haymitch nigdy nie podzielił się ze mną wrażeniami z areny, a ja nigdy o to nie pytałam. Nawet jeśli kiedyś oglądałam w telewizji powtórki jego występu, byłam za mała, żeby cokolwiek zapamiętać. W tym roku Kapitol nie pozwoli mu zapomnieć o występie. Do pewnego stopnia jestem zadowolona, że wraz z Peetą obejmę funkcję mentora, bo z Haymitcha na pewno nie będzie pożytku.

Kiedy moja ekipa wyczerpuje temat Ćwierćwiecza Poskromienia, zaczyna opowiadać o swoim niewyobrażalnie pustym życiu. Powtarzają, kto co powiedział o kimś, kogo imienia nigdy nie słyszałam, i jakie buty właśnie kupili, a Octavia raczy nas przydługą opowieścią o tym, jakim błędem było nakazanie gościom włożenia piór na imprezę urodzinową.

Wkrótce brwi mnie pieką, mam gładkie i jedwabiste włosy gotowe do polakierowania sztuczne paznokcie. Jak rozumiem, ekipa otrzymała polecenie przygotowania wyłącznie moich dłoni i twarzy. Z palety kolorów dobranych przez Cinnę wnioskuję, że mam wyglądać dziewczęco, a nie seksownie. To dobrze. Nikogo nie udałoby mi się przekonać, gdybym zachowywała się prowokująco, co już wyjaśnił mi Haymitch podczas wywiadu przed igrzyskami.

Wchodzi mama, trochę nieśmiało, i mówi, że Cinna prosił ją o zademonstrowanie ekipie, jak mnie uczesała w dniu dożynek. Reagują entuzjastycznie i w całkowitym skupieniu patrzą, jak mama przerywa im w połowie proces układania skomplikowanej fryzury z warkoczy. W lustrze widzę ich poważne twarze, z uwagą śledzą każdy jej ruch, a kiedy nadchodzi ich kolej, z ochotą biorą się do dzieła. Cała trójka jest tak pełna szacunku i życzliwa, że robi mi się głupio z powodu wyższości, którą w stosunku do nich odczuwam. Kto wie, kim bym była i o czym bym rozmawiała, gdyby wychowano mnie w Kapitolu? Może moim największym zmartwieniem również byłyby pierzaste kostiumy na przyjęciu urodzinowym.

Gdy fryzura jest gotowa, schodzę na parter i tam w salonie znajduję Cinnę. Od razu odżywa we mnie nadzieja. Cinna wygląda tak jak zawsze, ma skromny strój, krótkie, brązowe włosy, dyskretną, złotą kreskę na powiekach. Obejmujemy się i z trudem powstrzymuję się od opowiedzenia mu o wizycie prezydenta Snowa. Przypominam sobie, że postanowiłam najpierw poinformować Haymitcha, będzie najlepiej wiedział, z kim o tym porozmawiać.

Dobrze gawędzi mi się z Cinną. Ostatnio sporo rozmawialiśmy przez telefon, który otrzymałyśmy razem z domem. To trochę bez sensu, bo nie znamy prawie nikogo, kto miałby telefon. Peeta ma, ale do niego nie dzwonię, rzecz jasna, a Haymitch już przed laty wyrwał gniazdko swojego ze ściany. Moja przyjaciółka Madge, córka burmistrza, ma w domu telefon, ale jeśli chcemy pogadać, po prostu się spotykamy. Z początku aparat pokrywał się kurzem, ale potem zaczął dzwonić do mnie Cinna, żeby popracować nad moim talentem.

Każdy zwycięzca musi dysponować jakąś szczególną umiejętnością. Talent to zajęcie, na którym mam się skupić, ponieważ nie muszę pracować w szkole ani w branży przemysłu typowej dla dystryktu. Mogłam sobie wybrać cokolwiek, o czym warto by opowiadać podczas wywiadów. Jak się okazało, Peeta ma talent do malowania. Od lat pracował w rodzinnej piekarni przy dekoracji tortów i ciastek, a teraz, gdy jest bogaty, stać go na kupno prawdziwych farb i rozsmarowywanie ich po płótnie. Jeśli o mnie chodzi, nie mam żadnego talentu, jeśli nie liczyć smykałki do kłusownictwa, ale nielegalne zamiłowania się nie liczą. Potrafię jeszcze śpiewać, za żadne skarby jednak nie zaśpiewałabym dla Kapitolu. Mama usiłowała mnie zainteresować różnymi hobby z listy przysłanej przez Effie Trinket. Namawiała mnie do gotowania, bukieciarstwa, gry na flecie, ale nic mi nie przypadło do gustu, choć Prim dobrze sobie radzi z tym wszystkim. Ostatecznie wtrącił się Cinna i zaproponował mi pomoc przy rozwijaniu pasji do projektowania ubrań, nad którą rzeczywiście należało popracować, gdyż jej we mnie nie było. Zgodziłam się, bo dzięki temu mogłam często kontaktować się z Cinną, a on obiecał, że wszystko zrobi za mnie.

Teraz jest zajęty rozstawianiem rzeczy po całym salonie — układa ubrania, materiały oraz szkicowniki z projektami. Sięgam po jeden z brulionów i uważnie oglądam sukienkę, którą rzekomo zaprojektowałam.

— Wiesz, wydaje mi się, że nieźle rokuję — zauważam.

— Ubieraj się, ty beztalencie — odpowiada i ciska we mnie zawiniątkiem z odzieżą.

Kompletnie nie interesuje mnie projektowanie, ale uwielbiam ubrania z pracowni Ciny. Takie jak te miękkie, czarne spodnie z grubego i ciepłego materiału, wygodna, biała koszula, sweter z zielonej, niebieskiej i szarej wełny, wyjątkowo miękkiej, oraz sznurowane buty ze skóry, które nie uciskają mi palców.

— Ja zaprojektowałam swój strój? — pytam.

— Nie, ale gorąco pragniesz projektować własne kostiumy i być taka jak ja, twój autorytet w kwestii mody. — Podaje mi nieduży plik kart. — Przeczytasz to głośno zza kadru, kiedy kamerzysta zrobi zbliżenie na strój. Postaraj się mówić z przekonaniem.

W tej samej chwili zjawia się Effie Trinket w dyniowopomarańczowej peruce.

— Pracujemy zgodnie z planem! — przypomina wszystkim i całuje mnie w oba policzki, jednocześnie przywołując machnięciem ręki ekipę telewizyjną. Potem nakazuje mi zająć miejsce. Tylko za sprawą Effie nigdzie się nie spóźnialiśmy w Kapitolu, więc usiłuję posłusznie wykonywać polecenia. Skaczę z kąta w kąt jak marionetka, podnoszę ubrania i wygłaszam puste frazesy, takie jak: „Ależ to śliczne, prawda?” Dźwiękowcy nagrywają, jak dziarsko odczytuję zapiski z kart, później wmontują mój głos do filmu. Na koniec zostaję wyrzucona z pokoju, żeby kamerzysta mógł spokojnie zarejestrować projekty Ciny jako moje.

Z okazji przybycia ekipy Prim wcześniej wróciła ze szkoły, a teraz stoi w kuchni i udziela wywiadu komuś z innej ekipy. Wygląda uroczo w błękitnej sukience, która pięknie podkreśla kolor jej oczu, jasne włosy związała w koński ogon wstążką do kompletu. Pochyliła się lekko do przodu, opiera na czubkach lśniących, białych butów, zupełnie jakby zamierzała odlecieć...

Gruch! Czuję się tak, jakby ktoś rąbnął mnie w pierś. Rzecz jasna, nikt mi nic nie zrobił, ale ból jest tak realny, że aż się cofam. Zaciskam powieki i nie widzę Prim, tylko Rue, dwunastolatkę z Jedenastego Dystryktu, moją sojuszniczkę z areny. Potrafiła fruwać z drzewa na drzewo niczym ptak, chwyciła się nawet najcieńszych gałęzi. Rue, której nie uratowałam, której pozwoliłam umrzeć. Przypominam sobie, jak leżała na ziemi, z włócznią w brzuchu... Kogo jeszcze nie uda mi się uchronić przed mściwością Kapitolu? Kto jeszcze zginie, jeśli nie spełnię oczekiwań prezydenta Snowa?

Uświadamiam sobie, że Cinna usiłuje narzucić mi płaszcz na ramiona, więc podnoszę rękę. Wyczuwam futro po zewnętrznej i wewnętrznej stronie otulającego mnie palta. Nie należało do żadnego znanego mi zwierzęcia.

— Gronostaje — wyjaśnia, gdy głaszczę biały rękaw, skórzane rękawiczki, jaskrawoczerwony szalik. Coś puszystego zaślania mi uszy. — Dzięki tobie nauszники wracają do łask.

Dochodzę do wniosku, że nie cierpię nauszników. Mało co przez nie słyszę, a ponieważ podczas wybuchu w trakcie igrzysk ogłuchłam na jedno ucho, nienawidzę ich jeszcze bardziej. Gdy zwyciężyłam, wyleczono mnie w Kapitolu, ale nadal nie znam w pełni możliwości uszkodzonego ucha.

Mama podchodzi do mnie pospiesznie z jakimś przedmiotem w dłoni.

— To na szczęście — oznajmia.

Wręcza mi broszkę, którą dostałam od Madge przed wyjazdem na igrzyska, frunącego kosogłosa w złotej obręczy. Próbowałam dać go Rue, ale nie chciała przyjąć podarunku, twierdziła, że właśnie ze względu na tę broszkę postanowiła mi zaufać. Cinna wpina kosogłosa w węzeł szalika.

Effie Trinket jest tuż obok, klaszcze.

— Proszę o uwagę! — woła. — Przystępujemy do pierwszych zdjęć na dworze. Zwycięzcy witają się na początku fantastycznej podróży. No dobrze, Katniss, szeroki uśmiech, nie możesz się doczekać, jasne?

Dosłownie wypycha mnie za drzwi. Przez chwilę niewiele widzę, bo śnieg rozpadał się na dobre. W końcu dostrzegam Peetę, wychodzi za próg swojego domu. Wciąż powtarzam w myślach polecenia prezydenta Snowa. „Postaraj się mnie przekonać”, powiedział. Wiem, że nie mam wyjścia.

Uśmiecham się od ucha do ucha i ruszam w kierunku Peety. Po paru sekundach przyspieszam i biegnę, jakbym nie mogła się doczekać spotkania. Chwyta mnie, podnosi i oboje wirujemy, aż nagle Peeta traci równowagę. Widać jeszcze nie całkiem się przyzwyczył do protezy. Łądujemy w zaspie, leżę na nim i całujemy się po raz pierwszy od miesiąca. Czuję na ustach futro, płatki śniegu i smak szminki, a pod tym wszystkim niezłomność, tak typową dla Peety, i już wiem, że nie jestem sama.

Zraniłam go do głębi, ale nie zdemaskuje mnie przed kamerami, nie zniszczy pocałunkiem bez przekonania. Nadal zależy mu na mnie, tak jak podczas igrzysk. Sama nie wiem, dlaczego na myśl o tym zbiera mi się na płacz. Żeby zapanować nad sobą, pomagam mu wstać, wsuwam pod jego ramię dłoń w rękawiczce i radośnie ciągnę go za sobą.

Przez resztę dnia jestem jak w transie. Na dworcu żegnamy się ze wszystkimi, pociąg odjeżdża. Ekipa w starym składzie — ja i Peeta, Effie i Haymitch, Cinna i Portia, stylistka Peety — zasiada do nieopisanie pysznego posiłku, z którego kompletnie nic nie pamiętam. Potem otulam się piżamą oraz obszernym szlafrokiem, siedzę w komfortowym przedziale i czekam, aż wszyscy zasną. Wiem, że Haymitch jeszcze przez kilka godzin będzie na nogach. Nie lubi spać, kiedy na dworze jest ciemno.

W wagonie zapada cisza, więc wsuwam kaptcie i człapię do jego drzwi. Muszę zastukać kilka razy, zanim otworzy. Krzywi się, jakby był pewien, że przychodzę ze złymi nowinami.

— Czego chcesz? — burczy. Niemal tracę równowagę, bo nagle otacza mnie chmura oparów wina.

— Muszę z panem porozmawiać — szepczę.

— Teraz? — dziwi się. — Obyś miała solidny powód. — Czeka, ale jestem pewna, że w kapitolieńskim pociągu nagrywają każde nasze słowo. — No więc? — warczy.

Pociąg zaczyna hamować, a ja myślę przez sekundę, że prezydent Snow mnie obserwuje i nie podoba mu się moja wizyta u Haymitcha, więc postanowił iść za ciosem i mnie zabić. W rzeczywistości zatrzymujemy się tylko po to, by nabrać paliwa.

— W pociągu jest strasznie duszno — skarżę się. Rzucam to mimochodem, ale Haymitch mruży oczy ze zrozumieniem.

— Wiem, czego ci trzeba. — Przepycha się obok mnie i wychodzi na korytarz. Potem kieruje się do drzwi, otwiera je z wysiłkiem, a wtedy owiewa nas chmura śniegu. Haymitch skacze na ziemię. Kapitolińska hostessa rusza mu na pomoc, ale odprawiają dobrotliwym machnięciem ręki i odchodzi chwiejnym krokiem.

— Potrzebuję świeżego powietrza — wyjaśnia. — Za moment wracam.

— Przepraszam, jest pijany — tłumaczę ze skruczą w głosie. — Sama go przyprowadzę.

Podskakuję za nim, niepewnie, a moje kaptcie nasiąkają śniegiem, gdy Haymitch prowadzi mnie za ostatni wagon, gdzie na pewno nikt nas nie podsłucha. Potem odwraca się i patrzy na mnie.

— Mów.

Opowiadam mu wszystko, o odwiedzinach prezydenta, o Gale'u i o tym, że wszyscy umrzemy, jeśli nie podołam zadaniu. Haymitch poważnieje. Jego twarz wydaje się starsza w świetle czerwonych tylnych lamp pociągu.

— Wobec tego musisz podołać.

— Zależałoby mi, żeby pomógł mi pan jakoś dotrzeć do końca tego wyjazdu...

— Nie, Katniss, nie chodzi tylko o wyjazd — przerywa mi.

— Jak to? — pytam.

— Nawet jeśli tym razem ci się uda, i tak wrócą za kilka miesięcy, żeby zabrać nas wszystkich na igrzyska. Odtąd co roku ty i Peeta będziecie mentorami. Co roku będą przypominali o waszym romansie i omawiali na wizji szczegóły waszego prywatnego życia i nigdy, przenigdy nie będziesz mogła zrezygnować z długiego i szczęśliwego życia u boku tego chłopa.

Dociera do mnie sens słów Haymitcha. Nigdy nie związę się z Galem, nawet gdybym bardzo chciała. Nigdy nie będę mogła żyć sama. Zawsze będę musiała kochać Peetę, już Kapitol tego dopilnuje. Pewnie jeszcze mam przed sobą parę lat spokoju, szesnastolatce pozwolą nadal mieszkać z mamą i siostrą, ale potem... potem...

— Rozumiesz, w czym rzecz? — naciska Haymitch.

Kiwam głową. Teraz wiem, jaka przyszłość mnie czeka, jeśli chcę utrzymać przy życiu siebie i tych, których kocham. Muszę wyjść za Peetę.

W milczeniu snujemy się z powrotem do wagonu. Na korytarzu przed drzwiami do mojego przedziału Haymitch klepie mnie po ramieniu i mówi:

— Wiesz, mogło być znacznie gorzej. — Odwraca się i idzie do siebie, a wraz z nim znika też smród wina.

W przedziale zsuwam przemoczone kapcie i wilgotny szlafrok oraz piżamę. W szufladach leżą czyste ubrania, ale wpełzam do łóżka w samej bieliźnie. Leżę zapatrzona w mrok i rozmyślam o rozmowie z Haymitchem. Wszystko, co powiedział o oczekiwaniach Kapitolu, o mojej przyszłości u boku Peety, nawet ten ostatni komentarz, to prawda. Pewnie, że mógł mi się przytrafić ktoś znacznie gorszy niż Peeta, ale nie o to chodzi, prawda? Jedną z nielicznych swobód, którymi możemy się cieszyć w Dwunastym Dystrykcie, jest prawo ślubu z tym, z kim chcemy się związać, i prawo do stanu wolnego. Teraz nawet to mi odebrano. Zastanawiam się, czy prezydent Snow zacznie nalegać, żebyśmy sprawili sobie dzieci. Jeżeli zdecydujemy się na nie, co roku będą uczestniczyły w dożynkach. To dopiero byłoby widowisko: dziecko niejednego, lecz dwojga zwycięzców wylosowane do igrzysk! Potomstwo triumfatorów trafiało już na arenę, co zawsze budziło podniecenie i emocje tłumu. Generalnie uważa się, że taka rodzina ma pecha, ale to się powtarza zbyt często, żeby można mówić o pechu. Gale nie wątpi, że Kapitol robi to celowo, manipuluje losowaniem dla zwiększenia dramaturgii. Zważywszy na to, ile kłopotów narobiłam, moje ewentualne dzieci mają zagwarantowany udział w Głodowych Igrzyskach.

Rozmyślam o Haymitchu, samotniku bez rodziny, który alkoholem oddziela się od reszty świata. Mógł się związać właściwie z każdą kobietą w dystrykcie, a tymczasem wybrał samotność, a raczej przymusowe odosobnienie. Samotność kojarzy się ze spokojem, nie z izolacją. Czy zdecydował się na taki los dlatego, że po pobycie na arenie uznał go za lepszy od alternatywy? Miałam przedsmak tej sytuacji, kiedy w dniu dożynek wylosowano Prim i patrzyłam, jak idzie ku scenie na spotkanie ze śmiercią. Jako siostra mogłam zająć jej miejsce, mamie ten przywilej nie przysługiwał.

W panice poszukuję rozwiązania. Nie dopuszczę do tego, żeby prezydent Snow skazał mnie na taki los, nawet jeśli będę musiała zapłacić za to życiem. Zanim mnie zabiją, spróbuję uciec. Co zrobią, jeśli po prostu zniknę? Przecież mogę zaszyć się w lesie i nigdy go nie opuścić. Czy udałoby mi się wyprowadzić z dystryktu wszystkich, których kocham, i wraz z nimi rozpocząć nowe życie daleko w dziczy? Bardzo mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

Potrząsam głową, żeby oczyścić umysł. To nie pora na szykowanie planów wielkiej ucieczki, muszę skupić uwagę na Tournee Zwycięzców. Los zbyt wielu ludzi zależy od tego, jak uda się mój występ.

Świt nadchodzi szybciej niż sen i wkrótce Effie łomocze do drzwi. Wkładam pierwsze lepsze ubranie z szuflady i wlokę się do wagonu restauracyjnego. Nie wiem, jakie ma znaczenie, o której wstaję, skoro jesteśmy w podróży, okazuje się jednak, że wczorajsza zmiana wizerunku była przeznaczona wyłącznie na drogę do pociągu. Dzisiaj moja ekipa przygotowawcza da z siebie wszystko.

— Ale po co? I tak jest za zimno, żeby cokolwiek pokazywać — gderam.

— Nie w Jedenastym Dystrykcie — zapewnia mnie Effie.

Jedenasty Dystrykt, nasz pierwszy przystanek i dystrykt Rue. Wołałabym zacząć od innego, wszystko jedno którego, ale Tournee Zwycięzców przebiega według wytycznych. Początek trasy zwykle wypada w Dwunastce, a potem triumfatorzy objeżdżają kolejne dystrykty w malejącej kolejności, aż do Jedyńki i Kapitolu. Dystrykt zwycięzców pozostawiają na sam koniec. Organizatorzy zwykle chcą nas mieć jak najszybciej z głowy, ponieważ impreza w Dwunastce jest bardzo skromna i zwykle ogranicza się do uroczystej kolacji na cześć gości oraz do wiecu zwycięstwa, podczas którego zebrani na placu ludzie stoją ponuro, bez cienia radości na twarzy. W tym roku, po raz pierwszy od triumfu Haymitcha, Dwunastka będzie ostatnim etapem trasy, a Kapitol zapłaci za wszystkie atrakcje.

Staram się delektować jedzeniem, jak mi radziła Hazelle. Personel kuchenny niewątpliwie usiłuje mnie uszczęśliwić, bo na stole zjawia się moja ulubiona potrawka z jagnięciny z suszonymi śliwkami i mnóstwo innych smakołyków, a przy moim nakryciu czeka sok pomarańczowy oraz filiżanka gorącej czekolady. Jem, ile wlezie, i choć posiłek jest bez zarzutu, nie potrafię się nim delektować. Irytuje mnie także, że nie zjawił się nikt poza Effie i mną.

— Gdzie wszyscy? — pytam.

— Któż to wie, gdzie się podziewa Haymitch — odpowiada Effie.

Akurat jego się nie spodziewałam, pewnie właśnie szykuje się do snu.

— Cinna do późna w nocy porządkował twój wagon garderobiany — ciągnie Effie. — Ma chyba ponad setkę strojów dla ciebie, wieczorowe są naprawdę niezwykle. Ekipa Peety pewnie jeszcze śpi.

— Jego nie trzeba przygotowywać? — dziwię się.

— Nie tak jak ciebie — odpowiada.

Co to znaczy? Nic ponad to, że przez cały ranek będę miała wrywane włosy z ciała, podczas gdy Peeta spędzi ten czas w łóżku. Nie zastanawiałam się nad tym, ale na arenie przynajmniej część chłopców zachowała owłosienie na ciele, a wszystkie dziewczyny poddały gruntownej depilacji. Przypominam sobie, jak kąpałam Peetę nad strumieniem i w słonecznym świetle spod warstwy błota i krwi wychyliły się bardzo jasne włosy, tylko twarz pozostała idealnie gładka. Ani jednemu chłopakowi nie wyrosła broda, choć wielu powinno już mieć zarost. Ciekawe, co organizatorzy im zrobili.

Czuję się beznadziejnie, ale moja ekipa jest chyba w jeszcze gorszej kondycji. Pośpiesznie piją kawę i dzielą się kolorowymi pastylkami. O ile mi wiadomo, nigdy nie wstają przed południem, chyba że w grę wchodzi sprawa wagi państwowej, taka jak moje owłosione nogi. Tak bardzo się cieszyłam, że włosy odrosły, dzięki temu czułam, że wracam do normalności. Głaszczę goleń i oddaję się do dyspozycji członkom ekipy. Jak na nich są naprawdę milczący, więc słyszę trzask każdego włoska wrywanego z mieszka. Muszę zanurzyć się w wannie pełnej gęstego roztworu o nieprzyjemnym zapachu, twarz i włosy mam wysmarowane kremami. Po pierwszej kąpieli czekają mnie jeszcze dwie następne, w innych, mniej paskudnych miksturach. Jestem depilowana, szorowana, masowana i namaszczana, aż w końcu czuję się tak, jakby zdarto mi skórę.

Flavius chwyta mnie palcami za brodę.

— Szkoda, że Cinna nie pozwala cię modyfikować — wzdycha z żalem.

— Właśnie — wtóruje mu Octavia. — Zrobilibyśmy z ciebie absolutnie wyjątkową dziewczynę.

— Będzie musiał się zgodzić, kiedy przybędzie jej lat — podsumowuje Venia niemal ponuro.

Na co? Na rozcięcie mi ust, jak prezydentowi Snowowi? Na wytatuowanie piersi? Ufarbowanie skóry na purpurowy róż i implantowanie w nią kamieni szlachetnych? Na ozdobne wzory na mojej twarzy? Zakrzywione szpony albo kocie wąsiki? Wszystko to i jeszcze więcej widziałam u mieszkańców Kapitolu. Czy naprawdę nie mają pojęcia, że w oczach reszty z nas wyglądają jak dziwolągi?

Myśl, że mogłabym paść ofiarą tych pseudoupiększających szaleństw ekipy, dokłada się do innych nieszczęść pochłaniających moją uwagę: sponiewieranego ciała, braku snu, małżeństwa z przymusu i strachu wynikłego z niemożności spełnienia żądań prezydenta Snowa. Na lunchu, który Effie, Cinna, Portia, Haymitch i Peeta rozpoczęli beze mnie, jestem zbyt przybita, żeby rozmawiać. Zachwycają się jedzeniem i tym, jak dobrze się sypia w pociągach. Wszyscy są podekscytowani tournée, może z wyjątkiem Haymitcha, który cierpi z powodu kaca i bez przekonania skubie babeczkę. Mnie też apetyt nie dopisuje, bo objadłam się ciężkostrawnymi potrawami na śniadanie, a może dlatego, że jestem nieszczęśliwa. Mieszam rosół w misce, ale zjadam tylko łyżkę lub dwie. Nie mogę patrzeć na Peetę, wyznaczonego mi na męża, choć wiem, że przecież w niczym nie zawinił.

Inni zauważają, że coś jest nie tak, usiłują wciągnąć mnie do rozmowy, ale ich zbywam. W pewnej chwili pociąg się zatrzymuje, a kelner wyjaśnia nam, że to nie będzie postój na nabranie paliwa, tylko nastąpiła awaria jakiejś części, którą teraz trzeba wymienić, co potrwa dobrą godzinę. Effie momentalnie zaczyna się denerwować, wyciąga rozpiskę i rozważa, jaki wpływ będzie miało to opóźnienie na wszystko, co nas spotka do końca życia. Mam tego dosyć, już nie jestem w stanie jej słuchać.

— Effie, to nikogo nie obchodzi! — pryham. Wszyscy przy stole kierują na mnie wzrok, nawet Haymitch, a przecież powinien mnie poprzeć, bo Effie jego też doprowadza do szału. Zostaję zepchnięta do defensywy. — Naprawdę — dodaję, zrywam się z miejsca i opuszczam wagon restauracyjny.

W pociągu nagle jest mi za duszno, mam mdłości. Odszukuję drzwi wyjściowe, szarpnięc za nie, uruchamiam jakiś alarm, który ignoruję, i skaczę na ziemię. Nie ląduję w zaspie, jak się spodziewałam, lecz owiewa mnie ciepłe, kojące powietrze. Drzewa są nadal obsypane zielonymi liśćmi. Jak daleko na południe zajechaliśmy przez jeden dzień? Idę wzdłuż torów, mrużę oczy, oślepiona jaskrawym światłem słońca, i już zaczynam żałować tego, co powiedziałam do Effie. Trudno ją winić za moją obecną sytuację. Powinnam wrócić i ją przeprosić. Swoim wybuchem wspięłam się na wyżyny złych manier, a przecież Effie przykłada do nich wyjątkową wagę. Nogi jednak niosą mnie wzdłuż toru, docieram do końca pociągu, zostawiam go za plecami. Godzinne opóźnienie. Mogę iść przez co najmniej dwadzieścia minut w jedną stronę, wrócić i jeszcze zostanie mi mnóstwo czasu. Pokonuję jednak zaledwie dwieście metrów, osuwam się na ziemię i siedzę, zapatrzona w dal. Czy poszłabym dalej, gdybym miała przy sobie łuk i strzały?

Po chwili słyszę za sobą odgłos kroków. To na pewno Haymitch, przyszedł mnie upomnieć. Nie twierdzę, że nie zasłużyłam, po prostu nie chce mi się wysłuchiwać przykrych słów.

— Nie jestem w nastroju na wykłady. — Odgarniam nogą kępę zielska.

— Będę się streszczała. — Peeta siada obok mnie.

— Myślałam, że to Haymitch.

— Nie, jeszcze się zmagam z babeczką. — Patrzę, jak poprawia protezę nogi. — Kiepski dzień, co?

— Nic takiego — bagatelizuję.

Peeta bierze głęboki oddech.

— Katniss, chciałem z tobą porozmawiać o swoim zachowaniu w pociągu, poprzednio, kiedy wracaliśmy do domu. Wiem, że coś cię łączyło z Galem. Byłem o niego zazdrosny, zanim jeszcze oficjalnie cię poznałem, ale zachowałem się nie w porządku. Nie powinienem był oczekiwać, że będziesz traktowała mnie jak podczas igrzysk. Przepraszam.

Przeprosiny mnie zaskakują. Fakt, że Peeta nabrał do mnie dystansu, kiedy wyznałam mu, że na arenie w zasadzie tylko udawałam miłość do niego. Nie mam mu tego za złe. W trakcie igrzysk starałam się jak najbardziej przekonująco rozgrywać wątek miłosny i chwilami naprawdę nie wiedziałam, co czuję do Peety. Szczerze mówiąc, nadal nie wiem.

— Ja też przepraszam. — Właściwie nie jestem pewna, za co. Chyba za to, że być może doprowadzę do jego zguby.

— Nie masz za co przepraszać, w końcu starałaś się nas ocalić. Nie chcę tego tak ciągnąć, nie chcę, żebyśmy ignorowali się na co dzień i tarzali się w śniegu pod okiem kamer. Pomyślałem, że przestanę chować urazę, no i może uda się nam zaprzyjaźnić — proponuje.

Życie wszystkich moich przyjaciół zawisło na włosku, ale moja odmowa nie zapewni Peecie bezpieczeństwa.

— W porządku — zgadzam się. Ta propozycja poprawia mi humor, czuję się mniej obłudna. Szkoda, że nie przyszedł do mnie wcześniej, zanim się dowiedziałam, że prezydent ma wobec nas inne plany i zwykła przyjaźń już nie wchodzi w grę. Tak czy owak, cieszy mnie, że znowu ze sobą rozmawiamy.

— Więc w czym problem? — pyta.

Nie mogę mu powiedzieć. Skubię kępę zielska.

— Zacznijmy od czegoś prostszego. Dziwne: wiem, że ryzykowałaś dla mnie życie, a ja nie mam pojęcia, jaki jest twój ulubiony kolor.

Uśmiecham się półgębkiem.

— Zielony. A twój?

— Pomarańczowy — odpowiada.

— Poważnie? — dziwię się. — Taki jak włosy Effie?

— Nieco bardziej stonowany — precyzuje. — Bardziej w odcieniu... zachodzącego słońca.

Zachód słońca. Natychmiast wyobrażam sobie obrzeże słońca znikającego za horyzontem, widzę niebo przesycone delikatnymi odcieniami pomarańczowej barwy. Piękny widok. Przypominam sobie ciastko z lilią tygrysią i teraz, gdy Peeta znowu ze mną rozmawia, z trudem powstrzymuję się przed opowiedzeniem mu całej historii o prezydencie. Haymitch z pewnością nie chciałby, żebym wspominała o tym zdarzeniu. Wolę ograniczyć się do gadki o niczym.

— Wszyscy ciągle zachwycają się twoimi obrazami — zmieniam temat. — Szkoda, że nigdy ich nie widziałam.

— Zabrałem cały wagon. — Wstaje i wyciąga ku mnie rękę. — Chodź.

Miło jest czuć jego palce ponownie splecione z moimi, i to nie na pokaz, ale ze szczerą sympatią. Wracamy do wagonu ramię w ramię.

— Przede wszystkim muszę przeprosić Effie — przypominam sobie przed drzwiami.

— Podlizuj się, ile wlezie — radzi mi Peeta.

Kiedy wchodzimy do wagonu restauracyjnego, w którym śniadanie trwa w najlepsze, wygłaszam długie i zbyt kwieciste przeprosiny. Zdaniem Effie to pewnie absolutne minimum za pogwałcenie etykiety. Muszę przyznać, że wielkodusznie akceptuje moje słowa i zwała wszystko na karb silnego stresu, który mnie nie opuszcza. Jej uwagi na temat konieczności przestrzegania grafiku przez choćby jedną osobę trwają zaledwie koło pięciu minut. Aż trudno uwierzyć, że tak łatwo się wywinęłam.

Kiedy Effie kończy przemowę, Peeta prowadzi mnie przez kilka wagonów, żeby pokazać mi obrazy. Sama nie wiem, czego się spodziewałam, może większych wersji ciasteczek

z kwiatkami. Moim oczom ukazuje się coś zupełnie nieoczekiwanego. Peeta namalował igrzyska. Dla kogoś, kto nie był z nim na arenie, na pierwszy rzut oka nie byłoby to oczywiste. Woda kapiąca przez szczeliny w naszej jaskini. Dno wyschniętego stawu. Dłonie Peety wygrzebujące korzenie. Inne obrazy wydają się oczywiste dla każdego. Złota konstrukcja, zwana Rogiem Obfitości. Clove zajęta układaniem noży pod kurtką. Jeden ze zmiechów, jaśnowłosa i zielonooki, czyli niewątpliwie Glimmer, warcząc, kieruje się prosto na nas. Na obrazach widzę także siebie, jestem właściwie wszędzie: wysoko na drzewie, trzępię koszulą o kamienie w strumieniu, leżę nieprzytomna w kałuży krwi. Jest jeszcze jeden portret, który trudno mi dopasować do sytuacji.

Chyba tak widział mnie Peeta, kiedy dostał wysokiej gorączki: wyłaniam się ze srebrzystoszarej mgły, która idealnie pasuje do koloru moich oczu.

— Co ty na to? — dopytuje się Peeta.

— Koszmar — odpowiadam. Niemal wyczuwam krew, brud, nienaturalny zapach z ust zmiecha. — Nic innego nie robię, tylko staram się zapomnieć o arenie, a ty przywracasz ją do życia. Jak ci się udało zapamiętać te wszystkie szczegóły?

— Widzę je każdej nocy — wyjaśnia krótko.

Dobrze wiem, co ma na myśli. Koszmary, które i tak miewałam przed igrzyskami, teraz bez przerwy mnie dręczą, rzadko jednak zdarza się, bym widziała w nich ojca rozrywającego na strzępy podczas wybuchu w kopalni. Od zakończenia turnieju ciągle przeżywam go na nowo. Na próżno usiłuję ratować Rue. Peeta wykrwawia się na śmierć. Rozdęte ciało Glimmer rozpada mi się w rękach. Upiorny koniec Catona osaczonego przez mutanty — oto moje najczęstsze sny.

— Ja też — wzdycham. — Malowanie pomaga?

— Sam nie wiem. Chyba trochę mniej się boję zasypiać, a przynajmniej wmawiam to sobie — tłumaczy mi. — Ale wciąż mi się śni.

— Może już zawsze będą, tak jak Haymitchowi. — Haymitch nam tego nie mówił, ale jestem pewna, że właśnie dlatego nie lubi sypiać w ciemnościach.

— Fakt. Ale jeśli o mnie chodzi, wolę się budzić z pędzlem niż z nożem w dłoni. — Spogląda na mnie. — Naprawdę uważasz, że moje prace są koszarne?

— Tak. Ale i niezwykle, poważnie — zapewniam go szczerze, jednak nie chcę już oglądać obrazów. — Masz ochotę zerknąć na moje dzieła? Cinna odwalił kawał dobrej roboty.

— Później — śmieje się Peeta. Pociąg rusza, a ja patrzę przez okno na przesuwający się krajobraz. — Chodź, lada moment dotrzemy do Jedenastego Dystryktu. Rzucimy na niego okiem.

Wędrujemy do ostatniego wagonu, pełnego krzesel i kanap. Najfantastyczniejsze jest jednak to, że tylne okna można wsunąć w sufit, więc wychylamy głowy, by podziwiać rozległe przestrzenie. Na ogromnych polach pasą się stada mlecznych krów, okolica w niczym nie przypomina naszych rodzinnych, gęsto zalesionych stron. Nieznacznie zwalniamy i dochodzę do wniosku, że czeka nas następny postój, lecz przed nami wyrasta ogrodzenie, wysokie na ponad dziesięć metrów i zwieńczone groźnymi pierścieniami drutu kolczastego; przy czymś takim siatka w Dwunastym Dystrykcie wydaje się zupełnie nieszkodliwa. Zerkam na fundament ogrodzenia, wzmocniony potężnymi, metalowymi płytami. Pod nimi nie da się zrobić podkopu, tędy nikt się nie wymknie na polowanie. Potem spoglądam na wieże obserwacyjne, równomiernie rozmieszczone i obsadzone uzbrojonymi strażnikami, którzy ani trochę nie pasują do rozległych, kwiecistych łąk.

— Coś nowego — zauważa Peeta.

Rue dała mi do zrozumienia, że w Jedenastym Dystrykcie surowiej przestrzega się zasad, ale nigdy nie wyobrażałam sobie czegoś takiego. Nadeszła pora zbiorów. Wszędzie jak okiem sięgnąć mężczyźni, kobiety i dzieci w słomkowych kapeluszach prostują się i odwraca-

ją w kierunku pociągu, korzystając z chwili wytchnienia, gdy ich mijamy. W oddali dostrzegam sady i zastanawiam się, czy właśnie tam pracowała Rue, wyznaczona do zbierania owoców z najcieńszych gałęzi na wierzchołkach drzew. To tu, to tam wyrastają małe osiedla opuszczonych chatynek, które w porównaniu z domami w Złożysku wydają się mikroskopijne. Zapewne wszyscy mieszkańcy wyruszyli do pomocy przy zbiorach.

Jedziemy bez końca. Nie mogę uwierzyć, że Jedenasty Dystrykt jest tak ogromny.

— Jak myślisz, ilu ludzi tutaj mieszka? — odzywa się Peeta, a ja kręcę głową. W szkole uczono nas tylko, że to duży dystrykt, i tyle. Nigdzie nie podawano konkretnych danych na temat liczby mieszkańców. Co roku możemy jednak oglądać w telewizji dzieci zebrane przy okazji dożynek. To na pewno tylko część tych, które tutaj żyją. Jak wygląda procedura? Czy są organizowane wstępne losowania? Czy zwycięzców wyznacza się zawczasu i kieruje do udziału w uroczystości? Jak to się stało, że Rue trafiła na scenę i nie znalazł się nikt, kto zechciałby zająć jej miejsce?

Wielka przestrzeń zaczyna mnie męczyć, więc nie protestuję, gdy przychodzi Effie i każe nam się ubierać. Wracam do przedziału i oddaję się w ręce ekipy przygotowawczej, która szykuje mi fryzurę i makijaż. Cinna przynosi ładną pomarańczową sukienkę z tkaniny ze wzorem w jesienne liście. Myślę o tym, że Peecie spodoba się ten kolor.

Effie spotyka się z nami i po raz ostatni omawia program dnia. W niektórych dystryktach zwycięzcy objeżdżają miasto przy wtórze wiwatujących tłumów, w Jedenastce jednak publiczne wystąpienie ogranicza się do placu, może dlatego, że przy tak małej gęstości zaludnienia nie ma tu prawdziwych miast. Niewykluczone też, że podczas zbiorów władze nie chcą odrywać ludzi od pracy. Wystąpimy przed lokalnym Pałacem Sprawiedliwości, dużą budowlą z marmuru, która niegdyś z pewnością zachwycała urodą, lecz czas odcisnął na niej swoje piętno. Nawet w telewizji widać częściowo zapadnięty dach oraz bluszcz porastający sypiącą się fasadę. Plac otaczają wystawy zapuszczonych sklepów, w większości pustych. Tu na pewno nie ma żadnych rezydencji zamożnych mieszkańców Jedenastego Dystryktu.

Cały nasz publiczny występ odbędzie się na wyłożonym kafelkami, przestronnym tarasie, jak to miejsce nazywa Effie, pomiędzy frontowym wejściem a schodami, pod dachem opartym na kolumnach. Peeta i ja zostaniemy oficjalnie przedstawieni, potem burmistrz Jedenastki odczyta przemówienie na naszą cześć, a my zrewanżujemy się podziękowaniami dostarczonymi przez Kapitol. Jeżeli zwycięzca miał sprzymierzeńców w gronie zabitych trybunów, może dodać kilka słów od siebie, gdyż należy to do dobrego tonu. Powinnam napomknąć o Rue, a także o Threshu, ale za każdym razem, gdy próbowałam coś napisać w domu, tylko gapiłam się na pustą kartkę papieru. Trudno wspominać ich bez emocji. Na szczęście Peeta coś przygotował, po wprowadzeniu drobnych zmian może to powiedzieć w imieniu nas obojga. Na koniec ceremonii otrzymamy okolicznościowe tabliczki i przejdziemy do Pałacu Sprawiedliwości na uroczystą kolację.

Pociąg wjeżdża na dworzec, a Cinna wprowadza ostatnie poprawki do mojego stroju. Zmienia pomarańczową wstążkę do włosów na metalizująco złotą, a także przypina mi broszkę z kosogłosem, tę samą, którą nosiłam na arenie. Na peronie brakuje komitetu powitalnego, widzimy tylko oddział ośmiu Strażników Pokoju, którzy kierują nas na tył opancerzonej ciężarówki. Effie posapuje, kiedy drzwi trzaskają za naszymi plecami.

— Coś podobnego. Można by pomyśleć, że jesteśmy bandytami — obrusza się.

Nie chodzi o nas, Effie, myślę. Chodzi tylko o mnie. Pośpiesznie wprowadzają nas tylnym wejściem do Pałacu Sprawiedliwości. Czuję aromat właśnie przyrządzanej, znakomitej kolacji, który jednak nie jest w stanie zagłuszyć smrodu pleśni i zgnilizny. Nie mamy czasu się rozejrzeć. Kiedy ustawiamy się w kolejce do frontowego wyjścia, słyszę pierwsze dźwięki hymnu odgrywanego na placu, ktoś przypina mi mikrofon, Peeta łapie mnie za rękę. Burmistrz zapowiada nasze przybycie i potężne drzwi otwierają się ze skrzypieniem.

— Szeroki uśmiech! — komenderuje Effie i nas szturcha. Posłusznie idziemy przed siebie.

Teraz, myślę. Nadeszła pora, żebym przekonała wszystkich o tym, jak bardzo Kocham Peetę. Uroczystość została zaplanowana do najdrobniejszego szczegółu, więc nie jestem pewna, jak to zrobić. To nie jest odpowiedni moment na pocałunki, lecz mam nadzieję, że uda mi się wcisnąć choć jeden.

Rozbrzmiewają głośne oklaski, ale nie słyszymy innych oznak entuzjazmu, które towarzyszyły nam w Kapitolu, żadnych wiwatów, krzyków ani gwizdów. Idziemy po zadaszonym tarasie, aż w końcu wychodzimy spod dachu i stajemy w intensywnym świetle słońca na szczycie wysokich, marmurowych schodów. Po chwili moje oczy przyzwyczajają się do jasności i widzę, że budynki wokół placu zostały obwieszane wielkimi flagami, które częściowo zakrywają zaniedbane fasady. Na placu tłoczą się widzowie, ale wiem, że to tylko drobna część wszystkich mieszkańców dystryktu.

U podnóża sceny jak zwykle ustawiono specjalny podest dla rodzin zmarłych trybutów. Po stronie Thresha siedzą tylko stara, zgarbiona kobieta oraz wysoka, muskularna dziewczyna. Domyślam się, że to jego siostra. Po stronie Rue... Nie jestem przygotowana na widok jej bliskich. Na twarzach rodziców nadal maluje się świeży ból. Patrząc na piątkę jej młodszego rodzeństwa i zauważam ogromne podobieństwo — wszyscy są smukłej budowy, ich brązowe oczy lśnią. Przypominają stadko małych, ciemnych ptaków.

Brawa cichną i burmistrz wygłasza przemówienie na naszą cześć. Podchodzą dwie dziewczynki z imponującymi bukietami kwiatów, Peeta odczytuje stosowną odpowiedź, a potem dociera do mnie, że machinalnie poruszam ustami, by podsumować wymianę uprzejmości. Na szczęście mama i Prim wyszkoliły mnie tak skutecznie, że potrafiłabym wyrecytować swój tekst nawet obudzona w środku nocy. Peeta napisał kilka słów od siebie na kartce, ale po nią nie sięga. Woli mówić prostym, dobitnym językiem o Threshu i Rue, o tym jak dotarli do finałowej ósemki i jak oboje ocalili mi życie, tym samym ratując życie jemu. Podkreśla, że nigdy w życiu nie uda nam się spłacić tego długu. Na koniec waha się, lecz dodaje coś, czego nie zanotował na kartce — pewnie z obawy przed Effie, która mogłaby mu kazać to wykreślić.

— Nie umiemy w żaden sposób zrekompensować tej straty, ale w dowód wdzięczności pragnęlibyśmy co roku, do końca życia, przekazywać rodzinom obu trybutów miesięczne wynagrodzenie, które otrzymujemy w ramach nagrody za zwycięstwo w Głodowych Igrzyskach.

Zebrani widzowie zachłystują się z wrażenia i szeptem wymieniają uwagi. Deklaracja Peety jest bezprecedensowa, nawet nie wiem, czy prawo zezwala na takie posunięcie. Peeta zapewne również tego nie wie, więc nikogo nie spytał, na wypadek, gdyby propozycja była nielegalna. Zszokowane rodziny tylko wpatrują się w nas w milczeniu. Po śmierci Thresha i Rue ich życie zmieniło się nieodwracalnie, ale ten podarunek ponownie odmieni ich byt. Co miesięczna nagroda dla zwycięskiego trybuta w zupełności wystarcza na roczne utrzymanie rodziny. Dopóki żyjemy, nie zaznają głodu.

Spoglądam na Peetę, uśmiecha się do mnie smutno. W myślach słyszę głos Haymitcha: „Mogło być znacznie gorzej”. W tej chwili uważam, że nie mogłoby być lepiej. Ten prezent jest... niezrównany. Kiedy więc wspinam się na palce, żeby pocałować Peetę, mój gest nie wydaje się ani trochę wymuszony.

Burmistrz podchodzi i wręcza nam po pamiątkowej tabliczce. Są tak duże, że muszę odłożyć bukiet, aby przyjąć swoją. Uroczystość ma się ku końcowi, kiedy zauważam, że jedna z siostr Rue wpatruje się we mnie uważnie. Na pewno ma około dziewięciu lat i jest niemal idealną kopią Rue. Nawet kiedy stoi, tak samo lekko wysuwa ręce do przodu. Nie wygląda na zadowoloną, pomimo dobrych wieści o dodatkowych pieniądzech, powiedziałabym nawet, że patrzy na mnie z przyganą. Czy w jej oczach jestem winna, bo nie uratowałam Rue?

Nie, decyduję w myślach. Nadal jej nie podziękowałam, to dlatego.

Robi mi się wstyd, bo ta dziewczynka ma słuszość. Jak mogę stać tutaj, biernie i w milczeniu, nie dodając ani słowa od siebie? Gdybym zginęła, Rue z pewnością uczciłaby moją śmierć. Przypominam sobie, jak na arenie przysypałam ją kwiatami, upewniłam się, że jej śmierć została zauważona. Ten gest zatrze się w ludzkiej pamięci, jeśli go teraz nie wzmocnię.

— Zaraz! — Chwiejnym krokiem wysuwam się naprzód i przyciskam tabliczkę do piersi. Przyznany mi czas na wygłoszenie przemówienia minął, ale muszę coś powiedzieć, zawdzięczam Rue tak wiele. Nawet gdybym przekazała całą wygraną siedzącym przede mną rodzinom, to to i tak nie usprawiedliwiłoby mojego dzisiejszego milczenia. — Bardzo proszę, niech państwo zaczekają. — Nie wiem, od czego zacząć, ale gdy wreszcie otwieram usta, słowa same z nich płyną, zupełnie jakby od dawna kształtowały mi się w głowie. — Pragnę podziękować trybutom z Jedenastego Dystryktu — oświadczam i spoglądam na dwie kobiety z rodziny Thresha. — Tylko raz rozmawiałam z Threshem, ale to wystarczyło, żeby darował mi życie. Nie znałam go, lecz zawsze darzyłam szacunkiem, podziwiałam jego siłę. Imponowało mi, że podczas igrzysk kierował się wyłącznie własnymi zasadami i nie ulegał żadnym wpływom. Zawodowcy od początku chcieli, aby się z nimi sprzymierzył, ale odrzucił ich propozycję. Podjął decyzję godną uznania.

Zgarbiona staruszka, być może babka Thresha, po raz pierwszy podnosi głowę, a na jej ustach dostrzegam cień uśmiechu. Tłum umilkł. Zapada cisza tak idealna, że aż nieprawdopodobna. Wszyscy z pewnością wstrzymali oddechy. Zwracam się ku rodzinie Rue.

— Czuję jednak, że bliżej poznałam Rue i już na zawsze pozostanie mi bliska. Przypomina mi o niej wszystko, co piękne. Widzę ją w żółtych kwiatkach na łące przy moim domu, wśród kosogłosów rozśpiewanych na drzewach, ale przede wszystkim odnajduję ją w swojej siostrze Prim. — Nie umiem powstrzymać potoku słów, ale już prawie kończę. — Dziękuję wam za wasze dzieci. — Unoszę brodę i zwracam się do zebranych. — A wszystkim wam dziękuję za chleb.

Stoję nieruchomo, czuję się przygnębiona i słaba, a tysiące oczu wpatrują się we mnie z uwagą. Zapada długotrwała cisza, którą przerywa melodia kosogłosa, cztery nuty zagwizdane przez kogoś w tłumie. Ten sygnał obwieszczał koniec dnia pracy w sadach, a na arenie oznaczał bezpieczeństwo. Melodia jeszcze trwa, kiedy zauważam jej wykonawcę, starca o twarzy poranej zmarszczkami, ubranego w spłowiałą, czerwoną koszulę i ogrodniczki. Nasze spojrzenia się krzyżują.

To, co dzieje się potem, nie jest przypadkowe, wydaje się zbyt starannie zaaranżowane jak na spontaniczną reakcję. Wszyscy zebrani jednocześnie przyciskają do ust trzy środkowe palce lewej ręki, a następnie wyciągają je ku mnie. To nasz znak z Dwunastego Dystryktu, moje pożegnanie z Rue na arenie. Gdybym nie rozmawiała wcześniej z prezydentem Snowem, ten symboliczny gest wzruszyłby mnie do łez. Tymczasem ogarnia mnie przerażenie, bo pamiętam jego świeżo wydany rozkaz: mam łągodzić nastroje w dystryktach. Co Snow sobie pomyśli o tym zbiorowym uhonorowaniu dziewczyny, która postawiła się Kapitolowi?

Z całą mocą dociera do mnie sens tego, co zrobiłam. To nie było specjalnie! Chciałam tylko wyrazić wdzięczność, a tymczasem mimowolnie doprowadziłam do bardzo niebezpiecznej sytuacji. Sprowokowałam mieszkańców Jedenastego Dystryktu do otwartego buntu, a przecież właśnie tego miałam unikać! Zastanawiam się, co powiedzieć, żeby rozładować napięcie, zanegować własne słowa, ale słyszę przyciszony trzask, co oznacza, że wyłączono mi mikrofon, a burmistrz przejął kontrolę nad sytuacją.

Ludzie oklaskują nas po raz ostatni i Peeta prowadzi mnie z powrotem do drzwi. Nawet nie podejrzewa, że zdarzyło się coś złego.

Dziwnie się czuję, muszę na chwilę przystanąć. Przed moimi oczami tańczą iskierki słonecznych promieni.

— Wszystko dobrze? — niepokoi się Peeta.

— Kręci mi się w głowie, nic poza tym. Słońce mnie oślepiło — wyjaśniam i spoglądam na jego bukiet. — Zapomniałam kwiatów — mamroczę.

— Pójdę po nie — proponuje Peeta.

— Poradzę sobie.

Gdybym się nie zatrzymała, bylibyśmy już bezpieczni w Pałacu Sprawiedliwości. Gdybym tylko nie zapomniała zabrać kwiatów. Teraz jednak, z głębi tarasu jak na dłoni widzimy całą scenę. Dwóch Strażników Pokoju ciągnie na szczyt schodów starca, który zagwizdał melodię. Zmuszają go, żeby ukląkł, i na oczach tłumu pakują mu kulę w głowę. W chwili, gdy starzec pada na ziemię, zwarty mur Strażników Pokoju w białych mundurach przesłania nam widok. Kilku żołnierzy kolbami pistoletów maszynowych popycha nas ku drzwiom.

— Przecież idziemy! — warczy Peeta i odpycha strażnika, który na mnie napiera. — Zrozumieliśmy, jasne? Chodź, Katniss. — Obejmuje mnie i prowadzi do Pałacu Sprawiedliwości. Żołnierze nie odступują nas na krok. Gdy mijamy próg, zatraskują za nami drzwi i słyszymy oddalające się dudnienie buciorów. Haymitch, Effie, Portia i Cinna w napięciu czekają przy ściennym ekranie, na którym widać tylko śnieg elektrostatycznego tła.

— Co się stało? — Effie niemal biegnie. — Straciliśmy wizję zaraz po pięknym przemówieniu Katniss, a potem Haymitch oświadczył, że chyba słyszał strzał, a ja powiedziałam, że to absurd, ale nigdy nic nie wiadomo, prawda? Wariatów nie brakuje!

— Nic się nie stało — uspokajają Peeta łagodnie. — Jakiejś starej ciężarówce strzelił gaźnik.

Słyszymy jeszcze dwa strzały, prawie niewytłumione przez drzwi. Kogo tym razem dosięgły kule? Babkę Thresha? Jedną z młodszych sióstr Rue?

— Oboje za mną — komenderuje Haymitch. Posłusznie ruszamy w jego ślady, Peeta i ja, a reszta zostaje przy telewizorze.

Strażnicy Pokoju wokół Pałacu Sprawiedliwości niespecjalnie się nami interesują, od kąd bezpiecznie zniknęliśmy w budynku. Wchodzimy po imponujących, rzeźbionych schodach z marmuru i docieramy do długiego korytarza wyściełanego zniszczonym chodnikiem. Podwójne drzwi stoją otworem, jakby zapraszały nas do pierwszej sali, wysokiej na jakieś siedem metrów. Na suficie widnieje sztukateria z motywami owoców i kwiatów, z każdego zakątka patrzą na nas małe, tłuste dzieci ze skrzydełkami, kwiaty w wazonach roztaczają intensywny, mdły zapach, od którego swędzą mnie oczy. Nasze wieczorowe ubrania wiszą na wieszakach pod ścianą. Ten pokój przeznaczono specjalnie dla nas, ale teraz tylko zostawiamy w nim nasze prezenty. Haymitch wyszarpuje nam z ubrań mikrofony na piersi, wpycha je pod poduszkę na kanapie i ruchem dłoni pokazuje, żebyśmy szli dalej. O ile wiem, gościł tutaj tylko raz, lata temu, podczas własnego Tournee Zwycięzców. Z pewnością ma doskonałą pamięć lub godny podziwu instynkt, gdyż bezbłędnie prowadzi nas przez labirynt kręconych schodów i coraz węższych korytarzy. Momentami przystaje i popycha zamknięte drzwi, z ich rozpaczliwego skrzywienia wnioskuję, że od dawna nie były używane. W końcu wdrapujemy się po drabinie do wjazdu, który Haymitch popycha i otwiera. Trafiamy do kopuły Pałacu Sprawiedliwości, przestronnego pomieszczenia, w którym roi się od połamanych mebli, stert książek i pordzewiałej broni. Pokrywająca wszystko warstwa kurzu jest gruba, z pewnością od lat nikt tu nie zaglądał, światło z trudem przebija się przez cztery brudne kwadraty okien w bokach kopuły. Haymitch kopniakiem zamyka pokrywę wjazdu i odwraca się do nas.

— Co się stało? — pyta.

Peeta opowiada o wszystkim, co się zdarzyło na placu. Mówi o zagwizdanej melodii, o salucie, o tym, jak się zawahaliśmy na tarasie, o zamordowaniu starca.

— Co się dzieje? — kończy.

— Lepiej będzie, jeśli sama mu wyjaśnisz — zwraca się do mnie Haymitch.

Nieprawda. Moim zdaniem będzie sto razy gorzej, jeśli Peeta usłyszy to ode mnie. Mimo to mówię mu wszystko jak najspokojniej: o prezydencie Snowie, o niepokojach w dystryktach, nawet o pocałunku z Galem. Bez ogródek oznajmiam, że z powodu mojego manewru z jagodami grozi nam niebezpieczeństwo.

— Podczas tournée miałam uspokoić nastroje. Powinnam była przekonać wszystkich niedowiarków, że działałam w imię miłości, załagodzić sytuację, a do czego dzisiaj doprowadziłam? Przeze mnie zginęli ludzie, a do tego wszystkich na placu ukarzą.

Robi mi się tak niedobrze, że muszę usiąść na wybebeszonej kanapie, nie zwracając uwagi na sterzące sprężyny.

— Wobec tego ja też pogorszyłem sytuację, dając im pieniądze — mówi Peeta. Nagle uderza dłonią w lampę na brzegu skrzyni i posyła ją na drugi koniec pomieszczenia. Szklany klosz uderza o podłogę i rozbija się w drobny mak. — To się musi skończyć, i to już. Ta waza gra. Powierzacie sobie tajemnice, a mnie trzymacie na dystans, jakbym nic nie znaczył, był głupi albo zbyt słaby, aby je udźwignąć.

— Peeta, to nie tak... — zaczynam.

— Właśnie że tak! — drze się na mnie. — Katniss, ja też mam się o kogo martwić! Moja rodzina i przyjaciele w Dwunastym Dystrykcie też zginą, jeśli sobie nie poradzimy. Po tym, co przeszliśmy, naprawdę nie zasłużyłem na szczerłość?

— Peeta, zawsze jesteś taki odpowiedzialny i porządny — odzywa się Haymitch. — Tak dbasz o to, żeby dobrze wypadać przed kamerami. Nie chciałem tego psuć.

— W takim razie przecenił mnie pan, dzisiaj naprawdę nawaliłem. Jak pan myśli, jaki los czeka bliskich Rue i Thresha? Pana zdaniem dostaną część naszej wygranej? Uważa pan, że zapewniłem im dostatnią przyszłość? Bo moim zdaniem będą mieli szczęście, jeśli dożyją wieczoru! — Tym razem ciska posążkiem. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie.

— Peeta ma rację — mówię. — Trzeba go było wtajemniczyć, najlepiej jeszcze w Kapitolu.

— Już na arenie stworzyliście układ, prawda? — Jego głos brzmi znacznie spokojniej. — I nie dopuściliście mnie do niego.

— Nie, oficjalnie nie. Po prostu domyślałam się po jego prezentach, albo ich braku, jak powinnam się zachować.

— Ja nie miałem takiej okazji. Dopóki się nie zjawiłaś, nie dostałem od niego ani jednej przesyłki — zauważa Peeta.

Dotąd niewiele o tym myślałam. Jak ta sytuacja mogła wyglądać z perspektywy Peety? Otrzymałam lekarstwo na oparzenia, a także chleb, podczas gdy umierający Peeta nie dostał absolutnie nic, całkiem jakby Haymitch podtrzymywał mnie przy życiu jego kosztem.

— Posłuchaj, chłopcze... — zaczyna Haymitch.

— Niech pan sobie daruje. Wiem, że musiał pan wybierać, sam bym ją wybrał. Chodzi o coś innego. Tam, na dworze, zginęli ludzie i zginie ich jeszcze więcej, jeżeli nie będziemy bardzo grzeczni. Wszyscy wiemy, że w telewizji lepiej wypadam niż Katniss. Nikt nie musi mnie instruować, sam wiem, co mówić, ale muszę wiedzieć także, w co się pakuję — oświadcza Peeta.

— Odtąd będziesz na bieżąco informowany o wszystkim — zapewnia go Haymitch.

— Mam nadzieję — burczy Peeta. Nawet na mnie nie spogląda, kiedy wychodzi.

Kurz, którego kłęby wzbily się w powietrze, osiada, gdzie popadnie: na moich włosach, w oczach, na błyszczącej, złotej broszce.

— Naprawdę pan mnie wybrał? — chcę wiedzieć.

— Tak.

— Dlaczego? Przecież bardziej pan lubi Peetę.

— Fakt. Pamiętaj jednak, że do czasu zmiany przepisów tylko jedno z was mogło przeżyć igrzyska. Peeta był zdecydowany cię chronić, więc postanowiłem, że wspólnymi siłami spróbujemy sprowadzić cię z powrotem do domu.

— Och — wzdycham. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— W życiu trzeba czasem podejmować bardzo trudne decyzje. Sama się o tym przekonasz, jeśli wyjdziemy z tego cało.

Dzisiaj przekonałam się o jednym, a mianowicie o tym, że to miejsce nie jest czymś w rodzaju większego Dwunastego Dystryktu. U nas ogrodzenie nie jest strzeżone i rzadko kiedy bywa pod napięciem. Nasi Strażnicy Pokoju nie są mile widziani, lecz z pewnością mniej brutalni. Codzienne trudy nas męczą, ale nie wściekają. Tu, w Jedenastce, ludzie bardziej cierpią i są bardziej zdeterminowani. Prezydent Snow ma rację — wystarczy iskra, żeby wzniecić pożar w całym Panem.

Wszystko dzieje się zbyt szybko, żebym mogła się połapać. Najpierw ostrzeżenie, potem wystrzały i świadomość, że mogłam uruchomić proces, którego nie da się już zatrzymać. To całkiem niewiarygodna sytuacja. Co innego, gdybym próbowała podburzyć tłum, ale w tych okolicznościach... Jak to możliwe, że narobiłam tyle kłopotów?

— Chodź — odzywa się Haymitch. — Czeką nas uroczysta kolacja.

Biorę prysznic najdłużej jak się da, w końcu jednak muszę wyjść i oddać się w ręce ekipy przygotowawczej, najwyraźniej całkowicie nieświadomej powagi sytuacji. Nie mogą się doczekać wieczornego przyjęcia, bo w dystryktach są uważani za sławy, a w Kapitolu prawie nigdy nie otrzymują zaproszeń na prestiżowe imprezy. Zastanawiają się, jakie potrawy trafią na stół, a ja nie mogę przestać myśleć o przestrelonej głowie starca i w ogóle nie zwracam uwagi na to, co ze mną robią. W końcu jestem gotowa do wyjścia i spoglądam na swoje odbicie w lustrze. Jasnoróżowa sukienka bez ramiączek sięga mi do butów, włosy mam zaczesane do tyłu, upięte i skręcone w drobne loczki. Cinna podchodzi do mnie od tyłu i drapuje mi na ramionach migotliwy, srebrny szal. Patrzy w oczy mojego odbicia w lustrze.

— Podoba ci się?

— Jest piękna, jak zawsze — potwierdzam.

— Sprawdźmy, czy pasuje do uśmiechu — proponuje łagodnie. W ten sposób przypomina, że za moment znowu stanę przed kamerami. Udaje mi się unieść kąciki ust. — No proszę, gotowe.

Kiedy wszyscy się zbieramy do wyjścia na kolację, zauważam, że Effie jest przygnębiona. Haymitch z pewnością nie powiedział jej o zdarzeniach na placu. Nie zdziwiłabym się, gdyby Cinna i Portia orientowali się w sytuacji, ale mam wrażenie, że istnieje niepisane porozumienie o zatajaniu przed Effie wszelkich złych wieści. Wkrótce przekonuję się, w czym tkwi problem. Effie przegląda harmonogram zajęć na wieczór, a następnie ciska go na bok.

— Całe szczęście, że potem wsiadamy do pociągu i wynosimy się stąd — oznajmia.

— Effie, stało się coś złego? — pyta Cinna z ciekawością.

— Nie podoba mi się, jak nas tutaj traktowano. Przede wszystkim upchnęli nas do ciężarówek, już na peronie odgradzili od świata. Poza tym godzinę temu poszłam zwiedzić Pałac Sprawiedliwości, bo uważam się za specjalistkę w dziedzinie architektury. — Zawiesza głos.

— O, tak, słyszałam o tym — odzywa się Portia, żeby milczenie nie trwało zbyt długo.

— No właśnie. Więc postanowiłam trochę się rozejrzeć, bo w tym roku zwiedzanie ruin w dystryktach będzie bardzo modne. Wtedy pojawiło się dwoje Strażników Pokoju, którzy kazali mi wracać do przydzielonych nam pomieszczeń. Strażniczka wręcz dźgnęła mnie pistoletem! — skarży się Effie.

Z miejsca dochodzę do wniosku, że jest to bezpośredni skutek naszego wcześniejszego zniknięcia, kiedy Haymitch zabrał Peetę i mnie na rozmowę. Trochę pokrzepiam się myślą, że

chyba miał słuszość. Zapewne nikt nie założył podsłuchu w zakurzonej kopule, choć idę o zakład, że teraz jest już starannie monitorowana.

Effie wydaje się tak przejęta, że spontanicznie ją obejmuję.

— To okropne — przyznaję. — Może powinniśmy zrezygnować z kolacji? Przynajmniej do przeprosin.

Wiem, że nigdy nie zgodziłyby się na coś podobnego, ale moja propozycja poprawia jej samopoczucie. Ktoś poważnie potraktował jej skargę.

— Nie, jakoś sobie poradzę — deklaruje. — Cierpliwe znoszenie wszelkich przeciwności należy do moich obowiązków, a poza tym waszej dwójce nie może przepaść kolacja. Mimo wszystko dziękuję ci za propozycję, Katniss.

Effie ustawia nas w szyku: najpierw ekipy przygotowawcze, potem ona, za nią styliści oraz Haymitch. Peeta i ja, co oczywiste, pojawiajemy się na końcu. Gdzieś w niższych pomieszczeniach rozbrzmiewa muzyka. Gdy pierwsze osoby z naszego pochodzenia ruszają po schodach na dół, podajemy sobie dłonie.

— Haymitch twierdzi, że niesprawiedliwie na ciebie nakrzyczałem — odzywa się Peeta. — Podobno tylko wykonywałaś jego polecenia. Poza tym kiedyś również nie wszystko ci mówiłem.

Przypominam sobie, jaki przeżyłam wstrząs, kiedy na oczach całego Panem Peeta wyznał mi miłość. Haymitch doskonale wiedział, co się święci, ale mnie nie uprzedził.

— Zdaje się, że po zakończeniu tamtego wywiadu sama porozbijałam kilka przedmiotów.

— Tylko wazę — prostuje Peeta.

— I jeszcze trochę poharatałam ci dłonie. Teraz już nie ma powodu, żebyśmy nie byli ze sobą szczerzy, prawda?

— Nie ma — zgadza się. Stajemy na szczycie schodów i zgodnie z zaleceniem Effie czekamy, aż Haymitch oddali się o piętnaście stopni. — Czy naprawdę pocałowałaś Gale'a tylko raz?

Jestem tak zaskoczona, że odpowiadam.

— Tak — potwierdzam. Tyle się dzisiaj wydarzyło. Czy to możliwe, że dręczyła go akurat ta wątpliwość?

— Piętnaście. Naprzód — komenderuje Peeta.

Zalewa nas oślepiające światło, a ja uśmiecham się promiennie, najszerzej, jak potrafię. Kroczymy po schodach i trafiamy w wir identycznych kolacji, uroczystości i podróży pociągiem. Wszystkie dni są takie same. Budzimy się, ubieramy, jedziemy wśród wiwatujących tłumów, wysłuchujemy przemówienia na naszą cześć. W odpowiedzi wygłaszamy mowę z podziękowaniami, ograniczając się do tekstu z Kapitolu. Nie dodajemy ani słowa od siebie. Czasami wybieramy się na krótką przejażdżkę po okolicy: w jednym dystrykcie rzuca my okiem na morze, w innych na strzeliste lasy, brzydkie fabryki, pola pszenicy albo cuchnące rafinerie. Wkładamy stroje wieczorowe, uczestniczymy w kolacji. I do pociągu.

Podczas uroczystości zachowujemy pełną szacunku powagę i zawsze splatamy dłonie albo chodzimy pod rękę. W trakcie kolacji niemal szalejemy z miłości, wymieniamy pocałunki, tańczymy, dajemy się przyłapać na wymykaniu się z sali. W pociągu cierpimy w milczeniu, zastanawiając się, jaki mamy wpływ na publiczność.

Rzecz jasna, nasze własne przemówienia z Jedenastego Dystryktu ocenzone przed emisją, żeby nie prowokować buntu, ale i tak coś wisi w powietrzu. Mam wrażenie, że patrzę na garnek, którego zawartość się gotuje i który lada moment wykipi. Nie wszędzie jednak panują takie nastroje, w niektórych dystryktach publiczność jest po prostu znużona, jak na przykład zwykle bywa podczas uroczystości na cześć zwycięzców w Dwunastce. W innych dystryktach, zwłaszcza w Ósemce, Czwórce i Trójce, na twarzach widzów maluje się szczerzy zachwyty na nasz widok, zachwyty podszyty wściekłością. Tłum skanduje moje imię, co brzmi

raczej jak wezwanie do zemsty niż jak radosny wiwat. Gdy Strażnicy Pokoju wkraczają do akcji, żeby uspokoić niepokorną rzeszę, ludzie napierają, zamiast się wycofać. Wiem, że nie mogę nic zrobić, aby to zmienić. Tej fali nie powstrzyma żadna, nawet najbardziej wiarygodna demonstracja miłości. Jeśli wyciągając garść jagód, dowiodłam chwilowej niepoczytalności, to ci ludzie również są gotowi postąpić nieobliczalnie.

Cinna zaczyna zwać mi ubrania w talii, ekipę przygotowawczą martwią moją podkrążone oczy. Effie podaje mi pastylki nasenne, ale lekarstwa nie działają, a raczej działają zbyt słabo. Zасыpiam i wkrótce budzą mnie koszmary, coraz częstsze i bardziej realistyczne. Peeta, który przez większość nocy łązi po pociągu, słyszy moje wrzaski, kiedy usiłuję wyrwać się z farmakologicznego otumanienia. Pigułki tylko przedłużają upiorne sny. Peeta budzi mnie z trudem i uspokaja, a następnie wślizguje się do mojego łóżka i tuli mnie, dopóki nie zasnę. Potem odmawiam przyjmowania lekarstw, ale już każdej nocy wpuszczam Peetę do łóżka. Radzimy sobie z ciemnościami tak jak na arenie, leżymy w swoich objęciach, gotowi na niebezpieczeństwa, które lada moment mogą na nas spaść. Nie dzieje się nic poza tym, lecz po pociągu natychmiast zaczynają krążyć plotki o naszej bliskości. Effie informuje mnie o nich, a ja myślę, że nie jest źle, oby tylko dotarły do prezydenta Snowa. Zapewniam Effie, że postaramy się zachowywać dyskretniej, ale oczywiście nawet nie próbujemy.

Następujące po sobie wystąpienia w Dwójce i Jedyńce są szczególnie okropne, każde na swój sposób. Cato i Clove, dwoje trybutów z Drugiego Dystryktu miało szansę wrócić do domu, gdyby nie udało się to Peecie i mnie. To ja zabiłam Glimmer i chłopaka z Pierwszego Dystryktu. Usiłuję nie patrzeć na jego bliskich, gdy dowiaduję się, że naprawdę miał na imię Marvel. Dlaczego dotąd nic o tym nie wiedziałam? Podejrzewam, że przed igrzyskami nie zwróciłam na to uwagi, a po ich zakończeniu zwyczajnie nie chciałam wiedzieć.

Po dotarciu do Kapitolu jesteśmy całkiem zdesperowani. Bezustannie występujemy przed zachwyconymi tłumami. Tutaj, wśród najzamożniejszych mieszkańców Panem, powstanie z pewnością nie wybuchnie. Nazwiska tych ludzi nigdy się nie pojawiają w dożynkowych kulach do losowania, ich dzieci nie umierają za rzekome zbrodnie sprzed wielu pokoleń. W Kapitolu nie musimy nikogo zapewniać o naszej miłości, ale liczymy na cień szansy, że zdołamy dotrzeć do części tych, których nie udało się przekonać w dystryktach. Niestety, wszystko, co robimy, wydaje się niewystarczające i spóźnione.

Po przyjeździe do Ośrodka Szkoleniowego, w którym już kiedyś mieszkaliśmy, proponuję, żeby Peeta publicznie mi się oświadczył. Zgadza się, ale potem znika w swoim pokoju i długo nie wychodzi. Haymitch każe mi dać mu spokój.

— Sądziłam, że i tak tego pragnie — dziwię się.

— Nie tak to sobie wyobrażał — wyjaśnia Haymitch. — Chciał naprawdę.

Wracam do siebie i kładę się do łóżka. Usiłuję nie przypominać sobie Gale'a, lecz ciągle powracam do niego myślami.

Tego wieczoru na scenie przed Ośrodkiem Szkoleniowym entuzjastycznie odpowiadamy na serię pytań. Caesar Flickerman, ubrany w błyszczący granatowy garnitur, z włosami, powiekami i ustami nadal pomalowanymi na bladoniebiesko, gładko prowadzi nas przez wywiad. Kiedy pyta o plany na przyszłość, Peeta przykłęka, otwiera przede mną serce i prosi mnie o rękę, a ja, rzecz jasna, przyjmuję oświadczyzny. Caesar nie posiada się z radości, kapiolińska publiczność szaleje. Ujęcia tłumów w całym Panem ukazują kraj ogarnięty szczęściem. Prezydent Snow we własnej osobie składa nam nieoczekiwaną wizytę. Ścisną dłoń Peety i z aprobatą klepie go po ramieniu, a mnie obejmuje, roztaczając wokół woń krwi i róż, i wyciska na moim policzku siarczasty pocałunek. Potem się odsuwa, zaciska palce na moich ramionach i zwraca ku mnie uśmiechniętą twarz, a ja ośmielam się unieść brwi. Pytają o to, o co nie mogą spytać usta. Czy mi się udało? Czy jest dobrze? Czy wystarczy, że ustąpiłam panu we wszystkim, grałam zgodnie z pana regułami i obiecałam wyjść za Peetę?

W odpowiedzi prezydent niemal niezauważalnie kręci głową. W tym jednym niemal niewidocznym geście dostrzegam kres nadziei i początek końca wszystkiego, co jest mi drogie. Nie domyślam się, jaką formę przybierze moja kara ani jaki krąg zatoczy, lecz po jej wymierzeniu zapewne nie pozostanie mi już absolutnie nic. Można by pomyśleć, że w takiej chwili ogarnie mnie czarna rozpacz, tymczasem reaguję co najmniej dziwnie. Przede wszystkim odczuwam ulgę, bo mogę zrezygnować z dalszej gry. Jestem zadowolona, że wreszcie doczekałam się odpowiedzi na to, czy moje starania przyniosły pożądany rezultat, nawet jeśli odpowiedź jest przecząca. Poza tym wyjątkowe okoliczności wymagają wyjątkowych rozwiązań, więc jestem gotowa na absolutnie wszystko. Jednak nie tutaj, jeszcze nie teraz. Najważniejsze to wrócić do Dwunastego Dystryktu, ponieważ zasadnicza część mojego planu dotyczy mamy i siostry, Gale'a i jego rodziny, a także Peety, jeżeli uda mi się skłonić go do wyruszenia z nami. Haymitcha też dodaję do listy. Muszę zabrać wszystkich ze sobą, kiedy zwiję do lasu. Nie mam pojęcia, jak mi się uda skłonić ich do ucieczki, dokąd pójdziemy w środku zimy, w jaki sposób unikniemy złapania, ale wiem przynajmniej, co trzeba zrobić.

Tak więc nie osuwam się na ziemię i nie zalewam łzami, tylko prostuję z pewnością siebie, której nie czułam od tygodni. Mój uśmiech może się wydawać nieco wariacki, nie jest jednak wymuszony, a kiedy prezydent Snow ucisza publiczność i pyta: „Co byście powiedzieli na to, żeby wyprawić im wesele tutaj, w Kapitolu?“, bez wahania odgrywam szaleńczą radość. Caesar Flickerman chce wiedzieć, czy prezydent bierze pod uwagę konkretny termin.

— Och, zanim ustalimy datę, omówmy to z mamą Katniss — zauważa prezydent. Publiczność śmieje się do rozpuku, a Snow otacza mnie ramieniem. — Może jeśli taka będzie wola całego kraju, to uda nam się doprowadzić do ślubu, zanim stuknie ci trzydziestka.

— Pewnie będzie pan musiał zmienić prawo — odpowiadam rozchichotana.

— Jeżeli to się okaże konieczne... — deklaruje prezydent i uśmiecha się porozumiewawczo. Och, jak dobrze się bawimy w swoim towarzystwie.

Przyjęcie zorganizowane w sali bankietowej posiadłości prezydenta Snowa nie ma sobie równych. Sięgający trzynastu metrów sufit przeobrażono w nocne niebo, a gwiazdy wyglądają dokładnie tak jak u nas w domu. Podejrzewam, że identycznie prezentują się nad Kapitołem, ale nie sposób tego potwierdzić, bo miasto jest zbyt rozświetlone, aby można było prowadzić obserwacje. Mniej więcej w połowie drogi między posadzką a sklepieniem unosi się orkiestra. Wygląda to tak, jakby muzycy płynęli na puszystych, białych chmurach, nie widzę, co ich podtrzymuje w powietrzu. W miejsce tradycyjnych, zastawionych stołów pojawiły się niezliczone miękkie kanapy i fotele — część ustawiono wokół kominków, inne obok pachnących kwietników lub stawów wypełnionych egzotycznymi rybami, dzięki czemu ludzie mogą bez przeszkód jeść, pić i robić, co tylko zechcą. Pośrodku sali znajduje się spory parkiet, na którym odbywają się tańce i występy, a w przerwach między jednym a drugim spotykają się tam ekstrawagancko ubrani goście.

Najjaśniejszą gwiazdą wieczoru jest jednak kolacja. Stoły przy ścianach uginają się pod ciężarem smakołyków. Jest tu wszystko, o czym można zamarzyć, a także potrawy, których istnienia nawet nie podejrzewałam. Patrząc na pieczone w całości krowy, świnię i kozy, wciąż obracające się na rożnach, na wielkie półmiski drobiu nadziewanego apetycznymi owocami i orzechami, na oceaniczne stworzenia w sosie lub gotowe do zanurzenia w korzennych wywarach. Widzę niezliczone sery, chleby, warzywa, słodczyce, strumienie wina i zalew alkoholi, które migoczą płomieniami. Wraz z pragnieniem walki odzyskałam apetyt i po tygodniach zamartwiania się umieram z głodu.

— Chcę spróbować wszystkiego, co jest w tej sali — informuję Peetę.

Widzę, że usiłuje wyczytać z mojej twarzy, skąd we mnie ta przemiana. Nie wie, że zdaniem prezydenta Snowa poniosłam klęskę, więc siłą rzeczy musi zakładać, że jestem pewna zwycięstwa albo cieszę się szczerze z naszych zaręczyn. W jego oczach dostrzegam zdumienie, które szybko znika, bo jesteśmy filmowani.

— W takim razie nie śpiesz się zbyt — radzi.

— Dobrze, zjem najwyżej po jednym kęsie każdej potrawy. — Łamię postanowienie już przy pierwszym stole, zastawionym około dwudziestoma rodzajami zup, kiedy natrafiam na krem z dyni przyprószony orzechowymi wiórkami oraz mnóstwem drobnych, czarnych ziarenek. — Mogłabym to jeść do samego rana! — oznajmiam głośno, ale zaraz potem moją uwagę przykuwa klarowny, zielony rosół, który w moim przekonaniu smakuje jak wiosna. Po chwili koncentruję się na różowej, pianistej zupie upstrzonej malinami.

Widzę obce twarze, padają nazwiska, ktoś robi zdjęcia, ludzie cmokają mnie w policzki. Moja broszka z kosogłosem najwyraźniej zapoczątkowała nową modę, bo kilka osób podchodzi do mnie, by zaprezentować swoje akcesoria. Wizerunek ptaka jest wyhaftowany na jedwabnych klapach marynarek, pojawia się na sprzączkach od pasków, a nawet jako tatuaż w intymnych miejscach. Wszyscy chcą nosić znak zwycięzcy i mogą sobie wyobrazić, jak bardzo to wkurza prezydenta Snowa. Ale co może na to poradzić? Igrzyska były prawdziwym przebojem tu w Kapitolu, gdzie jagody stanowią jedynie symbol desperackiej miłości dziewczyny, która pragnie ocalić ukochanego.

Peeta i ja nie szukamy towarzystwa, lecz i tak jesteśmy atrakcją wieczoru. Nikt nie chce przegapić spotkania z nami. Udaję zachwyconą, ale kapitolńczycy nie interesują mnie w najmniejszym stopniu, zwłaszcza że przeszkadzają mi jeść.

Na każdym stole odkrywam nowe pokusy i choć ograniczam się do kosztowania tylko kęsa każdej potrawy, i tak wkrótce mam pełny brzuch. Sięgam po małego pieczonego ptaka, wbijam w niego zęby, a na język sływa mi pomarańczowy sos. Pycha. Proszę jednak Peetę, żeby zjadł resztę, bo chcę spróbować jeszcze innych smakołyków, a wyrzucanie żywności, wzorem wielu osób na przyjęciu, wydaje mi się wstrętne. Po mniej więcej dziesięciu stołach jestem najedzona, choć posmakowałam zaledwie cząstki przyrządzonych dań.

Właśnie wtedy podchodzi do nas moja ekipa przygotowawcza. Ledwo rozumiem, co mówią, bo są tak pijani i podnieceni obecnością na ważnej imprezie.

— Dlaczego nic nie jesz? — dopytuje się Octavia.

— Najadłam się tak, że nie jestem w stanie nic przełknąć — wyjaśniam, a oni wybuchają śmiechem, jakby nigdy w życiu nie słyszeli nic głupszego.

— To nie powód, żeby sobie odmawiać przyjemności! — tłumaczy Flavius. Prowadzą nas do stołu z maleńkimi kieliszkami na wysokich nóżkach, wypełnionymi przezroczystym płynem.

— Napijcie się!

Peeta sięga po jeden z nich, a wtedy ekipa wpada w panikę.

— Nie tutaj! — piszczy Octavia.

— Musicie przejść tam — objaśnia Venia i pokazuje palcem drzwi prowadzące do toalet. — Albo wszystko trafi na podłogę.

Peeta ponownie spogląda na kieliszek i dodaje dwa do dwóch.

— To znaczy, że po wypiciu tego płynu wymiotuję?

Ekipa zanosi się histerycznym śmiechem.

— Pewnie. Żebyś mógł jeść dalej — potwierdza Octavia. — Już dwa razy byłam w ubikacji, wszyscy tak robią. Jak inaczej można by się dobrze bawić na uczcie?

Brakuje mi słów, kiedy spoglądam na zgrabne kieliszki i uświadamiam sobie, co się z nimi wiąże. Peeta odstawia swój tak ostrożnie, jakby w każdej chwili szkło mogło wybuchnąć.

— Choć, Katniss, zatańczymy.

Muzyka sływa z chmur, kiedy Peeta zabiera mnie na parkiet, z dala od zespołu i stołów z kolacją. Znamy tylko kilka tańców z naszego dystryktu, takich do których potrzeba skrzypiec i fletu, a także mnóstwo miejsca, ale Effie zademonstrowała nam kilka najbardziej popularnych w Kapitolu. Muzyka jest wolna i senna, więc Peeta bierze mnie w ramiona i krę-

cimy się w koło, nie przejmując się krokami. W zasadzie do tego tańca wystarczyłaby nam przestrzeń wielkości dużego talerza. Przez chwilę milczymy, lecz Peeta przerywa ciszę.

— Człowiek się dostosowuje i wydaje mu się, że jakoś sobie poradzi, bo przecież nie jest tak źle, aż tu nagle... — zawieszają głos z napięciem.

Myślę wyłącznie o wymizerowanych ciałach dzieci na naszym kuchennym stole, kiedy lecząca je mama zaleca to, czego ich rodzice nie mogą zdobyć — więcej jedzenia. Teraz jesteśmy bogate, więc ofiarowuje im trochę żywności do domu, ale dawniej często nie miałyśmy czym się podzielić, poza tym niejedno dziecko było już zbyt wycieńczone, żeby je uratować. A tutaj, w Kapitolu, ludzie wymiotują dla przyjemności ponownego napełniania brzuchów. Nie są chorzy ani na ciele, ani na umyśle, nie zjedli nic zepsutego. Na przyjęciu wszyscy tak się zachowują. Tak się robi, to część zabawy.

Któregoś dnia, kiedy wpadłam do Hazelle, żeby zostawić jej zwierzynę, w domu był też Vick, którego męczył uporczywy kaszel. Jako brat Gale'a odżywił się lepiej niż dwięćdziesiąt procent mieszkańców Dwunastego Dystryktu, mimo to przez kwadrans rozważał się nad tym, że otworzyli puszkę z syropem kukurydzianym z Dnia Paczek i każdy dostał po łyżce na chleb, a w tygodniu może zjedzą jeszcze trochę. Vick się zachwycał, że Hazelle pozwoliła mu dodać odrobinę do herbaty, aby złagodzić kaszel, ale czuł się nie w porządku, dopóki nie dała syropu także jego rodzeństwu. Skoro taka sytuacja panowała w domu Gale'a, to jak było w innych rodzinach?

— Peeta, sprowadzili nas tutaj, żebyśmy walczyli na śmierć i życie dla ich uciechy — przypominam mu. — Przyjęcie to naprawdę drobiazg w porównaniu z igrzyskami.

— Wiem. Wiem o tym. Po prostu czasami już dłużej nie wytrzymuję. Do tego stopnia, że... Nie jestem pewien, co zrobić. — Milknie na moment i dodaje szeptem: — Katniss, może się pomyliliśmy.

— Jak to?

— Chyba niepotrzebnie próbowaliśmy uspokoić nastroje w dystryktach.

Szybko rozglądam się na boki, ale chyba nikt go nie słyszał. Ekipa telewizyjna interesuje się wyłącznie stołem z owocami morza, a tańczące wokół nas pary są zbyt pijane albo za bardzo zajęte sobą, żeby zwracać na nas uwagę.

— Przepraszam — mówi Peeta. Ma za co. To nie jest miejsce na wygłaszanie takich opinii.

— Porozmawiamy w domu.

Nieoczekiwanie podchodzi do nas Portia w towarzystwie potężnie zbudowanego mężczyzny, który wydaje mi się znajomy, i przedstawia go jako Plutarcha Heavensbee'ego, nowego głównego organizatora igrzysk. Plutarch zwraca się do Peety z pytaniem, czy może mnie porwać na jeden taniec. Peeta natychmiast przybiera telewizyjną minę i pogodnie przekazuje mnie mężczyźnie, z zastrzeżeniem, żeby na zbyt wiele nie liczył.

Wcale nie chcę tańczyć z Plutarchem Heavensbee'em. Nie mam ochoty czuć na sobie jego dłoni, jednej na mojej ręce, drugiej na biodrze. Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby ktoś mnie dotykał, poza Peetą i rodziną. Organizatorzy igrzysk mnie brzydzą, wolałabym już czerwie na swojej skórze. Plutarch Heavensbee chyba to wyczuwa, bo trzyma mnie na długość ramienia, kiedy suniemy po parkiecie. Gawędzimy o przyjęciu, o zabawie, o jedzeniu, a potem Heavensbee mówi z uśmiechem, że od szkolenia unika ponczu. Nie rozumiem żartu, ale po kilku sekundach uświadamiam sobie, że to właśnie on wpadł tyłem na miskę ponczu, kiedy podczas sesji treningowej posłałam strzałę w kierunku organizatorów. W zasadzie nie strzeliłam do nich, tylko do jabłka w pysku pieczonej świni, ale i tak śmiertelnie się wystraszyli.

— Ach, to pan... — Śmieję się i przypominam sobie, jak z pluskiem wpakował się do alkoholu.

— Tak. Z pewnością będziesz zachwycona informacją, że jeszcze nie doszedłem do siebie.

Korci mnie, aby zauważyć, że dwudziestu dwóch martwych trybutów również nie dojdzie do siebie po igrzyskach, które współtworzył.

— To dobrze — mówię tylko. — Zatem w tym roku pan będzie kierował igrzyskami? Spotkał pana wielki zaszczyt.

— Tak między nami, niewielu było chętnych na to stanowisko — przyznaje. — To ogromna odpowiedzialność, w końcu nigdy nie wiadomo, jak potoczą się wypadki.

Fakt, jego poprzednik już nie żyje, myślę. Heavensbee z pewnością wie, jaki los spotkał Senecę Crane'a, ale nie wydaje się przejęty.

— Już pan planuje Igrzyska Czwierćwiecza?

— Ależ tak, naturalnie, prace nad nimi trwają od lat. Areny nie da się zbudować z dnia na dzień. Można powiedzieć, że teraz ustalamy szczegóły, że tak powiem, posmaku turnieju. Pewnie trudno w to uwierzyć, ale jeszcze tej nocy mam strategiczne spotkanie organizacyjne. — Plutarch cofa się o krok i z kieszonki kamizelki wyciąga złoty zegarek na łańcuszku. Otwiera wieczko, spogląda na cyferblat i marszczy brwi. — Wkrótce muszę iść. — Obraca zegarek tak, że widzę tarczę. — Początek wyznaczono na północ.

— To chyba trochę późno... — zaczynam, ale milknę, bo coś przykuwa moją uwagę. Plutarch przesuwając kciukiem po kryształowej szybcie zegarka, a wtedy pojawia się obraz, rozjaśniony tak, jakby oświetlał go płomień świecy. To jeszcze jeden kosogłos, identyczny jak na mojej broszce, tyle że ten na szkiełku znika. Heavensbee z trzaskiem zamyka wieczko.

— Bardzo ładny — zauważam.

— Och, mało powiedziane. Jest jedyny w swoim rodzaju — podkreśla Heavensbee. — Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, powiedz, że poszedłem do domu, żeby się wyspać. Zebrania są z założenia utajnione, ale uznałem, że mogę ci o nim powiedzieć w zaufaniu.

— Oczywiście. Nikomu nie zdradzę pańskiej tajemnicy.

Podajemy sobie ręce, a on kłania się lekko, zgodnie z obowiązującym w Kapitolu obyczajem.

— Do zobaczenia latem na igrzyskach, Katniss — żegna się ze mną. — Wszystkiego najlepszego z okazji zaręczyn i powodzenia z mamą.

— Oby wszystko poszło jak najlepiej — odpowiadam.

Plutarch odchodzi, a ja przeciskam się przez tłum i wypatruję Peety, podczas gdy obcy ludzie gratulują mi zaręczyn i zwycięstwa w igrzyskach, chwalać dobór szminki. Dziękuję im wszystkim, ale w gruncie rzeczy myślę wyłącznie o Plutarchu pokazującym mi swój śliczny, niepowtarzalny zegarek. Było w tym coś dziwnego, jakaś tajemnica. Ale dlaczego? Może bał się, że ktoś ukradnie mu pomysł ze znikającym kosogłosem na szkiełku? Tak, zapewne zapłacił majątek za zegarek i teraz nie może nikomu go pokazać, bo się obawia, że wyprodukują tańszą, tandetną kopię. Tylko w Kapitolu.

Odnajduję Peetę przy stole z misternie zdobionymi tortami. Podziwia dekoracje na ciastach i gawędzi z cukiernikami, którzy przyszli z kuchni specjalnie po to, żeby porozmawiać z nim o lukrze. Widać, że na wyprzódki pragną odpowiadać na jego pytania. Na prośbę Peety przygotowali zestaw małych torcików, które zamierza zabrać do Dwunastego Dystryktu, gdzie będzie mógł w spokoju je obejrzeć.

— Effie wspomniała, że o pierwszej musimy być w pociągu. Ciekawe, która godzina — zastanawia się i rozgląda.

— Dochodzi północ — odpowiadam i chwytam palcami czekoladowy kwiatek, po czym wpycham go do ust, nie zważając na maniery.

— Pora podziękować i się pożegnać! — szczebiocze Effie u mojego boku. Od czasu do czasu, tak jak teraz, bardzo mnie cieszy jej chorobliwa punktualność. Zabieramy Cinnę i

Portię, a następnie Effie oprowadza nas po sali, żebyśmy mogli się pożegnać z ważnymi osobistościami. Na koniec zagania nas do drzwi.

— Nie powinniśmy podziękować prezydentowi Snowowi? — przypomina jej Peeta.
— To jego dom.

— Och, on nie jest entuzjastą przyjęć. Za dużo obowiązków — wyjaśnia Effie. — Już przygotowałam stosowne listy i upominki, jutro mu je dostarczą. Tu jesteś! — Effie dyskretnie macha ręką do dwóch kapitoliańskich porządkowych, którzy prowadzą między sobą nietrzeźwego Haymitcha.

Samochodem o przyciemnionych szybach jedziemy ulicami Kapitolu, a za nami drugie auto, z ekipami przygotowawczymi. Tłumy świętujących ludzi są tak gęste, że wlecemy się bardzo powoli, lecz Effie panuje nad sytuacją. Przewidziała korki, więc punktualnie o pierwszej jesteśmy w pociągu i opuszczamy dworzec.

Haymitch zostaje odprowadzony do swojego przedziału, a Cinna zamawia herbatę. Kiedy zasiadamy przy stole, Effie macha harmonogramem i przypomina nam, że tournée nadal trwa.

— Musimy pomyśleć o Święcie Zbiorów w Dwunastym Dystrykcie. Dlatego proponuję, żebyśmy dopili herbatę i od razu poszli spać — sugeruje i nikt się nie sprzeciwia.

Otwieram oczy dopiero wczesnym popołudniem. Leżę z głową na ręce Peety, ale nie pamiętam, kiedy przyszedł wczoraj w nocy. Obracam się ostrożnie, żeby go nie obudzić, ale i tak już nie śpi.

— Noc bez koszmarów — odzywa się.

— Jak to? — pytam.

— Tej nocy cię nie dręczyły — wyjaśnia.

Rzeczywiście, pierwszy raz od niepamiętnych czasów spokojnie przespałam noc.

— Ale coś mi się śniło — przypominam sobie. — Szłam przez las za kosogłosem, bardzo długo, ale tak naprawdę to była Rue. Kiedy zaśpiewał, usłyszałam jej głos.

— Dokąd cię zaprowadziła? — Odgarnia mi włosy z czoła.

— Nie wiem, nie dotarliśmy na miejsce. Ale byłam szczęśliwa.

— Spałaś jak szczęśliwy człowiek — przyznaje Peeta.

— Jak to możliwe, że nigdy nie wiem, kiedy tobie śnią się koszmary? — zdumiewam się.

— Nie mam pojęcia. Chyba nie wrzeszczę, nie młócę rękami i w ogóle jestem spokojny. Po prostu budzę się zdrętwiały ze strachu.

— Powinieneś mnie budzić — zauważam i rozmyślam o tym, że w kiepską noc potrafię wyrwać Peetę ze snu nawet dwa albo trzy razy. I o tym, ile czasu niekiedy potrzeba, żeby mnie uspokoić.

— To nie jest konieczne. Moje koszmary zazwyczaj wiążą się z utratą ciebie — wyznaje. — Dochodzę do siebie, kiedy sobie uświadamiam, że jesteś przy mnie.

Uch. Peeta ma zwyczaj wygłaszać takie uwagi z zaskoczenia, a ja czuję się wtedy tak, jakbym dostała pięścią w brzuch. Tak naprawdę tylko uczciwie odpowiada mi na pytanie, nie nalega, żebym odwzajemniła się tym samym, nie oczekuje ode mnie miłosnych wyznań. Mimo to czuję się paskudnie, jakbym wykorzystywała go w okropny sposób. Czy tak właśnie jest? Sama nie wiem, ale po raz pierwszy nabieram przekonania, że leżąc z nim w moim łóżku, zachowuję się niemoralnie. Co za ironia — dociera to do mnie dopiero teraz, po oficjalnych zaręczynach.

— Będzie gorzej, kiedy wrócimy do domu i znowu przyjdzie mi sypiać samotnie — wzdycha.

Rzeczywiście, jesteśmy już prawie w domu. Harmonogram naszych zajęć w Dwunastym Dystrykcie obejmuje udział w kolacji, wydawanej dzisiaj przez burmistrza Undersee'a o, a także w wiecu zwycięstwa na placu, podczas jutrzejszych obchodów Święta Zbiorów.

Organizowane jest zawsze w ostatni dzień Tournee Zwycięzców, ale zwykle wiąże się z posiłkiem w domu lub w gronie kilkorga przyjaciół, jeśli kogoś stać. W tym roku przyszykowano wielką imprezę, a ponieważ całość sfinansował Kapitol, nikt w dystrykcie nie będzie głodny.

Większość naszych przygotowań odbędzie się w domu burmistrza, ponieważ podczas występów pod gołym niebem znowu będziemy ubrani w futra. Na stacji jesteśmy tylko przez chwilę, z uśmiechem machamy do ludzi i od razu wszyscy wsiadamy do samochodu. Do kolacji nie zobaczymy się nawet z rodzinami.

Cieszę się, że kolacja jest w domu burmistrza, a nie w Pałacu Sprawiedliwości, gdzie odbywały się uroczystości żałobne po śmierci mojego ojca. Po dożynkach zabrano mnie także tam, na bolesne pożegnanie z bliskimi. Pałac Sprawiedliwości jest pełen zbyt smutnych wspomnień. Lubię jednak dom burmistrza Undersee'ego, zwłaszcza że przyjaźnię się z jego córką Madge. W pewnym sensie zawsze łączyła nas sympatia, ale została zadekretowana dopiero, kiedy Madge przyszła pożegnać się ze mną przed moim wyjazdem na igrzyska. Wtedy podarowała mi broszkę z kosogłosem na szczęście. Gdy wróciłam do domu, zaczęłyśmy spędzać razem czas, bo jak się okazało, Madge również miała go mnóstwo do zagospodarowania. Z początku czułyśmy się trochę zakłopotane, żadna z nas nie wiedziała, co robić. Słyszałam, jak nasze rówieśnice rozmawiają o chłopakach, innych dziewczynach albo o ciuchach, my jednak nie lubimy plotek, a ciuchy nudzą mnie do łez. Po kilku nietrafionych próbach zorientowałam się, że Madge dałaby wszystko, żeby pójść do lasu, więc ją tam zaprowadziłam i pokazałam, jak się strzela z łuku. Madge z kolei próbuje uczyć mnie gry na pianinie, ale zwykle tylko słucham, jak ona gra. Czasami jemy u siebie posiłki, ale ona woli przychodzić do mnie, niż mnie zapraszać. Jej rodzice wydają się sympatyczni, chyba jednak rzadko ich widuje. Jej ojciec kieruje całym Dwunastym Dystryktem, a mama cierpi na silne migreny, przez które całe dni spędza w łóżku.

— Może powinnaś pojechać z nią do Kapitolu — zaproponowałam podczas jednego z nawrotów choroby. Tamtego dnia nie grałyśmy na pianinie, bo mimo odległości dwóch pięter jego dźwięki nasilały ból głowy matki Madge. — Daję słowo, że ją tam wyleczą.

— Tak, ale do Kapitolu nie można pojechać bez zaproszenia — wyjaśniła Madge ze smutkiem. Nawet burmistrzowie mają ograniczone przywileje.

Gdy przyjeżdżamy do domu burmistrza, wystarcza mi czasu tylko na to, żeby szybko uściskać Madge, bo Effie natychmiast zagania mnie na trzecie piętro, gdzie mam się przygotować. Ekipa mnie maluje i ubiera w długą, srebrną suknię, a ponieważ wszystko przebiega sprawnie, mam wolną godzinę do kolacji. Wymykam się więc z pokoju i wyruszam na poszukiwania Madge.

Jej sypialnia znajduje się na drugim piętrze, tak jak kilka pokoi dla gości i gabinet burmistrza. Zaglądam tam, żeby się z nim przywitać, ale go nie ma. Telewizor jest włączony, więc przystaję i patrzę na ujęcia z wczorajszej imprezy w Kapitolu. Peeta i ja tańczymy, jemy, całujemy się. Te sceny będą teraz gościły w każdym gospodarstwie domowym w Panem, chociaż telewidzowie z pewnością mają już po dziurki w nosie nieszczęśliwych kochanków z Dwunastego Dystryktu. Sama mam ich dość.

Już wychodzę z gabinetu, kiedy moją uwagę przykuwają piski z telewizora. Odwracam się i widzę, że ekran pociemniał, a po chwili błyska na nim napis: „Ostatnie doniesienia z Ósmego Dystryktu”. Intuicja mi podpowiada, że te wiadomości nie są przeznaczone dla moich oczu, a jedynie dla burmistrza. Powinnam wyjść, i to szybko. A jednak odruchowo podchodzę bliżej.

Na wizji pojawia się spikerka, której nigdy dotąd nie widziałam, kobieta o siwiejących włosach i chrapliwym, stanowczym głosie. Ostrzega, że sytuacja się pogarsza, w związku z czym wprowadzono trzeci poziom zagrożenia. Do Ósmego Dystryktu skierowano dodatkowe siły i wstrzymano całą produkcję tekstylną.

Następuje przebitka na główny plac w Ósemce, który rozpoznaję, bo byłam tam w ubiegłym tygodniu. Z dachów budynków nadal zwisają transparenty z moją podobizną, ale w dole widzę gęsty tłum krzyczących ludzi o twarzach zasłoniętych chustami albo maskami własnej roboty. Demonstranci ciskają cegłami, domy stoją w płomieniach, Strażnicy Pokoju strzelają na oślep. Padają trupy. Jeszcze nigdy nie widziałam nic podobnego, ale z pewnością jestem świadkiem zdarzenia, które prezydent Snow nazywa powstaniem.

Skórzana torba z prowiantem i termos z gorącą herbatą. Wyłożone futrem rękawice, pozostawione przez Cinnę. Trzy gałązki ułamane z nagich drzew i ułożone w kształcie strzałki na śniegu, żeby wskazać, dokąd poszłam. To wszystko pozostawiam Gale'owi w tradycyjnym miejscu naszych spotkań w pierwszą niedzielę po Święcie Zbiorów. Wędrowałam przez zimny, mglisty las, ścieżką nieznaną Gale'owi, dla mnie prostą do odnalezienia, która prowadzi prosto do jeziora. Nie wierzę już, że nasz umówiony punkt gwarantuje prywatność, a potrzebuję jej dużo, żeby dzisiaj zwierzyć się Gale'owi. Nawet nie wiem, czy przyjdzie. Jeśli się nie zjawi, nie będę miała wyboru. Zaryzykuję i w środku nocy udam się do jego domu. Są rzeczy, o których musi wiedzieć... Które musi pomóc mi zrozumieć.

Uświadomiwszy sobie w pełni znaczenie scen z telewizora burmistrza, ruszyłam do drzwi i wyszłam na korytarz. W samą porę, ponieważ burmistrz zjawił się na schodach moment później. Pomachałam mu ręką.

— Szukasz Madge? — spytał przyjaźnie.

— Tak, chcę jej pokazać tę sukienkę — wyjaśniłam.

— Wiesz, gdzie ją znaleźć. — W tej samej chwili telewizor w gabinecie ponownie zapliskał, a burmistrz spoważniał. — Przepraszam, muszę iść. — Znikł w gabinecie i starannie zamknął drzwi.

Postałam na korytarzu, dopóki się nie uspokoiłam i nie przypomniałam sobie, że mam się zachowywać naturalnie. Potem poszłam do pokoju Madge, siedziała przy toalecie, przed lustrem, zajęta rozczesywaniem jasnych loków, ubrana w tę samą ładną, białą sukienkę, którą nosiła podczas dożynek. Uśmiechnęła się do mojego odbicia.

— Proszę, proszę — powiedziała na mój widok. — Wyglądasz tak, jakbyś przed chwilą wróciła ze spaceru po ulicach Kapitolu.

Podeszłam bliżej i dotknęłam palcami kosogłosa.

— Nawet broszkę mam modną. Dzięki tobie cały Kapitol nosi kosogłosa. Na pewno nie chcesz go z powrotem?

— Nie żartuj, przecież to był podarunek. — Madge przewiązała włosy elegancką, złotą wstążką.

— Właściwie skąd masz tę broszkę? — spytałam z ciekawością.

— Należała do ciotki — wyjaśniła. — Ale myślę, że od dawna była w rodzinie.

— Dziwny wybór — zauważyłam. — Kosogłos. Przecież wiadomo, co się stało podczas rebelii, kiedy głoskułki obróciły się przeciwko Kapitolowi.

Głoskułki były mutantami, genetycznie zmodyfikowanymi ptakami tylko rodzaju męskiego, stworzonymi przez Kapitol jako broń do szpiegowania rebeliantów na terenie dystryktów. Potrafiły zapamiętywać i powtarzać długie fragmenty ludzkiej mowy, więc wysyłano je na zbuntowane obszary, żeby wychwytywały nasze słowa i zносиły je do Kapitolu. Buntownicy zorientowali się w czym rzecz i wykorzystali ptaki przeciwko wrogowi: zaczęli uczyć je kłamstw, żeby zmylić przeciwnika. Kiedy Kapitol zorientował się w podstępie, głoskułki pozostawiono na wolności, żeby wymarły. Tak się stało, wcześniej jednak zdążyły się skrzyżować z samicami kosów, tworząc całkowicie nowy gatunek.

— Ale kosogłosów nigdy nie używano jako broni — powiedziała Madge. — To tylko ptaki śpiewające, prawda?

— Tak, chyba tak — odparłam, ale wiedziałam, że to nieprawda. Tylko kos jest ptakiem śpiewającym, a kosogłos stworzeniem, którego Kapitol nigdy nie zamierzał tworzyć.

Naukowcy nie podejrzewali, że starannie kontrolowane głoskułki mają dostatecznie rozwinięte umysły, aby przystosować się do życia na wolności, przekazać materiał genetyczny i doskonale sobie poradzić w nowej formie. Nikt się nie spodziewał, że niepozorne ptaki okażą tak silną wolę przetrwania.

Teraz brnę przez śnieg i widzę kosogłosa zajęte skakaniem po gałęziach i podchwytywaniem pieśni innych ptaków, powtarzaniem ich i zmianą melodii. Jak zawsze przypominają mi Rue. Rozmyślałam o śnie, który miałam ostatniej nocy w pociągu, jak idę za nią, gdy przybrała postać kosogłosa. Żałuję, że nie pospałam trochę dłużej, mogłabym się przekonać, dokąd chciała mnie zaprowadzić.

Wyprawa nad jezioro to nie byle co. Jeżeli Gale zdecyduje się pójść za mną, to z pewnością będzie zirytowany, że naraziłam go na stratę sporej dawki energii, którą mógłby lepiej wykorzystać podczas polowania. Jego nieobecność została zauważona podczas kolacji w domu burmistrza, zwłaszcza że zjawiła się reszta jego rodziny. Hazelle wyjaśniła, że Gale pozostał w domu z powodu choroby, ale nikt w to nie uwierzył, rzecz jasna. Nie zauważyłam go także podczas Święta Zbiorów. Vick poinformował mnie, że Gale jest na polowaniu, co mogło być zgodne z prawdą.

Po paru godzinach docieram do starego domu nieopodal brzegu jeziora. Dom to właściwie zbyt szumna nazwa jak na jednoizbową maciupenką chatynkę. Tata sądził, że dawno temu stało tu mnóstwo domów, a ludzie przyjeżdżali, żeby wypocząć i łowić ryby w jeziorze, tu i tam zachowały się jeszcze fundamenty. Nasza chatka przetrwała, bo zbudowano ją z betonu, jest podłoga, dach, sufit. Zachowało się tylko jedno z czterech szklanych okien, ale z biegiem czasu ramy wypaczyły się i szyby pożółkły, brakuje instalacji wodociągowej i prądu, lecz kominiek nadal działa, a w kącie leży sarta drewna, którą wraz z tatą zebrałam przed laty. Rozpalam mały ogień i liczę na to, że mgła skutecznie zamaskuje zdradliwy dym. Płomienie liżą gałęzie, a ja wymiatam śnieg, który zgromadził się pod pustymi otworami okiennymi. Używam miotły z gałązek, którą dał mi ojciec, kiedy miałam osiem lat i bawiłam się tutaj w dom. Potem siadam na maleńkim betonowym palenisku, rozgrzewam się przy ogniu i czekam na Gale'a.

Zjawia się zadziwiająco szybko. Przez ramię przerzucił łuk, do pasa przytroczył martwego dzikiego indyka, z pewnością upolowanego po drodze. Staje na progu, jakby się wahał, czy powinien wejść. W dłoni trzyma zamkniętą skórzaną torbę z żywnością, termosem oraz rękawicami Cinny. Nie zamierza przyjąć tych podarunków, bo jest na mnie zły. Doskonale rozumiem, co czuje, takie same emocje żywiłam w stosunku do mamy.

Patrzę mu w oczy. Jest w podłym nastroju i nie potrafi ukryć żalu, czuje się zdradzony z powodu moich zaręczyn z Peetą. Dzisiejsze spotkanie będzie moją ostatnią szansą. Jeżeli z niej nie skorzystam, stracę Gale'a na zawsze. Wyjaśnianie mu wszystkiego może trwać godzinami, a niewykluczone, że i tak nie da się przekonać. W takiej sytuacji postanawiam od razu przejść do sedna.

— Prezydent Snow osobiście mi groził, że każe cię zabić — oświadczam prosto z mostu.

Gale lekko unosi brwi, ale nie wydaje się szczególnie przestraszony ani zszokowany.

— Kogoś jeszcze?

— Tak się składa, że nie udostępnił mi pełnej listy, ale prawie na pewno jest gotów wykończyć także naszych bliskich — oznajmiam.

To wystarczy, żeby zbliżył się do ognia. Kuca przed paleniskiem, chce się rozgrzać.

— Chyba że co?

— Chyba że nic. Klamka zapadła. — Rzecz jasna, te słowa wymagają dodatkowych wyjaśnień, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć, więc tylko siedzę i wpatruję się ponuro w ogień. Po jakiejś minucie Gale przerywa ciszę.

— Dzięki za ostrzeżenie.

Odwracam się ku niemu, żeby coś warknąć, ale dostrzegam błysk w jego oku. Jestem zła na siebie, bo mimowolnie się uśmiecham. To wcale nie jest śmieszne, ale mam świadomość, że przytłoczyłam Gale'a fatalnymi nowinami. Cokolwiek się stanie, i tak nas wszystkich wykończą.

— Wiesz, mam plan — mówię.

— Jasne. Na pewno niesłuchanie przebiegły. — Rzuca mi rękawice na kolana. — Zabierz je, nie potrzebuję starzyzny po twoim narzeczonym.

— Nie jest moim narzeczonym, zaręczyny to część strategii. A zresztą rękawice nie były jego, tylko Cinny.

— No to mu je oddaj — burczy, ale wciąga rękawice, porusza palcami i kiwa głową z aprobatą. — Przynajmniej umrę w komfortowych warunkach.

— Optymista z ciebie. Poczekaj, aż usłyszysz, co się zdarzyło — proponuję.

— Miejmy to za sobą — zgadza się.

Postanawiam zacząć od wieczoru, w którym Peetę i mnie oficjalnie uznano za zwycięzców Głodowych Igrzysk, a Haymitch ostrzegł mnie przed gniewem Kapitolu. Opowiadam o tym, że odkąd wróciłam do domu, czułam się nieswojo. Mówię o wizycie prezydenta Snowa, morderstwach w Jedenastym Dystrykcie, napięciu tłumu, ostatniej próbie ratunku poprzez ogłoszenie zaręczyn, sugestii prezydenta, że to nie wystarczy, i o mojej pewności, że będę musiała za wszystko zapłacić.

Gale ani razu mi nie przerywa. Kiedy mówię, wsuwa rękawice do kieszeni i zabiera się do przyrządzania posiłku z żywności ukrytej w skórzanej torbie. Opieka chleb z serem, wydraża jabłka, wsuwa jadalne kasztany do ognia, żeby się opiekły. Patrzę na jego ręce i piękne, sprawne palce. Ma skórę pokrytą licznymi bliznami — ja też takie miałam, zanim w Kapitolu zlikwidowano mi wszystkie ślady na dłoniach. Jest silny i zręczny. Takie dłonie mają dość mocy, aby wydobywać węgiel, i są na tyle precyzyjne, że nadają się do zastawiania delikatnych sztućców. Ufam tym dłoniom.

Milknę, żeby napić się herbaty z termosu, a potem opowiadam mu o powrocie do domu.

— Nieźle narozrabiałas — zauważa.

— To jeszcze nie wszystko — informuję go.

— Chwilowo dość usłyszałem. Lepiej od razu przejdźmy do tego twojego planu.

Biorę głęboki oddech.

— Uciekniemy.

— Co takiego? — zdumiewa się. Udało mi się go zaskoczyć.

— Wyruszymy do lasu i spróbujemy uciec — precyzuję. Nie potrafię nic wyczytać z jego twarzy. Wyśmiej mnie? Uzna mój pomysł za idiotyczny? Wstaję niespokojnie, szykuję się do kłótni. — Sam powiedziałeś, że moglibyśmy to zrobić. To było rankiem w dniu dożynek. Oświadczyłeś...

Podchodzi do mnie i czuję, że unosi mnie w powietrze. Ściany wirują wokół i muszę otoczyć rękami szyję Gale'a, żeby nie upaść. Śmieje się, jest szczęśliwy.

— Ejże! — protestuję, ale też się śmieję. Gale stawia mnie na podłodze, ale nie puszcza.

— Zgoda, uciekniemy — postanawia.

— Naprawdę? Nie uważasz, że jestem stuknięta? Pójdiesz ze mną? — Czuję, że część ciężaru z moich barków unosi się i przemieszcza na ramiona Gale'a.

— Uważam, że jesteś stuknięta, a mimo to pójdę z tobą — zapewnia mnie całkiem serio. Naprawdę jest zadowolony.

— Poradzimy sobie, wiem o tym. Wynośmy się stąd i nigdy nie wracajmy!

— Jesteś pewien? — dopytuję się. — Nie będzie łatwo, przecież zabieramy dzieci i w ogóle. Nie chcę zapuścić się z tobą dziesięć kilometrów w głąb lasu i usłyszeć, że...

— Jestem pewien. Jestem absolutnie, całkowicie i stuprocentowo pewien. — Pochyliła głowę i stykamy się czołami. Przyciąga mnie bliżej. Stał tak blisko ognia, że jego skóra, całe jego ciało promieniuje żarem z kominka. Zamykam oczy i pochłaniam ciepło Gale'a. Wdycham zapach wilgotnej od śniegu skóry, dymu i jabłek, aromat wszystkich zimowych dni, które spędziliśmy razem przed igrzyskami. Nie próbuję się odsunąć. Dlaczego miałabym to zrobić? Gale zniża głos do szeptu. — Kocham cię. Właśnie dlatego.

Nie potrafię przewidzieć takich chwil, to się dzieje zbyt szybko. W jednej sekundzie wyłuszczam plan ucieczki, a w następnej... muszę sobie radzić z czymś takim. Przychodzi mi do głowy chyba najgorsza możliwa odpowiedź.

— Wiem.

Brzmi to koszmarnie, jakbym zakładała, że nie potrafi zapanować nad miłością do mnie, chociaż ja nic do niego nie czuję. Gale chce się odsunąć, ale trzymam go i nie puszczam.

— Wiem! A ty... ty wiesz, ile dla mnie znaczysz. — To za mało, wyszarpuje się. — Gale, teraz nie potrafię o nikim myśleć w taki sposób. Jedyne, co mi zaprzęta umysł każdego dnia, każdej minuty na jawie od wylosowania Prim podczas dożynek, to strach, z którym muszę żyć i chyba nie ma we mnie miejsca na nic innego. Jeśli uda się nam dotrzeć gdzieś, gdzie jest bezpiecznie, może stanę się inna. Sama nie wiem.

Widzę, że usiłuje ukryć rozczarowanie.

— No dobrze, pójdziemy. Przekonamy się. — Ponownie odwraca się do ognia, w którym zaczynają się palić kasztany, i wyłuskuje je na palenisko. — Moja mama nie da się tak od razu przekonać.

Zakładam, że Gale mimo wszystko pójdzie. Radość jednak gdzieś znikła, w jej miejsce pojawiło się dobrze znane napięcie.

— Moja też nie. Będę musiała jej to jakoś wytłumaczyć, może zabrać ją na długi spacer. Musi zrozumieć, że w innym wypadku czeka nas śmierć.

— Zrozumie. Oglądałem z nią i z Prim spore fragmenty igrzysk. Nie odmówi ci — zapewnia mnie Gale.

— Oby. — Mam wrażenie, że w kilka sekund temperatura w domku spadła o dwadzieścia stopni. — Haymitch to będzie twardy orzech do zgryzienia.

— Haymitch? — Gale daje sobie spokój z kasztanami. — Jego chyba nie poprosisz, żeby z nami uciekł?

— Nie mam wyjścia, Gale. Nie mogę zostawić ani jego, ani Peety, bo obaj... — Urywam, widząc grymas niezadowolenia na jego twarzy. — Co się stało?

— Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że nasze grono będzie tak liczne — cedzi.

— Jeśli ich zostawimy, będą torturowani, żeby zdradzić, dokąd poszłam, a potem zginą w męczarniach.

— A co z bliskimi Peety? Oni na pewno nie pójdą. Szczerze mówiąc, zakład, że od razu popędziliby z donosem na nas, a Peeta na pewno jest dość bystry, żeby to wiedzieć. Co zrobisz, jeśli postanowi zostać?

Staram się mówić obojętnym tonem, ale łamie mi się głos.

— Wtedy zostanie.

— Jesteś gotowa iść bez niego? — upewnia się Gale.

— Tak, dla dobra Prim i mamy — deklaruje. — To znaczy, nie! Przekonam go, żeby zabrał się z nami.

— A ja? Byłabyś gotowa mnie zostawić? — Gale zaciska zęby i mruży oczy. — Gdybym nie zdołał przekonać mamy, żeby zimą zaciągnęła trójkę dzieci na pustkowie?

— Hazelle nie odmówi. Zrozumie, że ucieczka ma sens.

— A jeśli nie, Katniss? Co wtedy? — pyta wprost.

— Wówczas ją zmusisz, Gale. Wydaje ci się, że zmyślam? — Również podnoszę głos ze złości.

— Nie. Nie wiem. Może prezydent zwyczajnie tobą manipuluje. Zrozum, wyprawia ci wesele. Widziałaś, jak zareagował tłum w Kapitolu. Nie sądzę, żeby Snow mógł sobie pozwolić na zabicie ciebie albo Peety, bo niby jak by z tego wybrnął?

— Wątpię, żeby zaprzętał sobie głowę wyborem tortu weselnego, kiedy w Ósmym Dystrykcie trwa powstanie! — krzyczę.

Momentalnie żałuję, że to powiedziałam, chciałabym cofnąć wypowiedziane słowa. Gale reaguje błyskawicznie: na jego policzkach wykwitają rumieńce, w oczach pojawia się blask.

— W Ósemce wybuchło powstanie? — upewnia się przyciszonym głosem.

Postanawiam go uspokoić, stonować nastrój tak, jak to usiłowałam robić w dystryktach.

— Nie wiem, czy to naprawdę powstanie. Doszło tam do zamieszek. Ludzie wyszli na ulice... — tłumaczę.

Gale chwyta mnie za ramiona.

— Co widziałaś?

— Nic! Nic nie widziałam na własne oczy. Ale coś słyszałam. — Jak zwykle, mówię za mało i za późno. Daję za wygraną i postanawiam wyjawić Gale'owi całą prawdę. — Zobaczyłam coś w telewizorze burmistrza, coś, czego nie powinnam. Pokazywano tłum ludzi i pożary, Strażnicy Pokoju strzelali do demonstrantów, którzy walczyli... — Przygryzam wargę i usiłuję opisać, co widziałam, ale zamiast tego wypowiadam na głos słowa, które zzerają mnie od środka: — Gale, to moja wina. Wszystko przez to, co zrobiłam na arenie. Gdybym po prostu otruła się jagodami, nic złego by się nie stało. Peeta wróciłby do domu i normalnie żył, poza tym wszyscy inni też byłiby bezpieczni.

— Bezpieczni? I co mieliby zrobić z tym bezpieczeństwem? — pyta mnie łagodniejszym tonem. — Głodować? Pracować jak niewolnicy? Posyłać dzieci na dożynki? Nie skrzywdziłaś ludzi, tylko otworzyłaś przed nimi drzwi, i teraz muszą znaleźć w sobie dość odwagi, aby przekroczyć próg. W kopalniach mówi się już o walce, ludzie mają dość bezczynności. Nie widzisz, że w końcu coś się dzieje? Skoro w Ósmym Dystrykcie wybuchło powstanie, to dlaczego nie tutaj? Dlaczego nie wszędzie? To może być to, na co wszyscy...

— Przestań! Nie wiesz, co mówisz. Strażnicy Pokoju spoza Dwunastki w niczym nie przypominają Dariusza ani nawet Craya! Ludzkie życie znaczy dla nich tyle co nic! — tłumaczę wzburzona.

— Właśnie dlatego musimy się przyłączyć do walki — odpowiada szorstko.

— Nie! Powinniśmy uciec, zanim nas zabiją, a wraz z nami mnóstwo innych ludzi! — Znowu krzyczę, bo nie rozumiem, dlaczego Gale tak się zachowuje. Czemu nie widzi tego, co oczywiste?

Brutalnie odsuwa mnie od siebie.

— Zatem ruszaj, droga wolna. Ja nie pójdę, nawet za milion lat.

— Jeszcze parę minut temu byłeś taki szczęśliwy, że razem uciekniemy. Nie rozumiem, dlaczego powstanie w Ósmym Dystrykcie ma dla ciebie takie znaczenie. Przecież tym bardziej powinno nas skłaniać do ucieczki! Po prostu jesteś wściekły z powodu... — Nie, nie mogę wykorzystywać Peety jako argumentu. — Co z twoją rodziną?

— Katniss, a co z innymi rodzinami? Tymi, które nie mogą uciec? Nie rozumiesz? Już nie chodzi tylko o to, żebyśmy uratowali własną skórę. Jeżeli wybuchło powstanie, wszystko się zmieniło! — Gale kręci głową, nawet nie próbuje ukryć niesmaku, który w nim budzę. — Mogłabyś osiągnąć tak dużo. — Ciska mi pod nogi rękawice Cinny. — Zmieniłem zdanie. Nie chcę niczego, co wyprodukowano w Kapitolu. — Odwraca się i wychodzi.

Spoglądałam na rękawice. Niczego, co wyprodukowano w Kapitolu? Miał na myśli mnie? Czyżby uważał, że jestem tylko kolejnym kapitolinśkim produktem i dlatego należy mnie unikać? Jego niesprawiedliwość budzi we mnie wściekłość, ale i strach. Jakiego szaleństwa może się teraz dopuścić Gale?

Spragniona pociechy, siadam przy palenisku i zastanawiam się, co dalej. Powtarzam sobie, że powstania nie wybuchają z dnia na dzień i że Gale nie porozmawia z górnikami aż do jutra. Gdybym teraz zdążyła do Hazelle, może udałoby się jej przemówić mu do rozumu. Teraz jednak nie mogę do niej iść, bo Gale nie wpuści mnie do środka, jeżeli jest już w domu. Może spróbuję nocą, kiedy wszyscy zasną... Hazelle często pracuje do późna, żeby wyrobić się z praniem. Mogłabym się podkraść, zastukać w okno i wtajemniczyć ją w sytuację, żeby powstrzymała Gale'a przed popełnieniem głupstwa.

Przypominam sobie rozmowę z prezydentem Snowem.

— Moi doradcy wyrazili obawę, że będziesz sprawiała kłopoty, ale przecież nie zamierzasz utrudniać mi życia, prawda? — pyta.

— Nie, nie zamierzam.

— To im właśnie powiedziałem. Ze dziewczyna, która zrobiła wszystko, żeby przeżyć, na pewno nie ściągnie sobie na głowę śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Myślę o tym, jak ciężko pracowała Hazelle, żeby utrzymać najbliższych przy życiu. W tej sprawie niewątpliwie stanie po mojej stronie. A jeśli nie?

Z pewnością dochodzi już południe, a dni są bardzo krótkie. Nie ma sensu przebywać w lesie po zmroku, jeżeli można tego uniknąć. Udeptuję dogasający ogień, zbieram resztki jedzenia i zatykam rękawice Cinny za pas. Chyba zatrzymam je przy sobie na pewien czas, przecież Gale może zmienić zdanie. Wspominam jego minę, kiedy rzucał rękawice na ziemię. Czuł wstręt do nich, do mnie...

Przedzierałam się przez las i jeszcze przed zachodem słońca dochodzę do mojego poprzedniego domu. Rozmowa z Galem zakończyła się oczywistym niepowodzeniem, ale mimo to jestem zdecydowana wcielić w życie plan ucieczki z Dwunastego Dystryktu. Postanawiam odszukać Peetę. To dziwne, ale ponieważ podczas tournée oboje byliśmy świadkami pewnych zdarzeń, z nim pójdzie mi zapewne łatwiej niż z Galem. Wpadam na niego, kiedy opuszcza Wioskę Zwycięzców.

— Wracasz z polowania? — pyta. Od razu widać, że uważa to za kiepski pomysł.

— Niezupełnie. Idziesz do miasta?

— Tak. Mam zjeść kolację z rodziną — wyjaśnia.

— Przynajmniej mogę cię odprowadzić. — Droga z Wioski Zwycięzców na plac jest rzadko uczęszczana, więc można na niej rozmawiać bez większych obaw, nie potrafię jednak wykrztusić ani słowa. Propozycja ucieczki, którą złożyłam Gale'owi, okazała się katastrofą. Przygryzam splekaną wargę. Z każdym krokiem przybliżamy się do placu i zapewne nieprędko nadarzy się następna sposobność. Biorę głęboki oddech i wyrzucam z siebie pospiesznie:

— Peeta, zgodziłbyś się, gdybym cię poprosiła, żebyś uciekł ze mną z dystryktu?

Chwyta mnie za rękę, zatrzymuje. Nie musi mi patrzeć w twarz, aby się upewnić, że nie żartuję.

— Zależy od powodu, dla którego byś mnie poprosiła.

— Nie udało mi się przekonać prezydenta Snowa. W Ósmym Dystrykcie wybuchło powstanie. Musimy uciekać — tłumaczę.

— Musimy? Masz na myśli tylko siebie i mnie? Nie. Kto jeszcze idzie?

— Moja rodzina, twoi bliscy, jeśli zechcą. Może Haymitch — wyliczam.

— A co z Galem?

— Tego nie wiem. Może mieć inne plany.

Peeta kręci głową i uśmiecha się do mnie z rezygnacją.

— Tak, na pewno. Jasne, Katniss, oczywiście, że pójdę.

Czuję, że powoli wraca mi nadzieja.

— Naprawdę?

— Tak. Ale szczerze wątpię, czy naprawdę uciekniesz — dodaje.

Wyszarpuję rękę z jego uścisku.

— W takim razie mnie nie znasz. Bądź gotowy, możemy wyruszyć w każdej chwili.

— Idę dalej, a on podąża krok lub dwa za mną.

— Katniss — mówi, ale nie zwalniam. Jeżeli uważa, że wpadłam na kiepski pomysł, to wołę o tym nie wiedzieć, bo innego nie mam. — Katniss, zaczekaj. — Kopię brudną, zamrzniętą bryłę śniegu, która wala się po ścieżce, i zwalniam, żeby Peeta mnie dogonił. Wszechobecny węglowy pył sprawia, że wszystko wygląda wyjątkowo brzydko. — Naprawdę pójdę, jeśli tego chcesz. Po prostu moim zdaniem lepiej będzie wcześniej porozmawiać z Haymitchem. Powinniśmy się upewnić, że nie pogarszamy sytuacji. — Unosi głowę. — Co to?

Ja też ją unoszę. Do tego stopnia skupiłam się na własnych problemach, że nie zwróciłam uwagi na niepokojący hałas, który dobiega z placu. Świst, odgłos uderzenia, głęboki pomruk tłumu.

— Chodź — mówi Peeta, a jego twarz nagle tężeje. Nie wiem dlaczego. Nie rozpoznaję tych dźwięków, nawet się nie domyślam, co się dzieje na placu. On jednak kojarzy to z czymś bardzo złym.

Na miejscu napotykam zwartą ścianę ludzi, którzy całkowicie zasłaniają nam widok. Peeta wskakuje na skrzynkę pod ścianą cukierni, podaje mi rękę i jednocześnie wodzi wzrokiem dookoła. Jestem w połowie drogi, kiedy nagle mnie powstrzymuje.

— Zejdz. Idź stąd! — szepcze chrapliwie, nieustępliwym głosem.

— Co? — zdumiewam się i wypycham się na górę.

— Katniss, wracaj do domu! Za moment do ciebie przyjdę, przysięgam! — zaklina się.

Cokolwiek zobaczył, z pewnością jest to coś strasznego. Wyszarpuję rękę z jego uścisku i zaczynam się przepychać przez tłum. Ludzie mnie widzą, rozpoznają moją twarz, wyglądają na spanikowanych. Czyjeś dłonie mnie odpychają, obce głosy syczą.

— Odejdź stąd, dziewczyno.

— Tylko pogorszysz sytuację.

— Co chcesz zrobić? Doprowadzić do jego śmierci?

Serce wali mi tak szybko i gwałtownie, że prawie ich nie słyszę. Cokolwiek ujrzę na środku placu, z pewnością ma to związek ze mną. Gdy w końcu przebijam się na przód tłumu, widzę, że mam rację. Peeta też miał słuszość, zebrani ludzie także.

Gale ma ręce przywiązane do drewnianego słupa. Nad jego głową wisi z gwoździem w szyi dziki indyk, którego wcześniej ustrzelił. Kurtka Gale'a leży obok, koszula jest rozdarta. Nieprzytomny zwisa z kolanami na ziemi, podtrzymywany wyłącznie przez sznur na nadgarstkach. Jego plecy zmieniły się w krwawy ochłap surowego mięsa.

Za Galem stoi człowiek, którego nigdy nie widziałam, ale rozpoznaję jego mundur. W takim uniformie chodzi nasz Główny Strażnik Pokoju, ale zamiast starego Craya pojawił się wysoki muskularny mężczyzna z ostrymi kantami na spodniach. Nie całkiem pojmuję sytuację, aż do chwili, gdy nieznajomy unosi bat.

— Nie! — wrzeszczę i skaczę naprzód. Jest już za późno na to, żebym powstrzymała opadającą rękę, poza tym instynktownie wiem, że nie wystarczy mi siła do zablokowania ciosu. Rzucam się prosto między bat a Gale'a i wyciągam rękę, chcąc jak najbardziej osłonić jego zmasakrowane ciało. Nic nie osłabia siły ciosu, przyjmuję uderzenie lewą stroną twarzy. Ból jest oślepiający i gwałtowny. Światło błyska mi przed oczami, kiedy padam na kolana i przyciskam dłoń do policzka. Drugą opieram się o ziemię, żeby nie upaść. Czuję, że na moim po-

liczku wyrasta gruba pręga, a opuchlizna zasłania oko. Kamienie brukowe są mokre od krwi Gale'a, w powietrzu unosi się ciężka, żelazista woń.

— Przestań! Zabijesz go! — skrzeczę.

Spoglądam oprawcy w twarz, surową, zrytą głębokimi zmarszczkami. Zaciska usta. Jego siwe włosy są ostrzyżone tuż przy skórze, a oczy mają tak ciemny kolor, jakby składały się wyłącznie ze źrenic. Długi, prosty nos poczerwieniał mu na mrozie. Potężne ramię znowu się unosi, mężczyzna wpatruje się we mnie. Machinalnie sięgam ręką do ramienia, pragnę dobyć strzały, ale broń, rzecz jasna, leży ukryta w lesie. Zaciskam zęby, przygotowuję się na następny cios.

— Dość! — rozbrzmiewa agresywny głos. Podchodzi Haymitch i potyka się o Strażnika Pokoju, który leży na ziemi. To Darius. Spod rudych włosów na jego czole wystaje ogromny, fioletowy guz. Darius jest nieprzytomny, ale nadal oddycha. Co się stało? Czyżby próbował przyjść Gale'owi z pomocą, zanim tutaj dotarłam?

Haymitch nie zwraca uwagi na powalonego Dariusza i jednym szarpnięciem stawia mnie na nogi.

— No pięknie — burczy i palcami podnosi moją brodę. — W przyszłym tygodniu ma umówioną sesję zdjęciową w sukniach ślubnych. Co teraz powiem jej stylistyce?

W oczach mężczyzny z batem dostrzegam błysk zrozumienia. Jestem otulona w ciepłą odzież, bez makijażu, warkocz luźno wepchnęłam pod palto. Nie tak łatwo rozpoznać we mnie zwyciężczynię ostatnich Głodowych Igrzysk, zwłaszcza że połowa twarzy silnie mi puchnie. Na szczęście Haymitch od lat pojawia się w telewizji i trudno go zapomnieć.

Oprawca opiera bat o biodro.

— Zakłóciła wymierzanie kary przestępcy, który przyznał się do winy.

Ten mężczyzna pod każdym względem kojarzy mi się z nieznanym, śmiertelnym zagrożeniem. Ma władczy głos, obcy akcent... Skąd przybył? Z Jedenastego Dystryktu? Z Trójki? Z samego Kapitolu?

— Nic mnie to nie obchodzi! Mogłaby nawet wysadzić w powietrze cholerny Pałac Sprawiedliwości! Patrz na jej policzki! Myślisz, że za tydzień będzie się nadawał do pokazania w telewizji? — warczy Haymitch.

Nieznamy nadal mówi lodowatym tonem, ale w jego głosie wyczuwam ledwie słyszalne wahanie.

— To nie mój problem.

— Nie? Zatem wkrótce nim będzie, przyjacielu. Po powrocie do domu od razu dzwonię do Kapitolu — odgraża się Haymitch. — Zaraz się dowiem, kto ci dał prawo kaleczenia ślicznej buzi mojej zwyciężczyni.

— Ukarany kłusował. Właściwie co jej do tego? — Obcy traci zimną krew.

— To jej kuzyn. — Peeta łagodnie bierze mnie pod rękę. — A ja jestem jej narzeczoną, więc jeśli chcesz się z nim rozprawić, najpierw musisz załatwić nas oboje.

Może właśnie o to chodzi. Jesteśmy jedynymi osobami na placu, które mogą się postawić, jednak nasza przewaga jest chwilowa. Musimy się liczyć z reperkusjami, ale w tej chwili ważne jest dla mnie wyłącznie utrzymanie Gale'a przy życiu. Nowy Główny Strażnik Pokoju zerka na brygadę pomocniczą, a ja z ulgą rozpoznaję znajome twarze starych przyjaciół z Ćwieka. Z ich min wnioskuję, że niespecjalnie dobrze się bawią na tym widowisku. Jedną ze strażniczek, Purnia, która regularnie jada u Śliskiej Sae, sztywno występuje z szeregu.

— Sądzę, że winnemu została już wymierzona liczba uderzeń należna za pierwsze przestępstwo, panie dowódcu — oznajmia. — Chyba że wydał pan wyrok śmierci, który wykonuje pluton egzekucyjny.

— Czy to standardowa procedura w tym dystrykcie? — waha się Główny Strażnik.

— Tak jest, panie dowódcu — potwierdza Purnia, a kilku innych strażników kiwa głowami. Jestem pewna, że żaden z nich nie ma o tym pojęcia, bo w przypadku upolowania dzikiego indyka standardowa procedura nakazuje wszystkim licytować się o udka.

— Dobrze zatem. Dziewczyno, zabierz stąd kuzyna. Kiedy odzyska świadomość, poinformuj go, że stanie przed plutonem egzekucyjnym, jeśli jeszcze raz pójdzie kłusować na ziemiach Kapitolu. Osobiście tego dopilnuję. — Główny Strażnik wyciera dłonią cały bat i przy okazji opryskuje nas krwią. Potem sprawnie zwija go w pierścienie i odchodzi. Większość strażników rusza za nim w niedbałym szyku, pozostaje tylko mała grupka, która podnosi Dariusza za ręce i nogi. Podchwytuję spojrzenie Purnii i bezgłośnie wypowiadam jedno słowo: „Dzięki”. Nie reaguje, ale jestem pewna, że zrozumiała.

— Gale. — Odwracam się i nerwowo szarpnię węzły przy jego nadgarstkach. Ktoś wyciąga nóż, Peeta przecina sznur, a Gale osuwa się na ziemię.

— Najlepiej będzie zanieść go do twojej matki — sugeruje Haymitch.

Nie mamy noszy, ale staruszka przy stoisku z odzieżą sprzedaje nam szeroką deskę, której używa jako ludy.

— Tylko nie mówcie nikomu, skąd ją macie — prosi i pospiesznie pakuje resztę towaru. Plac prawie całkiem opustoszał, strach okazał się silniejszy niż współczucie. Po tym, co się stało, trudno mi winić tych ludzi.

Kładziemy Gale'a na brzuchu i okazuje się, że pozostała tylko garstka osób gotowych dźwigać prowizoryczne nosze: Haymitch, Peeta i jeszcze dwóch górników z brygady, w której pracuje Gale. Leevy, dziewczyna ze Złożyska, mieszkająca nieopodal naszego starego domu, chwyta mnie za ramię. W ubiegłym roku mama uratowała życie jej młodszemu bratu, kiedy zachorował na odrę.

— Odprowadzić was? — W jej szarych oczach dostrzegam strach, lecz także determinację.

— Nie trzeba, ale czy mogłabyś sprowadzić Hazelle? Przysłać ją do nas?

— Jasne — zgadza się Leevy i odwraca na pięcie.

— Leevy! — zatrzymuję ją. — Niech nie przyprowadza dzieci.

— Jasne, sama z nimi zostanę — deklaruje.

— Dzięki. — Chwytam kurtkę Gale'a i szybko ruszam za pozostałymi.

— Przyłóż sobie śnieg do twarzy — rzuca Haymitch przez ramię. Podnoszę zimną breję i przyciskam ją do policzka, żeby choć trochę zagłuszyć ból. Z lewego oka ciurkiem płyną łzy, więc w gasnącym świetle pozostaje mi tylko podążać za butami, które widzę tuż przed sobą. Po drodze słucham, jak Bristel i Thom, koledzy Gale'a z kopalni, rekonstruuja zajście. Gale najwyraźniej poszedł do domu Craya, jak to robił setki razy, bo Cray zawsze dobrze płacił za dzikiego indyka, ale na miejscu zastał nowego Głównego Strażnika Pokoju. Górnicy słyszeli, jak ktoś mówił, że nazywa się Romulus Thread. Nikt nie wie, jaki los spotkał Craya. Dzisiaj rano kupował bimber na Cwieku i najwyraźniej wtedy jeszcze piastował swoje stanowisko, ale teraz nigdzie nie można go znaleźć. Thread z miejsca zaarrestował Gale'a, który niewiele miał na swoją obronę, bo przecież zjawił się z martwym indykiem w dłoni. Wieść o wpadce rozeszła się błyskawicznie. Gale trafił na plac, Thread zmusił go do przyznania się, a następnie skazał na karę chłosty ze skutkiem natychmiastowym. Kiedy się zjawiłam, Gale dostał już co najmniej czterdzieści batów, a stracił przytomność około trzydziestego.

— Miał chłopak szczęście, że przyniósł tylko indyka — mówi Bristel. — Gdyby przydźwigał to, co zwykle, byłoby z nim znacznie gorzej.

— Tłumaczył, że zobaczył ptaka błakającego się po Złożysku. Mówił, że indyk przeskoczył przez ogrodzenie, więc go dogonił i zatłukł kijem. Tak czy owak, przestępstwo. Gdyby wiedzieli, że poszedł do lasu z bronią, zabiliby go jak amen w pacierzu — podsumowuje Thom.

— A co zrobił Darius? — odzywa się Peeta.

— Po jakimś dwudziestym bacie podszedł i powiedział, że wystarczy. Tyle że nie zrobił tego grzecznie i regulaminowo, jak Purnia, tylko od razu złapał Threada za rękę, na co ten zdzielił go w głowę trzonkiem bata. Marny los go czeka — oznajmia Bristel.

— Wygląda na to, że marny los czeka nas wszystkich — zauważa Haymitch.

Zaczyna sypać śnieg, gęsty i ciężki od wilgoci, przez co już prawie nic nie widzę. Niepewnie idę za innymi, potykam się na ścieżce do domu. Bardziej ufam uszom niż oczom. Kiedy drzwi się otwierają, złociste światło rozjaśnia śnieg i na progu staje mama. Bez wątpienia czekała na mnie po długim dniu niczym niewyjaśnionej nieobecności.

— Nowy Główny — wita ją Haymitch, a ona bez słowa kiwa głową, jakby nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień.

Jak zwykle obserwuję z podziwem jej przemianę z kobiety, która wzywa mnie do zabicia pająka, w kobietę, która nie zna strachu. Moim zdaniem mama wie, kim jest naprawdę tylko wówczas, kiedy w jej domu znajduje się chory lub umierający człowiek. W jednej chwili z długiego, kuchennego stołu znikają wszystkie przedmioty i pojawia się na nim sterylnie biały obrus, na który trafia Gale. Mama nalewa do miski wody z czajnika i jednocześnie każe Prim wyciągnąć z apteczki zestaw lekarstw, czyli suszone zioła, nalewki i kupione w sklepie butelki. Patrzę na jej dłonie, na smukłe, delikatne palce, którymi zgniata i wsypuje do miski jedno, wkrapia drugie, a następnie zanurza w gorącej miksturze ręcznik i każe Prim przygotować następną napar. Zerka na mnie.

— Masz uszkodzone oko?

— Nie, tylko spuchło mi tak, że nic nie widzę — wyjaśniam.

— Przyłóż więcej śniegu — ordynuje, ale to jasne, że moja przypadłość nie jest najważniejsza.

— Dasz radę go uratować? — niepokoję się. Nie odpowiada. W milczeniu wyżyma ręcznik i przytrzymuje go w powietrzu, żeby nieco ostygł.

— Nie martw się — pociesza mnie Haymitch. — Przed Crayem mieliśmy tutaj jedną chłostę za drugą. Rannych zawsze przynosiliśmy do niej.

Nie pamiętam czasów sprzed Craya, kiedy Główny Strażnik Pokoju bez żadnych skrupułów batożył ludzi. Mama musiała być mniej więcej w moim wieku i pracowała w aptece ze swoimi rodzicami. Z pewnością już wtedy miała ręce uzdrowicielki. Wyjątkowo delikatnie zabiera się do oczyszczania zmasakrowanych pleców Gale'a. Czuję się fatalnie, mam wrażenie, że jestem zbędna. Woda z topniejących resztek śniegu spływa z mojej rękawiczki na podłogę, gdzie tworzy kałużę. Peeta sadza mnie na krześle i przykłada mi do policzka ściereczkę ze świeżym śniegiem. Haymitch mówi Bristelowi i Thomowi, żeby wracali do domu. Zauważam, że na pożegnanie wciska im do rąk monety.

— Nie wiadomo, co się stanie z waszą brygadą — wyjaśnia, a oni kiwają głowami i przyjmują pieniądze.

Wkrótce przychodzi Hazelle, zadyszana i zarumieniona, z płatkami śniegu we włosach. Bez słowa siada na taborecie przy stole, bierze Gale'a za rękę i przyciskają do ust. Mama nawet nie zauważa jej przybycia. Wkroczyła na teren zamkniętej strefy, dostępnej wyłącznie dla niej, dla pacjenta i sporadycznie dla Prim. My, wszyscy pozostali, możemy tylko czekać. Mimo jej ogromnego doświadczenia trwa to długo. Mama bardzo starannie przemywa rany, poprawia rozszarpaną skórę, której skrawki jeszcze da się uratować, nakłada maść i owija plecy cienkim bandażem. Spod ręcznika wyłaniają się ślady po uderzeniach bata, a ich widok potęguje ból w prędcie na mojej twarzy. Wyobrażam sobie, jak bardzo bym cierpiała po dwóch, trzech, czterdziestu ciosach, i mam nadzieję, że Gale jeszcze długo nie odzyska świadomości. Rzecz jasna, tak nie jest — kiedy mama kończy wiązać bandaże, Gale cicho jęczy. Hazelle głaszcze go po włosach i coś szepcze, a mama i Prim przeglądają mizerne zapasy środków przeciwbólowych, którymi zazwyczaj dysponują jedynie lekarze. Preparaty są trud-

no osiągalne, kosztowne i rozchwytywane. Najsilniejsze z nich mama musi oszczędzać dla najbardziej cierpiących, tylko jak ocenić, czyj ból jest najgorszy? Dla mnie każdy jest okropny. Gdyby to ode mnie zależało, lekarstwa rozeszłyby się w jeden dzień, bo nie potrafię znieść widoku cierpienia. Mama stara się oszczędzać je dla umierających, żeby złagodzić im ostatnią drogę.

Ponieważ Gale odzyskuje przytomność, mama i Prim postanawiają podać mu ziołowy wywar do wypicia.

— To za mało — nie wytrzymuję, a one spoglądają na mnie uważnie. — To nie wystarczy, przecież wiem, co on czuje. Ten wywar z trudem tłumi ból głowy.

— Połączymy go z syropem nasennym, Katniss, i Gale jakoś sobie poradzi. Zioła działają przeciwwzajemnie... — tłumaczy mama spokojnie.

— Daj mu lekarstwo! — wrzeszczę na nią. — Natychmiast! Za kogo ty się uważasz? Jak możesz oceniać, ile bólu zniesie?

Gale obraca się pod wpływem mojego głosu, usiłuje wyciągnąć do mnie rękę. Przez to na bandażach pojawiają się nowe plamy krwi, a z jego ust wydobywa się bolesny krzyk.

— Wyprowadźcie ją — mówi mama, a Haymitch i Peeta dosłownie wynoszą mnie z pokoju, kiedy wyrzaskuję ordynarne obelgi pod jej adresem. Siłą kładą mnie na łóżku w jednej z wolnych sypialni i przytrzymują tak długo, aż w końcu przestają się szamotać. Kiedy leżę i szlocham, a łyż z trudem przeciskają się przez szparę w zapuchniętym oku, słyszę, jak Peeta szeptem opowiada Haymitchowi o prezydencie Snowie i o powstaniu w Ósmym Dystrykcie.

— Katniss chce, żebyśmy wszyscy uciekli — wyjaśnia, ale jeśli Haymitch ma swoje zdanie na ten temat, zachowuje je dla siebie.

Po pewnym czasie do pokoju zagląda mama i pochyla się nade mną. Opatruje mi twarz, a potem bierze mnie za rękę i głaszcze. Haymitch informuje ją, co się stało Gale'owi.

— Wszystko zaczyna się od początku? — wzdycha mama. — Będzie tak jak dawniej?

— Na to wygląda — potakuje Haymitch. — Kto by pomyślał, że kiedyś będzie nam smutno bez starego Craya?

I tak nikt nie lubiłby Craya ze względu na mundur, który nosił, ale mieszkańcy dystryktu powszechnie go nienawidzili, bo miał zwyczaj pieniędzmi wabić do łóżka młode, głodujące dziewczyny. W najcięższych czasach najgłodniejsze gromadziły się o zmierzchu pod jego drzwiami, żeby sprzedać mu się i za kilka otrzymanych monet wykarmić rodzinę. Gdybym była starsza w chwili śmierci ojca, być może dołączyłabym do ich grona. Zamiast tego nauczyłam się polować.

Nie całkiem rozumiem, co takiego ma się zacząć od początku, ale jestem zbyt zła i obolała, by poprosić mamę o wyjaśnienia. Mój umysł najwyraźniej rejestruje perspektywę powrotu gorszych czasów, bo na dźwięk dzwonka u drzwi błyskawicznie zrywam się z łóżka. Kto przychodzi o tak późnej porze? Odpowiedź jest oczywista. Strażnicy Pokoju.

— Nie dostaną go — cedzę.

— Mogą szukać ciebie — przypomina mi Haymitch.

— Albo pana — zauważam.

— To nie mój dom. Ale pójdę otworzyć.

— Nie, ja otworzę — ucina mama cicho.

Ostatecznie wszyscy idziemy za nią korytarzem do drzwi i natarczywego dzwonka. Mama naciska klamkę, ale na progu nie zastajemy strażników, tylko postać drobnej, przyprószonej śniegiem Madge. Podaje mi małe, mokre od wilgoci pudełko z kartonu.

— To dla twojego przyjaciela — wyjaśnia. Uchylam wieczko i widzę sześć ampułek z przezroczystym płynem. — Od mojej mamy, powiedziała, że mogę je zabrać. Podajcie mu je, proszę. — Pośpiesznie znika w zadymce, żebyśmy nie zdołali jej zatrzymać.

— Stuknięta dziewczyna — mamrocze Haymitch, gdy idziemy za mamą do kuchni.

Miałam rację, mimo środków mamy Gale strasznie cierpi. Leży z zaciśniętymi zębami, jego skóra lśni od potu. Mama napełnia strzykawkę przezrystym środkiem z jednej z ampulek i wbija mu igłę w ramię, a twarz Gale'a niemal natychmiast zaczyna się odprężać.

— Co to takiego? — chce wiedzieć Peeta.

— Lekarstwo z Kapitolu. Nazywa się morfalina — odpowiada mama.

— Nawet nie wiedziałem, że Madge zna Gale'a — oświadcza Peeta.

— Sprzedawaliśmy jej poziomki — oświadczam niemal ze złością. Co mnie tak irytuje? Na pewno nie to, że przyniosła lekarstwo.

— Musiały ogromnie przypaść jej do gustu — zauważa Haymitch.

Już wiem, co mnie drażni. Nie podoba mi się sugestia, że Gale'a i Madge coś łączy.

— To moja przyjaciółka — mówię zwięźle.

Teraz kiedy Gale uspokoił się po lekarstwie, napięcie opada, i Prim podaje wszystkim gulasz z chlebem. Proponujemy nocleg Hazelle, ale musi wrócić do domu, żeby zająć się pozostałymi dziećmi. Haymitch i Peeta chętnie by zostali, ale mama nalega, żeby poszli do siebie i się przespali. Wie, że nie ma sensu posyłać mnie do łóżka, więc pozwala mi zostać przy Gale'u, a sama razem z Prim idzie odpocząć.

Jestem w kuchni, z Galem. Trzymam go za rękę, siedząc na stołku Hazelle. Po pewnym czasie przysuwam palce do jego twarzy i dotykam tych miejsc, których dotąd nie miałam powodu dotykać. Głaszczę go po gęstych, ciemnych brwiach, po policzku, nosie, jabłku Adama, sunę opuszkami po zarostie na jego szczęce, a w końcu docieram do ust. Są miękkie i pełne, lekko spękane. Jego oddech ogrzewa moją wychłodzoną skórę.

Czy wszyscy wyglądają młodziej, kiedy śpią? W tej chwili Gale mógłby być chłopcem, na którego przed laty natknęłam się w lesie i który oskarżył mnie o kradzież zwierzyny z jego sideł. Była z nas nie lada para: oboje bez ojców, wystraszeni, ale zarazem całkowicie zdeterminowani, aby utrzymać rodziny przy życiu. Odtąd byliśmy gotowi na wszystko, ale już nie samotni, bo odnaleźliśmy siebie. Rozmyślałam o czasie spędzonym w lesie, leniwych popołudniach przy wędce, o dniu, w którym nauczyłam go pływać. Pamiętam, jak rozwalłam sobie kolano i Gale zaniósł mnie do domu. Polegaliśmy na sobie, wspieraliśmy się, nawzajem dodawaliśmy sobie otuchy.

Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że mogłabym odwrócić sytuację. Wyobrażam sobie, jak podczas dożynek Gale zgłasza się na ochotnika, aby zastąpić Rory'ego. Znikłby wówczas z mojego życia, a żeby ocalić skórę, zostałby kochankiem jakiejś obcej dziewczyny, a potem wrócił z nią do domu, zamieszkał w jej sąsiedztwie i obiecał wziąć z nią ślub. Nienawiść, którą czuję do Gale'a, do tej nieistniejącej dziewczyny i wszystkiego, jest tak silna, że aż brakuje mi tchu. Gale jest mój, ja należę do niego. Inaczej być nie może. Dlaczego widzę to dopiero teraz, kiedy niemal stracił życie przez chłostę?

Dlatego, że jestem samolubna i tchórzliwa. Teraz, kiedy mogłabym się do czegoś przydać, jestem gotowa uciec, aby ratować własną skórę i zostawić na pewną śmierć i katorgę tych, którzy nie są w stanie ze mną wyruszyć. Taką dziewczynę Gale spotkał dzisiaj w lesie.

Nic dziwnego, że zwyciężyłam w igrzyskach. Przyzwoici ludzie nigdy ich nie wygrywają. Uratowałam Peetę, przypominam sobie bez przekonania. Teraz powątpiewam nawet w to. Doskonale wiedziałam, że moje życie w Dwunastym Dystrykcie stałoby się nie do zniesienia, gdybym pozwoliła mu umrzeć.

Opieram głowę o róg stołu i zmagam się z falą nienawiści do siebie. Żałuję, że nie zginęłam na arenie. Jak to ujął prezydent Snow: szkoda, że Seneca Crane nie stał mnie na prochu, kiedy wyciągnęłam jagody.

Jagody. Dociera do mnie, że w tej garści trujących owoców kryje się odpowiedź na pytanie, kim naprawdę jestem. Jeżeli wyciągnęłam je, żeby uratować Peetę, bo wiedziałam, że spotkam się z potępieniem, wróciwszy bez niego, to jestem godna pogardy. Jeśli wyciągnęłam je z miłości, to znak, że jestem samolubna, ale można mi to wybaczyć. Ale jeżeli wyciągnę-

łam je, żeby postawić się Kapitolowi, to jestem coś warta. Problem w tym, że w tej chwili nie bardzo wiem, co mną wtedy powodowało.

Czyżby mieszkańcy dystryktów mieli słuszość? Czy to możliwe, że dopuściłam się buntu, choćby nawet nieświadomie? Przecież w głębi duszy muszę wiedzieć, że sama ucieczka nie wystarczy, aby ocalić mnie, moich bliskich i przyjaciół. Nawet gdyby się powiodła, nic by się nie zmieniło. Ludzie nadal byłiby krzywdzeni tak jak dzisiaj Gale. Życie w Dwunastym Dystrykcie w gruncie rzeczy niewiele się różni od zmagania na arenie. W pewnym momencie trzeba przestać uciekać, odwrócić się i stawić czoło tym, którzy pragną twojej śmierci. Najtrudniej jest znaleźć w sobie odwagę. Gale nie miałaby z tym trudności, to urodzony buntownik, ja jednak wolę szykować się do ucieczki.

— Strasznie mi przykro — szepczę i pochylam się, żeby go pocałować.

Mruga powiekami i spogląda na mnie wzrokiem mglistym od opiatów.

— Cześć, Kotna.

— Cześć, Gale — odpowiadam.

— Myślałem, że jesteś już daleko.

Wybór jest prosty. Albo zginę w lesie, jak zaszczuta zwierzyna, albo umrę tu, u boku Gale'a.

— Nigdzie się nie wybieram. Zostanę, żeby napsuć wszystkim krwi.

— Ja też. — Gale uśmiecha się z wysiłkiem i w następnej chwili lekarstwo ponownie odbiera mu świadomość.

Ktoś potrząsa moim ramieniem, a ja się prostuję. Zasnąłam z twarzą na stole, fałdy białego obrusa odcisnęły się na moim zdrowym policzku. Drugi, na który spadł bat Threada, boleśnie pulsuje. Gale wydaje się martwy dla świata, ale jego palce mocno ściskają moją dłoń. Wyczuwam aromat świeżo upieczonego chleba, poruszam zeszywniałą szyją, aby obrócić głowę, i widzę nad sobą Peetę. Patrzy na mnie z wielkim smutkiem. Mam wrażenie, że przygląda się nam od dłuższego czasu.

— Idź do łóżka, Katniss — odzywa się. — Teraz ja się nim zajmę.

— Peeta. Jeśli chodzi o to, co mówiłam wczoraj, o ucieczce... — zaczynam.

— Wiem — przerywa mi. — Nie musisz wyjaśniać.

W bladym, śnieżnym świetle poranka dostrzegam bochenki chleba ułożone na blacie. Peeta ma sine cienie pod oczami, ciekawe, czy w ogóle spał tej nocy. Jeśli już, to na pewno krótko. Myślę o tym, że wczoraj wieczorem zgodził się iść ze mną, potem stanął u mojego boku w obronie Gale'a, był gotów całkowicie złączyć swój los z moim, choć tak niewiele dałam mu w zamian. Niezależnie od tego, co postanowię, kogoś skrzywdzę.

— Peeta...

— Idź spać, dobrze? — nalega.

Po omacku wdrapuję się na piętro, wpełzam do łóżka i momentalnie zasypiam. W pewnym momencie do mojego snu wdzierają się Clove, dziewczyna z Drugiego Dystryktu. Goni mnie, przygniata do ziemi i dobywa noża, żeby pokaleczyć mi twarz. Ostrze głęboko przecina mój policzek, tworząc szeroką ranę, a wtedy Clove zaczyna się przeobrażać. Jej twarz się wydłuża i zmienia w pysk, skórę porasta ciemne futro, paznokcie rosną i przekształcają w długie pazury. Tylko oczy pozostają niezmienione. Clove staje się zmutowaną wersją siebie, wilkoksztalnym stworem z Kapitolu, takim jak te, które usiłowały nas zabić ostatniej nocy na arenie. Odrzuca łeb i wydaje z siebie donośne, upiorne wycie, podchwyczone przez krążące nieopodal inne zmiechy, a potem zabiera się do chłeptania krwi z mojej rany. Każde liźnięcie wywołuje nową falę bólu. Krzyczę zduszonym głosem i budzę się gwałtownie, zlana potem, chociaż cała się trzęsę. Przykładam dłoń do okaleczonego policzka i przypominam sobie, że nie Clove, lecz Thread zadał mi ranę. Chciałabym mieć przy sobie Peetę, który by mnie przytulił, ale przecież nie mogę już sobie tego życzyć. Wybrałam Gale'a oraz rebelię, a przyszłość z Peetą zaplanował Kapitol, nie ja.

Opuchlizna nieco zesza i mogę trochę odemknąć powiekę. Odsuwam zasłony i widzę, że zadymka się nasiliła, teraz na zewnątrz szaleje prawdziwa śnieżna burza. Świat znikł za białą ścianą, a wycie wiatru brzmi zaskakująco podobnie do ryku zmieszających.

Cieszę się ze śnieżnej burzy, to dar niebios. Bezlitosny wiatr i głębokie zaspy śniegu mogą skutecznie odstraszyć od moich drzwi wilki w ludzkiej skórze, Strażników Pokoju. Zyskuję kilka dni na przemyślenia, mogę opracować plan, a pomogą mi w tym Gale, Peeta i Haymitch. Zanim wkroczę w nowe życie, muszę poświęcić nieco czasu na przemyślenie, co to będzie oznaczało.

Jeszcze wczoraj byłam gotowa ruszyć z bliskimi na odludzie, nie zważając na to, że jest środek zimy, a Kapitol niemal na pewno wyśle za nami pogoń. Ucieczka była w najlepszym wypadku ryzykowna, teraz jednak porywam się na coś nieporównanie bardziej brawurowego. Walka z Kapitołem oznacza natychmiastowy odwet, w każdej chwili będzie mi groziło aresztowanie. Rozlegnie się pukanie do drzwi, takie jak wczoraj wieczorem, i banda Strażników Pokoju wyciągnie mnie z domu. Niewykluczone, że czekają mnie tortury, pewnie zostanę okaleczona. Jeśli będę miała szczęście, dostanę kulę w łeb na miejskim placu. Kapitolowi nie brakuje pomysłów na mordowanie ludzi. Wyobrażam je sobie i ogarnia mnie przerażenie, ale prawda jest taka, że to wszystko i tak kryło się głęboko w moim umyśle. Walczyłam na igrzyskach, groził mi prezydent, dostałam batem w twarz, więc i tak jestem już na celowniku.

Teraz pora na coś trudniejszego. Muszę pogodzić się z faktem, że rodzina i przyjaciele być może podzielą mój los. Prim. Na myśl o niej od razu tracę całą determinację. Muszę ją chronić, to mój obowiązek.

Chowam głowę pod koc i oddycham tak raptownie, że szybko zużywam cały tlen i zaczynam się dusić. Nie mogę dopuścić do tego, aby Kapitol skrzywdził Prim. Nagle uświadamiam sobie, że przecież już ją skrzywdził. Ludzie z Kapitolu zabili jej ojca w tej przeklętej kopalni. Nie zrobili nic, kiedy śmierć głodowa zajrzała jej w oczy, wybrali ją na trybuta, a potem zmusili, by patrzyła, jak jej siostra walczy na śmierć i życie na arenie. Skrzywdzono ją znacznie bardziej niż mnie, kiedy miałam dwanaście lat, a przecież nawet jej cierpienie blednie w porównaniu z tym, przez co przeszła Rue.

Odrzucam koc i wdycham zimne powietrze, które wnika przez szpary w oknach. Prim... Rue... Czy nie z ich powodu muszę stanąć do walki? Bo to, co je spotkało, było potworne, całkowicie nieusprawiedliwione i tak złe, że chyba nie pozostaje mi nic innego? Bo nikt nie miał prawa traktować ich tak, jak zostały potraktowane?

Tak, właśnie o tym muszę pamiętać, kiedy narasta we mnie obezwładniający strach. Dla nich zrobię, co będę musiała, zniosę, co będzie konieczne. Już za późno, żeby pomóc Rue, ale może jeszcze zdążę uratować pięć dziecięcych buź, które spoglądały na mnie z placu w Jedenastym Dystrykcie. Nie jest za późno dla Rory'ego, Vicka i Posy. Nie jest za późno dla Prim.

Gale ma rację —jeśli ludziom wystarczy odwagi, nadarza się dobra sposobność. Poza tym słusznie uważa, że mogę sporo dokonać, bo przecież ja uruchomiłam tę maszynę. Co prawda nie mam pojęcia, co właściwie powinnam zrobić, ale jest już za mną pierwszy, zasadniczy krok: zrezygnowałam z ucieczki.

Biorę prysznic i tego ranka nie sporządzam w myślach listy przedmiotów, które powinnam zabrać na wyprawę do lasu, tylko zastanawiam się nad tym, jak udało się wzniecić powstanie w Ósmym Dystrykcie. Tylu ludzi otwarcie przeciwstawiło się Kapitolowi. Czy zryw był zaplanowany, czy samoistny i wynikał z wieloletniego nagromadzenia nienawiści oraz złości? Jak powtórzyć to tutaj? Czy mieszkańcy Dwunastego Dystryktu byłiby gotowi się przyłączyć, czy też zabarykadowaliby się w domach? Wczoraj, po chłości wymierzonej Gale'owi, plac błyskawicznie opustoszał. Czy nie dlatego, że wszyscy czujemy się bezradni i nie mamy pojęcia, co robić? Potrzebujemy kogoś, kto nami pokieruje i utwierdzi nas w prze-

konaniu, że mamy szansę coś zmienić. Wątpię, żebym ja była tą osobą. Może i przyśpieszyłam wybuch rebelii, ale wodzem powinien zostać ktoś przekonany o słuszności sprawy, a ja dopiero co się nawróciłam. Najlepszy byłby człowiek o niezłomnej odwadze, której ja nadal w sobie szukam. Przywódca musi używać jasnych, przekonujących słów, a ja łatwo zapominam języka w gębie.

Słowa. Na myśl o nich przychodzi mi do głowy Peeta. Ludzie akceptują wszystko, co powie, więc mogłabym iść o zakład, że gdyby zechciał, zdołałby porwać tłum, wiedziałby, jakich argumentów użyć. Jestem jednak pewna, że nawet nie przyszło mu to do głowy.

Na dole spotykam mamę i Prim, zajmują się milczącym Galem. Widzę po jego twarzy, że lekarstwo przestaje działać. Przygotowuję się do następnej awantury, ale staram się mówić spokojnie.

— Nie możesz mu zrobić jeszcze jednego zastrzyku?

— Podam lekarstwo, jeśli to będzie konieczne. Najpierw spróbujemy nałożyć mu śnieżny okład — odpowiada mama. Już wcześniej zdjęła bandaż i niemal widać, jak ciepło promieniuje z poranych pleców Gale'a. Mama kładzie na nie czysty materiał i ruchem głowy daje sygnał Prim.

Prim podchodzi z dużą miską, w której miesza coś, co wygląda jak śnieg, ale ma zielonkawą barwę i słodkawy, świeży zapach. Śnieżny okład. Delikatnie zabiera się do przekładania zimnej masy na materiał. Mam wrażenie, że słyszę, jak zmaltretowana skóra skwierczy w zetknięciu ze śniegową mieszanką. Gale mruga i odycha z ulgą.

— Całe szczęście, że mamy śnieg — zauważa mama.

Zastanawiam się, jak bardzo muszą cierpieć ludzie, których wychłostano w środku lata, podczas skrajnych upałów, kiedy z kranu płynie ciepła woda.

— Co robiłaś, kiedy było ciepło? — pytam.

Marszczy czoło, między jej brwiami pojawia się głęboka zmarszczka.

— Próbowałam odpędzać muchy.

Na samą myśl o tym przewraca mi się w żołądku. Mama kładzie śnieżny okład na chustkę, dotyka nią pręgi na moim policzku i ból natychmiast znika. Zimno pomaga, to oczywiste, ale znieczulające działanie ma także mieszanka ziołowych soków.

— Och — wzdycham. — Cudownie. Dlaczego nie nałożyłaś mu tego okładu wczoraj w nocy?

— Rana musiała się najpierw zasklepić.

Nie całkiem rozumiem, co ma na myśli, ale czy mam prawo kwestionować jej decyzje, skoro lek działa? Mama wie, co robi. Mam wyrzuty sumienia na myśl o tym, jakie okropne rzeczy wykrzykiwałam pod jej adresem, kiedy Peeta i Haymitch wywlekali mnie z kuchni.

— Przepraszam cię — mówię. — Za to, że wczoraj na ciebie nawrzeszczałam.

— Słyszałam gorsze obelgi. Sama widziałaś, jak się zachowują ludzie, kiedy cierpi ktoś, kogo kochają.

Ktoś, kogo kochają. Te słowa sprawiają, że tracę czucie w języku, zupełnie jakbym przycisnęła do niego śnieżny okład. Rzecz jasna, kocham Gale'a, ale jaki rodzaj miłości ma na myśli mama? Co ja mam na myśli, kiedy mówię, że go kocham? Trudno powiedzieć. Pocałowałam go wczoraj w nocy, kiedy nie potrafiłam zapanować nad emocjami, ale z pewnością tego nie pamięta. A może? Mam nadzieję, że nie. Jeśli zapamiętał pocałunek, sytuacja dodatkowo się skomplikuje, a ja naprawdę nie mogę zaprzętać sobie tym głowy, kiedy mam wzniecać powstanie. Lekko kręcę głową, żeby myśleć klarowniej.

— Gdzie Peeta? — zwracam się do mamy.

— Poszedł do siebie, gdy usłyszeliśmy, że się obudziłaś. Nie chciał zostawiać domu bez opieki podczas burzy śnieżnej.

— Wrócił bez problemu? — dopytuję się. W zadymce łatwo się zgubić już po paru metrach i oddalić w nieznane.

— Zadzwoń do niego i sprawdź — radzi mama.

Idę do gabinetu, w którym rzadko bywam od spotkania z prezydentem Snowem, i wybieram numer Peety. Podnosi słuchawkę po kilku sygnałach.

— Cześć. Chciałam się upewnić, że dotarłeś do domu.

— Katniss, mieszkam zaledwie trzy budynki dalej — przypomina mi.

— Wiem, ale przy takiej pogodzie...

— U mnie wszystko dobrze. Dzięki, że sprawdzasz. — Zapada długotrwała cisza. —

Co u Gale'a?

— W porządku. Mama i Prim robią mu śnieżny okład.

— Jak tam twoja twarz? — chce wiedzieć.

— Też mam okład. Widziałeś się dzisiaj z Haymitchem?

— Zajrzałem do niego, jest pijany w trupa, więc tylko dołożyłem do ognia i zostawiłem mu trochę chleba.

— Chciałam porozmawiać... z wami. — Nie mam śmiałości mówić więcej, mój telefon jest z całą pewnością na podsłuchu.

— Pewnie będziesz musiała zaczekać do poprawy pogody — zauważa. — Wcześniej i tak niewiele się będzie działo.

— No tak — zgadzam się.

Burza przechodzi dopiero po dwóch dniach, ale pozostawia po sobie zasy wyższe ode mnie. Minie jeszcze jeden dzień, zanim ścieżka z Wioski Zwycięzców na plac miejski zostanie odśnieżona. W tym czasie pomagam w opiece nad Galem, przykładam śnieżny okład do policzka i próbuję przypomnieć sobie jak najwięcej o powstaniu w Ósmym Dystrykcie. Kto wie, co może nam się przydać. Opuchlizna na twarzy jest już ledwie widoczna, ale po uderzeniu pozostał mi swędzący strup i mocno podbite oko. Przy pierwszej okazji znowu telefonuję do Peety i pytam go, czy nie zechciałby wybrać się ze mną do miasta.

Budzimy Haymitcha i ciągniemy go ze sobą. Co prawda narzeka, ale mniej niż zwykle, bo w końcu wszyscy wiemy, że pora omówić ostatnie zdarzenia, a nasze domy w Wiosce Zwycięzców ani trochę się do tego nie nadają. Aby zminimalizować niebezpieczeństwo, milczymy jeszcze długo po przekroczeniu granic osiedla. Przez chwilę uważnie patrzę na trzymetrowe ściany śniegu po obu stronach wąskiej, oczyszczonej dróżki i zastanawiam się, czy na nas runą.

W końcu Haymitch przerywa milczenie.

— Zatem wszyscy zmierzamy ku wielkiej niewiadomej, prawda? — zwraca się do mnie.

— Nie — kręcę głową. — Już nie.

— Przemyślałaś swój plan i dostrzegłaś jego wady, skarbie, zgadza się? — wypytuje mnie. — Wpadły ci do głowy jakieś nowe pomysły?

— Chcę wzniecić powstanie — oświadczam.

Haymitch tylko się śmieje, i to nawet nie złośliwie, co mnie martwi. Od razu widać, że nie zamierza traktować mnie serio.

— No tak, a ja chcę się napić. Daj mi znać, jak ci idzie, dobrze?

— A jaki pan ma plan, co? — pryham.

— Zamierzam wszystko idealnie przygotować do twojego ślubu — odpowiada. — Już dzwoniłem, żeby przełożyć sesję zdjęciową, bez podawania zbyt wielu szczegółów.

— Nawet nie ma pan telefonu — zauważam.

— Effie to załatwiła. Masz pojęcie, że mnie spytała, czy zechciałbym odegrać rolę twojego ojca i oddać cię panu młodemu? Powiedziałem jej, że im szybciej, tym lepiej.

— Panie Haymitch... — Słyszę w swoim głosie błagalny ton.

— Katniss... — przedrzeźnia mnie. — Nic z tego nie będzie.

Uciszamy się, kiedy mija nas gromada mężczyzn z łopatami. Idą w kierunku Wioski Zwycięzców, może coś zrobią z tymi ścianami śniegu. Po pewnym czasie znajdują się poza zasięgiem słuchu, ale plac jest już zbyt blisko. Docieramy do niego i stajemy jak wryci.

Podczas burzy śnieżnej i tak niewiele będzie się działo. Wcześniej zgodziliśmy się co do tego, ja i Peeta, jednak nie mogliśmy się bardziej mylić. Plac się zmienił, z dachu Pałacu Sprawiedliwości zwisa ogromny transparent z symbolem Panem. Strażnicy Pokoju w nieskazitelnie białych mundurach maszerują po świeżo zamiecionych kocich łbach. Na dachach dostrzegam stanowiska karabinów maszynowych i następnych strażników, ale najbardziej wstrząsający jest rząd nowych konstrukcji na środku placu: oficjalny pręgierz, drewniana palisada oraz szubienica.

— Thread nie zasypia gruszek w popiele — zauważa Haymitch.

Parę ulic dalej widzę pożogę. Nie musimy mówić głośno tego, co wszyscy wiemy. To z pewnością Ćwiek stoi w płomieniach. Myślę o Śliskiej Sae, Ripper i reszcie znajomych, którzy zarabiają tam na życie.

— Chyba nie było ich wtedy w środku... — Zawieszam głos, nie mam siły dokończyć zdania.

— Skąd — zaprzecza Haymitch. — Są na to za sprytni. Też byś była, gdybyś pożyła tu dłużej. Chyba pójde sprawdzic, ile skażonego spirytusu ma na zbyciu aptekarz.

Wlece się przez plac, a ja spoglądam na Peetę.

— Po co mu skażony spirytus? — Nagle zaskakuję. — Nie możemy dopuścić, żeby pił coś takiego. Umrze, a w najlepszym wypadku oślepnie. W domu mam mały zapas bimbru.

— Ja też. Może mu wystarczy do czasu, gdy Ripper znajdzie sposób, aby rozkręcić interes na nowo — spekuluje Peeta. — Popytam jeszcze w rodzinie.

— Muszę iść do Hazelle. — Zaczynam się niepokoić. Sądziłam, że zapuka do naszych drzwi, gdy tylko się przejaśni, tymczasem w ogóle nie daje znaku życia.

— Pójde z tobą. Do piekarni wpadnę po drodze do domu — postanawia Peeta.

— Dzięki. — Nagle zaczynam się okropnie bać tego, co mogę zastać w domu Gale'a.

Ulice niemal całkowicie opustoszały, co nie dziwiłoby specjalnie o tej porze dnia, gdyby ludzie byli w kopalniach, a dzieci uczyły się w szkole. Ale nie są — widzę twarze osób zerkających na nas przez uchylone drzwi i szczeliny w żaluzjach.

Powstanie, myślę. Ale ze mnie idiotka. W planie tkwi ewidentny błąd, i zarówno ja, jak i Gale byliśmy zbyt ślepi, by to dostrzec. Powstanie zakłada złamanie prawa, sprzeciw wobec władzy. My i nasze rodziny robiliśmy to od zawsze. Kłusowaliśmy, handlowaliśmy na czarnym rynku, wykpiwaliśmy Kapitol w lesie. Tymczasem dla większości mieszkańców Dwunastego Dystryktu zakupy na Ćwieku byłyby zbyt ryzykowne. Jak mogę oczekiwać, że ci ludzie z cegłami i pochodniami w rękach zbiorą się na placu? Już sam widok Peety i mnie wystarcza, aby rodzice odciągali dzieci od okien i starannie zaciągali zasłony.

Zastajemy Hazelle w domu, jest zajęta opieką nad obłożnie chorą Posy. Rozpoznaję wysypkę typową dla odry.

— Nie mogłam jej zostawić — tłumaczy Hazelle. — Wiedziałam, że Gale jest w najlepszych rękach.

— Jasne — mówię. — Czuje się znacznie lepiej. Zdaniem mamy już za dwa tygodnie będzie mógł wrócić do pracy w kopalni.

— Do tego czasu i tak pewnie będzie nieczynna — zauważa Hazelle. — Powiadają, że kopalnię zamknięto do odwołania. — Nerwowo zerka na pustą balię.

— Też zwinęłaś interes? — dziwię się.

— Oficjalnie nie, ale ludzie i tak boją się do mnie przychodzić — wzdycha.

— Może z powodu śniegu — wtrąca się Peeta.

— Skąd. Dzisiaj rano Rory szybko obszedł moich klientów i dowiedział się, że nikt nie ma nic do prania.

Rory obejmuje Hazelle.

— Wszystko będzie dobrze — mówi. Wygrzebuje z kieszeni garść monet i kładę je na stole.

— Mama podeśle coś dla Posy.

Gdy jesteśmy na zewnątrz, odwracam się do Peety.

— Idź do domu, ja się przejdę na Ćwiek.

— Idę z tobą — oświadcza.

— Daj spokój, narobiłam ci dostatecznie dużo kłopotów.

— I wszystko się naprawi, jeśli nie pójde na Ćwiek? — Uśmiecha się i bierze mnie za rękę. Razem kluczymy ulicami Złożyska i wkrótce docieramy do płonących zgliszcz. Nawet nie zadali sobie trudu, aby obstawić szczątki budynku Strażnikami Pokoju — było jasne, że nikt nie próbuje gasić pożaru.

Goście płomienie rozpuszczają śnieg w otoczeniu dawnego magazynu i cienka strużka czarnej wody spływa mi po butach.

— To pył węglowy z dawnych czasów — domyślam się. Wypełniał każdą szparę i szczelinę, wgrzył się w deski podłogowe. Aż dziw bierze, że ta budowla nie poszła z dymem już wcześniej.

— Chcę sprawdzić, co ze Śliską Sae.

— Katniss, nie dzisiaj — protestuje Peeta. — Spotykając się z ludźmi, z pewnością im nie pomożemy.

Wracamy na plac. Kupuję kilka ciastek od ojca Peety, a oni obaj ucinają sobie pogawędkę o pogodzie. Nikt nie wspomina o okropnych narzędziach tortur, ustawionych zaledwie kilka metrów od drzwi piekarni. Gdy opuszczamy plac, uświadamiam sobie, że nie rozpoznaję ani jednego Strażnika Pokoju.

Mijają dni, a sytuacja ciągle się pogarsza. Kopalnie pozostają zamknięte przez dwa tygodnie, co wystarcza, żeby połowa Dwunastego Dystryktu zaczęła głodować. Coraz więcej dzieci zgłasza się po astragale, ale często nie mają co liczyć na zboże, bo zaczyna brakować żywności i nawet zamożniejsi wychodzą ze sklepów z pustymi rękami. Po ponownym uruchomieniu kopalń okazuje się, że władze obcięły wynagrodzenia, wydłużyły czas pracy i skierowały górników na bardzo niebezpieczne stanowiska wydobywania. Wyczekiwana z nadzieją żywność na Dzień Paczek dociera zepsuta i zanieczyszczona przez gryzonie. Sprzęt na placu jest używany na okrągło, strażnicy wloką tam ludzi i wymierzają kary za przestępstwa tak długo ignorowane, że wszyscy zapomnieli o ich nielegalnym charakterze.

Gale wraca do domu. Nie porusza już tematu powstania, jednak wydaje mi się, że wszystko, co widzi tylko podsyca w nim chęć walki. Trudności w kopalni, torturowani ludzie na placu, wygłodniałe twarze bliskich. Rory zgłosił się po astragal, o czym Gale w ogóle nie jest w stanie rozmawiać, ale i tak nieregularność dostaw i szalejąca drożyzna sprawiają, że żywności stale brakuje.

Tylko jedna nowina jest dobra. Namówiłam Haymitcha, żeby zatrudnił Hazelle jako gospodynię, dzięki czemu ona sobie dorabia, a jakość życia Haymitcha znacznie się poprawiła. Dziwnie się czuję, kiedy wchodzę do jego domu, w którym wszystko jest świeże i czyste, a na piecu gotuje się jedzenie. Haymitch niewiele z tego zauważa, bo toczy zupełnie inną bitwę. Wraz z Peetą próbowałam racjonować mu resztki bimbru, bo zostało go nam bardzo mało, a ostatnio widziałam Ripper zakutą w dyby.

Kiedy idę ulicami, czuję się jak pariaska. W miejscach publicznych ludzie unikają mnie jak ognia, ale w domu nie narzekam na brak towarzystwa. Do naszej kuchni bezustannie trafiają chorzy i ranni, którzy potrzebują pomocy. Mama już dawno temu zrezygnowała z pobierania opłat za leczenie, problem jednak w tym, że jej zapasy lekarstw drastycznie się skurczyły, więc wkrótce jedynym antidotum pozostanie śnieg.

Jak nietrudno się domyślić, wyprawy do lasu są zabronione bezwzględnie i bezapelacyjnie, i nawet Gale nie ośmiela się złamać zakazu. Pewnego ranka ja to robię. Nie przekradam się pod ogrodzeniem dlatego, że w domu pełno jest chorych i umierających, ludzi o krwawiących plecach, że dzieci w dystrykcie głodują, że słyhać stukot maszerujących buciorów. Nie skłania mnie do tego wszechobecna bieda, tylko dostarczona mi pewnego wieczoru skrzynia z sukniami ślubnymi i listem od Effie z uwagą, że prezydent Snow osobiście zaakceptował dobór kreacji.

Ślub. Czy Snow naprawdę zamierza doprowadzić do tej uroczystości? Co chce w ten sposób osiągnąć, jaki plan powstał w jego chorym umyśle? Czy robi to na potrzeby kapitolinczyków? Skoro zapowiedziano ślub, to ślub musi się odbyć. I co, potem nas zabije, żeby dać nauczkę dystryktom? Nic z tego nie rozumiem. Rzucam się na łóżku, przewracam z boku na bok, aż w końcu nie wytrzymuję. Muszę wyjść, przynajmniej na kilka godzin.

Macam rękami w szafie i w końcu natrafiam na ciepły zimowy komplet uszyty dla mnie przez Cinnę na spacer podczas Tournee Zwycięzców. Wodoszczelne buty, kombinezon okrywający mnie od stóp do głów, ocieplane rękawice. Uwielbiam swoje stare myśliwskie ubranie, ale supernowoczesna odzież bardziej się nadaje na dzisiejszą wyprawę. Na palcach schodzę na parter, pakuję żywność do torby myśliwskiej i wymykam się z domu. Przekradam się bocznymi uliczkami i pokątnymi zaułkami, żeby dotrzeć do słabo strzeżonego punktu w ogrodzeniu, blisko rzeźniczki Rooby. Wielu górników chodzi tędy do kopalni, na śniegu widnieje mnóstwo odcisków butów, więc moje ślady pozostaną niezauważone. Thread w istotny sposób wzmocnił ochronę miasta, ale w zasadzie zignorował ogrodzenie. Być może uznał, że sroga zima i dzikie zwierzęta wystarczą, by nikt się nie wykradał. Mimo to już pod siatką zaczynam zacierać ślady, aż do linii drzew.

Świta, kiedy wydobywam z kryjóWKI łuk oraz strzały i brnę przez zasy w lesie. Sama nie wiem dlaczego, ale jestem zdecydowana dotrzeć do jeziora. Może pragnę pożegnać się z tym miejscem, z tatą i szczęśliwymi chwilami, bo wiem, że pewnie nigdy tam nie wrócę. Może chcę znowu odetchnąć pełną piersią. Do pewnego stopnia nie obchodzi mnie, czy zostanę pojmana, po prostu muszę jeszcze raz ujrzeć tamtą okolicę.

Wędrówka trwa dwa razy dłużej niż zazwyczaj. Odzież od Ciny doskonale zatrzymuje ciepło, więc docieram na miejsce złana potem pod kombinezonem i z twarzą zdrętwiałą od mrozu. Odblask zimowego słońca na śniegu częściowo mnie oślepił, a poza tym jestem wyczerpana i pogrążona w przygnębiających myślach, więc nie dostrzegam znaków. Z komina domku sączy się cienka smużka dymu, na śniegu widnieją świeże ślady stóp, w powietrzu unosi się woń naparu z igieł sosnowych. Jestem dosłownie kilka metrów od drzwi betonowego domku, kiedy staję jak wryta. Nie zaniepokoił mnie ani dym, ani ślady, ani zapach, ale wyraźne szczęknięcie broni za plecami.

Instynkt, moja druga natura, nakazuje mi się odwrócić i jednocześnie sięgnąć po strzałę, choć wiem, że okoliczności mi nie sprzyjają. Dostrzegam biały mundur Strażnika Pokoju, uniesioną brodę, jasnobrązową tęczęwkę oka, które przeszyję strzałą. Wycelowana w moją stronę broń upada jednak na ziemię i bezbronna kobieta wyciąga ku mnie jakiś przedmiot na rękawicy.

— Nie strzelaj! — krzyczy.

Waham się, nie rozumiem obrotu sprawy. Może prześladowcy otrzymali rozkaz schwytania mnie żywcem i doprowadzenia na tortury, żebym obciążyla zeznaniami wszystkie znane mi osoby. Jeszcze czego, mowy nie ma, myślę, i już zamierzam puścić cięciwę, kiedy rozpoznaję przedmiot na dłoni strażniczki. To małe, białe kółko z płaskiego chleba, coś w rodzaju suchara, poszarzałego i rozmiękłego na krawędziach. Znak odcisnięty pośrodku jest jednak wyraźny.

Mój kosogłós.

CZĘŚC II

POSKROMIENIE

Nic nie rozumiem. Kosogłos odcisnięty w upieczonym chlebie, w przeciwieństwie do stylowych wersji, które widziałam w Kapitolu, na pewno nie jest modną ozdobą.

— Co to ma być? — pytam szorstko, nadal gotowa zabić. — Co to znaczy?

— To znaczy, że jesteśmy z tobą — słyszę drżący głos za plecami.

Nie widziałam jej, kiedy podchodziłam, bez wątpienia ukrywała się w domku. Nie odrywam wzroku od kobiety, do której celuję. Nowo przybyła pewnie jest uzbrojona, ale zakładam, że nie zaryzykuje odbezpieczenia broni. Szczęknienie mechanizmu oznaczałoby, że zaraz zginę, więc musiałabym zabić jej towarzyszkę.

— Podejdź tutaj, żebym mogła cię widzieć — rozkazuję.

— Ona nie może, ma... — zaczyna kobieta z sucharem.

— Podejdź tutaj! — krzyczę.

Rozlega się odgłos kroków i szurania. Słyszę, że ta druga porusza się z trudem. To kobieta, a raczej dziewczyna, na oko jest w moim wieku, i już ją widzę, wyraźnie utyka. Ma na sobie niedopasowany mundur Strażnika Pokoju i pelerynę z białego futra, kilka rozmiarów za duże na jej filigranową sylwetkę. Nie zauważam żadnej broni. Ręce opiera na byle jakich kulach z ułamanej gałęzi i nie może odpowiednio wysoko unosić prawej nogi, więc szoruje czubkiem buta po śniegu.

Spoglądam na mocno zaczerwienioną z zimna twarz dziewczyny. Ma krzywe zęby, a nad czekoladowobrązowym okiem zauważam malinowe znamię. Nie jest Strażniczką Pokoju ani mieszkanką Kapitolu.

— Kim jesteście? — pytam czujnie, ale mniej wojowniczo.

— Mam na imię Twill — odpowiada ta pierwsza, starsza. Ma ze trzydzieści pięć lat.

— A to jest Bonnie. Uciekłyśmy z Ósmego Dystryktu.

Ósmy Dystrykt! Z pewnością wiedzą o powstaniu!

— Skąd wzięłyście mundury? — dopytuję się.

— Ukradłam je z fabryki — odzywa się Bonnie. — Szyjemy je tam. Ale myślałam, że ten będzie dla... dla kogoś innego, dlatego tak źle leży

— Broń zabrałyśmy martwemu strażnikowi — tłumaczy Twill, dostrzegając moje spojrzenie.

— Co to za suchar w twojej dłoni? Ten z ptakiem. Po co mi go pokazujesz?

— Katniss, naprawdę nie wiesz? — Bonnie wydaje się szczerze zdumiona.

Rozpoznały mnie. No jasne, jakżeby inaczej. Mam odsłoniętą twarz, przebywam poza granicami Dwunastego Dystryktu i mierzę do nich z łuku. Niby kim mogłabym być?

— Wiem, że tak wyglądała broszka, którą nosiłam na arenie.

— Ona nie wie — wzdycha Bonnie. — Być może nie ma o niczym pojęcia.

Z jakiegoś powodu chcę im się wydać doskonale poinformowana.

— Wiem, że u was w Ósemce wybuchło powstanie — oznajmiam.

— Zgadza się, właśnie dlatego musiałyśmy uciekać — potwierdza Twill.

— Jak widzę, miewacie się nieźle, a ucieczka się powiodła. Co teraz planujecie?

— Wędrujemy do Trzynastego Dystryktu — odpowiada Twill.

— Do Trzynastki? — powtarzam. — Przecież nie ma Trzynastki, wymazali ją z mapy.

— Siedemdziesiąt pięć lat temu — precyzuje Twill.

Bonnie robi krok o kulach i wzdryga się.

— Co ci się stało w nogę? — pytam.

— Skręciłam kostkę — wyjaśnia. — Mam za duże buty.

Przygryzam wargę. Instykt mi podpowiada, że mówią prawdę, w związku z czym mogę liczyć na mnóstwo informacji, których tak łaknę. Podchodzę do Twill, zabieram jej pistolet i dopiero wtedy opuszczam łuk. Potem waham się jeszcze przez sekundę, przypominam sobie inny dzień w lesie, kiedy wraz z Galem byłam świadkiem, jak nieoczekiwanie nadleciał poduszkowiec i pojmał dwoje uciekinierów z Kapitolu. Chłopak zginął od ciosu włócz-

nią, a rudą dziewczynę załadowano na pokład i zabrano. Po przyjeździe do Kapitolu przekonałam się, że została okaleczona i zrobiono z niej niemą służącą, awokse.

— Ktoś was ściga?

— Raczej nie. Naszym zdaniem uznali, że zginęliśmy podczas wybuchu w fabryce — wyjaśnia Twill. — Zresztą niewiele brakowało, żeby naprawdę tak było.

— No dobrze, wejdźmy do środka. — Ruchem głowy wskazuję murowany domek. Sama idę z tyłu, z pistoletem w dłoni.

Bonnie od razu podchodzi do paleniska i siada na pelerynie strażnika, rozpostartej na podłodze, po czym wyciąga dłonie do mizernego ognia, który płonie na jednym końcu zwęglonego polana. Ma bardzo bladą, niemal przezroczystą skórę, przez którą dostrzegam poświatę ognia. Twill stara się otulić drżącą dziewczynę swoją peleryną, a ja zauważam dużą, czterolitrową puszkę przeciętą na pół, z nierównym i niebezpiecznie ostrym obrzeżem. Stoi w popiele, wypełniona parującą wodą z dodatkiem garści sosnowych igieł.

— Parzycie herbatę? — pytam.

— Właściwie same nie wiemy. Pamiętam, że kilka lat temu podczas Głodowych Igrzysk ktoś zalewał wrzątkiem igły sosnowe. Tak mi się wydaje, że to były igły sosnowe. — Twill marszczy czoło.

Ósmy Dystrykt zapadł mi w pamięć jako brzydkie, industrialne miasto, pełne przemysłowych wyziewów i ludzi gnieźdzących się w zapuszczonych budynkach. Ze świecą by tam szukać chociaż źdźbła trawy. W takim miejscu nie sposób poznać reguł rządzących przyrodą, więc to cud, że te dwie zaszyły aż tutaj.

— Skończyły się wam zapasy? — domyślam się.

Bonnie kiwa głową.

— Zabrałyśmy, co się dało, ale z żywnością jest u nas bardzo krucho. Już od jakiegoś czasu nie miałyśmy nic w ustach. — Drżenie w jej głosie sprawia, że z punktu daję za wygraną. To tylko niedożywiona, ranna dziewczyna, uciekająca przed Kapitołem.

— Wobec tego dzisiaj uśmiechnęło się do was szczęście — oznajmiam i upuszczam na podłogę myśliwską torbę. Ludzie przymierają głodem w całym dystrykcie, a my nadal mamy więcej niż potrzeba, więc staram się trochę wspierać najbardziej potrzebujących. Kieruję się własną hierarchią ważności: przede wszystkim pomagam bliskim Gale'a, potem Śliskiej Sae i kilku innym handlarzom z Ćwieka, którzy musieli zwinąć interes. Mama opiekuje się innymi, przede wszystkim pacjentami, których sama sobie wybrała. Dzisiaj rano z rozmysłem wypełniłam torbę po brzegi, bo wiedziałam, że na widok naruszonych zapasów mama dojdzie do wniosku, że poszłam złożyć wizytę podopiecznym. W gruncie rzeczy kupowałam czas potrzebny mi na dotarcie do jeziora bez niepokojenia jej. Zamierzałam rozdać żywność wieczorem, po powrocie, ale teraz widzę, że inni głodni będą musieli poczekać.

Wyjmuję z torby dwie świeże bułki posypane zapieczonym serem. Odkąd Peeta się dowiedział, że to moje ulubione, w domu zawsze mamy cały zapas. Rzucam jedną bułkę Twill i podchodzę do Bonnie, żeby drugą położyć jej na kolanach. Ma chyba trochę zaburzoną koordynację wzrokowo-ruchową, a nie chcę, żeby pieczywo wylądowało w ogniu.

— Och — wzdycha Bonnie. — Och, czy to wszystko dla mnie?

Czuję, jak mi się ściska żołądek, kiedy przypominam sobie inny głos, głos Rue na arenie. Kiedy wręczyłam jej kawałek grzędownika, powiedziała: „Jeszcze nigdy nie miałam całej nogi tylko dla siebie”. To niedowierzanie tych, którzy chronicznie głodują.

— Jasne, jedz — zachęcam ją. Bonnie trzyma bułkę tak, jakby nie była pewna, że to się dzieje naprawdę, a potem zatapia w niej zęby raz za razem, nie może przestać. — Jest smaczniejsza, kiedy się ją żuje. — Kiwa głową i usiłuje zwolnić tempo, ale dobrze wiem, jakie to trudne, kiedy brzuch jest kompletnie pusty. — Herbata chyba już gotowa. — Wyłuskuję puszkę z popiołu, a Twill wyciąga z plecaka dwa blaszane kubki. Nabieram nimi napój i stawiam je na podłodze, żeby ostygły. Twill i Bonnie siedzą ramię w ramię, jedzą,

dmuchają na herbatę i sączą ją drobnymi łykami, kiedy ja dorzucam do ognia. Czekam, aż zaczną oblizywać zatłuszczone palce, i wówczas zadaję pytanie:

— Więc jak to z wami było?

Wtedy mi opowiadają. Niezadowolenie w Ósmym Dystrykcie narastało od zakończenia Głodowych Igrzysk, choć oczywiście mieszkańcy zawsze byli sfrustrowani, ale nie aż tak. Różnica polegała na tym, że mówienie o tym przestało im wystarczać, a plan działania nabrał realnych kształtów. Fabryki tekstylne zaopatrujące Panem są wyposażone w hałaśliwe urządzenia, co sprzyja upowszechnianiu wiadomości bez ryzyka wpadki. Ludzie powtarzali sobie informacje na ucho, a słowa, niezauważone i niekontrolowane, zaczęły się rozprzestrzeniać. Twill uczyła w szkole, Bonnie była jedną z jej uczennic. Po ostatnim dzwonku obie szły na cztery godziny do szwalni specjalizującej się w produkcji mundurów dla Strażników Pokoju. Bonnie, zatrudniona w magazynie jako kontrolerka jakości, w ciągu kilku miesięcy wykradła dwa kompletne mundury, raz ukrywając but, kiedy indziej spodnie. Uniformy były przeznaczone dla Twill i jej męża, którzy po wybuchu powstania mieli odegrać istotną rolę, a mianowicie powiadomić inne dystrykty o tym, co się dzieje, gdyż tylko wtedy rebelia miała szanse się rozprzestrzenić i zakończyć sukcesem.

Dzień, w którym przyjechałam z Peetą do Ósemki w ramach Tournee Zwycięzców, był okazją do przeprowadzenia swoistej powstańczej próby. Buntownicy wmieszali się w tłum i zajęli strategiczne stanowiska, zgodne z wcześniejszym przydziałem. Drużyny skupiły się przy budynkach, które wybrano na cele przeznaczone do przejścia po rozpoczęciu zrywu. Na tym polegał plan: należało przechwycić ośrodki władzy w mieście, takie jak Pałac Sprawiedliwości, Komenda Główna Straży Pokoju oraz Ośrodek Łączności na placu. Na celowniku powstańców znalazły się także inne miejsca w dystrykcie: linia kolejowa, spichlerz, elektrownia oraz arsenał.

Powstanie wybuchło w wieczór moich zaręczyn, kiedy Peeta padł na kolana i przed kapitolijnymi kamerami zadeklarował wieczną miłość do mnie. Moment rebelii był dobrany idealnie, bo wszyscy w Panem musieli obowiązkowo obejrzeć naszą rozmowę z Caesarem Flickermanem, kluczowy punkt Tournee Zwycięzców. Mieszkańcy Ósmego Dystryktu mieli pretekst, żeby po zmroku wylec na ulice i zebrać się wokół różnych Ośrodków Łączności. W innych okolicznościach takie zachowanie byłoby zbyt podejrzane. Tego wieczoru o godzinie ósmej wszyscy zgodnie z ustaleniami znaleźli się na placu.

Buntownicy naciągnęli maski i rozpętało się piekło. Wzięci przez zaskoczenie i przytłoczeni liczebnie Strażnicy Pokoju początkowo ulegli. Powstańcy zagarnęli Ośrodek Łączności, spichlerz i elektrownię, a dzięki zwycięstwu nad strażnikami weszli w posiadanie broni. Zaświtała nadzieja, że zryw nie jest czystym szaleństwem, rebelianci uwierzyli, że jeśli zdołają powiadomić resztę dystryktów, być może uda się obalić rząd w Kapitolu. Potem jednak nastąpił kontratak. Strażnicy Pokoju zaczęli przybywać tysiącami, poduszkowiec zbombardował umocnienia rebeliantów i obrócił je w perzynę. Zapanował kompletny chaos, a ludzie myśleli tylko o tym, żeby przeżyć. Odbicie miasta zajęło władzom niecałe dwie doby, a przez następny tydzień obowiązywał całkowity zakaz opuszczania mieszkań, odcięto dostawy żywności i węgla. Program telewizyjny nadawano rzadko i tylko po to, żeby pokazywać rejestrowane na placu sceny wieszania rzekomych podżegaczy. W końcu, kiedy cały dystrykt znalazł się na skraju śmierci głodowej, wydano rozkaz powrotu do normalnego życia.

Dla Twill i Bonnie oznaczało to powrót do szkoły. Zryte lejami po bombach ulice były nie do przebycia, więc obie spóźniły się do pracy w fabryce. Pozostało im do przejścia jeszcze sto metrów, kiedy budynek eksplodował, zabijając wszystkich w środku, łącznie z mężem Twill oraz całą rodziną Bonnie.

— Ktoś z pewnością powiadomił Kapitol, że idea powstania wyszła z naszej fabryki — wyjaśnia Twill słabym głosem.

Obie uciekły do mieszkania Twill, gdzie czekały przygotowane mundury strażników, i zebrały jak najwięcej prowiantu. Bez oporów ukradły jedzenie sąsiadom, co do których śmierci nie miały żadnych wątpliwości, a następnie ruszyły na stację kolejową. W magazynie przy torach przebrały się w mundury i tak zamaskowane wśliznęły się do wyładowanego tkaninami wagonu pociągu do Szóstego Dystryktu.

Wyskoczyły po drodze, kiedy skład się zatrzymał w celu uzupełnienia paliwa, i dalej powędrowały pieszo. Ukrywały się w lesie, ale szły wzdłuż torów, żeby nie zabłądzić. W ten sposób dwa dni temu dotarły na obrzeża Dwunastego Dystryktu, gdzie musiały zrobić przymusowy postój, kiedy Bonnie skreśliła nogę w kostce.

— Rozumiem, dlaczego uciekacie, ale co chcecie znaleźć w Trzynastym Dystrykcie?
— zastanawiam się głośno.

Bonnie i Twill wymieniają nerwowe spojrzenia.

— Właściwie nie jesteśmy pewne — wyznaje Twill.

— Tam nie został kamień na kamieniu — oświadczam. — Na pewno widziałyście materiał w telewizji.

— W tym sęk — zauważa Twill. — Telewizja ciągle nadaje ten sam materiał, nawet najstarsi mieszkańcy Ósemki nie przypominają sobie innych zdjęć z Trzynastki.

— Naprawdę? — Usiłuję sobie przypomnieć obrazy z Trzynastki, które oglądałam w telewizji.

— Zauważyłaś, że zawsze pokazują Pałac Sprawiedliwości? — ciągnie Twill, a ja kiwam głową. Widziałam to ujęcie setki razy. — Jeśli popatrzysz bardzo uważnie, sama to dostrzeżesz w prawym górnym rogu ekranu.

— Co tam jest? — niecierpliwie się.

Twill unosi suchara z wizerunkiem ptaka.

— Kosogłos. Pojawia się przez ułamek sekundy, w przelocie, za każdym razem ten sam.

— U nas w dystrykcie uważa się, że materiał jest wciąż ten sam, bo Kapitol nie może pokazać prawdziwych zdjęć z Trzynastki — odzywa się Bonnie.

Prycham z niedowierzaniem.

— Tylko dlatego uznaliście, że warto iść do Trzynastego Dystryktu? Bo w telewizorze przeleciał ptaszek? Liczycie na znalezienie jakiegoś nowego miasta pełnego ludzi spacerujących po ulicach? Naprawdę myślicie, że Kapitol pozwoliłby na coś takiego?

— Skąd — zaprzecza Twill z zapalem. — Naszym zdaniem ludzie przenieśli się pod ziemię, kiedy wszystko na powierzchni zostało zniszczone. Uważamy, że udało się im przetrwać, a Kapitol daje im spokój, bo przed Mrocznymi Dniami podstawą funkcjonowania Trzynastego Dystryktu był przemysł jądrowy.

— Tam wydobywano grafit — zauważam, ale się waham, bo to informacja z Kapitolu.

— Zgadza się, funkcjonowało tam kilka niedużych kopalni, ale było ich za mało na tak liczną populację. Nic więcej nie wiemy na pewno — spekuluje Twill.

Moje serce bije zbyt szybko. A jeśli mają rację? Czy to możliwe? Czy istnieje miejsce, do którego warto uciec, jeśli nie liczyć kompletnego odludzia? Gdzie warto szukać bezpiecznego schronienia? Jeżeli w Trzynastym Dystrykcie są ludzie, może lepiej byłoby tam wyruszyć? Być może udałoby mi się coś osiągnąć w nowym miejscu, a nie tylko czekać tutaj na śmierć? Ale jeśli w Trzynastce mają potężną broń...

— Dlaczego nam nie pomogli? — pytam ze złością. — Jeśli to prawda, czemu skazali nas na takie życie? Na głód, zabijanie i Głodowe Igrzyska? — Nagle ogarnia mnie nienawiść do urojonego podziemnego miasta w Trzynastym Dystrykcie, a także do ludzi, którzy siedzą z założonymi rękami i patrzą, jak umieramy. Nie są ani trochę lepsi od tych w Kapitolu.

— Nie mamy pojęcia — szepcze Bonnie. — Na razie mamy tylko nadzieję, że to miasto istnieje.

Nagle powraca mi zdrowy rozsądek. To wszystko złudzenia, Trzynasty Dystrykt nie istnieje, bo Kapitol nie dopuściłby do tego. Pewnie się mylą co do materiału emitowanego w telewizji, kosogłósów jest na pęczki, poza tym mają wyjątkową odporność. Jeśli udało im się przetrwać pierwszą falę bombardowań Trzynastki, teraz zapewne radzą sobie lepiej niż kiedykolwiek.

Bonnie nie ma domu, a jej bliscy nie żyją. Powrót do Ósemki albo wtopienie się w społeczność innego dystryktu nie wchodzi w grę, więc to oczywiste, że pociąga ją wizja niezależnego, kwitnącego Trzynastego Dystryktu. Nie jestem w stanie jej powiedzieć, że goni za marzeniem ulotnym niczym dym. Być może wraz z Twill zdoła jakoś ułożyć sobie życie w lesie. Szczerze w to wątpię, ale budzą we mnie taką litość, że muszę im pomóc.

Na początek oddaję im całą żywność, którą przyniosłam, przede wszystkim ziarno i suszoną fasolę, co powinno im wystarczyć na pewien czas, jeżeli nie będą rozrzutne. Potem zabieram Twill do lasu i próbuję opisać jej podstawy polowania. Ma przy sobie broń, która w razie konieczności może przemienić energię słoneczną w śmiertelnie niebezpieczne wiązki promieni, więc nie trzeba się martwić o amunicję. Kiedy Twill udaje się zabić pierwszą wiewiórkę, z biednego stworzenia zostaje zaledwie nadwęglony strzępek, ponieważ promienie trafiły w sam środek tułowia. Mimo to demonstruję Twill, jak należy obdrzeć zwierzę ze skóry i wypatroszyć. Wiem, że z czasem nabierze wprawy. Poza tym wycinam gałąź i robię nową kulę dla Bonnie, a po powrocie do domku ściągam dodatkową parę skarpet, które wręczam dziewczynie, żeby wpychała je do czubków butów przed marszem i wkładała na stopy do snu. Na koniec pokazuję im, jak rozpałać porządy ognie.

Proszą mnie o szczegółowy opis sytuacji w Dwunastym Dystrykcie, więc opowiadam im o życiu pod rządami Threada. Widzę, że uważają te informacje za wyjątkowo cenne, bo będą je mogły przekazać władzom Trzynastki, dlatego skrupulatnie wtajemniczam je w to, co wiem. Nie chcę odbierać im nadziei, kiedy jednak powoli zaczyna zapadać zmierzch i uświadamiam sobie, że jest już późne popołudnie, muszę przestać doradzać im i pocieszać.

— Na mnie pora — oznajmiam, a one dziękują mi wylewnie i ściskają mnie na pożegnaniu. Bonnie nie może powstrzymać łez.

— Trudno mi uwierzyć, że cię spotkałyśmy. Przecież jesteś na ustach wszystkich, odkąd...

— Tak, wiem. Odkąd wyciągnęłam jagody — dopowiadam ze znużeniem.

Pogrążona w myślach prawie nie zauważam, kiedy pokonuję drogę do domu. W marszrucie nie przeszkadza mi nawet, że zaczyna padać śnieg, bo cały czas się zastanawiam nad wiadomościami o powstaniu w Ósmym Dystrykcie i niezbyt prawdopodobną, lecz kuszącą wizją Trzynastego Dystryktu.

Po wysłuchaniu Bonnie i Twill mogę zdecydowanie stwierdzić, że prezydent Snow robił ze mnie idiotkę. Żadne pocałunki ani czułości nie rozładowałyby napięcia w Ósemce. Fakt, moja scena z jagodami była iskrą zapalną, lecz z całą pewnością nie miałam najmniejszej szansy zapanowania nad pożarem. Snow musiał o tym wiedzieć, więc dlaczego odwiedził mnie w domu i rozkazał, abym przekonała ludzi o swojej miłości do Peety? Teraz jestem pewna, że w ten sposób chciał odwrócić moją uwagę i powstrzymać mnie przed wykonaniem następnego prowokacyjnego gestu, który podburzyłby dystrykty. Poza tym postanowił zapewnić rozrywkę kapitolńczykom, rzecz jasna. Podejrzewam, że ślub to tylko konieczne rozwinięcie tego scenariusza.

Zbliżam się do ogrodzenia, kiedy kosogłós przysiada na gałęzi, spogląda na mnie i wyśpiewuje swoje trele. Widok ptaka przypomina mi, że nie dowiedziałam się, co oznacza jego wizerunek na sucharze. To znaczy, że jesteśmy z tobą, wyjaśniła Bonnie. Czy ludzie naprawdę są ze mną? Co z tego wynika? Czy nieświadomie stałam się twarzą upragnionej rebelii, a kosogłosa z mojej broszki uznano za symbol oporu? Jeśli tak, to moi zwolennicy

marnie sobie radzą. Wystarczy pomyśleć o wydarzeniach z Ósemki, żeby się o tym przekonać.

Ukrywam broń w pustym pniu, jak najbliżej mojego starego domu w Złożysku, i ruszam do ogrodzenia. Przyklękam i przygotowuję się do wejścia na łąkę, ale nadal jestem skupiona na tym, co się dziś wydarzyło, więc otrzeźwia mnie dopiero nagły skrzek sowy.

W gasnącym świetle dnia drucziana siatka wygląda całkiem niewinnie, jak zawsze, lecz gwałtownie cofam rękę, bo słyszę groźny dźwięk, przypominający brzęczenie gończych os w licznych gniazdach na drzewie. Ogrodzenie ożyło pod wpływem prądu.

Cofam się odruchowo i wtapiam w ścianę drzew. Na wszelki wypadek zasłaniam usta rękawiczką, żeby rozproszyć białą parę oddechu na mrozie. Czuję gwałtowny przyptyw adrenaliny i momentalnie zapominam o wszystkich troskach z całego dnia, koncentruję uwagę wyłącznie na niebezpieczeństwie, które mi bezpośrednio zagraża. Co się dzieje? Czy Thread postanowił podłączyć ogrodzenie do prądu, aby wzmocnić kontrolę nad dystryktem, czy może dowiedział się jakoś, że dzisiaj umknęłam z jego sieci? Czy jest zdecydowany przetrzymać mnie za ogrodzeniem, a następnie pojmać i aresztować? Zaciągnąć na plac, zamknąć za palisadą, wychłostać albo powiesić?

Tylko spokojnie, nakazuję sobie. Nie pierwszy raz utkwiłam za ogrodzeniem dystryktu, przez które popłynął prąd. W ostatnich latach parę razy to się zdarzyło, ale wtedy zawsze był przy mnie Gale. Po wyszukaniu wygodnego drzewa wdrapywaliśmy się na jeden z konarów i tam czekaliśmy na odcięcie elektryczności. Jeżeli robiło się późno, Prim miała zwyczaj wychodzić na łąkę i sprawdzać, czy siatka jest pod napięciem, by w ten sposób oszczędzić mamie zmartwień.

Dzisiaj jednak moim bliskim nawet nie przyszłoby do głowy, że wybrałam się do lasu. Zrobiłam, co się dało, żeby wprowadzić ich w błąd, więc jeśli się nie pojawię, zaczną wyobrażać sobie najgorsze. W głębi duszy też się martwię, bo nie jestem pewna, czy to tylko zbieg okoliczności. Dlaczego prąd pojawił się akurat tego dnia, gdy ponownie wymknęłam się do lasu? Sądziłam, że nikt nie zauważył, jak się przekradam pod siatką, ale kto wie? Zawsze znajdują się oczy do wynajęcia, w końcu ktoś doniósł nawet o tym, że Gale pocałował mnie właśnie tutaj, przy ogrodzeniu. Tyle że wtedy był dzień i jeszcze nie zachowywałam tak daleko idącej ostrożności jak teraz. Czyżby w pobliżu znajdowały się kamery monitorujące? Zastanawiałam się nad tym już wcześniej. Może właśnie stąd prezydent Snow wiedział o pocałunku? Gdy przeciskałam się pod siatką, było jeszcze ciemno, a ja miałam twarz owiniętą szalikiem. Inna rzecz, że lista podejrzanych o wykradanie się do lasu jest zapewne bardzo krótka.

Patrzę przez drzewa i siatkę, obserwuję łąkę, ale widzę tylko wilgotny śnieg, tu i tam rozjaśniony światłem z okien domów na skraju Złożyska. W zasięgu wzroku nie ma Strażników Pokoju, nic nie wskazuje na to, że ktoś zaczął się na mnie. Bez względu na to, czy Thread wie o mojej wyprawie poza granice dystryktu, czy nie, muszę zrobić jedno: niepostrzeżenie pokonać siatkę i udawać, że nie wychodziłam do lasu.

Każda styczność z siatką albo zwojami drutu kolczastego, który chroni jej górną część, oznaczałaby natychmiastową śmierć przez porażenie. Wątpię, żebym zdołała wyryć podkop bez zwracania na siebie uwagi, a poza tym ziemia jest zamrznięta i twarda. Innymi słowy, zostaje mi tylko jedna możliwość. Muszę jakoś pokonać siatkę górą.

Ruszam skrajem lasu i wypatruję drzewa o konarach dostatecznie wysokich i długich, żeby nadawały się do moich potrzeb. Po półtorakilometrowym spacerze natykam się na stary klon, wydaje się odpowiedni. Pień jest jednak zbyt szeroki i śliski od lodu, żebym mogła się wdrapać, a poza tym gałęzie rosną naprawdę wysoko. Dlatego wspinam się na sąsiednie drzewo, ryzykownie skaczę na klon i omal się nie ześlizgnę po oblodzonej korze. Udaje mi się jednak utrzymać na drzewie i powoli pełnę po konarze, który sięga na drugą stronę drutu kolczastego.

Spoglądam w dół i przypominam sobie, dlaczego oboje z Galem zawsze woleliśmy czekać w lesie. Forsowanie ogrodzenia jest naprawdę niebezpieczne, żeby uniknąć uszazenia, trzeba się wspiąć na wysokość co najmniej siedmiu metrów. Oceniam, że mój konar rośnie ponad osiem metrów nad ziemią, więc skok z niego będzie naprawdę karkołomnym wyczynem, nawet dla kogoś, kto od lat wspina się na drzewa. Nie mam jednak wyboru. Co prawda mogłabym poszukać innej gałęzi, ale jest już prawie całkiem ciemno, a padający śnieg skutecznie przysłonił blask księżyca. Tu przynajmniej utworzyła się zaspą, która powinna zamortyzować upadek. Nawet gdyby udało mi się znaleźć inne odpowiednie drzewo, w co wątpię, kto wie, na czym musiałabym wylądować? Zakładam pustą torbę na szyję, zsuwam się powoli i wkrótce zawisam na rękach. Przez parę sekund zbieram się na odwagę i rozluźniam palce. Spadam i uderzam o ziemię tak mocno, że siła upadku przeszywa mi kręgosłup, a moment później tłukę pośladkami o grunt. Nieruchomieję na śniegu i próbuję oszacować uszkodzenia, ale chociaż wciąż leżę, już wiem, że coś mi się stało w lewą piętę i w kość ogonową, pytanie tylko, co. Mam nadzieję, że nabiłam sobie jedynie parę siniaków, ale gdy wstaję, zaczynam podejrzewać złamanie. Mimo to jestem w stanie chodzić, więc ruszam dalej, starając się zamaskować kuśtykanie.

Mama i Prim nie mogą się dowiedzieć, że poszłam do lasu, dlatego muszę wymyślić sobie jakieś alibi, choćby grubymi nićmi szyte. Część sklepów na placu jest jeszcze otwarta, więc wchodzę do jednego z nich i kupuję trochę białego materiału na bandażę, które i tak nam się kończą. W innym wybieram torebkę cukierków dla Prim. Jeden z nich wsuwam do ust i czuję, jak smak mięty rozplywa mi się po języku. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przez cały dzień nic nie jadłam. Zamierzałam przyrządzić sobie posiłek nad jeziorem, ale gdy dotarło do mnie, w jakim stanie są Twill i Bonnie, dałam sobie spokój z jedzeniem. Odbieranie im choćby jednego kęsa wydało mi się niestosowne.

Gdy docieram do domu, nie mogę już nawet opierać ciężaru ciała na lewej pięcie. Zamierzam powiedzieć mamie, że usiłowałam naprawić dziurę w dachu naszego starego domu i spadłam na ziemię. Jeżeli mnie spyta o brakującą żywność, nie powiem wprost, komu ją przekazałam. Otwieram drzwi i wlokę się do środka, gotowa zwalić się na podłogę przed kominkiem. Wtedy przeżywam kolejny wstrząs.

Na progu kuchni stoi dwoje Strażników Pokoju. Kobieta zachowuje obojętność, ale na twarzy mężczyzny dostrzegam przelotne zaskoczenie. Nie spodziewali się mnie. Wiedzą, że byłam w lesie i teraz powinnam tkwić w pułapce.

— Dobry wieczór — witam ich spokojnie.

Mama pojawia się za plecami nieoczekiwanych gości, ale zachowuje należyty dystans.

— O proszę, wróciła w samą porę na kolację — mówi nieco zbyt pogodnie.

Koszmarnie się spóźniłam na kolację. Zastanawiam się, czy zdjąć buty. W zwykłych okolicznościach ściągnęłabym je tuż za progiem, ale teraz raczej nie zdołam ukryć obrażeń. Ograniczam się więc do opuszczenia kaptura i strząsam śnieg z włosów.

— Czym mogę służyć? — zwracam się do strażników.

— Główny Strażnik Thread przysłał nas z wiadomością — odzywa się kobieta.

— Czekali godzinami — dodaje mama.

Czekali w nadziei na to, że nie wrócę, to jasne. W ten sposób uzyskaliby potwierdzenie, że poraził mnie prąd albo utkwiałam w lesie, i mogliby zabrać moją rodzinę na przesłuchanie.

— To z pewnością bardzo ważna wiadomość — zauważam.

— Czy wolno spytać, gdzie się pani podziewała, panno Everdeen? — pyta strażniczka.

— Łatwiej byłoby mi powiedzieć, gdzie się nie podziewałam — odpowiadam z lekką irytacją w głosie. Idę do kuchni, zmuszając się do normalnego stawiania stóp, choć każdy krok jest potwornie bolesny. Przechodzę pomiędzy strażnikami i jakoś udaje mi się dotrzeć do stołu. Wtedy ściągam torbę i odwracam się do Prim, która stoi nieruchomo obok paleniska.

Haymitch i Peeta też tu są, siedzą na dwóch identycznych bujanych fotelach, pochłonięci grą w szachy. Nie wiem, czy wpadli przypadkiem, czy też otrzymali od Strażników Pokoju zaproszenie nie do odrzucenia, ale tak czy owak, cieszę się z ich obecności.

— Więc gdzie się nie podziewałaś? — odzywa się Haymitch znudzonym głosem.

— Nie rozmawiałam z Koziarzem o pokryciu kozy Prim, bo ktoś tutaj udzielił mi całkowicie błędnych informacji na temat tego, gdzie mieszka — zwracam się do Prim z naciśnięciem.

— Nie patrz tak na mnie — obrusza się Prim. — Wszystko ci dokładnie objaśniłam.

— Powiedziałaś, że Koziarz mieszka przy zachodnim wejściu do kopalni.

— Przy wschodnim wejściu — poprawia mnie.

— Wyraźnie słyszałam, że mówiłaś o zachodnim wejściu, bo zaraz potem spytałam, czy przy stercie żużłu, a ty przytaknęłaś — upieram się.

— Przy stercie żużłu obok wschodniego wejścia — wzdycha Prim cierpliwie.

— Skąd. Niby kiedy to powiedziałaś? — Patrzę na nią wyzywająco.

— Wczoraj wieczorem — wtrąca się Haymitch.

— Niewątpliwie chodziło o wschód — dodaje Peeta, spogląda na Haymitcha i obaj wybuchają śmiechem. Piorunuję wzrokiem Peetę, a on robi skruszoną minę. — Przykro mi, ale potwierdza się to, co mówiłem. Nie słuchasz, co się do ciebie mówi.

— Idę o zakład, że dzisiaj ludzie ci tłumaczyli, że Koziarz tam nie mieszka, a ty znowu nie słuchałaś — mówi Haymitch.

— Pan niech lepiej siedzi cicho, Haymitch — burczę i tym samym daję dowód, że ma słuszność.

Haymitch i Peeta pękają ze śmiechu, a Prim pozwala sobie na uśmiech.

— No i dobra — burczę. — Niech ktoś inny poszuka narzeczonego dla tej głupiej kozy.

Wszyscy ryczą ze śmiechu, a ja myślę, że Haymitch i Peeta właśnie dlatego jeszcze żyją, że nic nie jest w stanie zbić ich z tropu.

Spoglądam na Strażników Pokoju. Mężczyzna się uśmiecha, ale kobieta nie wygląda na przekonaną.

— Co jest w tej torbie? — pyta ostro.

Wiem, że chciałyby znaleźć dziczyznę albo leśne rośliny, cokolwiek, co mnie obciąży. Wytrząsam zawartość torby na stół.

— Niech pani sama sprawdzi.

— Och, jak dobrze — cieszy się mama i ogląda materiał. — Kończą się nam bandaże.

Peeta podchodzi bliżej i otwiera torebkę z cukierkami.

— Mhm, miętusy — mruczy i wrzuca jednego do ust.

— To moje! — protestuję i usiłuję odebrać mu słodczy, ale rzuca je Haymitchowi, który natychmiast pakuje do ust całą garść i przekazuje resztę rozchichotanej Prim. — Żadne z was nie zasługuje na cukierki! — oburzam się.

— Dlaczego? Bo mamy rację? — Peeta mnie obejmuje, a ja cicho jęczę, kiedy obolała kość ogonowa daje o sobie znać. Usiłuję udawać, że jęknęłam z irytacji, ale Peeta nie dał się nabrać, wyczytuję to z jego oczu. — Niech ci będzie, oczywiście Prim mówiła o zachodnim wejściu, słyszałem na własne uszy. I wszyscy jesteśmy idiotami. Teraz dobrze?

— Lepiej — oceniam i pozwalam się pocałować. Potem spoglądam na strażników, zupełnie jakbym sobie przypominała o ich obecności. — Mają państwo dla mnie wiadomość, tak?

— Od Głównego Strażnika Pokoju Threada — wyjaśnia kobieta. — Chce, aby pani wiedziała, że ogrodzenie wokół Dwunastego Dystryktu jest odtąd na okrągło podłączone do prądu.

— Dotąd nie było? — zdumiewam się, nieco zbyt niewinnie.

— Główny Strażnik uznał, że pewnie będzie pani zainteresowana przekazaniem tej wiadomości kuzynowi — dodaje strażniczka.

— Dziękuję, na pewno mu powtórzę. Jestem pewna, że teraz wszyscy będziemy mogli spać odrobinę spokojniej, skoro ochrona naprawiła to niedopatrzenie. — Zachowuję się prowokacyjnie, to jasne, ale kąśliwa uwaga sprawia mi satysfakcję.

Strażniczka zaciska zęby. Jej plany spełzyły na niczym, ale nie ma dalszych rozkazów. Na pożegnanie lekko kiwa głową i wychodzi, mężczyzna wlecze się za nią. Mama starannie zamyka za nimi drzwi, a ja ciężko opieram się o blat stołu.

— Co ci jest? — Peeta mnie podtrzymuje, żebym nie upadła.

— Grzmotnęłam się w lewą stopę, konkretnie w piętę. Moja kość ogonowa też miała ciężki dzień. — Peeta pomaga mi usiąść w jednym z foteli na biegunach, z ulgą opadam na miękką poduszkę, a mama zsuwa mi buty.

— Co się stało? — Spogląda na mnie z uwagą.

— Pośliznęłam się i upadłam. — Cztery pary oczu patrzają na mnie z powątpiewaniem. — Na lodzie.

Wszyscy wiemy, że dom jest na podsłuchu, więc szczerza rozmowa może być niebezpieczna. Jeszcze przyjdzie czas na wyjaśnienia, ale nie teraz i nie tutaj.

Mama odkłada skarpetę i bada palcami kości mojej lewej pięty, a ja się wzdrygam z bólu.

— Może być złamana. — Potem sprawdza drugą stopę. — Tutaj chyba wszystko w porządku. — Mówi też, że kość ogonowa jest mocno poobijana.

Prim biegnie po moją pizamę i szlafrok, a kiedy jestem przebrana, mama sporządza śniegowy okład na lewą piętę i kładzie moją nogę na miękkim podnóżku. Pochłaniam trzy miski potrawki oraz pół bochenka chleba, reszta zjada kolację przy stole. Wpatruję się w ogień i rozmyślam o Bonnie oraz Twill. Mam nadzieję, że intensywny, wilgotny śnieg zatarał moje ślady

Prim podchodzi i siada na podłodze tuż obok, aby oprzeć głowę na moim kolanie. Ssiemy miętusy, a ja zakładam jej kosmyk jasnych, miękkich włosów za ucho.

— Jak tam w szkole? — pytam.

— W porządku. Uczyliście się o produktach ubocznych przerobu węgla — wyjaśnia i przez chwilę obie wpatrujemy się w płomienie. — Będiesz przymierzała suknie ślubne?

— Nie dzisiaj. Może jutro.

— Zaczekaj, aż wrócę ze szkoły, dobrze? — prosi.

— Jasne. — O ile wcześniej mnie nie aresztują, dopowiadam w myślach.

Mama podaje mi kubek herbaty rumiankowej z odrobiną syropu nasennego i już po paru łykach powieki zaczynają mi się kleić. Mama opatruje moją chorą nogę, a Peeta mówi, że odprowadzi mnie do łóżka. Próbuję kuśtykać, oparta o jego ramię, ale poruszam się tak chwiejnie, że w końcu bierze mnie na ręce i niesie na górę. W sypialni kładzie mnie na poscieli i mówi dobranoc, ale łapię go za rękę i przytrzymuję.

Skutkiem ubocznym zażywania syropu nasennego jest osłabienie zahamowań, jak po wypiciu bimbrowy, więc muszę uważać na to, co mówię, nie chcę jednak, żeby Peeta sobie poszedł. Właściwie mam ochotę, aby położył się przy mnie i był tuż obok, kiedy tej nocy nawiedzą mnie koszmary. Sama nie wiem dlaczego, ale nie wolno mi go o to poprosić.

— Nie odchodź jeszcze — odzywam się. — Zaczekaj, aż zasnę.

Peeta siada na skraju łóżka i dłońmi ogrzewa mi rękę.

— Dzisiaj już prawie pomyślałam, że zmieniłaś zdanie — wyznaje. — Kiedy spóźniłaś się na kolację.

Trudno mi zebrać myśli, ale rozumiem, o co mu chodzi. Kiedy podłączono ogrodzenie do prądu i zjawili się Strażnicy Pokoju, Peeta uznał, że postanowiłam uciec, być może z Galem.

— Skąd, uprzedziłabym cię. — Przyciskam policzek do grzbietu jego dłoni i chłonę delikatny aromat cynamonu oraz kopru z chleba, który z pewnością dzisiaj piekł. Chcę mu opowiedzieć o Twill i Bonnie, a także o powstaniu i fantazjach związanych z Trzynastym Dystryktem, ale to byłoby niebezpieczne. Czuję, że odpływam, udaje mi się wykrztusić jeszcze tylko jedno zdanie:

— Zostań ze mną.

Gdy otaczają mnie macki snu, słyszę, że Peeta coś szepcze w odpowiedzi, lecz nic nie rozumiem.

Mama daje mi spać do południa i dopiero wtedy budzi mnie na badanie pięty, po którym zaleca tygodniowy odpoczynek w łóżku. Czuję się tak parszywie, że nawet nie protestuję. Nie cierpię wyłącznie z powodu pięty i kości ogonowej, całe ciało boli mnie z wyczerpania, dlatego pozwalam mamie, żeby mnie pielęgnowała, nakarmiła w łóżku i okryła dodatkową pierzyną. Potem tylko leżę, spoglądam przez okno na zimowe niebo i zastanawiam się, jak u licha to wszystko się skończy.

Sporo rozmyślam o Bonnie i Twill, a także o stercie białych sukni ślubnych na partezie oraz o tym, czy Thread domyśli się, jak pokonałam ogrodzenie, i mnie aresztuje. To dziwne, bo przecież i tak mógłby mnie zamknąć za wszystko to, co robiłam wcześniej. Widać jednak po moim zwycięstwie w igrzyskach potrzebuje naprawdę solidnego powodu. Ciekawe, czy prezydent Snow pozostaje w kontakcie z Threadem. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy z istnienia starego Craya, ale odkąd uznał mnie za problem najwyższej wagi, może przekazuje Threadowi szczegółowe instrukcje? A jeśli Thread działa na własną rękę? Tak czy owak, z pewnością obaj zgodziliby się, że powinnam siedzieć zamknięta w dystrykcie otoczonym siatką pod napięciem. Nawet gdybym obmyśliła sposób ucieczki — dajmy na to przywiązałabym sznur do konaru klonu i umknęła po drzewie — to teraz i tak nie mogłabym zabrać rodziny ani przyjaciół. Zresztą obiecałam Gale'owi, że zostanę i będę walczyła.

Przez kilka następnych dni podskakuję nerwowo za każdym razem, gdy słyszę pukanie do drzwi. Na szczęście Strażnicy Pokoju z nakazem aresztowania jakoś nie przychodzą, więc w końcu zaczynam się odprężać. Dodatkowo pokrzepiam się wiadomością od Peety, który od niechcenia informuje mnie, że fragmenty ogrodzenia odłączono od prądu, gdyż trwają przy nich prace związane z mocowaniem dolnej krawędzi siatki do ziemi. Thread z pewnością uważa, że jakoś zdołałam precyzyjnie przycisnąć się pod ogrodzeniem, kiedy popłynął nim śmiertelnie niebezpieczny prąd. Cały dystrykt może na pewien czas odetchnąć z ulgą, bo Strażnicy Pokoju wreszcie zajmują się czymś innym poza terroryzowaniem ludzi.

Peeta przychodzi codziennie i przynosi mi bułki serowe, a poza tym zaczyna mi pomagać w pracy nad rodzinną księgą, starociem z pergaminu i skóry. Pierwszym autorem był zielarz z rodziny mamy, już całe wieki temu zapełnił stronicę atramentowymi rysunkami roślin wraz z opisem ich medycznych zastosowań. Tata dodał od siebie rozdział o roślinach jadalnych, który służył mi jako przewodnik, kiedy zostałyśmy same i musiałam zadbać o żywienie rodziny. Przez długi czas pragnęłam sama spisywać w księdze swoją wiedzę, nabytą dzięki doświadczeniu i Gale'owi, a także podczas szkolenia przed igrzyskami, nie robiłam tego jednak, bo marna ze mnie artystka, a rysunki w zielniku muszą być sporządzane z wyjątkową dbałością o szczegóły. Właśnie dlatego pomoc Peety okazuje się nieoceniona. Część roślin widział na własne oczy, mamy też trochę zaszuszonych okazów, pozostałe mu opisuję, a on sporządza wstępne szkice na brudno. Gdy uznam te rysunki za dostatecznie precyzyjne, pozwalam mu przerysować je do księgi. Na koniec ostrożnie piszę drukowanymi literami wszystko, co wiem o danej roślinie.

Praca jest cicha i absorbująca, dzięki niej mogę oderwać myśli od bieżących problemów. Lubię patrzeć na dłonie Peety, kiedy rysuje, podoba mi się, jak starannie zapełnia puste kartki atramentowymi liniami i dodaje odrobinę koloru do ilustracji, które dotąd były czarne i poźółkłe. Kiedy się koncentruje, jego twarz nabiera szczególnego wyrazu — znika z niej

wrodzona pogoda, a w jej miejsce pojawiają się intensywne skupienie i dystans, jakby miał w sobie cały odrębny świat. Widywałam to już wcześniej: na arenie, kiedy przemawiał do publiczności, a także wówczas, gdy w Jedenastym Dystrykcie odepchnął ode mnie uzbrojonego strażnika. Nie całkiem rozumiem, co u niego oznacza taka zaduma. Poza tym przyglądam się też jego rzęsom, bardzo jasnym, więc zazwyczaj niezbyt zauważalnym. Z bliska, w promieniach słońca z okna, są jasnozłote i strasznie długie. Aż dziwne, że się nie plączą przy mruganiu.

Któregoś popołudnia Peeta przerywa cieniowanie kwiatu i spogląda na mnie tak raptownie, że się wzdrygam, jakbym została przyłapana na szpiegowaniu. Może do pewnego stopnia tak było.

— Wiesz, chyba pierwszy raz robimy razem coś normalnego — zauważa tylko.

— Fakt — zgadzam się. Nasze relacje zostały skażone przez igrzyska, nigdy nie było w nich miejsca na normalność. — Dla odmiany jest miło.

Każdego popołudnia znosi mnie na parter, żebym mogła zmienić otoczenie, a ja prowadzam wszystkich z równowagi, bo włączam telewizję. Zwykle oglądamy ją tylko wtedy, gdy jest to obowiązkowe, ponieważ brzydzi nas mieszanka propagandy i pokazy potęgi Kapitolu, w tym montaż z siedemdziesięciu czterech lat igrzysk. Teraz jednak wypatruję czegoś szczególnego: kosogłosa, który dał życie marzeniom Bonnie i Twill. Wiem, że to pewnie głupie, ale wolę to sama sprawdzić i raz na zawsze skończyć z fantazjami o kwitującym Trzynastym Dystrykcie.

Pierwszy raz zauważam kosogłosa w materiale na temat Mrocznych Dni. Patrzę na dymiące zgliszcza Pałacu Sprawiedliwości w Trzynastym Dystrykcie i ledwie dostrzegam czarno-biały spód skrzydła, kiedy kosogłos frunie w prawym górnym rogu ekranu. Tak naprawdę o niczym to nie świadczy, to przecież stare ujęcie, które pasuje do opowieści o minionych czasach.

Kilka dni później jednak zwracam uwagę na coś innego. Główny prezenter odczytuje wiadomość o niedoborze grafitu i dodaje, że braki w zaopatrzeniu wpływają na produkcję przemysłową. Następuje przebitka na rzekomy materiał na żywo z udziałem jednej z reporterek w kombinezonie ochronnym, stojącej przed ruinami Pałacu Sprawiedliwości w Trzynastym Dystrykcie. Dziennikarka wyjaśnia przez maskę, że zgodnie z wynikami przeprowadzonych dzisiaj badań kopalnie Trzynastego Dystryktu nadal są zbyt toksyczne, aby do nich podchodzić. Następuje koniec materiału i charakterystyczne mignięcie skrzydła kosogłosa. Dziennikarkę po prostu wklejono do starego tła. Wcale nie pojechała do Trzynastki, więc nasuwa się oczywiste pytanie: Co tam jest?

Od tego momentu trudniej mi wytrzymać spokojnie w łóżku. Pragnę działać, dowiedzieć się więcej o Trzynastym Dystrykcie albo pomóc obalić władze Kapitolu, tymczasem siedzę w domu, opycham się bułkami serowymi i patrzę, jak Peeta szkicuje. Od czasu do czasu wpada Haymitch z nowinami z miasta, zawsze złymi. Coraz więcej ludzi jest karanych albo umiera z głodu.

Moja stopa odzyskuje sprawność dopiero u schyłku zimy. Mama zaleca mi ćwiczenia fizyczne i pozwala na krótkie samodzielne spacery. Któregoś wieczoru kładę się spać z mocnym postanowieniem, że rano pójdę do miasta, ale gdy się budzę, widzę przy łóżku uśmiechniętych od ucha do ucha Venię, Octavię i Flaviusa.

— Niespodzianka! — piszczą. — Jesteśmy przed czasem!

Kiedy dostałam batem po twarzy, Haymitch przełożył przyjazd ekipy o kilka miesięcy, żeby rana zdążyła się zagoić. Nie spodziewałam się ich jeszcze przez trzy tygodnie, ale udaję zachwyconą, że wreszcie nadeszła pora sesji zdjęciowej w sukniach ślubnych. Mama rozwiśla je wszystkie, więc możemy od razu zaczynać, ale szczerze powiedziawszy, dotąd nie przymierzyłam ani jednej.

Po demonstracyjnym jak zwykle pokazie uzalania się nad fatalnym stanem mojej urody ekipa od razu bierze się do roboty. Największym problemem okazuje się twarz, choć moim zdaniem mama naprawdę przeszła samą siebie i po krwawej prędze pozostała tylko bladoróżowa kreska na kości policzkowej. W zasadzie w Kapitolu nie wiedzą o batożeniu, więc wyjaśniam, że zraniłam się podczas upadku na lodzie, a po chwili dociera do mnie, że tak samo tłumaczę skręcenie nogi. Nie mam pojęcia, jak zdołam chodzić na wysokich obcasach. Na szczęście Flavius, Octavia i Venia nie są szczególnie podejrzliwi, więc nie muszę się obawiać dodatkowych pytań.

Ponieważ moja skóra musi być idealnie gładka tylko przez kilka godzin, a nie przez kilka tygodni, wystarczy golenie zamiast woskowania. Przed zdjęciami ponownie trafiam do wanny wypełnionej jakimś preparatem, na szczęście niezbyt okropnym, i już mnie malują i czeszą. Ekipa jak zawsze ma mnóstwo nowin do opowiedzenia, co zwykle staram się puszczać mimo uszu, tym razem jednak jedno ze spostrzeżeń Octavii przykuwa moją uwagę. Tak naprawdę jest to tylko wzmianka o tym, że nie mogła nigdzie kupić krewetek na imprezę, lecz od razu nadstawiam uszu.

— Dlaczego nie udało ci się kupić krewetek? — pytam. — Może skończył się sezon?

— Och, Katniss, już od wielu tygodni nie ma w sprzedaży żadnych owoców morza! — narzeka Octavia. — Wszystko przez to, że w Czwartym Dystrykcie jest fatalna pogoda.

Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach. Od wielu tygodni brakuje owoców morza. Czwarty Dystrykt wstrzymał dostawy. Przypominam sobie z trudem hamowaną wściekłość tłumu podczas Tournee Zwycięzców i nagle nabieram niezachwianej pewności, że Czwórka się zbuntowała.

Obojętnym tonem wypytuję członków ekipy o inne problemy, które przyniosła zima. Nie są przyzwyczajeni do braków, więc dostrzegają nawet najmniejsze problemy z zaopatrzeniem. Kiedy jestem gotowa do sesji, ich skargi na braki rozmaitych produktów, począwszy od mięsa krabów, przez wstążki do włosów z muzycznymi mikroprocesorami, dają mi pełen obraz dystryktów, które mogło ogarnąć powstanie. Owoce morza z Czwartego Dystryktu, elektronika z Trójki i, rzecz jasna, tekstylia z Ósemki. Świadomość tak rozległej rebelii budzi we mnie dreszcz strachu i emocji.

Mam ochotę pociągnąć tę rozmowę, ale zjawia się Cinna, obejmuje mnie na powitanie i od razu sprawdza makijaż. Podejrzliwie spogląda na bliznę na policzku i moim zdaniem nie kupuje opowiadki o upadku na lodzie, ale nie podaje jej w wątpliwość. Ogranicza się do lekkiego przypudrowania mi twarzy, dzięki czemu kreska znika całkowicie.

Schodzimy na parter, do opróżnionego salonu, który chwilowo zmienił się w atelier. Effie czuje się jak ryba w wodzie, kiedy rozstawia wszystkich po kątach i pilnuje realizacji planu. To chyba dobrze, bo mamy sześć sukni ślubnych, a każda z nich wymaga innego welonu, butów, biżuterii, fryzury, makijażu, tła i oświetlenia. Kremowa koronka, różowe róże i loczki. Ałtas w kolorze kości słoniowej, złote tatuaże, zielona oprawa. Obcisła sukienka z brylantami, welon z klejnotami i księżycowy blask. Ciężki, biały jedwab, rękawy opadające od nadgarstków do samej ziemi oraz perły. Gdy tylko jedna seria zdjęć zostaje zatwierdzona, od razu przystępujemy do następnej. Czuję się jak ciasto, raz po raz ugniatane i wyrabiane.

Mama podrzuca mi kęsy jedzenia i od czasu do czasu łyk herbaty, ale na koniec sesji umieram z głodu i padam z nóg. Liczę na to, że uda mi się spędzić z Cinną trochę czasu, ale Effie zagania wszystkich do wyjścia i muszę się zadowolić obietnicą rozmowy przez telefon.

Zapada wieczór, a nogi tak bardzo mnie boją od noszenia wymyślnego obuwia, że rezygnuję z wyjścia do miasta. Wlokę się na górę, gdzie zmywam warstwy makijażu, odżywek i farb, a następnie idę na parter osuszyć włosy przy kominku. Prim, która wróciła ze szkoły w samą porę, żeby obejrzeć ostatnie dwie sukienki, teraz pogodnie trajkocze o nich z mamą. Po sesji obie wydają się niesamowicie rozradowane, a gdy padam na łóżko, dociera do mnie, dlaczego. Po prostu uznały, że na pewno nic mi nie grozi. Ich zdaniem Kapitol przeoczył mo-

ją interwencję podczas wymierzania chłosty Gale'owi, bo przecież nikt nie zadawałby sobie trudu i narażał na wydatki dla kogoś, kto i tak ma zostać stracony. No jasne.

W nocy śnił mi się koszmar. Jestem ubrana w jedwabną suknię ślubną, ale podartą i uwalaną błotem. Kiedy biegnę przez las, uciekając przed watahą zmutowanych trybutów, długimi rękawami bezustannie zaczepiam o kolce i gałęzie. Potwory są coraz bliżej, aż wreszcie wyczuwam na skórze ich gorące oddechy, widzę ociekające śliną kły i budzę się z wrzaskiem.

Już prawie świta, nie ma sensu próbować ponownie zasnąć, a poza tym naprawdę muszę wyjść i z kimś porozmawiać. Gale jest nieosiągalny, bo pracuje w kopalni, ale chętnie spotkam się z Haymitchem, Peetą albo kimkolwiek, z kim będę mogła podzielić się ciężarem, który dźwigam na barkach od wyprawy nad jezioro. Uciekające buntowniczkę, ogrodzenie pod napięciem, niezależny Trzynasty Dystrykt, niedobory w Kapitolu. Wszystko.

Jem śniadanie z mamą i Prim, a potem wyruszam na poszukiwanie kogoś zaufanego. Powietrze jest ciepłe, budzi się wiosna, a wraz z nią nadzieja. Wiosna to chyba dobra pora na powstanie, po zimie wszyscy czują się mniej bezbronni. Nie zastaję Peety w domu, pewnie już poszedł do miasta. Zaskakuje mnie widok Haymitcha, który pomimo wczesnej pory kręci się po kuchni. Wchodzę do niego bez pukania i słyszę Hazelle, zajętą zamiataniem podłogi na piętrze nieskazitelnie czystego budynku. Haymitch nie jest pijany w trupa, ale też nie wydaje się całkiem trzeźwy, więc domyślam się, że pogłoski o powrocie Ripper do interesów są prawdziwe. Kiedy się zastanawiam, czy nie powinnam pozwolić mu iść spać, sam proponuje wyprawę do miasta.

Z czasem nauczyłam się rozmawiać z nim skrótami, więc w kilka minut przekazuję mu nowiny, a on mówi mi o pogłoskach związanych z powstaniem w Siódmym i Jedenastym Dystrykcie. Jeśli przecucie mnie nie myli, oznacza to, że prawie połowa dystryktów podjęła próbę wszczęcia buntu.

— Nadal pan sądzi, że u nas to nie wypali? — upewniam się.

— Na razie jest jeszcze za wcześnie. Tamte dystrykty są o wiele większe, więc nawet jeśli połowa ludzi będzie się kuliła ze strachu w domach, to rebelianci i tak mogą liczyć na poparcie reszty i bunt ma szansę powodzenia. Tutaj, w Dwunastce, wszyscy muszą wyjść na ulice, bo inaczej od razu przegramy.

Nie pomyślałam o tym, że bardzo brakuje nam ludzi.

— Ale może w pewnym momencie zbierze się nas dostatecznie dużo? — upieram się.

— Kto wie. Ale jesteśmy mali, słabi i nie produkujemy broni jądrowej — podkreśla Haymitch z nutą ironii w głosie. Moja opowieść o Trzynastym Dystrykcie nie wzbudziła jego entuzjazmu.

— Jak pan myśli, co zrobią ze zbuntowanymi dystryktami?

— Słyszałaś, co się stało z Ósemką, i widziałaś, co zrobili tutaj, a przecież u nas nikt ich nie prowokował — zauważa Haymitch.

— Jeśli sytuacja wymknie im się spod kontroli, bez większych oporów zmiotą z powierzchni ziemi cały dystrykt, tak jak Trzynastkę. Dla przykładu, rozumiesz?

— Więc pana zdaniem Trzynastka naprawdę została zniszczona? Przecież to, co Bonnie i Twill mówiły o materiale filmowym z kosogłosem, okazało się prawdą — przypominam.

— Zgoda, ale czego to dowodzi? Tak naprawdę niczego. Jest mnóstwo powodów, dla których Kapitol może korzystać ze starych zdjęć. Pewnie tamte ujęcia robią największe wrażenie, a poza tym znacznie prościej jest powcisnąć kilka guzików w pokoju montażowym, niż lecieć taki kawał drogi i kręcić na nowo — przekonuje mnie Haymitch. — Twoim zdaniem Trzynastka mogła jakoś stanąć na nogi, a Kapitol patrzy na to przez palce? To brzmi jak plotka, w którą rozpaczliwie wierzą desperaci.

— Wiem. Miałam tylko nadzieję...

— Właśnie. Miałaś nadzieję, bo sama jesteś zdesperowana — triumfuje Haymitch.

Milknę, ponieważ się nie myli, rzecz jasna.

Prim wraca ze szkoły i wręcz kipi entuzjazmem. Nauczyciele ogłosili, że dzisiaj wieczorem puszcza w telewizji obowiązkowy program.

— Na pewno pokażą zdjęcia z twojej sesji!

— Prim, to niemożliwe — studzę jej zapał. — Przecież ekipa była tutaj zaledwie wczoraj!

— Ktoś tak słyszał — usprawiedliwia się.

Mam nadzieję, że się myli. Nie miałam okazji przygotować Gale'a na to widowisko. Od czasu chłosty widuję go tylko wtedy, gdy przychodzi do nas, żeby mama rzuciła okiem na jego ranę, a poza tym często musi pracować w kopalni przez siedem dni w tygodniu. Podczas kilku wspólnych minut wtedy, gdy odprowadzałam go do miasta, dowiedziałam się, że przygotowania do rebelii w Dwunastce zostały stłumione w załączku za sprawą zdecydowanych działań Threada. Gale wie, że nie zamierzam uciec, ale musi także mieć świadomość, że jeśli w Dwunastym Dystrykcie nie wybuchnie powstanie, będę zmuszona zostać żoną Peety. Jak zniesie widok mnie płaszącej w tych pięknych sukniach?

O dziewiętnastej trzydzieści zbieramy się wszyscy przed telewizorem i przekonuję się, że Prim miała rację. Na ekranie pojawia się Caesar Flickerman we własnej osobie i przemawia do tłumu stojącego przed Ośrodkiem Szkoleniowym. Ludzie z aprobatą wsłuchują się w jego słowa, kiedy opowiada o moich zbliżających się zaślubinach, a potem przedstawia Cinnę, który z dnia na dzień stał się gwiazdą za sprawą kostiumów zaprojektowanych dla mnie na igrzyska. Po chwili niezobowiązującej pogawędki Caesar kieruje uwagę widzów na ogromny ekran.

Teraz już wiem, jak zdołali wczoraj mnie sfilmować, a dziś pokazać materiał. Początkowo Cinna zaprojektował dwa tuziny sukni ślubnych, po czym rozpoczął się proces odrzucania jednych wzorów i kierowania innych do realizacji, a także dobierania akcesoriów. Najwyraźniej w Kapitolu można głosować na ulubione kreacje na każdym etapie ich tworzenia. Gwoździem programu jest prezentacja moich ujęć w sześciu finałowych sukniach i dopiero teraz dociera do mnie, że dodanie do widowiska kilku scen z pewnością nie sprawiło organizatorom najmniejszego problemu.

Każde ujęcie spotyka się z żywiołową reakcją publiczności, ludzie wrzeszczą i wiwatują na widok ulubionych sukni, a bucza na te, które nie przypadły im do gustu. Po zagłosowaniu, i zapewne po zakładach, widzowie są niestęchani zaangażowani w wybór sukni. Mam mieszane uczucia, kiedy patrzę na przejęte tłumy, zwłaszcza że nigdy nie zadałam sobie trudu, aby przymierzyć choć jedną suknię przed przybyciem ekipy. Caesar obwieszcza, że zainteresowani muszą oddać głosy najpóźniej do jutrzejszego południa.

— Niech Katniss Everdeen ma stylowy ślub! — krzyczy do tłumu. Zamierzam wyłączyć telewizor, kiedy Caesar nakazuje nam pozostać przy odbiornikach, bo tego wieczoru czeka nas jeszcze jedno ważne wydarzenie. — Tak jest, w tym roku mija siedemdziesiąta piąta rocznica rozegrania pierwszych Głodowych Igrzysk, co oznacza, że nadeszła pora na nasze trzecie Ćwierćwiecze Poskromienia!

— Co chcą zrobić? — zdumiewa się Prim. — Przecież turniej zorganizują dopiero za kilka miesięcy.

Pytająco spoglądamy na mamę, która patrzy w ekran poważnym i nieobecny wzrokiem, jakby przypomiwała sobie zdarzenia z przeszłości.

— Z pewnością nadszedł dzień odczytania programu — mówi.

Rozbrzmiewają dźwięki hymnu narodowego, na scenie pojawia się prezydent Snow, a ja czuję w gardle przykry ucisk. Za głową państwa na estradę wchodzi chłopiec w białym garniturze, z prostą, drewnianą skrzynką w rękach. Hymn dobiega końca i prezydent zabiera głos, żeby przypomnieć nam o Mrocznych Dniach, z których zrodziły się Głodowe Igrzyska. Kiedy ustalono reguły, zapadła decyzja o organizowaniu co dwadzieścia pięć lat rocznicowe-

go turnieju pod nazwą Ćwierćwiecze Poskromienia, imprezy o wyjątkowej oprawie, która ma odświeżać pamięć o tych, którzy zginęli w wyniku rebelii dystryktów. Te słowa są wyjątkowo znamienne, zważywszy, że kilka dystryktów najprawdopodobniej walczy teraz o niepodległość.

Prezydent kontynuuje przemówienie, koncentrując się na wydarzeniach z poprzednich Ćwierćwieczy Poskromienia.

— Dla przypomnienia rebeliantom, że ich dzieci umierały, bo rodzice postanowili zapoczątkować falę przemocy, przy okazji dwudziestej piątej rocznicy każdy dystrykt otrzymał nakaz zorganizowania powszechnych wyborów trybutów, aby reprezentowali swoje rodzinne strony.

Zastanawiam się, co czuli ludzie zmuszeni do wybierania dzieci. Dochodzę do wniosku, że lepiej jest zostać wylosowanym z kuli dożynekowej niż sprzedanym przez własnego sąsiada.

— Pięćdziesiąta rocznica — ciągnie prezydent — przypomniawszy, że dwóch rebeliantów musiało zginąć za każdego zabitego obywatela Kapitolu. Dlatego każdy dystrykt musiał przysłać dwa razy więcej trybutów niż zwykle.

Wyobrażam sobie konieczność stawienia czoła grupie czterdziestu siedmiu trybutów zamiast dwudziestu trzem. Mniejsze prawdopodobieństwo wygranej, mniejsza nadzieja, a w ostatecznym rozrachunku więcej pozabijanych dzieciaków. Tamtego roku zwyciężył Haymitch...

— Właśnie wtedy trafiła na arenę moja przyjaciółka — wyznaje mama cicho. — Maysilee Donner. Jej rodzice prowadzili sklep ze słodyczami, po turnieju dostałam od nich śpiewającego ptaka. Kanarka.

Wymieniam spojrzenia z Prim. Nigdy dotąd nie słyszałyśmy o Maysilee Donner. Pewnie mama sądziła, że lepiej nam nie mówić, bo będziemy chciały poznać okoliczności śmierci jej przyjaciółki.

— Teraz stoimy w przededniu trzeciego Ćwierćwiecza Poskromienia — obwieszcza prezydent, a chłopczyk w bieli występuje naprzód i wyciąga przed siebie skrzynkę. Snow unosi wieko i widzimy rzędy pożółkłych, ułożonych pionowo kopert. Ktokolwiek sporządził system Ćwierćwieczy Poskromienia, opracował ich plany na całe wieki Głodowych Igrzysk. Prezydent wysuwa kopertę wyraźnie oznaczoną liczbą siedemdziesiąt pięć, przesuwa palcem pod zakładką i wyciąga małą kartkę papieru. Następnie bez wahania odczytuje jej treść: — „W siedemdziesiątą piątą rocznicę, dla przypomnienia buntownikom, że nawet najsilniejsi z nich nie mogą pokonać potęgi Kapitolu, trybuci obojga płci zostaną wylosowani z puli dotychczasowych zwycięzców w dystryktach”.

Mama cicho krzyczy, Prim zasłania twarz dłońmi, ale ja się czuję bardziej jak ludzie, których widzę w tłumie na ekranie telewizora. Jestem lekko skonsternowana. Co to oznacza? Czym jest pula dotychczasowych zwycięzców?

Nagle już rozumiem, co to oznacza, przynajmniej dla mnie. Dwunasty Dystrykt dysponuje zaledwie trzema żyjącymi zwycięzcami do wyboru. Dwoma mężczyznami i jedną kobietą... Wracam na arenę.

Najpierw reaguje moje ciało, jeszcze zanim włączy się rozum. Wybiegam z domu i pędzę po trawnikach Wioski Zwycięzców, prosto ku rozpościerającej się dalej ciemności. Wilgoć z przesiąkniętej wodą ziemi przenika przez skarpety, czuję na skórze gwałtowny podmuch wiatru, ale mimo to nie zwalniam. Dokąd? Dokąd uciec? Do lasu, to jasne. Już jestem przy ogrodzeniu, kiedy buczenie przypomina mi, w jak fatalnej utkwiałam pułapce. Cofam się zadyszana, odwracam na pięcie i znowu gnam przed siebie. Tracę kontakt z rzeczywistością do czasu, gdy dociera do mnie, że tkwię na czworakach w piwnicy jednego z pustych domów w Wiosce Zwycięzców. Przez studzienki okienne na suficie wpadają do środka blade promienie księżyca. Jestem zmarznięta i przemoczona, brak mi tchu, ale próba ucieczki w żaden spo-

sób nie pomogła mi w opanowaniu coraz gwałtowniejszej hysterii. Wiem, że pochłonie mnie bez reszty, jeśli nie znajdę dla niej ujścia, więc zwijam w kłębek fragment koszuli, wpycham go do ust i zaczynam wrzeszczeć. Nie mam pojęcia, jak długo to trwa, ale kiedy przestaję, z moich ust wydobywa się tylko skrzeczenie.

Kulę się na boku i wpatruję w plamy księżycowego światła na betonowej posadzce. Wracam na arenę, wracam do świata sennych koszmarów. Właśnie tam. Muszę przyznać, że to mnie zaskoczyło. Spodziewałam się miliona innych rozwiązań, publicznego upokorzenia, tortur, a także egzekucji. Mogłam uciekać przez odludzie, ścigana przez Strażników Pokoju oraz poduszkowiec, wiedziałam, że Kapitol może mnie zmusić do ślubu z Peetą, a następnie wysłać nasze dzieci na arenę, lecz nigdy nie przeszło mi przez myśl, że ponownie wezmę udział w igrzyskach. Dlaczego? A dlatego, że sytuacja jest bezprecedensowa, zwycięzcy są do końca życia wyłączeni z dożynek. To nagroda za wygraną. Do teraz.

Zauważam płachtę materiału ochronnego, którą robotnicy wykorzystują podczas malowania domu, i naciągam ją na siebie jak koc. Słyszę, że w oddali ktoś mnie woła po imieniu, ale teraz pozwalam sobie nie myśleć nawet o tych, których kocham najbardziej. Myślę tylko o sobie i o tym, co mnie czeka.

Tkanina jest sztywna, ale utrzymuje ciepło, więc stopniowo mięśnie się odprężają, a tętno zwalnia. Przypominam sobie drewnianą skrzynkę w dłoniach chłopca, mam przed oczami obraz prezydenta Snowa wyciągającego poźólką kopertę. Czy to możliwe, że akurat ten scenariusz Ćwierćwiecza Poskromienia został spisany siedemdziesiąt pięć lat temu? Im dłużej o tym myślę, tym mniej prawdopodobnie to wygląda. Takie rozwiązanie bieżących problemów Kapitolu wydaje się po prostu zbyt idealne, przecież w ten sposób prezydent za jednym zamachem pozbędzie się mnie i zrobi porządek z dystryktami.

Słyszę jego głos w swojej głowie: „W siedemdziesiątą piątą rocznicę, dla przypomnienia buntownikom, że nawet najsilniejsi z nich nie mogą pokonać potęgi Kapitolu, trybuci obojga płci zostaną wylosowani z puli dotychczasowych zwycięzców w dystryktach”.

Tak, zwycięzcy są najsilniejsi. To oni przetrwali rzeź na arenie i uniknęli bagna biedy, w którym tonie reszta. Oni, a właściwie my, jesteśmy uosobieniem nadziei w świecie, w którym jej brak, a teraz dwudziestu trzech z nas zginie na dowód, że nawet ta nadzieja jest ułudą. To dobrze, że odniosłam zwycięstwo dopiero w ubiegłym roku i nie zdążyłam poznać wszystkich pozostałych triumfatorów. Co prawda widuję ich w telewizji, ale spotkałabym się z nimi osobiście dopiero podczas następnego turnieju. Zwycięzcy goszczą na każdych igrzyskach i nawet jeśli nie są mentorami, jak zawsze Haymitch, większość co roku przybywa na uroczystości. Myślę, że sporo z nich przyjaźni się ze sobą, a ja będę musiała pogodzić się z zabiciem tylko jednego przyjaciela, Peety albo Haymitcha. Peeta albo Haymitch...

Raptownie się prostuję i odrzucam płachtę. Jak coś takiego mogło mi przyjść do głowy? Mowy nie ma, żebym zabiła któregoś z nich, ale z całą pewnością jeden trafi wraz ze mną na arenę. Być może już się umówili, który — tego, który zostanie wybrany, zawsze może zastąpić ten drugi, zgłaszając się na ochotnika. Od razu wiem, jak to będzie wyglądało. Peeta poprosi Haymitcha o to, żeby bez względu na okoliczności pozwolił mu stanąć na arenie. Zrobi tak dla mojego dobra, aby mnie chronić.

Chwiejnym krokiem krążę po piwnicy w poszukiwaniu wyjścia. Jak mi się udało tutaj dostać? Po omacku wdrapuję się po schodach do kuchni i zauważam wybitą szybę w drzwiach. To dlatego mam rękę lepką od krwi. Pośpiesznie wchodzę w mrok i idę prosto do domu Haymitcha. Siedzi sam przy kuchennym stole, pijany jak bela, z na wpół opróżnioną butelką bimbrowa w jednej dłoni, a nożem w drugiej.

— Ach, jest tutaj — mamrocze. — Kompletnie wypompowana. W końcu dodałaś dwa do dwóch, skarbie, co? Dotarło do ciebie, że nie pójdziesz sama? A teraz przychodzisz mnie prosić... Tylko o co?

Nie odpowiadam. Okno otwarte jest na oścież, a wiatr chłodzi mnie tak, jakbym była na dworze.

— Muszę przyznać, że chłopakowi przyszło to łatwiej. Zjawił się u mnie, zanim jeszcze zdążyłem otworzyć butelkę, i błagał, żebym jeszcze raz puścił go na arenę. A czego ty możesz chcieć? — Naśladuje mój głos. — Niech pan zajmie jego miejsce, panie Haymitch, bo z dwojga złego wolę, aby Peeta miał do końca życia wyrzuty sumienia, a nie pan?

Przygryzam wargę, ponieważ kiedy to powiedział, zaczynam się obawiać, że rzeczywiście tego pragnę. Chcę, żeby Peeta przeżył, nawet za cenę życia Haymitcha. Nie, nieprawda. Haymitch jest okropny, fakt, ale teraz uważam go za członka rodziny. Co mnie tutaj sprowadziło?, myślę gorączkowo. Czego mogę tutaj chcieć?

— Przyszłam się napić.

Haymitch wybucha śmiechem i hałaśliwie stawia przede mną butelkę. Ocieram rękawem gwint, wypijam dwa łyki i zaczynam się krztusić. Dopiero po kilku minutach dochodzę do siebie, ale nadal cieknie mi z oczu i z nosa. Na szczęście trunek rozpałił mnie od środka i bardzo mi się to podoba.

— Może to powinien być pan — zauważam rzeczowo i przystawiam sobie krzesło. — W sumie i tak nienawidzi pan życia.

— Co racja, to racja — przyznaje Haymitch. — A skoro ostatnim razem starałem się uratować ciebie, to chyba teraz powinienem ocalić skórę jemu.

— Następny dobry powód — dodaje, wycieram nos i ponownie przystawiam do ust butelkę.

— Peeta przekonywał mnie, że skoro poprzednio wybrałem ciebie, to teraz jestem mu coś winien. Powinienem spełnić jakieś jego życzenie, a on chce ponownie wziąć udział w igrzyskach, żeby cię chronić — tłumaczy Haymitch.

Wiedziałam. Pod tym względem Peeta zachowuje się całkiem przewidywalnie. Kiedy się tarzałam po podłodze w piwnicy i myślałam tylko o sobie, on był tutaj i myślał tylko o mnie. Wstyd to zbyt słabe słowo na określenie tego, co czuję.

— Nawet za sto lat nie będziesz na niego zasługiwała — mówi Haymitch oskarżycielskim tonem.

— Tak, tak — ucinam. — Z nas trojga to on jest superbohaterem, wiadomo. No to co zamierza pan zrobić?

— Sam nie wiem — wzdycha. — Chyba wrócę na arenę z tobą, jeśli mi się uda. To i tak bez znaczenia, czy mnie wylosują podczas dożynek. Peeta się zgłosi, żeby zająć moje miejsce.

Przez pewien czas zgodnie milczymy.

— Ciężko byłoby panu na arenie, prawda? — pytam w końcu. — Przecież zna pan wszystkich.

— Och, gdziekolwiek się pojawię, zachowuję się nieznośnie, i tak samo będzie podczas turnieju, to pewne. — Ruchem głowy wskazuje butelkę. — Mogę to dostać z powrotem?

— Nie. — Obejmuję butelkę, a Haymitch sięga pod stół, wyciąga nową i od razu odkręca zakrętkę, a ja przypominam sobie, że nie przyszłam tutaj tylko się napić. Chcę od niego czegoś jeszcze. — Już wiem, o co pana poproszę. Jeżeli trafię na arenę razem z Peetą, tym razem spróbujemy utrzymać przy życiu jego, nie mnie.

W przekrwionych oczach Haymitcha dostrzegam błysk bólu.

— Sam pan powiedział — będzie źle, cokolwiek pan zrobi, a bez względu na to, czego życzy sobie Peeta, tym razem on powinien się uratować. Oboje jesteśmy mu to winni. — Uderzam w błagalny ton. — Poza tym Kapitol nienawidzi mnie do tego stopnia, że i tak już nie żyję, a dla Peety jeszcze nie wszystko jest stracone. Proszę obiecać, że pan pomoże.

Marszczy czoło nad butelką, rozważa moje słowa.

— Zgoda — decyduje po namyśle.

— Dzięki.

Teraz powinnam pójść porozmawiać z Peetą, ale nie chcę. Od alkoholu kręci mi się w głowie i jestem tak wyczerpana, że mógłby wyciągnąć ze mnie zgodę na coś, na co nie mam ochoty. Nie, muszę wracać do domu i zmierzyć się z mamą oraz Prim.

Niepewnym krokiem wchodzę po schodach, kiedy nagle otwierają się drzwi i Gale chwyta mnie w objęcia.

— Myliłem się — szepcze. — Powinniśmy byli uciec, tak jak chciałaś.

— Nie — bełkoczę. Trudno mi się skupić, a bimber co rusz wychlapuje mi się z butelki i zalewa tył kurtki Gale'a, ale on chyba nie zwraca na to uwagi.

— Jeszcze nie jest za późno — nalega.

Przez jego ramię widzę mamę i Prim, przytulone do siebie na progu. Jeśli uciekniemy, one zginą, a teraz mam Peetę, który mnie obroni. Koniec dyskusji.

— Owszem, jest — mówię, a kiedy uginają się pode mną nogi, Gale mnie podtrzymują. Alkohol odbiera mi rozum, a w ostatnim przeblysku świadomości słyszę brzęk butelki, która rozbija się na podłodze. Nic dziwnego, skoro kompletnie straciłam kontrolę.

Budzę się i z trudem dobiegam do łazienki, żeby zdążyć przed wielkim powrotem bimbru. Kiedy się objawia, pali tak samo jak wtedy, gdy we mnie zniknął, ale smakuje dwa razy gorzej. Wreszcie kończę wymiotować, jestem roztrzęsiona i zlana potem, ale przynajmniej udało mi się usunąć z organizmu większość paskudztwa. I tak sporo alkoholu przeniknęło do krwioobiegu, co się objawia silnym łupaniem w głowie, wyschniętym na wiór językiem oraz palącym bólem żołądka.

Odkręcam kurek prysznica i przez minutę stoję w strumieniach ciepłego deszczu, zanim dociera do mnie, że jestem w bieliźnie. Mama na pewno ściągnęła ze mnie brudne ubranie i dopilnowała, abym trafiła do łóżka. Ciskam mokrą bieliznę do umywalki i wylewam szampon na włosy. Pieką mnie dłonie i dopiero teraz dostrzegam na nich drobne szwy, równomierne założone na spodzie jednej dłoni i z boku drugiej. Jak przez mgłę przypominam sobie, że wczoraj w nocy rozbiłam szybę w oknie i szoruję się od stóp do głów, z przerwą na wymioty pod prysznicem. Zwracam prawie wyłącznie żółć, która ścieka do odpływu razem z pianką o słodkawym zapachu.

Wreszcie jestem czysta. Nie zwracając uwagi na ociekające wodą włosy, wkładam szlafrok, ruszam z powrotem do łóżka i wpełzam pod koc przekonana, że właśnie tak się cierpi po zażyciu trucizny. Nagle słyszę kroki na schodach i wpadam w panikę, tak jak wczoraj w nocy. Nie jestem jeszcze gotowa na spotkanie z mamą i Prim. Muszę wziąć się w garść i zachować spokój, żeby je pokrzepić na duchu, tak samo jak podczas pożegnania w dniu ostatnich dożynek. Nie wolno mi okazywać słabości. Prostuję się z wysiłkiem, odgarniam z dudniących skroni mokre strąki i przygotowuję się do rozmowy. Obie stają na progu, z herbatą i grzanką, a na ich twarzach maluje się troska. Otwieram usta, żeby na wstępie zabłysnąć jakimś dowcipem, i wybucham płaczem. Taka jestem silna.

Mama przysiada na skraju łóżka, Prim gramoli się na miejsce tuż przy mnie i razem mnie tuli, przemawiają kojącymi głosami i czekają, aż prawie całkiem się wypłaczę. Prim sięga po ręcznik, suszy mi włosy i rozczesuje kołtuny, a mama namawia mnie na herbatę i kawałek tostu. Potem ubierają mnie w ciepłą piżamę i przykrywają dodatkowymi kocami, a ja znowu zasypiam.

Kiedy ponownie się budzę, orientuję się po świetle, że jest już późne popołudnie. Na nocnym stoliku czeka na mnie szklanka wody, którą wypijam duszkiem. Nadal łupie mnie w głowie i czuję przykry ciężar w brzuchu, ale jestem w znacznie lepszej formie. Wstaję, ubieram się i zaplatam warkocz. Przed zejściem ze schodów przystaję na moment na ich szczycie, lekko zażenowana własną reakcją na informacje związane z Cwierćwieczem Poskromienia, swoją nieobliczalną ucieczką, libacją z Haymitchem, płaczem. Zważywszy na okoliczności,

mam chyba prawo do jednodniowej niedyspozycji, ale cieszę się, że w pobliżu nie było kamer.

Na parterze czekają już mama i Prim, i znowu mnie obejmują, ale bez przesadnych emocji; wiem, że tłumią uczucia, abym łatwiej odzyskała równowagę. Gdy patrzę na twarz Prim, trudno mi uwierzyć, że to ta sama krucha dziewczynka, którą dziewięć miesięcy temu opuszczałam w dniu dożynek. Dramat igrzysk, a także następująca po zawodach fala okrucieństwa w dystrykcie, nawał chorych i rannych, których często leczy zupełnie sama, bo mama ma pełne ręce roboty — wszystko to dodało mojej siostrze lat. Poza tym wyraźnie urosła, jesteśmy teraz prawie tego samego wzrostu, ale to nie dlatego wygląda znacznie dojrzalej.

Mama nalewa mi rosółu do kubka, a ja proszę o jeszcze jeden, dla Haymitcha, po czym wychodzę i zmierzam po trawniku do jego domu. Dopiero się budzi, ale bez słowa bierze ode mnie zupę. Siedzimy, niemal spokojnie sączymy rosół i przez okno w salonie obserwujemy zachód słońca. Słyszę dobiegający z piętra tupot i zakładam, że to Hazelle, ale kilka minut później dołącza do nas Peeta i ostentacyjnie rzuca na stół kartonowe pudło pełne pustych butelek po alkoholu.

— I już, załatwione — oznajmia.

Haymitch z najwyższym trudem skupia wzrok na butelkach, więc odzywam się pierwsza.

— Co jest załatwione?

— Wylałem do zlewu cały alkohol — wyjawia Peeta.

Ta informacja najwyraźniej wrywa Haymitcha ze stuporu, bo z niedowierzaniem grzebie w pudle.

— Coś ty zrobił? — mamrocze.

— Usunąłem cały bimber — odpowiada Peeta.

— Przecież kupi sobie nowy — mówię.

— Nie kupi — zapewnia mnie Peeta. — Dzisiaj rano wytropiłem Ripper i zapowiedziałem, że ją natychmiast wydam, jeżeli sprzeda choć jedną butelkę tobie albo jemu. Dodatkowo ją przekupiłem, na wszelki wypadek, ale i tak wątpię, żeby śpieszyło jej się do aresztu Strażników Pokoju.

Haymitch próbuje zamachnąć się na niego nożem, Peeta paruje cios z taką łatwością, aż litość bierze, a we mnie narasta złość.

— Dlaczego wtykasz nos w jego sprawę? — warczę.

— To moje sprawy — mówi do mnie Peeta. — Bez względu na przebieg wypadków, dwoje z nas trafi na arenę, trzecie pozostanie jako mentor. Nie możemy sobie pozwolić na tolerowanie pijaków w zespole. W szczególności dotyczy to ciebie, Katniss.

— Co takiego? — oburzam się zirytowana. Zapewne zabrzmiałoby to bardziej przekonująco, gdyby nie dokuczliwy kac.

— Wczoraj w nocy upiłam się pierwszy raz w życiu.

— Właśnie, i popatrz, w jakim jesteś stanie — cedzi Peeta bezlitośnie.

Nie wiem, czego się spodziewałam po pierwszym spotkaniu z nim od ogłoszenia informacji o Ćwierćwieczu. Zapewne kilku uścisków i pocałunków, odrobiny pociechy, ale na pewno nie tego. Spoglądam na Haymitcha.

— Niech pan się nie martwi, załatwię panu alkohol.

— No to zadenuncjuję was oboje — zapowiada Peeta. — Wytrzeźwiejcie sobie w dybach.

— O co właściwie chodzi? — chce wiedzieć Haymitch.

— O to, że dwoje z nas wróci z Kapitolu, mentor i zwycięzca — tłumaczy Peeta. — Effie przyśle mi nagrania filmów z udziałem wszystkich pozostałych przy życiu zwycięzców. Obejrzymy igrzyska z ich udziałem i dowiemy się jak najwięcej o ich metodach walki, poza tym nabierzemy wagi i sił. Będziemy postępować jak zawodowcy i ktoś z nas zwycięży, czy

to się wam podoba, czy nie! — Gwałtownie wypada z pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi wejściowe, a my się wzdrygamy.

— Nie lubię takich świętoszków — wyznaję.

— Nie da się ich lubić. — Haymitch zabiera się do wysączenia resztek alkoholu z pustych butelek.

— Chodzi mu o pana i o mnie. Postanowił, że to my wrócimy do domu.

— No to zrobił z siebie idiotę — podsumowuje Haymitch.

Po kilku dniach postanawiamy mimo wszystko postępować jak zawodowcy, bo to najlepszy sposób na przygotowanie Peety. Co wieczór oglądamy podsumowania igrzysk, w których wygrywali inni, a ja sobie uświadamiam, że podczas Tournee Zwycięzców nie spotkaliśmy ani jednego z nich. Z perspektywy czasu wydaje się to dziwne. Wspominam o tym, ale zdaniem Haymitcha prezydent Snow pod żadnym pozorem nie chciałby pokazać w telewizji, jak Peeta i ja — zwłaszcza ja — sprzymierzamy się z innymi zwycięzcami w potencjalnie buntowniczych dystryktach. Triumfatorzy cieszą się szczególnymi względami i gdyby publicznie zademonstrowali poparcie dla mojego sprzeciwu wobec Kapitolu, konsekwencje polityczne byłyby poważne. Szacuję wiek rywali i uświadamiam sobie, że część z nich ma już swoje lata, co wydaje się zarazem smutne i krzepiące. Peeta pilnie sporządza notatki, Haymitch bez dodatkowej zachęty opisuje nam osobowość każdego ze zwycięzców i powoli zaczynamy poznawać przeciwników.

Co rano wykonujemy serię ćwiczeń wzmacniających: biegamy, podnosimy ciężary, rozciągamy się. Popołudniami pilnie trenujemy sztuki walki, miotanie nożami, walkę wręcz, a nawet uczę Peetę i Haymitcha chodzenia po drzewach. Oficjalnie trybuci mają zakaz prowadzenia przygotowań, nikt nas jednak nie powstrzymuje. Nawet na zwykłe igrzyska trybuci z Pierwszego, Drugiego i Czwartego Dystryktu przybywają z umiejętnością posługiwania się włócznią i mieczem. Nasz trening żadną miarą nie może się z równać z ich szkoleniem.

Po latach wyniszczania organizm Haymitcha źle znosi próby poprawy kondycji. Haymitch nadal jest imponująco silny, ale nawet najkrótszy bieg przyprawia go o zadyszkę. Poza tym można by pomyśleć, że człowiek, który nawet w nocy nie rozstaje się z nożem, zdoła trafić w ścianę domu, lecz Haymitchowi tak bardzo trzęsą się ręce, że ta sztuka udaje mu się dopiero po kilku tygodniach.

Tymczasem Peecie i mnie ogromnie przypada do gustu nowy tryb życia. Nareszcie znalazłam sobie zajęcie. Wszyscy sobie znaleźliśmy, zamiast nieustannie myśleć o porażce. Mama przestawia nas na specjalną dietę, dzięki której powinniśmy przybrać na wadze, Prim troszczy się o nasze obolałe mięśnie, a Madge podrzuca nam z Kapitolu gazety, które otrzymuje jej ojciec. W spekulacjach dotyczących zwycięzcy nad zwycięzcami jesteśmy konsekwentnie stawiani w ścisłej czołówce. Nawet Gale włącza się do przygotowań, choć nie przepada ani za Peetą, ani za Haymitchem, i uczy nas wszystkiego, co wie o zastawianiu sideł. Dziwnie się czuję, kiedy rozmawiam jednocześnie z Peetą i Galem, ale chyba obaj chwilowo postanowili nie poruszać tematów związanych ze mną.

Któregoś wieczoru postanawiam odprowadzić Gale'a do miasta.

— Lepiej by było, gdyby go można było nienawidzić — oznajmia nieoczekiwanie.

— Mów mi jeszcze — wzdygam. — Gdybym potrafiła zwyczajnie zniechęcić go na arenie, teraz nie siedzielibyśmy wszyscy po uszy w bagnie. Już by nie żył, a ja zgarnęłabym zaszczyty tylko dla siebie.

— I co byśmy teraz robili, Katniss? — pyta Gale cicho.

Milczę, bo nie wiem, co powiedzieć. Co bym teraz robiła z udawanym kuzynem, który nie musiałby nim być, gdyby nie Peeta? Czy i tak by mnie pocałował, a ja odwzajemniłabym pocałunek, gdybym mogła swobodnie to zrobić? Czy otworzyłabym się na niego, ukojona dostatkiem pieniędzy i żywności, a także iluzją bezpieczeństwa, w rozmaitych okoliczno-

ściach rzekomo gwarantowanego zwycięzcom? Widmo dożynek zawsze jednak wisiłoby nad nami i nad naszymi dziećmi, bez względu na to, czego bym pragnęła...

— Polowalibyśmy, jak w każdą niedzielę — mówię. Wiem, że nie chodziło mu o konkretną odpowiedź, ale nie mogę nic więcej szczerze powiedzieć. Gale wie, że wybrałam jego, a nie Peetę, kiedy zrezygnowałam z ucieczki. Osobiście nie widzę sensu w rozmawianiu o tym, co mogłoby się zdarzyć. Nawet gdybym zabiła Peetę na arenie, i tak nie chciałabym z nikim brać ślubu. Zaręczyłam się tylko po to, żeby ocalić ludziom życie, a moje poczynania przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego. Poza tym boję się, że każda nasycona emocjami chwila z Galem może go skłonić do jakiegoś drastycznego kroku, dajmy na to do wzniecenia powstania w kopalni. Haymitch słusznie zauważył, że Dwunasty Dystrykt nie jest na to gotowy. Jeśli w ogóle, to ludzie są teraz jeszcze mniej skorzy do buntu niż przed informacją o Ćwierćwieczu Poskromienia, gdyż następnego ranka po jej ogłoszeniu przyjechał pociąg ze stuosobowym oddziałem Strażników Pokoju.

Nie planuję po raz drugi powrócić żywa, więc im szybciej Gale pozwoli mi odejść, tym lepiej. Zamierzam zamienić z nim słowo lub dwa po dożynkach, kiedy będziemy mieli godzinę na pożegnania. Wtedy wyznam mu, że od lat był dla mnie jednym z najważniejszych ludzi, a moje życie stało się lepsze dzięki temu, że go znałam. I kochałam, choćby na swój ograniczony sposób.

Nie mam jednak okazji wyjawić mu tego wszystkiego. Dzień dożynek jest upalny i parny. Mieszkańcy Dwunastego Dystryktu czekają spoceni i milczący na placu, pod lufami karabinów maszynowych. Stoję sama na skrawku ziemi ogrodzonym sznurami, a z prawej strony w podobnej zagrodzie tkwią Haymitch i Peeta. Dożynki trwają zaledwie minutę. Effie w peruce lśniącej metalicznym złotem wydaje się dziwnie przygaszona, wyraźnie brakuje jej zwykłego entuzjazmu. Przez dłuższą chwilę musi grzebać ręką w kuli z nazwiskami dziewcząt, żeby wyłuskać jedyną złożoną tam kartkę. Rzecz jasna, wszyscy doskonale wiedzą, że widnieje na niej moje imię i nazwisko. Zaraz potem wyławia los Haymitcha, który posyła mi nieszczęśliwe spojrzenie i nie ma czasu na nic więcej, bo Peeta z miejsca zgłasza się na ochotnika, gotowy zająć jego miejsce.

Niezwłocznie prowadzą nas do Pałacu Sprawiedliwości na spotkanie z oczekującym nas Głównym Strażnikiem Pokoju Threadem.

— Obowiązuje nowa procedura — obwieszcza z uśmiechem. Mundurowi kierują nas do tylnego wyjścia i dalej do samochodu, który wiezie nas na dworzec. Na peronie brakuje kamer, nie ma też tłumu żegnających nas ludzi. Zjawiają się Effie i Haymitch w otoczeniu strażników, zostajemy pośpiesznie załadowani do pociągu i słyszymy trzaśnięcie zamykanych za nami drzwi. Koła zaczynają się obracać. Wyglądam przez okno i patrzę, jak Dwunasty Dystrykt znika w oddali, a na moich ustach zawisają słowa pożegnania, których nie miałam okazji wypowiedzieć.

Tkwie przy oknie jeszcze długo po tym, jak lasy przesłoniły mój dystrykt. Tym razem nie mam żadnej, nawet najmniejszej nadziei na powrót. Przed poprzednimi igrzyskami obiecałam Prim, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zwyciężyć, a teraz poprzysięgam sobie dołożyć wszelkich starań, aby utrzymać Peetę przy życiu. Nigdy już nie powrócę tą trasą.

Ułożyłam sobie w głowie słowa ostatniego pożegnania z bliskimi, przemyślałam wszystko i zdecydowałam, jak zamknąć za sobą drzwi i pozostawić rodzinę pogrążoną w smutku, lecz bezpieczną, a teraz Kapitol odebrał mi także to.

— Katniss, napiszemy listy — odzywa się Peeta za moimi plecami. — Tak będzie lepiej. Ofiarujemy im fragment siebie, żeby mieli go stale przy sobie. Haymitch dostarczy je w naszym imieniu, jeżeli... jeżeli będzie trzeba.

Kiwam głową i idę prosto do swojego przedziału. Siadam na łóżku, świadoma, że nie napiszę żadnego listu. Będzie z nimi tak, jak z przemówieniem, które usiłowałam przygoto-

wać na cześć Rue i Thresha przed występem w Jedenastym Dystrykcie. Słowa same układały mi się w głowie i bez trudu wypowiedziałam je przed publicznością, ale nie potrafiłam przełać ich na papier. Podczas pożegnania chciałam objąć i przytulić bliskich, głaskać Prim po głowie, dotknąć twarzy Gale'a, uścisnąć dłoń Madge. Tego nie da się dostarczyć razem z drewnianą skrzynią, ze spoczywającym w niej moim zimnym, sztywnym ciałem.

Jestem zbyt nieszczęśliwa, żeby płakać, więc pragnę tylko zwinąć się w kłębek na łóżku i spać aż do jutrzejszego poranka, kiedy dotrzemy do Kapitolu. Mam jednak misję do wykonania, a nawet więcej. Chcę spełnić swoje ostatnie życzenie — uchronić Peetę przed śmiercią. Wydaje się to nieprawdopodobne, zważywszy na gniew Kapitolu, ale nie wolno mi rezygnować i muszę panować nad sytuacją. Nie poradzę sobie, jeżeli skupię się na opłakiwaniu wszystkich, których pozostawiłam w domu. Daj sobie z nimi spokój, przekonuję samą siebie. Pożegnaj się z nimi i o nich zapomnij. Staram się, jak mogę, rozmyślam o wszystkich najbliższych po kolei, uwalniam ich z pamięci niczym ptaki z klatek i zamykam za nimi drzwi, żeby przypadkiem nie powrócili.

Kiedy Effie puka, żebym przyszła na kolację, czuję się zupełnie pusta w środku, ale ta lekkość jest całkiem przyjemna. Kolacja przebiega w markotnej atmosferze. Jesteśmy tak przygaszeni, że długotrwałe okresy kompletnej ciszy przerywa tylko zamieszanie, które towarzyszy zabieraniu jednych potraw i prezentacji następnych. Zimna zupa krem z warzyw. Placki rybne w gęstym sosie z limonki. Małe ptaszki, które zjada się razem z kosteczkami, serwowane z dzikim ryżem i rukwią. Krem czekoladowy upstrzony wiśniami. Peeta i Effie od czasu do czasu próbują nawiązać rozmowę, która jednak w ogóle się nie klei.

— Podoba mi się twoja nowa fryzura, Effie — mówi Peeta.

— Dziękuję. Chciałam, aby pasowała do broszki Katniss. Przyszło mi do głowy, że powinieneś nosić złotą obręcz na kostce, a Haymitchowi sprawilibyśmy złotą bransoletę albo coś w tym stylu, i wyglądalibyśmy na drużynę — sugeruje Effie.

Najwyraźniej nie ma pojęcia, że moja broszka z kosogłosem jest teraz symbolem rebeliantów, przynajmniej w Ósmym Dystrykcie. Kapitołińczycy nadal uważają wizerunek kosogłosa za miłą pamiątkę po szczególnie emocjonujących Głodowych Igrzyskach. To oczywiste, przecież prawdziwi buntownicy nie umieszczają tajnych symboli na czymś tak trwałym jak biżuteria, tylko na cienkim sucharze, który w razie czego można w jednej chwili zjeść.

— Moim zdaniem to pierwszorzędny pomysł — oznajmia Peeta. — Co pan o tym myśli, Haymitch?

— Wszystko mi jedno — burczy Haymitch. Nie pije, ale jestem pewna, że chętnie sięgnąłby po kieliszek. Żeby nie kłuć go w oczy widokiem alkoholu, Effie kazała zabrać wino, które dostała do posiłku, ale Haymitch i tak strasznie się męczy. Gdyby był trybutem, nie musiałby spłacać Peecie długu wdzięczności i mógłby chlać na umór. Teraz musi dać z siebie wszystko, żeby utrzymać Peetę przy życiu na arenie pełnej starych znajomych, i zapewne sobie nie poradzi.

— Może i panu powinniśmy sprawić perukę — odzywam się, żeby jakoś rozładować napiętą atmosferę, a Haymitch tylko patrzy na mnie wilkiem, dając do zrozumienia, że mam mu dać spokój. W milczeniu kończymy deser.

— Obejrzymy podsumowanie dożynek? — proponuje Effie i ociera kąciki ust białą, lnianą serwetką.

Peeta idzie po notatnik z zapiskami na temat pozostałych przy życiu triumfatorów i zbieramy się w przedziale z telewizorem, żeby zobaczyć, komu stawimy czoło na arenie. Siadamy przed odbiornikiem, rozbrzmiewa hymn i rozpoczyna się kronika ceremonii dożynek z dwunastu dystryktów. W historii Głodowych Igrzysk honorowano siedemdziesięciu pięciu zwycięzców, pięćdziesięciu dziewięciu wciąż żyje. Rozpoznaję wiele osób, bo widziałam je w roli trybutów i mentorów na wcześniejszych turniejach lub podczas niedawnego przeglądania nagrań. Niektórzy z nich są tak starzy albo wyniszczeni przez choroby, narkotyki i alko-

hol, że nie potrafię ich sobie przypomnieć. Jak się należało spodziewać, największa jest pula zawodowych trybutów z Jedyńki, Dwójki i Czwórki, ale każdy dystrykt może się poszczycić przynajmniej jedną zwyciężczynią i jednym triumfatorem.

Dożynki przebiegają sprawnie. Peeta z notatnikiem w ręku pieczołowicie zaznacza gwiazdkami nazwiska wybranych trybutów, a Haymitch patrzy bez emocji na swoich znajomych, którzy po kolei zajmują miejsca na estradach. Effie z przejęciem wygłasza ciche uwagi, typu: „Och, tylko nie Cecelia” albo „No tak, Chaff zawsze się pakuje w tarapaty” i co rusz wzdycha.

Jeśli o mnie chodzi, to staram się zapamiętywać innych uczestników, ale podobnie jak w ubiegłym roku, tylko nieliczni mocno zapadają mi w pamięć. Klasycznej urody rodzeństwo, brat i siostra z Pierwszego Dystryktu, zwycięzcy w dwóch następujących po sobie igrzyskach w czasach mojego dzieciństwa. Brutus, ochotnik z Drugiego Dystryktu. Na oko jest po czterdziestce i chyba nie może się doczekać powrotu na arenę. Finnick to przystojny szatyn z Czwórki, triumfował dekadę temu jako czternastolatek. Rozhisteryzowana młoda kobieta z rozwianymi, kasztanowymi włosami również pochodzi z Czwórki, ale natychmiast zastępuje ją ochotniczka, osiemdziesięciolatka, która o lasce kuśtyka do sceny. Następną charakterystyczną osobą jest Johanna Mason, jedyna pozostała przy życiu triumfatorka z Siódemki. Kilka lat temu udało się jej zdobyć laury tylko dlatego, że udawała słabeusza. Kobieta z Ósemki, nazywana przez Effie Cecelią, wygląda na trzydzieści lat i z trudem odrywa się od trójki dzieci, które za nią biegną i czepiają się jej nóg. Chaff pochodzi z Jedenastki i wiem, że przyjaźni się z Haymitchem.

Patrzę na scenę, w której zostaję powołana do igrzysk, zaraz po mnie ten los spotyka Haymitcha, którego zastępuje Peeta. Jedna z komentatorek wyraźnie się rozkleja, bo wygląda na to, że los nigdy nie sprzyja nam, nieszczęśliwym kochankom z Dwunastego Dystryktu. W końcu jednak bierze się w garść i oznajmia, że „zapowiadają się najlepsze Głodowe Igrzyska w historii!”

Haymitch bez słowa wychodzi, a Effie wygłasza kilka nieistotnych komentarzy o paru trybutach, żegna się z nami przed snem i również opuszcza przedział. Siedzę nieruchomo i obserwuję Peetę zajętego wrywaniem z notatnika stron zwycięzców, którzy nie zostali wybrani.

— Dlaczego nie pójdziesz spać? — sugeruje.

Bo nie zniosę koszmarów. Nie bez ciebie, myślę. Tej nocy na pewno nawiedzą mnie upiorne sny, a przecież nie mogę poprosić Peety, żeby poszedł spać ze mną. Prawie się nie dotykaliśmy od wieczoru, w którym wychłostano Gale'a.

— A ty? Co zamierzasz zrobić? — odpowiadam pytaniem na pytanie.

— Jeszcze poprzeglądałam notatki, żeby lepiej zrozumieć, z kim się zmierzmy, i rano o tym pogadamy. Idź do łóżka, Katniss — radzi.

No to idę do łóżka i oczywiście już po kilku godzinach budzę się z koszmaru, w którym staruszka z Czwartego Dystryktu przeobraziła się w wielkiego gryzonia i kasała mi twarz. Wiem, że wrzeszczałam, ale nikt nie przychodzi — ani Peeta, ani nawet żaden z kapiolińskich pracowników obsługi. Mam gęsią skórę, więc wkładam szlafrok. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym pozostać w swoim przedziale, więc postanawiam poszukać kogoś, kto zrobi mi herbatę czy gorącą czekoladę albo cokolwiek. Może Haymitch jeszcze jest na nogach. Tak, na pewno nie śpi. Zamawiam u stewarda ciepłe mleko, nie przychodzi mi do głowy pomysł na bardziej uspokajający napój.

W przedziale telewizyjnym słychać głosy, więc idę tam i zastaję Peetę. Na kanapie obok niego leży pudło z archiwalnymi nagraniami Głodowych Igrzysk, przysłanymi przez Effie, a na ekranie rozpoznaję turniej, w którym zwyciężył Brutus.

Na mój widok Peeta wstaje i wyłącza odtwarzacz.

— Nie mogłaś spać?

— Mogłam, ale krótko. — Na wspomnienie staruszki przybierającej postać szczura szczerzej owijam się szlafrokiem.

— Chcesz o tym porozmawiać? — dopytuje się.

Czasami to pomaga, ale tym razem tylko kręcę głową. Robi mi się słabo na myśl o tym, że ludzie, z którymi jeszcze nie miałam okazji walczyć, już mnie prześladują w snach. Peeta wyciąga ku mnie ręce, a ja bez wahania rzucam się w jego objęcia. Do dziś od ogłoszenia Ćwierćwiecza ani razu nie okazał mi ciepłych uczuć. Zachowywał się jak niezwykle wymagający trener, zawsze dopingował do wzmożonej pracy, zmuszał mnie oraz Haymitcha do szybszego biegania, obfitszego jedzenia i lepszego poznawania wroga. Ukochany? A gdzie tam, zrezygnował nawet z udawania przyjaźni. Mocno otaczam jego szyję rękami, zanim zdąży mnie zagonić do robienia pompek czy innych ćwiczeń, a on przyciąga mnie bliżej i zanurza twarz w moich włosach. Ledwie musnął wargami moją szyję, ale to wystarcza, żeby ciepło jego ust powoli rozpląnęło się po moim ciele. Jest mi tak dobrze, tak nieopisanie przyjemnie, że z całą pewnością nie przerwę tego pierwsza. Dlaczego miałabym przerywać? Przecież pożegnałam się z Galem i wiem na pewno, że już nigdy go nie zobaczę. Cokolwiek teraz zrobię, i tak go nie skrzywdzę, poza tym mnie nie widzi. Jeśli coś pokażą w telewizji, uzna moje zachowanie za element gry. Akurat tym nie muszę się przejmować.

Odsuwamy się od siebie, kiedy do przedziału wchodzi kapitoliński steward i stawia na stole tacę z dwoma kubkami oraz ceramicznym dzbankiem pełnym mleka.

— Postanowiłem przynieść dodatkowy kubek — oznajmia.

— Dzięki — mówię.

— Pozwoliłem sobie dodać do mleka odrobinę miodu, żeby było słodsze, i jeszcze szczyptę korzennych przypraw. — Spogląda na nas tak, jakby chciał coś dorzucić, ale zmienia zdanie i tylko lekko kręci głową, wycofując się z pomieszczenia.

— Co mu się stało? — dziwię się.

— Moim zdaniem czuje się podle z naszego powodu — ocenia Peeta.

— Akurat — powątpiewam i nalewam mleka do naczyń.

— Poważnie. Kapitolińczycy wcale nie będą się cieszyli ani z naszego powrotu na arenę, ani z powrotu innych zwycięzców. Ludzie przywiązali się do swoich mistrzów.

— Na pewno im przejdzie, kiedy popłynie krew — oznajmiam głucho. Mam mnóstwo powodów do zmartwień i nie muszę tracić czasu na przejmowanie się nastrojami w Kapitolu podczas transmisji z turnieju Ćwierćwiecza Poskromienia. — Oglądasz wszystkie taśmy od początku?

— Niezupełnie. Wybieram co ciekawsze fragmenty, żeby podpatrywać różne techniki walki uczestników.

— Kto będzie następny? — zaciekawiam się.

— Sama wybierz — proponuje Peeta i podsuwa mi pudło.

Na każdej taśmie widnieje rok Głodowych Igrzysk oraz nazwisko zwycięzcy. Szperam wśród nagrań i nagle natrafiam na jedno, którego nie oglądaliśmy. Jest oznaczone liczbą pięćdziesiąt, co oznacza, że mam w ręku relację z drugiego Ćwierćwiecza Poskromienia. Triumfator nazywa się Haymitch Abernathy.

— Nigdy tego nie oglądaliśmy — zauważam, a Peeta kręci głową.

— Nie. Wiedziałem, że Haymitch nie chciałby tego, tak jak my nie chcieliśmy oglądać naszych igrzysk. Poza tym gramy w jednej drużynie, więc uznałem, że to bez znaczenia.

— Jest tu materiał o zwycięzcy dwudziestych piątych igrzysk?

— Wątpię. Ktokolwiek to był, z pewnością już nie żyje, a Effie podesłała mi programy poświęcone wyłącznie tym, których możemy spotkać na arenie. — Peeta waży w dłoni taśmę z Haymitchem. — Dlaczego pytasz? Twoim zdaniem powinniśmy obejrzeć to nagranie?

— Nie mamy innego Ćwierćwiecza. Może zauważymy coś istotnego — przekonuję Peetę, ale jestem zakłopotana, bo mam wrażenie, że dokonujemy zmasowanego ataku na życie osobiste Haymitcha. Nie wiem, dlaczego tak się czuję, skoro cała sprawa jest powszechnie znana. Nic na to nie poradzę. Muszę jednak przyznać, że jestem także niezwykle zaintrygowana. — Nie musimy mówić Haymitchowi, że to obejrzelśmy.

— Niech ci będzie — zgadza się Peeta.

Puszcza taśmę, a ja podkulam nogi obok niego na kanapie, z kubkiem mleka w dłoni. Jest pyszne, doskonale smakuje z miodem i przyprawami. Sącząc je, przenoszę się do świata pięćdziesiątych Głodowych Igrzysk. Po czołówce z hymnem na ekranie pojawia się prezydent Snow i wyciąga kopertę przygotowaną na drugie Ćwierćwiecze Poskromienia. Wygląda młodziej, ale równie odpychająco. Czyta z prostokątnej kartki tym samym męczącym głosem, którym zwracał się do nas, i informuje całe Panem, że dla uczczenia drugiego dwudziestopięcioletnia Poskromienia liczba trybutów w turnieju zostanie podwojona. Następnie realizatorzy programu robią przebitkę bezpośrednio na dożynki, w których trakcie zostają odczytane nazwiska wszystkich uczestników.

Kiedy docieramy do sceny z Dwunastego Dystryktu, jestem całkowicie przytłoczona ogromną liczbą dzieci, które powędrowały na pewną śmierć. W Dwunastce wyczytuje nazwiska jakaś kobieta, nie Effie, ale zaczyna tak samo. „Damy mają pierwszeństwo!” — woła i wyczytuje nazwisko dziewczyny, która pochodzi ze Złożyska, poznają to już na pierwszy rzut oka. „Maysilee Donner” — ogłasza prowadząca.

— Och! — wykrzykuje. — Była przyjaciółką mamy.

Kamera odszukuje ją w tłumie, i widzimy, jak Maysilee tuli się do dwóch innych dziewcząt. Wszystkie są blondynkami, z całą pewnością pochodzą z rodzin kupieckich.

— Moim zdaniem to twoja mama ją obejmuje — zauważa Peeta cicho, i ma rację. Gdy Maysilee Donner dzielnie odrywa się od koleżanek i rusza ku scenie, przez chwilę widzę mamę w moim wieku i już wiem, że opowieści o jej dawnej urodzie nie są ani trochę przesadzane. Za rękę trzyma ją inna zapłakana dziewczyna, bardzo podobna do Maysilee, ale także do kogoś, kogo znam i ja.

— Madge — mówię.

— To jej mama. Ona i Maysilee były chyba bliźniaczkami — wyjaśnia Peeta. — Tata kiedyś o tym wspomniał. Rozmyślałam o mamie Madge, żonie burmistrza Undersee'ego, która połowę życia spędza w łóżku, unieruchomiona przez straszliwy ból, odcięta od świata. Nigdy sobie nie uświadamiałam, że ona i mama mają ze sobą coś wspólnego. Myślę o Madge, gotowej mimo zadymki przynieść środki znieczulające dla Gale'a, o swojej broszce z kosogłosem, która nabiera zupełnie nowego znaczenia, odkąd wiem, że jej poprzednią właścicielką była ciotka Madge, Maysilee Donner, trybutka zamordowana na arenie.

Haymitcha wywołują na samym końcu, a jego widok jest dla mnie jeszcze bardziej szokujący niż zdjęcia mamy. Na ekranie pojawia się młody i silny mężczyzna. Trudno mi to przyznać, ale był z niego niezły przystojniak o ciemnych, kręconych włosach oraz typowych dla mieszkańców Złożyska szarych oczach, które już wtedy niebezpiecznie błyszcząły.

— Och, Peeta, chyba nie zabił Maysilee, prawda? — pytam nerwowo. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię znieść tej myśli.

— Przy czterdziestu ośmiu zawodnikach? — powątpiewa Peeta. — Mało prawdopodobne.

W telewizorze przejeżdża rydwan z parą młodych ludzi z Dwunastego Dystryktu, w okropnych górniczych strojach, pojawiają się migawki z wywiadów. Nie mamy czasu na obejrzenie wszystkich rozmów, ale ponieważ zwycięzcą będzie Haymitch, w całości zapoznaliśmy się z jego występem. Prowadzący program Caesar Flickerman wygląda tak samo jak zawsze w migoczącym, granatowym garniturze, tylko jego włosy, powieki i usta są ciemnozielone, a nie niebieskie.

— Powiedz nam, Haymitch, co sądzisz o tym, że w igrzyskach weźmie udział o sto procent więcej zawodników niż zwykle? — pyta Caesar.

Haymitch wzrusza ramionami.

— Nie widzę większej różnicy. Będą w stu procentach równie głupie jak zwykle, więc mam z grubsza takie same szanse.

Publiczność wybucha śmiechem, a Haymitch uśmiecha się półgębkiem, bezczelnie i obojętnie.

— Zawsze się tak zachowuje, prawda? — zauważam.

Następny obraz to poranek w dniu rozpoczęcia igrzysk. Patrzymy z perspektywy jednej z trybutek, która jest windowana z sali ekspedycyjnej szybem prosto na arenę. Mimowolnie wstrzymuję oddech z wrażenia, na twarzach uczestników dostrzegam niedowierzanie. Nawet Haymitch z aprobatą unosi brwi, choć niemal natychmiast je ponownie marszczy.

Uroda tego miejsca zapiera dech w piersiach. Złoty Róg Obfitości leży pośrodku łąki upstrzonej plamami przepięknych kwiatów, na lazurowym niebie wiszą puszyste, białe chmury, w przestworzach fruwią rozśpiewane ptaki. Niektórzy zawodnicy głęboko pociągają nozami, więc nietrudno się domyślić, że ich nozdrza wypełnia fantastyczna woń. Ujęcie z powietrza pokazuje, jak rozległą, kilkukilometrową przestrzeń zajmuje łąka, z jednej strony ograniczona lasem, a z drugiej górą o zaśnieżonym szczycie. Piękno okolicy rozprasza wielu uczestników, więc gdy rozbrzmiewa gong, wyglądają tak, jakby usiłowali przebudzić się ze snu. Haymitcha to jednak nie dotyczy. W kilku susach doskakuje do Rogu Obfitości, chwytając parę rodzajów broni oraz plecak z zapasami i gna do lasu, zanim większości jego rywali udaje się zejść z tarcz.

Pierwszego dnia rozpętuje się krwawa jatka, w której ginie osiemnastu trybutów. Następni odpadają jeden po drugim i staje się jasne, że niemal wszystko w tym rajku na ziemi jest śmiertelnie trujące. Ludzie umierają po zjedzeniu soczystych owoców z krzewów i wypiciu wody z krystalicznie czystego strumienia, życiu zagraża nawet zapach wączanych z bliska kwiatów. Tylko deszczówka i żywność z Rogu Obfitości nadają się do spożycia. Niedługo po rozpoczęciu igrzysk formuje się dziesięcioosobowa grupa zawodowców, którzy przeczesują górski teren w poszukiwaniu ofiar.

Tymczasem Haymitch ma kłopoty w lesie, gdzie puchate, złociste wiewiórki okazują się drapieżnikami, które celują w stadnych polowaniach, użądlenia motyli zaś wywołują dotkliwy ból, a nawet śmierć. Mimo przeciwności Haymitch konsekwentnie podąża naprzód, byle jak najdalej od ośnieżonej góry.

Maysilee Donner okazuje się całkiem pomysłowa i zaradna jak na dziewczynę, która opuszcza Róg Obfitości jedynie z małym plecakiem. W środku znajduje miskę, trochę suszonej wołowiny oraz dmuchawkę z dwoma tuzinami strzałek. Dzięki wykorzystaniu ogólnie dostępnych trucizn, wkrótce zmienia ją w śmiertcionośną broń, bo zanurza strzałki w niebezpiecznych substancjach i skutecznie razi nimi wrogów.

Po upływie czterech dni malownicza góra przeobraża się w wulkan, którego erupcja zmiata z powierzchni ziemi kolejnych dwunastu trybutów, między innymi pięciu zawodowców. Góra pluje płynnym ogniem, a na łące nie sposób znaleźć kryjówki, więc pozostałych trzynastu zawodników, łącznie z Haymitchem oraz Maysilee, nie ma wyboru i szuka schronienia wśród drzew.

Haymitch wydaje się zdecydowany kontynuować marsz w tym samym kierunku, jak najdalej od wulkanu, lecz labirynt ciasno splecionych żywopłotów zmusza go do zatoczenia koła i powrotu do środka lasu, gdzie napotyka trzech zawodowców. Na ich widok dobywa noża i wywiązuje się walka. Przeciwnicy są co prawda znacznie więksi i silniejsi, ale nie dorównują mu szybkością, więc zabija dwóch i dopiero trzeci go rozbraja. Zawodowiec już ma poderżnąć Haymitchowi gardło, kiedy pada na ziemię, ugodzony zatrutą strzałką.

Z lasu wyłania się Maysilee Donner.

— We dwoje pożyjemy dłużej — oznajmia.

— Chyba właśnie tego dowiodłaś — przyznaje Haymitch i rozciera szyję. — Sojusz?

Maysilee kiwa głową i w ten sposób zawierają jeden z tych układów, które w końcu i tak trzeba zerwać, jeżeli ma się nadzieję na powrót do swojego dystryktu.

Podobnie jak ja i Peeta, lepiej sobie radzą we dwoje. Są razem, więc mogą dłużej odpoczywać, opracowują sposób na pozyskiwanie większej ilości deszczówki, walczą w zespole i dzielą się żywnością z plecaków zabitych trybutów. Mimo to Haymitch nadal jest zdecydowany iść przed siebie.

— Dlaczego? — pyta bezustannie Maysilee, ale jest ignorowana, aż wreszcie odmawia dalszej wędrowki do czasu uzyskania odpowiedzi.

— Ponieważ w końcu dotrzemy do jakiejś granicy, prawda? — wyjaśnia jej Haymitch. — Arena nie jest nieskończenie wielka.

— Czego się spodziewasz?

— Sam nie wiem, ale może znajdziemy tam coś, z czego zrobimy użytek — zauważa Haymitch.

Kiedy ostatecznie udaje się im przedrzeć przez nieprawdopodobnie gęsty i mocny żywopłot dzięki zastosowaniu palnika z plecaka któregoś zawodowca, przedostają się na płat suchej ziemi obramowanej urwiskiem. Daleko u jego podnóża widać ostre skały.

— To tyle, Haymitch — mówi Maysilee. — Wracamy.

— Zostaję — oświadcza stanowczo.

— Zgoda. Zostało nas tylko pięcioro, więc równie dobrze możemy się pożegnać. Nie chcę, żebyśmy rozegrali końcówkę między sobą.

— Jasne — zgadza się Haymitch, i tyle. Nie wyciąga do niej ręki na pożegnanie, nawet nie podnosi wzroku. Maysilee odchodzi.

Haymitch wędruje wzdłuż krawędzi urwiska, jakby usiłował coś rozgryźć. W pewnej chwili strąca nogą kamyk, który spada w przepaść, najwyraźniej raz na zawsze. Chwilę później, kiedy Haymitch siada i odpoczywa, ten sam kamyk wystrzeliwuje z otchłani i przelatuje tuż obok. Zdezorientowany Haymitch wpatruje się w odłamek i widać, że intensywnie myśli. Po minucie rzuca w przepaść kamień wielkości pięści, nieruchomieje w oczekiwaniu, a następnie wybucha śmiechem, kiedy kamień wraca i wpada mu prosto w dłoń. Wtedy słyszymy wrzask Maysilee. Sojusz został zerwany, i to z jej inicjatywy, więc nikt nie mógłby mieć pretensji do Haymitcha, gdyby zignorował krzyki, ale on i tak rzuca się ku niej ile sił w nogach. Dobiega jednak zbyt późno, może tylko bezradnie patrzeć, jak ostatni ze stada cukierkoworóżowych ptaków o długich, cienkich dziobach przeszywa jej szyję. Haymitch trzyma umierającą Maysilee za rękę, a ja myślę tylko o Rue i o tym, że również zjawiłam się zbyt późno, aby ją uratować.

Tego samego dnia ginie w walce jeszcze jeden trybut, a trzeci zostaje pożarty przez watahę puszystych wiewiórek. W ten sposób na arenie pozostaje tylko Haymitch i zawodniczka z Pierwszego Dystryktu, więc decydujący pojedynek musi się rozegrać między nimi. Dziewczyna jest większa i równie szybka, więc ostatnie, nieuchronne starcie okazuje się wyjątkowo krwawe i okropne. Oboje odnoszą ciężkie, prawie śmiertelne rany. W pewnej chwili Haymitch traci broń i chwiejnym krokiem ucieka przez piękny las, usiłując podtrzymać wypływające wnętrzości, a dziewczyna wlecze się za nim z siekierą, którą zamierza zadać ostateczny cios. Haymitch kieruje się prosto do urwiska i nieruchomieje nad przepaścią, a wtedy ona rzuca siekierą, lecz Haymitchowi udaje się paść na ziemię. Broń przelatuje mu nad głową i wpada w otchłań. Dziewczyna stoi z pustymi rękami i nieporadnie usiłuje powstrzymać krwotok z pustego oczodołu. Może myśli, że Haymitch skona pierwszy, bo właśnie zaczął miotać się w konwulsjach, ale nie wie tego, co on. Siekiera musi powrócić, i rzeczywiście, wyfruwa zza skalnej krawędzi i wbija się w głowę dziewczyny. Huczy armatni wystrzał, zwłoki zostają usunięte, a fanfary ogłaszają zwycięstwo Haymitcha.

Peeta wyłącza taśmę i przez chwilę oboje milczymy.

— Pole siłowe u podnóża urwiska zadziało tak samo jak to zainstalowane na dachu Ośrodka Szkoleniowego — mówi w końcu. — Dzięki niemu ludzie nie mogą popełnić samobójstwa, bo odbijają się od niewidzialnej bariery. Haymitch zdołał zamienić pole w broń.

— Na dodatek nie tylko przeciwko trybutom, ale całemu Kapitolowi — dodaje. — Władze nie zakładały takiej ewentualności. Pole siłowe nie miało być elementem areny, z założenia nikt nie powinien używać go do walki. Haymitch przechytrzył organizatorów i naraził ich na śmieszność. Idę o zakład, że sporo się nagimnastykowali przy materiałach. Pewnie dlatego nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała w telewizji choć jego fragmenty. Ten kawałek z polem siłowym był niemal tak samo mocny jak nasz numer z jagodami!

Nie umiem się powstrzymać od śmiechu, pierwszy raz od wielu miesięcy jest szczerzy. Peeta tylko kręci głową, jakbym postradała zmysły, i chyba rzeczywiście trochę zaczyna mi odbijać.

— Niemal, ale nie całkiem — odzywa się Haymitch za naszymi plecami. Odwracam się raptownie, wystraszona, że będzie na nas zły za to, że obejrzelśmy nagranie, ale tylko uśmiecha się półgębkiem i pociąga solidny łyk wina z butelki. To tyle w kwestii trzeźwości. Chyba powinnam się martwić tym powrotem do picia, ale przejmuje mnie coś innego. Od tygodni usiłowałam dogłębnie poznać rywali, a tymczasem ani przez moment nie zastanowiłam się, kim są moi sojusznicy. Teraz czuję inną, nową pewność siebie, bo wierzę, że w końcu dowiedziałam się, kim jest Haymitch, zaczynam też rozumieć, kim sama jestem. Dwójka ludzi, którzy narobili Kapitolowi tyle kłopotów, niewątpliwie zdoła znaleźć sposób na sprowadzenie Peety do domu.

Flavius, Venia i Octavia wielokrotnie przygotowywali mnie do publicznych występów, więc uznałam, że czekają mnie rutynowe zabiegi. Nic dziwnego, że nie spodziewam się emocjonalnej mordęgi. Podczas przygotowań każde z nich wybucha płaczem co najmniej dwukrotnie, a Octavia pochlipuje właściwie przez cały ranek. Najwyraźniej naprawdę przywiązali się do mnie, a perspektywa mojego powrotu na arenę całkiem wytrąciła ich z równowagi. To, plus fakt, że utraciwszy mnie, stracą także prawo uczestniczenia we wszelkiego typu ważnych wydarzeniach towarzyskich, w szczególności w moim ślubie, zupełnie ich zalało. Nigdy im nawet przez myśl nie przeszło, żeby wziąć się w garść przez wzgląd na drugą osobę, więc wychodzi na to, że to ja muszę ich pocieszać, a nie oni mnie. Czuję lekką irytację, ostatecznie w końcu to ja idę na rzeź.

To jednak interesujące, zwłaszcza gdy przypominam sobie słowa Peety na temat stewarda w pociągu, który był niezadowolony z powrotu zwycięzców na arenę. Zdaniem Peety, ludziom w Kapitolu nie podoba się taki obrót sprawy, a ja przez cały czas rozmyślam o tym, co się stanie, kiedy rozlegnie się gong. Moim zdaniem ludzie natychmiast zapomną o rozterkach, ale zdumiewa mnie fakt, że kapitolinicy w ogóle cokolwiek do nas czują, skoro bez problemu patrzą na mordowane co roku dzieci. Może nie mogą przestać traktować nas jak ludzi, bo za dużo wiedzą o zwycięzcach, zwłaszcza tych, którzy od dawna są celebrytami. To trochę tak, jakby stanęli przed koniecznością oglądania śmierci własnych przyjaciół, a igrzyska stały się dla nich tym, czym są dla mieszkańców dystryktów.

Kiedy zjawia się Cinna, jestem poirytowana i wyczerpana dodawaniem otuchy członkom mojej ekipy, zwłaszcza że ich rzesiste łyzy przypominają mi o tych, które niewątpliwie wylewają moi bliscy. Stoję w cienkim szlafroku, piecze mnie skóra i kłuje serce, i wiem, że nie zniosę już żadnych żałośliwych spojrzeń.

Gdy Cinna przekracza próg, spoglądam na niego i warczę:

— Przysięgam, że jeśli się rozplaczesz, to położę cię trupem tu i teraz.

Cinna tylko się uśmiecha.

— Poranek we łzach? — pyta domyślnie.

— W powodzi łez — podkreślam, a on otacza mnie ramieniem i prowadzi na lunch.

— Nie przejmuj się — radzi. — Osobiście staram się zawsze przekuwać emocje na pracę, bo w ten sposób nie krzywdzę nikogo oprócz siebie.

— Nie dam rady znowu przez to przechodzić — ostrzegam go.

— Wiem. Pogadam z nimi — obiecuje Cinna.

Lunch trochę poprawia mi samopoczucie, bo raczymy się bażantem z dodatkiem galaretek w kolorze różnych klejnotów, miniaturkami prawdziwych warzyw, obficie polanych masłem, oraz piure ziemniaczanym z pietruszką. Na deser maczamy kawałki owoców w garnuszku z rozpuszczoną czekoladą, a Cinna musi zamówić następną porcję, bo wyjadam czekoladę łyżką.

— W co będziemy ubrani na ceremonii otwarcia? — dopytuję się i jednocześnie wyškrobuje resztki czekolady z dna drugiego naczynia. — Założymy górnicze kaski z lampami czy ogniste stroje? — Wiem, że przejażdżka na rydwanie musi odbyć się w oprawie związanej z węglem.

— Coś w tym stylu — potwierdza Cinna.

Gdy nadchodzi czas przymiarki kostiumu na ceremonię otwarcia, zjawia się moja ekipa, ale Cinna odsyła ją z powrotem ze słowami, że rano odwalili kawał naprawdę dobrej roboty i nie ma czego poprawiać. Zespół wychodzi, żeby ochłonać, a ja na szczęście zostaję sama w rękach Cinny. Na początek zaplata mi włosy zgodnie z zaleceniami mamy, potem skupia uwagę na makijażu. W ubiegłym roku bardzo oszczędnie korzystał z kosmetyków, żeby widzowie nie mieli problemów z rozpoznaniem mnie na arenie, za to teraz moja twarz prawie niknie pod warstwą rozświetlaczy i mrocznych cieni. Za sprawą Cinny mam łukowate brwi, wyraziste kości policzkowe, rozpłomienione oczy oraz intensywnie fioletowe wargi. Na pierwszy rzut oka kostium wydaje się zwodniczo prosty, to osłaniający mnie od stóp do szyi czarny i obcisły kombinezon. Cinna wkłada mi na głowę diadem, podobny do półkorony przyznanej mi po zwycięstwie w turnieju, lecz z ciemnego, ciężkiego metalu zamiast ze złota, po czym przygasza światło w pokoju, aby udawało mrok, i naciska guzik pod mankietem na moim nadgarstku. Opuszczam wzrok, zafascynowana tym, że mój kostium powoli ożywa. Z początku rozjaśnia go łagodny, złocisty blask, który stopniowo przemienia się w pomarańczowoczerwone lśnienie rozpalonych węgli. Wyglądam tak, jakby ktoś mnie obłożył gorącym żarem, albo raczej tak, jakbym sama była rozpalonym węgielkiem prosto z kominka. Kolory intensywniej i przygasają, przesuwają się i stapiają, całkiem jak węgle w palenisku.

— Jak ci się to udało? — pytam oszołomiona.

— Razem z Portią godzinami obserwowałam ogień — wyjaśnia Cinna. — A teraz popatrz na siebie.

Obraca mnie do lustra, żebym mogła bez przeszkód podziwiać efekt. Nie widzę dziewczyny ani nawet kobiety, lecz niezmierną istotę, gotową zamieszkać w wulkanie, który zabił wielu trybutów podczas Ćwierćwiecza z udziałem Haymitcha. Czarna korona wygląda teraz tak, jakby była rozpalona do czerwoności, i rzuca niepokojące cienie na moją mocno umalowaną twarz. Katniss, dziewczyna, która igra z ogniem, zrezygnowała z migoczących ogników, szat zdobionych klejnotami i sukienek zwiewnych niczym płomyk świecy. Jest teraz zabójcza jak pożoga.

— To chyba... właśnie taki strój, jakiego potrzebuję, żeby stawić czoło reszcie — wyznaję.

— Tak, moim zdaniem możemy raz na zawsze zapomnieć o różowej szmince i wstążkach. — Cinna ponownie dotyka guzika na moim nadgarstku, żeby wyłączyć iluminację. — Lepiej oszczędzajmy baterie. Kiedy tym razem znajdziesz się w rydwanie, nie machaj do nikogo i nie uśmiechaj się. Powinnaś patrzeć prosto przed siebie, jakby cała publiczność nie była godna twojego spojrzenia.

— Wreszcie doczekałam się czegoś, w czym się sprawdzę — zauważam.

Cinna ma jeszcze parę spraw do załatwienia, więc postanawiam zejść na parter, do Centrum Odnowy, przestronnej hali, w której zbierają się trybuci i rydwanym przed ceremoniami otwarcia. Mam nadzieję zastać tu Peetę i Haymitcha, ale jeszcze nie przyszli. Inaczej niż w ubiegłym roku, kiedy wszyscy trybuci tkwili sztywno na rydwanach, dzisiaj panuje piknikowa atmosfera. Zwycięzcy, zarówno tegoroczni zawodnicy, jak i ich mentorzy, zbili się w grupki i rozmawiają. Rzecz jasna, wszyscy oni dobrze się znają, ja zaś nie znam nikogo. Nie należę do osób gotowych chodzić i przedstawiać się, komu popadnie, więc tylko głaszczę konia po szyi i staram się nie rzucać w oczy.

Na próżno. Słyszę chrupanie, zanim jeszcze dociera do mnie, że ktoś koło mnie stoi. Natychmiast odwracam głowę i poznaję Finnicka Odaira, widzę jego słynne oczy w kolorze morskiej zieleni tuż przy moich. Wrzuca kostkę cukru do ust i opiera się o mojego konia.

— Cześć, Katniss — wita się tak, jakbyśmy znali się od lat, choć nigdy się nie spotkaliśmy.

— Cześć, Finnick — odpowiadam równie swobodnie, choć wcale się tak nie czuję. Stoi zbyt blisko, a na dodatek jest półnagi.

— Masz ochotę na cukier? — Wyciąga dłoń pełną białych kostek. — Ma być dla koni, ale czy to istotne? One jeszcze latami będą się opychały przysmakami, a ty i ja... Cóż, jeśli wpadnie nam w oko słodki smakołyk, powinniśmy szybko zgarnąć go dla siebie.

Finnick Odair to żywa legenda Panem. Ponieważ zwyciężył w Sześćdziesiątych Piątych Głodowych Igrzyskach, kiedy miał zaledwie czternaście lat, pozostaje jednym z najmłodszych triumfatorów. Pochodzi z Czwartego Dystryktu, więc był zawodowcem i dlatego miał większe szanse niż jego rywale, ale żaden trener nie mógłby zapewnić mu niezwykłej urody. Jest wysoki, atletycznie zbudowany, ma złocistą skórę, brązowe włosy i niesamowite oczy. Inni trybuci z jego igrzysk często znajdowali się w krytycznej sytuacji i ratowały ich drobne prezenty, takie jak garść ziarna czy pudełko zapatek, a Finnickowi nigdy niczego nie brakowało, zawsze miał pod dostatkiem żywności, lekarstw i broni. Mniej więcej po tygodniu rywale uświadomili sobie, że to jego należy jak najszybciej wyeliminować, ale było już za późno. Świetnie walczył i miał do dyspozycji włócznie oraz noże, które znalazł w Rogu Obfitości. Kiedy na srebrnym spadochronie sfrunął do niego trójzab, chyba najdroższy prezent, jaki widziałam na arenie, w zasadzie było już po turnieju. Czwarty Dystrykt zajmuje się rybołówstwem, a Finnick spędził na łodziach prawie całe życie, więc trójzab był naturalnym, śmiertelnie groźnym przedłużeniem jego ręki. Na dodatek upłócił sieć z winorośli, którą znalazł na arenie, i za jej pomocą unieruchamiał rywali, żeby tym łatwiej przesywać ich trójzębem. Już po kilku dniach korona zwycięzcy znalazła się na jego głowie i od tamtej pory kapitolinicy rozplývają się nad nim z zachwytem.

Przez pierwszy rok czy dwa nie mogli go jednak tknąć, bo był za młody, ale odkąd skończył szesnaście lat, za każdym razem, gdy pojawia się podczas igrzysk, prześladowają go tłumy desperacko zakochanych fanek. Żadnej jednak nie udaje się zatrzymać go przy sobie na dłużej. Podczas corocznej wizyty w Kapitolu Finnick zalicza cztery lub pięć kobiet, bez względu na to, czy są stare czy młode, śliczne czy przeciętne, bogate czy bardzo bogate. Dostrzymuje im towarzystwa, przyjmuje ekstrawaganckie upominki, ale nie wiąże się na dłużej. Kiedy którąś opuszcza, nigdy nie wraca.

Nie przeczę, Finnick jest jednym z najbardziej urodziwych, zmysłowych mężczyzn na ziemi, mogę jednak z ręką na sercu wyznać, że nigdy mnie nie pociągał. Może jest za ładny, może za przystępny, niewykluczone, że tak naprawdę liczy się to, że zbyt łatwo byłoby go stracić.

— Nie, dziękuję — odpowiadam ze wzrokiem wbitym w cukier. — Za to chciałabym kiedyś pożyczyć twój kostium.

Finnick jest przyozdobiony złotą siecią ze strategicznym węzłem na kroczu, więc zasadniczo trudno nazwać go nagim, ale nie mógłby być bliższy kompletnej golizny. Jego stylista z pewnością wychodzi z założenia, że im więcej Finnicka zobaczą widzowie, tym lepiej.

— Nie masz pojęcia, jak mnie przerażasz w tym ubraniu — wzdycha. — Co się stało z ładnymi dziewczęcymi sukienkami? — Lekko zwilża wargi językiem, co zapewne u wielu wywołałoby szal uniesienia, ale mnie kojarzy się ze starym Crayem śliniącym się na widok biednej, głodnej dziewczyny.

— Wyrosłam z nich — oświadczam.

Finnick dotyka kołnierza mojego stroju i muska go palcami.

— Szkoda, że tak się porobiło z tym Ćwierćwieczem. Mogłabyś obłowić się w Kapitolu. Miałabyś klejnoty, pieniądze, cokolwiek byś zechciała.

— Nie przepadam za klejnotami i mam więcej pieniędzy, niż mi potrzeba. A ty, Finnick? Na co wydajesz to, co zarobisz?

— Och, od lat nie interesuję się czymś tak pospolitym jak pieniądze — zapewnia mnie.

— Więc jak ci płacą za przyjemność przebywania w twoim towarzystwie?

— Dzielą się ze mną tajemnicami — wyjawia cicho i pochyla głowę tak, że jego wargi niemal muskają moje usta. — A ty, dziewczyno, która igrasz z ogniem? Masz tajemnice warte mojego czasu?

Sama nie rozumiem, dlaczego się głupio rumienię, ale mimo wszystko udaje mi się zachować zimną krew.

— Skąd, można ze mnie czytać jak z otwartej książki — szepczę. — Wygląda na to, że wszyscy znają moje tajemnice, zanim jeszcze sama je poznam.

Uśmiecha się.

— Niestety, chyba masz rację. — Zerka na bok. — Nadchodzi Peeta. Przykro mi, że byłaś zmuszona odwołać ślub. Wyobrażam sobie, jak musisz być tym zdruzgotana. — Wrzuca do ust jeszcze jedną kostkę cukru i niespiesznie odchodzi.

Peeta staje obok mnie, ubrany identycznie jak ja.

— Czego chciał Finnick Odair? — dopytuje się.

Spoglądam na niego, zbliżam usta do jego ust i opuszczam powieki, naśladując Finnicka.

— Zaproponował mi cukier i chciał poznać wszystkie moje sekrety — wyjawiam uwodzicielskim głosem.

— Fuj — śmieje się Peeta. — Żartujesz?

— Ani trochę. Powiem ci więcej, kiedy znikną mi ciarki z pleców.

— Myślisz, że skończylibyśmy jak oni, gdyby tylko jedno z nas zwyciężyło? — Rozgląda się po twarzach innych triumfatorów. — Bylibyśmy jeszcze jednym punktem programu w cyrku dziwolągów?

— Pewnie — potwierdzam. — Zwłaszcza ty.

— Och. A dlaczego zwłaszcza ja? — pyta pogodnie.

— Ponieważ ty masz słabość do pięknych rzeczy, a ja nie — wyjaśniam z nutą wyższości w głosie. — Skusiliby cię kapitołińskim stylem życia i przepadłbyś z kretesem.

— Nie nazwałbym słabością zamiłowania do tego, co piękne — oświadcza Peeta. — Może z wyjątkiem zamiłowania do ciebie.

Rozbrzmiewa muzyka i widzę, że szeroka brama otwiera się przed pierwszym rydwaniem, a z zewnątrz dobiega ryk tłumu.

— Czy mogę prosić? — Peeta wyciąga rękę, żeby pomóc mi wejść do pojazdu.

Wdrapuję się na platformę i pociągam go za sobą.

— Nie ruszaj się — mówię i poprawiam mu koronę. — Widziałeś swój kombinezon po włączeniu? Znowu rewelacyjnie wypadniemy.

— Pewnie. Portia powiedziała, że mamy być ponad wszystko, więc nie wolno nam machać i tak dalej. — Peeta marszczy brwi.

— Gdzie oni są?

— Trudno powiedzieć. — Oglądam kawalkadę rydwanów.

— Zaraz nasza kolej, chyba powinniśmy się włączyć. — Wciskamy przyciski, zaczynamy świecić i od razu zauważam, że ludzie pokazują nas palcami i wymieniają uwagi. Bez wątplenia ponownie będziemy na ustach wszystkich widzów ceremonii otwarcia. Tymczasem zbliżamy się do wrót, a ja wyciągam szyję, wodzę wzrokiem dookoła, lecz nigdzie nie dostrzegam ani Portii, ani Cinny, którzy w ubiegłym roku towarzyszyli nam niemal do ostatniej sekundy.

— Czy tym razem mamy się trzymać za ręce?

— Chyba zostawili nam tę decyzję — mówi Peeta.

Patrzę w jego błękitne oczy, którym żadna ilość dramatycznego makijażu nie nada śmiertelnie groźnego wyrazu, i przypominam sobie, jak zaledwie rok temu byłam gotowa go zabić w przekonaniu, że on również zamierza pozbawić mnie życia. Od tamtej pory sytuacja zmieniła się diametralnie. Jestem zdecydowana utrzymać go przy życiu, nawet za cenę własnej śmierci, lecz niedostatecznie odważna częśćka mnie cieszy się, że u mojego boku stoi Peeta, nie Haymitch. Chwytamy się za ręce już bez zastanowienia. To oczywiste, że wyruszamy jako jedność.

Krzyk tłumu przekształca się w powszechny ryk, kiedy rydwan wytacza się na gasnące, wieczorne światło. Mimo to żadne z nas nie reaguje, a ja po prostu wbijam wzrok daleko w przestrzeń i udaję, że nie otacza mnie rozhisteryzowana publiczność. Mimowolnie zerkam na wielkie ekrany i widzę nasz rydwan.

Jesteśmy nie tylko piękni, ale w dodatku mroczni i potężni. Mało powiedziane: my, nieszczęśliwi kochankowie z Dwunastego Dystryktu, którzy tyle wycierpieliśmy i tak mało nacieszyliśmy się korzyściami ze zwycięstwa, nie zabiegamy o przychyłność widzów, nie zaszczycamy ich uśmiechami, nie wyłapujemy ich pocałunków. Jesteśmy surowi i pamiętliwi. Uwielbiam to. Nareszcie mogę być sobą.

Kiedy okrążamy Rynek, zauważam, że paru innych stylistów postanowiło ukraść pomysły Cinny oraz Portii i również podświetliło trybutów. Wyposażone w elektryczne lampki stroje zawodników z Trzeciego Dystryktu przynajmniej mają sens, bo tam wytwarza się sprzęt elektroniczny, ale po co płonące pasy hodowcom bydła z Dziesiątki, przebranym za krowy? Żeby mogli sami się zgrillować? Żenujące. W przeciwieństwie do nich, Peeta i ja najwyraźniej mamy hipnotyzujący wpływ na otoczenie, bo większość pozostałych trybutów nie może oderwać od nas wzroku. Szczególne zainteresowanie budzimy u pary z Szóstego Dystryktu, uzależnionych od morfaliny chudych jak patyki narkomanów. Mają obwisłą, żółtawą skórę i wpatrują się w nas absurdalnie wielkimi oczami nawet wtedy, gdy prezydent Snow zaczyna wygłaszać przemówienie z balkonu i wita nas wszystkich na Czwierćwieczu Poskromienia. Rozbrzmiewa hymn, a gdy zataczamy ostatnie koło po Rynku, prezydent również zawiesza na mnie wzrok. Chyba się nie mylę?

Odpreżamy się dopiero wtedy, gdy zamykają się za nami wrota Ośrodka Szkoleniowego. Cinna i Portia już czekają, wyraźnie zadowoleni z naszego występu. W tym roku pojawił się także Haymitch, ale nie stoi przy naszym rydwanie, tylko razem z trybutami z Jedenastego Dystryktu. Kiwa nam głową, zbliża się, a jego towarzysze podążają w ślad za nim, żeby się przywitać.

Chaffa znam z widzenia, bo od lat jest pokazywany w telewizji w towarzystwie Haymitcha, kiedy nawzajem przekazują sobie butelkę. Ma śniadą skórę, około metra osiemdziesięciu wzrostu, a jedna z jego rąk kończy się kikutem. Stracił dłoń trzydzieści lat temu, w trakcie igrzysk, w których zwyciężył. Z całą pewnością zaproponowano mu protezę, podobnie jak Peecie po amputacji nogi, ale chyba jej nie przyjął.

Kobieta ma na imię Seeder. Z oliwkową skórą i prostymi, czarnymi włosami przetykanymi siwizną wygląda prawie tak samo jak mieszkańcy Złozyska, tylko jej złocistobrązowe oczy zdradzają, że pochodzi z innego dystryktu. Niewątpliwie ma koło sześćdziesiątki, lecz nadal wydaje się silna i nic nie wskazuje na to, aby kiedykolwiek była uzależniona od alkoholu, morfality albo innych chemicznych form ucieczki od rzeczywistości. Zanim któraś z nas zdąży cokolwiek powiedzieć, Seeder mnie obejmuje, a ja się domyślam, że to musi mieć związek z Rue i Threshem.

— Co z rodzinami? — szepczę, zanim zdołam ugryźć się w język.

— Żyją — odpowiada cicho i dopiero wtedy mnie puszcza.

Chaff przygarnia mnie zdrową ręką i siarczyście całuje prosto w usta. Odskakuję zaskoczona, a Chaff i Haymitch ryczą ze śmiechu. Wolny czas się kończy i kapitolńska obsługa stanowczo kieruje nas do wind, a ja wyraźnie wyczuwam, że więzi łączące trybutów ich niepokoją. Zawodnicy są całkowicie obojętni na nastroje personelu. Gdy idę ku windom, wciąż za rękę z Peetą, słyszę obok siebie szelest i kątem oka zauważam dziewczynę, która ściga nakrycie głowy w postaci gałązek z liśćmi i ciska je za siebie, nie zwracając uwagi na to, gdzie spadnie. Poznaje ją, to Johanna Mason z Siódmego Dystryktu, gdzie produkuje się drewno i papier. To dlatego jest przebrana za drzewo. Udało się jej zwyciężyć, bo niezwykle przekonująco udawała słabą i bezbronną, więc rywale ją ignorowali, po czym dowiodła, że jest bezlitosną morderczynią. Wichrzy najeżone jak kolce włosy i przewraca szeroko rozstawionymi, brązowymi oczami.

— Ale mam paskudny kostium, co? — odzywa się. — W całym Kapitolu nie ma większej idiotki od mojej stylistki, to przez nią nasi trybuci od czterdziestu lat robią za drzewa. Szkoda, że nie trafił mi się Cinna. Wyglądacie rewelacyjnie.

Dziewczęca paplanina. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze byłam beznadziejna w takich pogaduchach o ubraniach, fryzurach, makijażu, więc postanawiam kłamać.

— Tak, pomagał mi zaprojektować moją własną kolekcję odzieżową. Szkoda, że nie widziałaś, co potrafi wyczarować z aksamitu.

Aksamit to jedyny materiał, który przychodzi mi do głowy.

— Widziałam podczas twojego tournée — mówi Joanna. — Pamiętasz tę kreację bez ramiączek, którą nosiłaś w Drugim Dystrykcie? Tę granatową z brylantami? Była tak cudowna, że miałam ochotę wskoczyć do telewizora i zderzyć ją z ciebie.

Pewnie, myślę. Razem ze skórą i mięsem.

Gdy czekamy na windę, Johanna pozbywa się reszty drzewa, strząsa kostium na podłogę, a na koniec kopie z obrzydzeniem. Jeśli nie liczyć zielonych pantofelków, jest zupełnie goła.

— Teraz lepiej — oddycha z ulgą.

Wsiadamy do tej samej windy i przez całą drogę gawędzi z Peetą o jego obrazach, a światło z jego nadal włączonego kostiumu rozjaśnia jej nagie piersi. Kiedy w końcu wychodzi, rozmyślnie ignoruję Peetę, ale wiem, że uśmiecha się szeroko. Za Chaffem i Seeder zamykają się drzwi i zostajemy sami, a wtedy wyrwam rękę z jego uścisku. Peeta wybucha śmiechem.

— To przez ciebie, Katniss. Nie widzisz? — dziwi się.

— Co przeze mnie?

— Przez ciebie wszyscy tak się zachowują: Finnick częstuje cię kostkami cukru, Chaff całuje, a Johanna rozbiera się do rosołu. — Na próżno usiłuje przybrać poważniejszy ton. — Drażnią się z tobą, bo jesteś taka... sama wiesz.

— Nie, nie wiem. — Naprawdę nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

— Pamiętasz wtedy na arenie, kiedy ledwie żyłem, a ty nie chciałaś na mnie spojrzeć, bo byłem goły? Jesteś taka... nieskalana — wyznaje w końcu.

— Nieprawda! — protestuję. — Przez ostatni rok zrywałam z ciebie ubranie prawie za każdym razem, gdy w okolicy pojawiała się kamera.

— Tak, ale... Sama rozumiesz, dla Kapitolu jesteś czysta — tłumaczy, zdecydowany mnie uspokoić. — Jak dla mnie jesteś idealna, a oni po prostu się z tobą drażnią.

— Wcale nie, nabijają się ze mnie, a ty razem z nimi!

— Nieprawda. — Peeta kręci głową, wciąż z trudem kryjąc uśmiech. Może jednak należałoby się jeszcze zastanowić, kto powinien wyjść z tych igrzysk żywy.

Nagle drzwi drugiej windy się otwierają, dołącza do nas Haymitch wraz z Effie. Z jakiegoś powodu wydają się zadowoleni, ale nieoczekiwanie Haymitch posepnieje. Co znowu zrobiłam?, mam na końcu języka, ale on patrzy gdzieś za mną, na wejście do jadalni. Effie również spogląda w tamtym kierunku i mruga.

— Wygląda na to, że w tym roku przydzielili wam zestaw dla pary — oznajmia pogodnie.

Obracam się i widzę rudowłosą awokse, która obsługiwała mnie w zeszłym roku do rozpoczęcia igrzysk. W duszy cieszę się, że będę miała przyjazną towarzyszkę, ale zauważam jej kolegę, młodego awoksa o równie płomiennej czuprynie. Z pewnością dlatego Effie wspomniała o zestawie do pary.

W następnej sekundzie oblewa mnie zimny pot, bo jego też znam. Nie spotkałam go w Kapitolu, tylko na Ćwieku, gdzie latami prowadziliśmy niezobowiązujące rozmowy, żartowaliśmy na temat zupy od Śliskiej Sae, a po raz ostatni widziałam go na placu, kiedy leżał nieprzytomny, a z Gale'a uchodziło życie.

Nowym awoksem jest Darius.

Haymitch chwyta mnie za przegub, zupełnie jakby chciał uprzedzić mój następny ruch, a ja nie mogę wykrztusić ani słowa. Jestem oszołomiona faktem, że oprawcy z Kapitolu tak brutalnie okaleczyli Dariusza. Haymitch wytłumaczył mi kiedyś, że robią coś z językami ofiar, aby już nigdy nie mogły nic powiedzieć. Przypominam sobie głos Dariusza, dowcipny i pogodny, słyszalny na całym Ćwieku. Dariusz przekomarzał się ze mną, ale nie tak jak zwycięzcy igrzysk, bo był miły i szczerze się lubiliśmy. Gdyby Gale go teraz widział...

Wiem, że każdy mój gest, każda oznaka życzliwości doprowadziłaby wyłącznie do ukarania Dariusza, więc tylko patrzemy sobie w oczy. Jest teraz niemym niewolnikiem, a ja idę na śmierć. Co moglibyśmy sobie powiedzieć? Ze jest nam przykro, bo oboje nas spotkał straszny los? Ze współczujemy sobie albo cieszymy się, że mogliśmy się poznać?

Nie, Dariusz nie ma powodów do zadowolenia ze znajomości ze mną. Gdybym była na miejscu, powstrzymałabym Threada, a wówczas Dariusz nie wystąpiłby w obronie Gale'a i nie zostałby awoksem. Ścisłe biorąc, moim awoksem, ponieważ prezydent Snow niewątpliwie skierował go tutaj przez wzgląd na mnie.

Wyszarpuję przegub z uścisku Haymitcha i idę prosto do swojej dawnej sypialni. Zamykam za sobą drzwi na klucz, siadam na skraju łóżka, opieram łokcie na kolanach, a czoło na pięściach, i patrzę na mój jaśniejący w mroku kostium. Wyobrażam sobie, że jestem w starym domu w Dwunastym Dystrykcie, skulona przy ogniu. W miarę wyczerpywania się baterii, przestrzeń wokół mnie stopniowo ciemnieje, aż w końcu zapadają ciemności.

Gdy Effie puka do drzwi, żeby zawołać mnie na kolację, wstaję i ściągam z siebie ubranie, które starannie składam i pozostawiam na stole razem z koroną. W łazience zmywam z twarzy ciemne smugi makijażu, wkładam skromną koszulę oraz spodnie i idę korytarzem do jadalni.

Podczas kolacji mało co do mnie dociera poza tym, że Dariusz i rudowłosa awoksa usługują nam przy stole. Zebraliśmy się wszyscy: Effie, Haymitch, Cinna, Portia i Peeta, a tematem wieczoru jest ceremonia otwarcia, o ile się nie mylę. Tak naprawdę tylko raz czuję się obecna, kiedy celowo strącam talerz z groszkiem, i zanim ktokolwiek mnie powstrzyma,

klękam na podłodze, żeby posprzątać. Zrzuciłam talerz w chwili, gdy Darius stał obok, dzięki czemu przez chwilę jesteśmy bardzo blisko siebie i nikt nas nie widzi. Zbieramy groszek i nagle nasze dłonie się stykają. Dotykam szorstkiej skóry Dariusza, wysmarowanej maślanym sosem z talerza, mocno ściskamy swoje palce i tym jednym, rozpaczliwym gestem wyrażamy wszystko, czego nigdy nie będziemy mogli sobie powiedzieć.

— To nie ty masz sprzątać, Katniss — cmoka Effie z dezaprobatą, a wtedy Darius cofa dłonie.

Po kolacji idziemy obejrzeć podsumowanie ceremonii otwarcia, a ja wciskam się między Cinnę i Haymitcha na kanapie, bo nie chcę siedzieć obok Peety. Ta okropna sytuacja z Dariuszem to sprawa tylko moja i Gale'a, ewentualnie nawet Haymitcha, ale z pewnością nie Peety. Być może znał Dariusza na tyle, żeby witać go skinieniem głowy, ale w przeciwieństwie do nas nie należał do bywalców Ćwieka. Poza tym nadal jestem na niego zła za to, że nabijał się ze mnie razem z innymi, i ostatnie, na co mam ochotę, to jego współczucie i pociecha. Nie zmieniałam zdania i nadal zamierzam uratować go na arenie, ale poza tym nic mu nie jestem winna.

Oglądam paradę i myślę o tym, że nawet przy okazji zwykłych igrzysk źle się dzieje, kiedy każą nam wkładać kostiumy i jeździć na rydwanach po ulicach. Poprzebierane dzieci wyglądają niemądrze, a jak się okazuje, podstarzali triumfatorzy prezentują się żałośnie. Nieliczni młodszy, tacy jak Johanna czy Finnick, albo ci, których ciała jeszcze nie zaczęły się sypać, dajmy na to Seeder albo Brutus, zachowali resztki godności, większość wpadła jednak w szpony alkoholu, morfaliny lub chorób i prezentuje się groteskowo jako krowy, drzewa czy też bochny chleba. Rok temu z ożywieniem komentowaliśmy wygląd każdego uczestnika, dzisiaj wieczorem tylko od czasu do czasu wymieniamy jedną czy dwie uwagi. Nic dziwnego, że publiczność wpada w szal zachwyty na widok Peety i mnie: młodych, silnych i pięknych zawodników w niesamowitych kostiumach. Tak właśnie powinien się prezentować trybut doskonały.

Natychmiast po zakończeniu programu wstaję, dziękuję Cinnie i Portii za świetną robotę i ruszam prosto do łóżka. Effie przypomina, że mamy się wcześniej spotkać na śniadaniu, aby przy okazji omówić strategię treningu, lecz jej głos brzmi głucho. Biedna Effie. Za sprawą Peety i moją w końcu przytrafił się jej przyzwoity rok, a teraz wszystko legło w gruzach i nawet jej pozytywna energia niczego nie zmieni. W kategoriach kapitoliińskich oznacza to zapewne prawdziwą tragedię.

Kładę się do łóżka, ale wkrótce słyszę ciche pukanie do drzwi. Ignoruję je, bo tej nocy nie mam ochoty gościć Peety, zwłaszcza że w pobliżu przebywa Darius. To niemal tak, jakby był tu Gale. Miałabym wpuścić Peetę ze świadomością, że na korytarzu może się czaić Darius?

Zapadam w sen. Dziś motywem przewodnim moich koszmarów są języki. Najpierw patrzę, znieruchomiała i bezradna, jak dłonie w rękawiczkach przeprowadzają krwawą sekcję w ustach Dariusza. Potem jestem na przyjęciu, na którym wszyscy noszą maski, a za mną łązi ktoś z wywalonym, mokrym jęzorem, zapewne Finnick. Kiedy jednak mnie łapie i ściąga maskę, widzę prezydenta Snowa, jego obfite wargi ociekają krwawą śliną. Ostatecznie wracam na arenę, czując, że mój własny język wysechł na papier ścierny. Usiłuję podejść do sędziawki, ale ucieka za każdym razem, gdy wyciągam ku niej rękę.

Budzę się i chwycenie idę do łazienki, gdzie piję wodę z kranu tak długo, aż mam kompletnie dość. Wtedy zrzucam przepocone ubranie, całkiem goła ponownie padam na łóżko i czekam na sen, który w końcu nadchodzi.

Rano usiłuję jak najbardziej opóźnić zejście na śniadanie, bo naprawdę nie mam ochoty dyskutować o naszej taktyce treningowej. O czym tu gadać? Każdy zwycięzca już doskonale wie, co potrafią jego rywale, a w każdym razie co kiedyś potrafili. Dlatego będę musiała dalej udawać miłość do Peety, i zasadniczo na tym koniec. Jakoś nie mam ochoty poruszać

tego tematu, zwłaszcza w towarzystwie niemego Dariusa. Biorę więc długi prysznic, powoli wkładam ubranie przygotowane przez Cinnę na trening i zbliżam usta do mikrofonu, żeby zamówić coś z menu. Po minucie pojawia się kiełbaska, jaja, ziemniaki, chleb, sok i czekolada na gorąco. Najadam się do syta i zwlekam z zakończeniem posiłku, próbuję go przeciągnąć do dziesiątej, kiedy mamy się zjawić w Ośrodku Szkoleniowym. O dziewiątej trzydziści Haymitch zaczyna łomotać do drzwi. Najwyraźniej doprowadziłam go do ostateczności, więc stanowczo rozkazuje, żebym przeszła do jadalni, I TO JUZ! Mimo to spokojnie myję zęby i dopiero potem nieśpiesznie wlokę się korytarzem, dzięki czemu zyskuję jeszcze pięć minut.

W jadalni zastaję tylko Peetę i Haymitcha, który poczerwieniał na twarzy ze złości i od alkoholu. Na jego nadgarstku zauważam szczerozłotą bransoletę z płomiennym wzorem, zapewne wkład Haymitcha w plan Effie, która postanowiła wyposażyc naszą drużynę w znaki rozpoznawcze. Przygnębiony, obraca nową ozdobę, zresztą bardzo przyjemną dla oka, lecz jego nerwowe ruchy sprawiają, że nie kojarzy się ona z biżuterią, tylko z oznaką niewoli, kajdanami.

— Spóźniłaś się — warczy na mnie.

— Przepraszam. Zaspałam, bo przez pół nocy nie mogłam zmrużyć oka. Miałam koszmary, śniły mi się okaleczone języki. — Usiłuję mówić zaczepnym tonem, ale ostatnie słowa więzną mi w gardle.

Haymitch spogląda na mnie wilkiem, ale daje za wygraną.

— Niech ci będzie, wszystko jedno. Na dzisiejszym treningu macie dwa zadania. Po pierwsze, nadal musicie być zakochaną parą.

— To jasne — potwierdzam.

— Po drugie, dobierzecie sobie przyjaciół.

— Mowy nie ma — buntuję się. — Nie ufam nikomu z nich, a większość działa mi na nerwy. Lepiej będzie, jeśli się ograniczymy tylko do swojego towarzystwa.

— Na początku powiedziałem to samo, ale... — zaczyna Peeta.

— Ale to nie wystarczy — upiera się Haymitch. — Tym razem będziecie potrzebowali więcej sprzymierzeńców.

— Dlaczego? — protestuję.

— Ponieważ wasi rywale mają oczywistą przewagę. Znają się dobrze od lat, więc nie-trudno zgadnąć, kogo przede wszystkim wezmą na cel.

— Nas — przyznaję. — I cokolwiek zrobimy, nie uda nam się zerwać więzów starej przyjaźni, więc po co mamy próbować?

— Bo potraficie walczyć, a widzowie przepadają za wami. Dzięki temu macie szansę być pożądanymi sojusznikami, pod warunkiem, że zasygnalizujecie gotowość sprzymierzenia się z innymi — przekonuje Haymitch.

— Chce pan, żebyśmy w tym roku dołączyli do bandy zawodowców? — Nie potrafię ukryć niesmaku. Trybuci z Pierwszego, Drugiego i Czwartego Dystryktu tradycyjnie łączą siły, niekiedy przyjmując paru wyjątkowo dobrych wojowników, aby razem z nimi polować na słabszych rywali.

— Przecież na tym opierała się nasza strategia, prawda? — ripostuje Haymitch. — Przeszliście taki trening jak zawodowcy, a poza tym bandy najczęściej formują się przed rozpoczęciem igrzysk. W zeszłym roku Peeta z trudem zdołał trafić do grupy.

Przypominam sobie, jaką nienawiść poczułam, kiedy zobaczyłam go wśród zawodowców.

— Więc chce pan, żebyśmy spróbowali dołączyć do Finnicka i Brutusa, dobrze myśle?

— Niekoniecznie. Każdy z uczestników jest zwycięzcą, więc jeśli wolicie, stwórzcie własną grupę. W ten sposób dobierzecie sobie tych, którzy przypadną wam do gustu. Osobiście proponowałbym Chaffa i Seeder, choć Finnick jest z pewnością godny uwagi — sugeruje

Haymitch. — Zawrzyjcie przymierze z tymi, którzy mogą wam się przydać, i pamiętajcie, to nie jest banda wystraszonych dzieciaków. Wszyscy ci ludzie to doświadczeni zabójcy, bez względu na to, w jakiej obecnie są formie.

Może to prawda, tylko komu mogłabym zaufać? Seeder? Dlaczego nie? Pytanie, czy chcę zawierać z nią sojusz ze świadomością, że później pewnie będę musiała ją zabić. A skąd. Inna sprawa, że w takich samych okolicznościach sprzymierzyłam się z Rue. Mówię Haymitchowi, że spróbuję, choć moim zdaniem kiepsko mi pójdzie.

Effie zjawia się trochę przed czasem, bo rok temu przyszliśmy ostatni, choć wcale się nie spóźniliśmy. Haymitch nie chce jednak, żeby nas odprowadzała do sali ćwiczeń, gdyż żaden z trybutów nie przyjdzie pod opieką niańki. Jesteśmy najmłodszy, więc tym bardziej musimy dowieść swojej samodzielności. W takiej sytuacji Effie zadowolona jest odprowadzeniem nas do windy, narobieniem zamieszania wokół naszych fryzur i wyręceniem nas we wciśnięciu guzika.

Przejazd trwa zbyt krótko, żebyśmy zdołali porozmawiać, ale nie cofam ręki, kiedy Peeta mnie za nią łapie. Wczoraj wieczorem mogłam go ignorować, bo nikt nas nie widział, ale podczas treningu musimy wydawać się nierozłączni.

Effie nie musiała się przejmować, że przyjdziemy ostami, gdyż w sali zastajemy tylko Brutusa oraz kobietę z Drugiego Dystryktu, Enobarię. Na oko ma ze trzydzieści lat, a w związku z nią pamiętam tylko tyle, że podczas walki wręcz rozdarła zębami gardło jednemu z trybutów i w ten sposób położyła go trupem. Wyczyn przysporzył jej tyle sławy, że po zwycięstwie zafundowała sobie zabieg dentystyczny, polegający na opiłowaniu zębów tak, aby każdy z nich miał ostre zakończenie jak kieł, i jeszcze inkrustowała je złotem. Nie brak jej wielbicieli w Kapitolu.

O godzinie dziesiątej w sali znajduje się zaledwie połowa trybutów, lecz prowadząca zajęcia kobieta o imieniu Atala zaczyna przemawiać punktualnie o czasie, niezrażona słabą frekwencją. Niewykluczone, że się tego spodziewała. W duchu cieszę się, że tylu zawodników zlekceważyło szkolenie, bo dzięki temu odpada z tuzin osób, z którymi musiałabym próbować się zaprzyjaźnić. Atala czyta listę stanowisk, przeznaczonych do szkolenia zarówno technik walki, jak i przetrwania, abyśmy sami mogli zdecydować, które umiejętności chcemy rozwijać.

Przekonuję Peetę, że najlepiej będzie się rozdzielić i w ten sposób ogarnąć większy obszar, a kiedy idzie miotać włóczniami razem z Brutusem i Chaffem, ja kieruję się do stanowiska węzłów, które praktycznie zawsze świeci pustkami. Lubię odpowiedzialnego za nie trenera, zwłaszcza że mile mnie wspomina z ubiegłego roku. Jest wyraźnie zadowolony, kiedy mu pokazuję, że nadal potrafię zastawić pułapkę, dzięki której schwytyany przeciwnik zawisa na jednej nodze na drzewie. Najwyraźniej zapamiętał, że na arenie zastawiałam wnyki, więc teraz uważa mnie za uczennicę na wysokim poziomie zaawansowania. Proszę go, żeby zademonstrował mi wszystkie węzły przydatne na arenie i jeszcze kilka takich, których pewnie nigdy nie zastosuję. Chętnie spędziłabym z nim cały poranek, ale gdy mija mniej więcej półtorej godziny, ktoś zniemacka obejmuje mnie od tyłu i z łatwością kończy skomplikowany węzeł, nad którym właśnie się męczę. To Finnick, rzecz jasna, chyba całe dzieciństwo spędził na wymachiwaniu trójzębami oraz wiązaniu wymyślnych węzłów na sznurach, żeby przerobić je na sieci. Patrzą, jak sięga po fragment liny, robi pętlę, a następnie udaje, że się wiesza, aby mnie rozbawić.

Przewracam oczami i ruszam do innego wolnego stanowiska, przy którym trybuci uczą się wszystkiego o rozpalaniu ognia. Wiem, że moje ogniska są pierwszorzędne, ale nie umiem się obyć bez zapalek, więc trener instruuje mnie, jak sobie radzić z krzemieniem, stałą i skrawkiem nadwęglonej szmatki. To znacznie trudniejsze, niż się wydaje, i choć wychodzę z siebie, dopiero po godzinie udaje mi się rozniecić płomień. Triumfalnie podnoszę wzrok i przekonuję się, że mam towarzystwo.

Obok mnie stoi dwoje trybutów z Trzeciego Dystryktu, którzy usiłują rozpaść zapalnikami przyzwoite ognisko. Zbieram się do odejścia, ale mam ochotę jeszcze raz spróbować sił przy krzemieniu, a poza tym pewnie będę musiała rozliczyć się przed Haymitchem z tego, jak mi szło bratanie się z rywalami. Postanawiam zostać, bo ta dwójka wydaje się całkiem znośna. Są drobnej budowy, mają blade cery i czarne włosy. Kobieta o imieniu Wiress jest zapewne w wieku mojej mamy i mówi cichym głosem, zdradzającym inteligencję. Z miejsca zauważam, że ma zwyczaj przerywać wypowiedzi w połowie, zupełnie jakby zapomniała, że ktoś jej słucha. Mężczyzna, Beetee, wygląda na starszego i zachowuje się trochę nerwowo. Co prawda ma okulary, ale co chwila je podnosi i zerka spod szkieł. Wydają się nieco dziwni, lecz jestem całkiem pewna, że żadne z nich nie rozbierze się do naga, aby mnie wprawić w zakłopotanie, a poza tym pochodzą z Trójki, więc być może potrafiliby potwierdzić moje podejrzenia o powstaniu w tamtym dystrykcie.

Rozglądam się po sali Ośrodka Szkoleniowego. Peeta stoi pośrodku kręgu ordynarnych miotaczy nożem. Morfalińscy z Szóstki stanęli przy stanowisku kamuflażu i malują sobie nawzajem na twarzach jaskraworóżowe zawijasy. Mężczyzna z Piątki wymiotuje winem na podest do fechtunku, Finnick i staruszka z jego dystryktu zajmują stanowisko łucznicze, a Johanna Mason znowu się rozebrała do rosołu i przed zajęciami z zapasów rozsmarowuje oliwę po całym ciele. W takiej sytuacji postanawiam pozostać na miejscu.

Wiress i Beetee to przyjemni kompani, zachowują się dość przyjacielsko i nie są ani trochę wścibscy. Rozmawiamy o naszych szczególnych darach i dowiaduję się, że oboje mają talent do wynalazków. W porównaniu z tym moje rzekome zainteresowanie modą wydaje się płytkie i nieciekawe, zwłaszcza że Wiress demonstruje jakieś urządzenie do szycia, nad którym pracuje.

— Wyczuwa grubość materiału i wybiera odporność — objaśnia i nagle jej uwagę pochłania suche źdźbło.

— Odporność nici na zrywanie — kończy za nią Beetee. — Samoczynnie, dzięki czemu eliminuje się możliwość popełnienia błędu przez człowieka. — Potem rozwodzi się nad swoim ostatnim sukcesem, czyli muzycznym mikroprocesorem, tak małym, że można go ukryć w płatku brokatu, a mimo to przechowuje wiele godzin muzyki. Przypominam sobie, że Olivia wspominała o tym podczas sesji zdjęciowej w sukniach ślubnych i dostrzegam szansę zgrabnego napomknięcia o powstaniu.

— Och, rzeczywiście, kilka miesięcy temu moja ekipa przygotowawcza była bardzo przygnębiona, bo, jak mi się zdaje, nikt z jej członków nie mógł go sobie sprawić — zauważam spokojnie. — Pewnie spiętrzyło się mnóstwo zamówień na produkty z Trzeciego Dystryktu.

Beetee patrzy na mnie badawczo spod okularów.

— To prawda — przyznaje. — Czy w tym roku mieliście podobne spiętrzenie zamówień na węgiel?

— Nie, ale straciliśmy parę tygodni, kiedy pojawił się nowy Główny Strażnik Pokoju oraz jego ludzie. Nic poważnego się nie stało — tłumaczę. — Z wydobyciem, rzecz jasna. Dwa tygodnie bezczynnego tkwienia w domu to dla większości ludzi dwa tygodnie głodówki.

Chyba rozumieją, co staram się im przekazać — że nie doszło u nas do wybuchu powstania.

— Och. Szkoda — wzdycha Wiress z lekkim rozczarowaniem w głosie. — Uważałam twój dystrykt za bardzo... — Urywa, zdekoncentrowana jakąś myślą.

— Interesujący — uzupełnia Beetee. — Oboje nas interesował.

Źle się czuję ze świadomością, że ich dystrykt na pewno ucierpiał znacznie bardziej niż nasz. Postanawiam stanąć w obronie moich rodaków.

— Niewielu nas jest w Dwunastce, czego nie da się powiedzieć o ostatnio dowiezionych Strażnikach Pokoju — mówię. — Mimo to chyba jesteśmy całkiem interesujący.

Przechodzimy do stanowiska budowy kryjówek, lecz nagle Wiress przystaje i spogląda w górę, na trybuny dla organizatorów igrzysk, którzy spacerują, jedzą, piją, i tylko od czasu do czasu spoglądają w naszą stronę.

— Patrzcie — odzywa się, a następnie lekkim ruchem głowy wskazuje organizatorów. Podnoszę wzrok i dostrzegam Plutarcha Heavensbee'ego w imponującej fioletowej szacie z futrzanym kołnierzem, przynależnej wyłącznie Głównemu Organizatorowi Igrzysk. Plutarch zajada się indyczą nogą. Nie bardzo wiem, dlaczego miałoby to wymagać komentarza, ale i tak się odzywam.

— Tak, w tym roku awansowano go na stanowisko Głównego Organizatora — potwierdzam.

— Nie, nie. Chodzi o to przy rogu stołu. Ledwie to... — zawiesza głos Wiress.

Beetee mruży oczy spod okularów.

— Ledwie to widać — kończy.

Zdezorientowana, wpatruję się w tamto miejsce i po chwili też to dostrzegam. Fragment przestrzeni o wielkości około czterdziestu centymetrów kwadratowych na rogu stołu zdaje się wibrować, zupełnie jakby powietrze drżało od drobnych, widzialnych fal, zniekształcając ostre krawędzie drewna oraz kieliszek wina, który ktoś tam postawił.

— Pole siłowe. Zainstalowano je tak, żeby rozdzielało nas i organizatorów igrzysk. Ciekawe, skąd ten pomysł — głośno myśli Beetee.

— To pewnie przeze mnie — wyznaję. — W ubiegłym roku podczas indywidualnej sesji treningowej strzeliłam do nich z łuku. — Beetee i Wiress spoglądają na mnie z zaciekawieniem. — Sprowokowali mnie. Czy wszystkie pola siłowe mają taką plamkę?

— To ich słaby... — zaczyna Wiress niejasno.

— ...punkt — kończy Beetee. — Powinny być całkiem niewidzialne, prawda?

Chcę jeszcze o coś spytać, ale wzywają nas na obiad. Rozglądam się w poszukiwaniu Peety i widzę, że trzyma się grupy około dziesięciu innych zwycięzców, więc postanawiam zjeść w towarzystwie trybutów z Trzeciego Dystryktu. Może zdołam przekonać Seeder, żeby do nas dołączyła.

Przechodzimy do jadalni, gdzie okazuje się, że część gangu Peety postanawia wprowadzić w życie własny plan i w tym celu łączą małe stoły w jeden wielki, abyśmy wszyscy zjedli razem. Jestem w kropce. Nawet w szkole unikałam jedzenia przy zatłoczonym stole, a szczerze mówiąc, pewnie jadałabym zupełnie sama, gdyby nie Madge, która postanowiła zawsze towarzyszyć mi podczas posiłków. Być może siadałabym z Galem, ale był dwie klasy wyżej, mieliśmy przerwę obiadową o różnych porach.

Biorę tacę i ruszam wzdłuż rzędu wózków z żywnością pod ścianami. Peeta dogania mnie przy pojemniku z gulaszem.

— Jak ci idzie? — pyta.

— Nieźle. Całkiem dobrze. Polubiłam zwycięzców z Trzeciego Dystryktu — oświadczam. — Wiress i Beetee'ego.

— Naprawdę? — dziwi się. — Inni się z nich nabijają.

— Dlaczego mnie to nie dziwi? — Przypominam sobie, że w szkole Peetę zawsze otaczał wianuszek przyjaciół. Aż dziw bierze, że w ogóle zwrócił na mnie uwagę. Powinien był uznać mnie za wyrzutka i dać sobie ze mną spokój.

— Johanna nazywa ich Pokręt i Wolt — wyjawia. — Ona to pewnie Pokręt, a on Wolt.

— A ja, idiotka, myślałam, że mogliby być pomocni. Na szczęście Johanna Mason mnie oświeciła, wygłaszając przenikliwe uwagi podczas smarowania piersi przed zapasami.

— O ile wiem, to przezwisko funkcjonuje od lat. Nie chciałem nikogo obrazić, po prostu podzieliłem się z tobą informacją — tłumaczy się Peeta.

— Wiress i Beetee to inteligentni ludzie, zajmują się wynalazkami. Od razu się zorientowali, że organizatorów igrzysk odgradzono od nas polem siłowym. Skoro mamy sobie dobrać sojuszników, to wiedz, że oni mi się podobają. — Rzucam chochlę z powrotem do gulaszu i ochlapuję nas oboje mięsnym sosem.

— Dlaczego tak się wściekasz? — dziwi się Peeta i wyciera sos z koszuli. — Bo drażniłem się z tobą w windzie? Przepraszam, myślałem, że cię rozbawię.

— Mniejsza z tym. — Kręcę głową. — Dużo rzeczy się na to złożyło.

— Darius — domyśla się.

— On, igrzyska i jeszcze Haymitch, bo kazał nam sprzymierzać się z innymi.

— Jeśli chcesz, pozostanmy przy dwuosobowym zespole. Tylko ty i ja — mówi.

— Haymitch może mieć rację. Nie powtarzaj mu tego, ale zwykle się nie myli, kiedy chodzi o igrzyska.

— W każdym razie będziesz miała ostatnie słowo w sprawie naszych sojuszników — postanawia. — Póki co skłaniałbym się ku Chaffowi i Seeder.

— Co do Seeder, nie ma sprawy, ale Chaffa nie chcę, przynajmniej na razie.

— Spróbujmy zjeść z nim obiad. Obiecuję, że nie pozwolę mu cię pocałować.

Przy stole Chaff nie wydaje się aż taki beznadziejny. Jest trzeźwy, i choć mówi zbyt głośno i sypie kiepskimi dowcipami jak z rękawa, zwykle żartuje wyłącznie z siebie. Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo odpowiada depresyjnemu Haymitchowi, ale mimo wszystko nadal nie wiem, czy chcę go za sprzymierzeńca.

Bardzo się staram zachowywać przyjacielsko nie tylko w stosunku do Chaffa, lecz także wobec reszty grupy. Po obiedzie zatrzymuję się przy stanowisku jadalnych owadów, razem z trybutami z Ósmego Dystryktu — Cecelią, która zostawiła w domu troje dzieci, oraz niemłodym już Woofem o poważnie uszkodzonym słuchu. Staruszek ma znikome pojęcie o tym, co się dzieje dookoła, bo ciągle usiłuje wpychać do ust trujące insekty. Bardzo chciałabym wspomnieć, że spotkałam w lesie Twill i Bonnie, ale nie wiem, jak poruszyć temat. Cashmere i Gloss, siostra i brat z Pierwszego Dystryktu, zapraszają mnie do innego stanowiska, i przez pewien czas wspólnie plecimy hamaki. Są uprzejmi, ale zdystansowani, a ja nie mogę przestać myśleć o tym, że rok temu zabiłam oboje trybutów z ich dystryktu, Glimmer oraz Marvela, których zapewne znali, a w dodatku mogli być ich mentorami. Marnie mi idzie zarówno nawiązywanie z nimi dobrych relacji, jak i przygotowywanie hamaka. Przy stanowisku treningu szermierki dołączam do Enobarii i wymieniam z nią kilka uwag, lecz to jasne, że żadna z nas nie ma ochoty na sojusz. Gdy wysłuchuję wskazówek związanych z łowieniem ryb, ponownie pojawia się Finnick, ale po to, żeby przedstawić mnie staruszce o imieniu Mags, również z Czwartego Dystryktu. Leciwa kobieta mówi z wyraźnym regionalnym akcentem, a w dodatku bełkocze, być może po wylewie, więc rozumiem najwyżej co czwarte słowo. Mogę jednak przysiąc, że potrafi zrobić przyzwoity haczyk na ryby właściwie ze wszystkiego — z ciernia, ptasiej kości widełkowej, kolczyka. Wkrótce przestaję słuchać trenera i po prostu naśladuję Mags. Kiedy udaje mi się zrobić haczyk ze zgiętego gwoźdźca i przymocować go do kilku pasemek moich włosów, Mags nagradza mnie bezzębnym uśmiechem oraz niezrozumiałym komentarzem, który uznaję za pochwałę. Nagle przypominam sobie, że to ona zgłosiła się na ochotnika, aby zastąpić młodą, rozhisteryzowaną kobietę z tego samego dystryktu. Z całą pewnością nie liczy na zwycięstwo. Zajęła cudze miejsce, bo chciała kogoś ocalić, podobnie jak ja w ubiegłym roku, kiedy dobrowolnie zajęłam miejsce Prim. Postanawiam, że chcę ją mieć w zespole.

Rewelacja. Teraz muszę wrócić i wyjaśnić Haymitchowi, że chcę na sojuszników osiemdziesięciolatkę, a także Pokręt i Wolta. Będzie zachwycony. W takiej sytuacji rezygnuję z dalszych poszukiwań i idę na strzelnicę łuczniczą, żeby trochę odetchnąć. Jest fantastycznie, mogę wypróbować przeróżne rodzaje łuków i strzał, a trener Tax wkrótce się orientuje, że nieruchome cele są dla mnie zbyt łatwym wyzwaniem, więc zaczyna wystrzeliwać w powie-

trze dziwaczne atrapy ptaków, a ja mam je strącać. Zabawa z początku wydaje mi się głupia, ale wciąga, gdyż bardzo przypomina polowanie na żywe zwierzęta. Trafiam we wszystko bez wyjątku, więc trener postanawia wyrzucać po kilka ptaków jednocześnie. Zapominam o reszcie sali ćwiczeń, innych zawodnikach oraz o własnym nieszczęściu, i zatracam się w strzelaniu. Kiedy udaje mi się przeszyć pięć ptaków w jednej rundzie, uświadamiam sobie, że wokół mnie panuje idealna cisza. Słyszę, jak atrapy po kolei uderzają o podłogę, i dopiero wtedy się rozglądam. Większość zwycięzców znieruchomiała i z uwagą obserwuje moje popisy, a na ich twarzach dostrzegam paletę emocji, od zazdrości przez nienawiść do podziwu.

Po treningu spędzam czas z Peetą w oczekiwaniu na kolację i pojawienie się Haymitcha oraz Effie. Kiedy zostajemy wezwani na posiłek, Haymitch natychmiast mnie dopada.

— Co najmniej połowa zwycięzców poleciła mentorom, żeby postarali się zawrzeć z tobą przymierze. Dobrze wiem, że nie porwała ich twoja pogodna osobowość.

— Widzieli, jak Katniss strzela — wyjaśnia Peeta z uśmiechem. — Prawdę mówiąc, ja też pierwszy raz zobaczyłem ją w akcji i sam zamierzam złożyć formalny wniosek o zawarciu sojuszu.

— Naprawdę jesteś taka dobra? — Haymitch patrzy na mnie pytająco. — Do tego stopnia, że Brutus cię chce?

Wzruszam ramionami.

— Aleja nie chce Brutusa. Wolę Mags i tych z Trójki.

— Jakżeby inaczej — wzdycha Haymitch i zamawia butelkę wina. — Powiem wszystkim, że jeszcze się nie zdecydowałaś.

Po pokazie strzeleckim ten i ów jeszcze się ze mną przekomarza, ale nie jestem już obiektem drwin i mam poczucie, że dostałam się do kręgu triumfatorów. Przez następne dwa dni spędzam czas z niemal każdym, kto wystąpi na arenie, nawet z morfalinistami, którzy z pomocą Peety przemalowują mnie na żółtą, kwiecistą łąkę. Nie pomijam też Finnicka, i w zamian za godzinę nauki posługiwania się trójzębem poświęcam tyle samo czasu na uczenie go łucznictwa. Im bliżej poznaję tych wszystkich ludzi, tym większy ciężar przygniata mi serce, bo zasadniczo nie czuję do nich nienawiści, a niektórych wręcz lubię. Poza tym spora grupa trybutów jest w tak złej kondycji, że w pierwszym odruchu pragnę ich bronić, choć przecież muszą umrzeć, abym ocalała Peetę.

Ostatni dzień szkolenia kończy się indywidualną sesją. Każdy z nas otrzymuje kwadrans na występ przed organizatorami i zadziwienie ich swoją sprawnością. Nie wiem, co powinniśmy im pokazać, ale przy obiedzie żartujemy, że moglibyśmy zaśpiewać, zatańczyć, rozebrać się albo opowiedzieć parę dowcipów. Mags, którą teraz rozumiem odrobinę lepiej, postanawia uciąć sobie drzemkę, a ja nie mam pojęcia, co zrobić. Pewnie wypuszczę parę strzał. Zdaniem Haymitcha dobrze byłoby zaskoczyć organizatorów, ale nic oryginalnego nie przychodzi mi do głowy. Jako dziewczyna z Dwunastego Dystryktu wystąpię na samym końcu. W jadalni robi się coraz ciszej, w miarę jak kolejni trybuci wychodzą na prezentację. W większej grupie łatwiej zachować pełną lekceważenia postawę niezwykłych zawodników, którą wszyscy przyjmujemy w obecności rywali. Kiedy ludzie znikają za drzwiami, myślę tylko o tym, że zostało im zaledwie kilka dni życia.

Na koniec zostaję sama z Peetą, który wyciąga rękę nad stołem i zaciska palce na moich dłoniach.

— Już postanowiłaś, co pokażesz organizatorom?

Kręcę głową.

— W tym roku raczej nie przydadzą mi się do ćwiczeń strzeleckich, skoro odgradzili się polem siłowym. Może zademonstruję, jak się robi haczyki na ryby. A ty?

— Nie mam pojęcia. Żałuję, że nie mogę upiec ciasta albo czegoś takiego — wzdycha.

— Zrób nowy kamuflaż — proponuję.

— Nie wiem, czy morfaliński zostawili mi coś, z czym dałoby się pracować. — Uśmiecha się krzywo. — Tkwił przy tym stanowisku od początku do samego końca szkolenia.

Siedzimy w milczeniu, aż wreszcie wyrzucam z siebie to, co dręczy nas oboje.

— Peeta, jak my zabijemy tych ludzi?

— Nie mam pojęcia. — Pochyla się i dotyka czołem naszych splecionych dłoni.

— Nie chcę ich mieć za sojuszników. Dlaczego Haymitchowi zależało na tym, żebyśmy ich poznali? — pytam. — Teraz będzie nam znacznie trudniej niż poprzednio — może z wyjątkiem Rue. Jej i tak chyba nie mogłabym zabić, za bardzo przypominała mi Prim.

Peeta podnosi wzrok i intensywnie o czymś myśli.

— Miała straszną śmierć, prawda?

— Żadna z nich nie wydawała się szczególnie atrakcyjna — zauważam i przypominam sobie, jak skończyli Glimmer i Cato.

Wywołują Peetę, więc czekam w samotności. Mija kwadrans, potem pół godziny. Wzywają mnie dopiero po czterdziestu minutach.

Kiedy wchodzę, z miejsca wyczuwam ostrą woń środka czyszczącego i zauważam, że jedną z mat przeciągnięto na środek sali. Panuje tu atmosfera całkowicie odmienna od tej z ubiegłego roku, kiedy organizatorzy byli na wpół pijani i z roztargnieniem skubali co smaczniejsze kaski z bankietowego stołu. Teraz szepczą do siebie i wyglądają na nieco poirytowanych. Co takiego zrobił Peeta? Czymś ich zdenerwował?

Zaczynam się martwić. Nie jest dobrze, wcale nie chcę, żeby Peeta wystawił się na cel jako obiekt gniewu organizatorów igrzysk, to przecież moja specjalność. Muszę jakoś ściągnąć na siebie ich wściekłość, ale nie mam pojęcia, czym ich tak wzburzył — chętnie bym to powtórzyła i dodała coś od siebie. Z przyjemnością starłabym to zadowolenie z twarzy ludzi, którzy tylko główkują, żeby wynaleźć jakieś ciekawe sposoby zabijania. Powinni się przekonać, że choć to my jesteśmy narażeni na okrucieństwa Kapitolu, i oni nie powinni czuć się bezpieczni. Czy macie pojęcie, jak bardzo was nienawidzę?, pytam w duchu. Was, którzy wykorzystujecie swoje zdolności do organizowania igrzysk?

Próbuję spojrzeć w oczy Plutarchowi Heavensbee'emu, ale wygląda na to, że celowo mnie ignoruje, tak jak przez całe szkolenie. Przypominam sobie, jak zaprosił mnie do tańca, jaki był zadowolony, kiedy zademonstrował mi kosogłosa na zegarku. Teraz nie ma mowy o przyjacielskim zachowaniu, bo przecież jestem tylko marną trybutką, a on Głównym Organizatorem Głodowych Igrzysk, potężnym, zdystansowanym i całkowicie bezpiecznym...

Nieoczekiwanie uświadamiam sobie, co należy zrobić. Coś, dzięki czemu występ Peety pójdzie w niepamięć, cokolwiek w jego trakcie zaprezentował. Podchodzę do stanowiska węzłów, biorę fragment sznura i zaczynam przy nim manipulować, nie bez trudności, bo sama nigdy nie robiłam tego węzła. Spoglądałam jedynie na zręczne palce Finnicka, a on poruszał nimi naprawdę prędko. Po mniej więcej dziesięciu minutach trzymam w dłoniach całkiem przyzwoitą pętlę i mogę przeciągnąć na środek sali jedną z kukieł, które są wykorzystywane jako cel przy ćwiczeniach strzeleckich. Wieszam ją za szyję na drążku do podciągania i zastanawiam się czy związać jej ręce za plecami. Z pewnością wyglądałaby efektowniej, ale obawiam się, że kończy mi się czas, więc szybko biegnę do stanowiska kamuflażu, gdzie zastaję nieprawdopodobny bałagan zrobiony przez innych trybutów, niewątpliwie morfalinistów. Sięgam po napoczęty pojemnik z krwistoczerwonym sokiem jagodowym, doskonale się nada je do moich celów. Kukłę uszyto z porządnego, chłonnego płótna w cielistym kolorze, więc od razu zabieram się do pracy. Maczam palec w farbie i ostrożnie stawiam litery, zasłaniając je całym ciałem dla spotęgowania końcowego efektu, a następnie szybko odsuwam się na bok i zastanawiam, jak zareagują organizatorzy na widok napisu na kukle. SENECA CRANE.

Efekt jest natychmiastowy i piorunujący. Kilka osób cicho piszczy, pozostali wypuszczają ze zmartwiałych dłoni kieliszki z winem, które dźwięcznie rozbijają się o podłogę.

Dwoje organizatorów chyba się zastanawia, czy zemdleć, a wszyscy wyglądają na wstrząśniętych.

W końcu udało mi się zwrócić na siebie uwagę Plutarcha Heavensbee'ego. Wpatruje się we mnie, nie zważając, że przez palce przecieka mu sok z brzoskwini, którą zmiążdżył w dłoni. Po chwili odchrząkuje.

— Jest pani wolna, panno Everdeen — mówi.

Z szacunkiem pochylam głowę w ukłonie i odwracam się do wyjścia, ale nie mogę się opanować i w ostatniej chwili ciskam przez ramię pojemnik z jagodowym sokiem. Słyszę, jak czerwona ciecz rozpryskuje się na kukle, a na ziemi ląduje jeszcze parę kieliszków. Gdy zamykają się za mną drzwi windy, zauważam, że wszyscy ciągle stoją jak zakłęci.

Zaskoczyłam ich, myślę. Zachowałam się wyzywająco i niebezpiecznie, więc bez wątpienia przyjdzie mi za to słono zapłacić. Chwilowo jednak czuję coś na kształt radości i napawam się sukcesem. Chcę jak najszybciej odszukać Haymitcha i zrelacjonować mu przebieg sesji, ale nikogo nie ma. Domyślam się, że wszyscy poszli przyszykować się do kolacji, więc postanawiam wziąć prysznic, zwłaszcza że ręce mam uwalane sokiem. Wkrótce stoję w wodzie i analizuję sens swojego ostatniego posunięcia. Cokolwiek teraz robię, zawsze powinienam zadawać sobie pytanie: „Czy w ten sposób pomogę Peecie przeżyć?“, a numer z kukłą może pośrednio mu zaszkodzić. Przebieg szkolenia jest objęty ścisłą tajemnicą, więc odwet na mnie nie ma sensu, skoro nikt nie wie, jakiego wykroczenia się dopuściłam. W ubiegłym roku wręcz nagrodzili mnie za tupet, tym razem jednak popełniłam przestępstwo innego rodzaju. Jeżeli organizatorzy wściekli się na mnie i postanowią ukarać mnie na arenie, niewykluczone, że Peeta również przez to ucierpi. Być może postąpiłam nazbyt impulsywnie, ale mimo to... nie powiem, żebym szczególnie żałowała.

Zbieramy się na kolację i od razu zauważam, że na dłoniach Peety widnieją rozmaite kolorowe plamy, choć włosy ma nadal wilgotne po kąpieli. Z pewnością zademonstrował pokaz kamuflażu, choć wahał się do ostatniej chwili. Kiedy tylko na stole pojawia się zupa, Haymitch z miejsca chwytą byka za rogi.

— No dobrze — mówi. — Jak wam poszła indywidualna sesja?

Wymieniamy spojrzenia z Peetą i czuję, że nie bardzo mam ochotę ubierać w słowa swoje czyny. W spokojnej jadalni opowiadanie o tym, co zrobiłam, byłoby zbyt drastyczne.

— Ty pierwszy — zwracam się do Peety. — Na pewno wymyśliłeś coś wyjątkowego, skoro musiałam czekać na wejście aż czterdzieści minut.

Chyba odczuwa podobną niechęć jak ja.

— Postanowiłem spróbować z kamuflażem, jak radziłaś, Katniss. — Waha się. — W sumie to nie był kamuflaż, po prostu potrzebowałem barwników.

— Do czego? — dopytuje się Portia.

Myślę o tym, że gdy weszłam do sali ćwiczeń, organizatorzy wyglądali tak, jakby coś wyprowadziło ich z równowagi, w powietrzu unosiła się woń środków czyszczących, a po środku podłogi leżała mata. Czy miała służyć do ukrycia czegoś, czego nie udało się zmyć?

— Namalowałaś coś, prawda? Obraz?

— Widziałaś? — dziwi się Peeta.

— Nie, ale organizatorzy zrobili wszystko, żeby go zasłonić — wyjaśniam.

— Zatem postąpili zgodnie z regułami. Żaden trybut nie może wiedzieć, co zrobił inny — podsumowuje Effie bez większego zainteresowania. — Peeta, co namalowałaś? — Wydaje się odrobinę wzruszona. — Czy to był portret Katniss?

— Dlaczego miałby malować mój portret? — pytam z irytacją w głosie.

— Aby pokazać, że jest gotów na wszystko, by cię bronić. Wszyscy w Kapitolu tego oczekują, bo przecież poszedł z tobą na ochotnika — odpowiada Effie, jakby to było najbardziej oczywiste na świecie.

— Właściwie to namalowałem portret Rue — wyznaje Peeta. — Jak wyglądała, kiedy Katniss obsypała ją kwiatami.

Przy stole zapada długotrwała cisza, kiedy wszyscy trawią tę informację.

— Co właściwie chciałeś w ten sposób osiągnąć? — pyta w końcu Haymitch starannie wyważonym głosem.

— Sam nie wiem. Chyba chciałem choć na moment obarczyć ich odpowiedzialnością za zabicie małej dziewczynki.

— To upierne. — Effie mówi łamiącym się głosem, jakby była bliska płaczu. — Takie myślenie jest... niedozwolone, Peeta. Bezwzględnie. Możesz narobić kłopotów sobie i Katniss.

— Tym razem muszę się zgodzić z Effie — przytakuje Haymitch. Portia i Cinna zachowują milczenie, ale ich twarze są bardzo poważne. Mają słuszność, rzecz jasna, ale choć wyczyn Peety mnie martwi, uważam jednocześnie, że zrobił coś niesamowitego.

— To chyba nie najlepszy moment, ale muszę wspomnieć, że powiesiłam kukłę i namalowałam na niej imię i nazwisko Seneki Crane'a — oznajmiam, a moje słowa trafiają w dziesiątkę. Po chwili niedowierzania cały ciężar dezaprobaty otoczenia przygniata mnie niczym tona cegieł.

— Powiesiłaś... Senecę Crane'a — krztusi się Cinna.

— Tak. Popisywałam się nową umiejętnością robienia węzłów i dziwnym trafem on znalazł się na końcu pętli.

— Och, Katniss... — wzdycha Effie cicho. — Skąd w ogóle o tym wiesz?

— To tajemnica? Prezydent Snow nie zachowywał się tak, jakby oczekiwał ode mnie dyskrecji. Właściwie to chyba bardzo mu zależało na tym, żebym się dowiedziała — mówię. Effie raptownie wstaje od stołu i wychodzi z serwetką przyciśniętą do twarzy. — Masz ci los, zdenerwowałam Effie. Powinnam była skłamać i oznajmić, że kilka razy strzeliłam z łuku.

— Można by pomyśleć, że się umówiliśmy — zauważa Peeta i obdarza mnie niemal niezauważalnym uśmiechem.

— A nie zrobiliście tego? — pyta Portia, przyciskając powieki palcami, jakby chroniła oczy przed bardzo jaskrawym światłem.

— Nie — zaprzeczam i z uznaniem spoglądam na Peetę. — Przed wejściem oboje nie mieliśmy pojęcia, co zademonstrujemy.

— I jeszcze jedno, panie Haymitch — wtrąca Peeta. — Postanowiliśmy, że nie chcemy żadnych innych sprzymierzeńców na arenie.

— I dobrze — burczy Haymitch. — Przynajmniej nie będę odpowiedzialny za śmierć moich przyjaciół z powodu waszej głupoty.

— Doszliśmy do tego samego wniosku — informuję go.

Kończymy posiłek w milczeniu, ale kiedy wstajemy, żeby przejść do salonu, Cinna otacza mnie ramieniem i mocno ściska.

— Chodźmy, zobaczymy punktację na koniec szkolenia — proponuje.

Zbieramy się wokół telewizora, a po chwili dołącza do nas Effie, której oczy są podejrzenie czerwone. Na ekranie pojawiają się twarze trybutów z kolejnych dystryktów, od pierwszego do dwunastego, a pod nimi migają wyniki punktowe. Zgodnie z przewidywaniami, dobre rezultaty otrzymali Cashmere, Gloss, Brutus, Enobarria oraz Finnick, a pozostali zebrali niską lub średnią liczbę punktów.

— Czy kiedykolwiek przyznano komuś zero? — pytam zaciekawiona.

— Nie, ale zawsze musi być jakiś pierwszy raz — zapewnia mnie Cinna.

Ma rację, bo kiedy Peeta i ja otrzymujemy po dwunastce, na stałe trafiamy do historii Głodowych Igrzysk. Nikt jednak nie ma ochoty świętować z tego powodu.

— Dlaczego to zrobili? — zdumiewam się.

— Żeby innym nie pozostało nic innego, jak tylko od razu wziąć was na cel — objaśnia Haymitch głucho. — Idźcie spać, patrzeć na was nie mogę.

Peeta odprowadza mnie w milczeniu do pokoju, ale zanim zdąży życzyć mi dobrej nocy, obejmuję go i przyciskam głowę do jego piersi. Głaszcze mnie po plecach i dotyka policzkiem moich włosów.

— Przepraszam, jeśli pogorszyłam sytuację — wzdycham.

— Nie bardziej niż ja — zapewnia mnie. — A właściwie dlaczego to zrobiłaś?

— Sama nie wiem. Może chciałam zademonstrować, że nie jestem tylko zwykłym pionkiem w ich igrzyskach?

Parska śmiechem i bez wątpienia przypomina sobie ubiegłoroczną noc przed igrzyskami. Staliśmy wtedy na dachu, bo żadne z nas nie mogło spać, a Peeta powiedział coś w tym rodzaju. Wówczas nie rozumiałam jego słów, teraz wiem, co miał na myśli.

— Tak jak i ja — oznajmia. — Poza tym nie mówię, że nie zamierzam spróbować. Pomóc ci wrócić do domu, rzecz jasna. Ale jeśli mam być całkiem szczerą...

— Jeśli masz być całkiem szczerą, to uważasz, że prezydent Snow wydał jasny rozkaz zabicia nas na arenie, bez względu na okoliczności — kończę.

— Przeszło mi to przez myśl — przyznaje Peeta.

Mnie również, i to wielokrotnie. Wiem, że nie opuszczę areny żywa, niemniej nie tracę nadziei, że Peecie uda się przetrwać. Przecież to nie on, tylko ja wyciągnęłam te jagody, a poza tym nikt nie wątpił, że bunt Peety wynika z miłości. Może więc prezydent Snow postanowi darować mu życie, żeby skruszony i załamany Peeta stanowił przestrożę dla innych.

— Ale nawet jeśli do tego dojdzie, to ludzie będą wiedzieli, że zginęliśmy w walce, prawda? — rozważa Peeta.

— Zgadza się — potwierdzam i po raz pierwszy nabieram dystansu do osobistej tragedii, którą przeżywam od ogłoszenia Igrzysk Ćwierćwiecza. Wspominam starca zastrzelonego w Jedenastym Dystrykcie, a także Bonnie i Twill oraz pogłoski o powstaniach. Tak, wszyscy w całym kraju będą patrzyli, jak sobie radzę z wyrokiem śmierci, tym ostatecznym dowodem przewagi prezydenta. Ludzie czekają na znak, że ich walka nie poszła na marne, więc powinnam zademonstrować, jak do ostatniej chwili przeciwstawiam się Kapitolowi, który może zabić mnie, ale nie mojego ducha. Czy istnieje lepszy sposób na to, aby natchnąć rebeliantów nadzieją?

Ta myśl podoba mi się tym bardziej, że moja decyzja poświęcenia życia dla ratowania Peety jest sama w sobie aktem buntu, dowodem odmowy uczestnictwa w Głodowych Igrzyskach na warunkach Kapitolu. Moje prywatne sprawy ściśle się wiążą z publicznymi, a gdybym naprawdę ocalała Peetę... Dla rewolucji byłoby to idealne rozwiązanie, gdyż po śmierci stałabym się cenniejsza. Mogliby zrobić ze mnie męczennicę dla sprawy i wymalować moje portrety na sztandarach. Zjednoczyłabym ludzi znacznie trwalej, niż mogłabym to zrobić za życia. Z kolei Peeta byłby cenniejszy żywy i przygnieciony tragedią, bo obróciłby ból w słowa, które odmieniłyby ludzi.

Wściekły się, gdyby wiedział, do jakich wniosków doszłam, więc pytam tylko:

— Jak spędzimy nasze ostatnie dni?

— Chciałbym spędzić z tobą każdą minutę, która pozostała mi do końca życia — wyznaje Peeta.

— Więc chodź — proponuję i wciągam go do swojego pokoju.

Ponownie z nim śpię i delektuję się tym luksusem. Nawet nie podejrzewałam, jak bardzo pragnę bliskości drugiego człowieka, a teraz jestem zachwycona, że czuję go przy sobie w ciemnościach. Szkoda, że przez te ostatnie noce trzymałam go na dystans. Zapadam w sen w jego ciepłym uścisku, a gdy otwieram oczy, promienie słońca wlewają się strumieniami przez okna.

— Żadnych koszmarów — zauważa Peeta.

— Żadnych — potwierdzam. — Au ciebie?

— Też w porządku. Już zapomniałem, jak to jest przespać całą noc — wyznaje.

Leżymy przez chwilę, nie śpiesząc się do rozpoczęcia dnia. Na jutrzejszy wieczór mamy zaplanowany wywiad telewizyjny, więc dzisiaj Effie i Haymitch będą nas przygotowywać. Znowu buty na obcasie i sarkastyczne komentarze, myślę, potem jednak przychodzi rudowłosa awoksa z listem od Effie. Czytam w nim, że zważywszy na nasze niedawne tournée, zarówno ona, jak i Haymitch zgadzają się, iż sami sobie poradzimy podczas publicznego wystąpienia, dlatego sesja szkoleniowa zostaje odwołana.

— Poważnie? — zdumiewa się Peeta, wyciąga mi kartkę z ręki i studiuje ją z uwagą.

— Wiesz, co to znaczy? Mamy cały dzień tylko dla siebie!

— Szkoda, że nie możemy się gdzieś wybrać — wzdycham z żalem.

— A może jednak? — uśmiecha się Peeta.

Dach. Zamawiamy mnóstwo jedzenia, bierzemy koce i wyruszamy na dach, żeby urządzić sobie całodniowy piknik w kwiatowym ogrodzie, który podzwania wietrznymi dzwonekami. Jemy, leżymy na słońcu, a ja zrywam zwisające winorośle i wykorzystuję w praktyce świeżo nabytą wiedzę, żeby robić węzły i pleść sieci. Peeta szkicuje mój portret, a potem wymyślamy grę z użyciem pola siłowego, które otacza dach: jedno z nas rzuca jabłko w stronę niewidzialnej bariery, a drugie musi je złapać. Nikt nas nie niepokoï, więc późnym popołudniem leżę z głową na kolanach Peety i splatam wianek z kwiatów, on zaś bawi się moimi włosami, utrzymując, że ćwiczy robienie węzłów. W pewnej chwili jego dłonie nieruchomieją.

— Co jest? — pytam.

— Szkoda, że nie możemy zatrzymać tej chwili, tu i teraz, żeby żyć w niej na zawsze — wzdycha.

Taka uwaga, sugestia na temat jego dozgonnej miłości zwykle budzi we mnie poczucie winy i jest mi z tym okropnie, ale teraz delektuję się ciepłem, odprężam i nie zamierzam zaprzętać sobie głowy przyszłością, której nie doczekam.

— W porządku — odpowiadam krótko.

Kiedy mówi, słyszę w jego głosie uśmiech.

— Więc mogłabyś na to pozwolić?

— Mogłabym.

Jego palce ponownie dotykają moich włosów, a ja zasypiam, ale Peeta budzi mnie na zachód słońca. Nad Kapitołem rozpościera się widowiskowa, żółtopomarańczowa poświata.

— Uznałem, że nie chciałabyś tego przegapić — wyjaśnia.

— Dzięki. — Ponieważ mogłabym policzyć na palcach wszystkie zachody słońca, które mi jeszcze pozostały, nie chcę stracić żadnego z nich.

Nie schodzimy na wspólną kolację i nikt nas nie wzywa.

— To dobrze — oświadcza Peeta. — Przeze mnie wszyscy dookoła są smutni, mam tego dość. Nic tylko płaczą. A Haymitch... — Nie musi kończyć.

Siedzimy na dachu, aż w końcu nadchodzi pora snu, więc cicho przekradamy się do mojego pokoju, nie spotykając nikogo po drodze.

Rano budzi nas moja ekipa. Na widok Peety i mnie w jednym łóżku Octavia nie wytrzymuje i z miejsca zalewa się łzami.

— Pamiętaj, co nam powiedział Cinna — przypomina jej Venia stanowczym głosem, a Octavia kiwa głową i szlocha dalej.

Peeta wraca na przygotowania do swojego pokoju, a ja zostaję sama z Venią i Flaviusem. Nie ma mowy o pogaduchach, właściwie nikt się nie odzywa, tyle że czasem każą mi unieść brodę albo komentują jakąś technikę robienia makijażu. Dochodzi pora lunchu, kiedy czuję, że coś mi kapie na ramię. Odwracam się i patrzę, jak milczący Flavius przycina mi włosy, a po jego policzkach spływają łzy jak grochy. Venia posyła mu wymowne spojrzenie,

na co on ostrożnie odkłada nożyczki na stół i wychodzi. Pozostaje tylko Venia, tak blada, że jej tatuaże wydają się odstawać od skóry. Zesztywniała, z determinacją kończy ścinać moje włosy, robi manicure i makijaż, a jej palce niemal fruwały, gdy usiłuje zastąpić resztę zespołu. Przez cały czas konsekwentnie unika mojego wzroku, ale gdy zjawia się Cinna, żeby ocenić mój wygląd oraz ją odprawić, Venia bierze mnie za rękę i patrzy mi głęboko w oczy.

— Wszyscy chcielibyśmy, abys wiedziała, że podkreślanie twojej urody było dla nas... przywilejem — oznajmia i pośpiesznie opuszcza pokój.

Mój zespół przygotowawczy, głupiutkie, płytkie, sentymentalne istotki, z obsesją na punkcie piórek i przyjęć. Ich pożegnanie omal nie łamie mi serca, a z ostatnich słów Venii jasno wynika, iż nikt nie bierze pod uwagę mojego powrotu. Czy cały świat wie, że już nie wrócę?, myślę i patrzę na Cinnę. On wie, to jasne, ale tak jak obiecał, nie muszę się obawiać jego łez.

— Co mam dzisiaj włożyć? — pytam i spoglądam na pokrowiec, w którym znajduje się suknia.

— Prezydent Snow osobiście wydał polecenie dotyczące stroju. — Cinna rozpina zamek błyskawiczny, żeby odsłonić jedną z sukni ślubnych, które nosiłam podczas sesji zdjęciowej, z ciężkiego, białego jedwabiu, z dużym dekoltem, mocno wciętą talią i rękawami opadającymi od nadgarstków do podłogi, i z perłami. Wszędzie perły, mnóstwo pereł, przyszytych do sukni, połączonych w sznury pod szyją i niczym korona wieńczących woalkę. — Chociaż Igrzyska Ćwierćwiecza Poskromienia ogłoszono w dniu pokazu zdjęć, ludzie i tak zagłosowali na ulubioną suknię i właśnie ta wygrała. Prezydent zdecydował, że masz w niej dzisiaj wystąpić, a nasze zastrzeżenia zostały zignorowane.

Trę między palcami skrawek jedwabiu i usiłuję rozgryźć tok rozumowania prezydenta Snowa. Ponieważ jestem najgorszą przestępczynią, zapewne pragnie zademonstrować w świetle jupiterów mój ból, porażkę i upokorzenie, gdyż w ten sposób wszystko stanie się jasne. Pomysł przerobienia mojej ślubnej sukni na pogrzebowy całun jest skrajnie barbarzyński, więc przemawia do mnie z całą mocą i sprawia, że przeszywa mnie tępy ból.

— Szkoda by było zmarnować taką ładną suknię — mówię tylko.

Cinna ostrożnie pomaga mi włożyć kreację, lecz gdy już ją mam na sobie, mimowolnie poruszam ramionami.

— Czy zawsze była taka ciężka? — skarżę się, zaskoczona. Pamiętam, że kilka sukni było dość solidnie wykonanych, ale ta sprawia wrażenie, jakby ważyła tonę.

— Musiałem wprowadzić kilka poprawek ze względu na oświetlenie — tłumaczy Cinna, a ja kiwam głową, choć nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Wkłada mi buty, perły i welon, a na koniec delikatnie koryguje makijaż i każe mi się przejść.

— Wyglądasz olśniewająco — zapewnia. — A teraz posłuchaj, Katniss. Ponieważ stan sukni jest bardzo starannie dopasowany, nie chcę, żebyś unosiła rękę nad głowę, przynajmniej do czasu, gdy zrobisz piruet.

— Znowu mam się kręcić? — pytam i przypominam sobie zeszłoroczną sukienkę.

— Caesar z pewnością poprosi cię o to, a jeśli nie, sama podsuń mu tę myśl. Byle nie na samym początku, najlepiej zachowaj piruety na wielki finał — instruuje mnie Cinna.

— Wobec tego dasz mi sygnał, kiedy mam zacząć.

— Zgoda. Masz jakieś plany związane z wywiadem? Wiem, że Haymitch dał wam wolną rękę.

— Nie, w tym roku będę improwizowała. Dziwne, wcale się nie boję. — Mówię prawdę. Co z tego, że prezydent Snow mnie nienawidzi, skoro publiczność należy do mnie?

Przy windzie spotykamy się z Effie, Haymitchem, Portią i Peetą, który ma na sobie elegancki smoking i białe rękawiczki, czyli ubranie odpowiednie dla kapitolńskiego pana młodego. U nas w domu wszystko jest znacznie prostsze. Panna młoda zwykle wypożycza białą suknię, która wcześniej służyła już setkom kobiet, a mężczyzna wkłada coś czystego, co

nie wiąże się z kopalnią. Następnie oboje wypełniają druczki w Pałacu Sprawiedliwości i przydzielają im dom, a rodzina i przyjaciele zbierają się na posiłek albo kawałek ciasta, jeśli kogoś stać na takie specjały. Jeżeli nie, wszyscy i tak zawsze odśpiewujemy tradycyjną piosenkę, kiedy młoda para przekracza próg domu, i urządzamy skromną uroczystość, podczas której świeżo upieczeni małżonkowie rozpalają pierwszy ogień, pieką tost i dzielą się nim. Może to staromodne, ale w Dwunastym Dystrykcie nikt nie czuje się mężem ani żoną do momentu pieczenia tostów.

Pozostali trybuci zebrali się już za kulisami i rozmawiają półgłosem, lecz milkną na widok Peety i mnie. Uświadamiam sobie, że wszyscy z wściekłością spoglądają na moją suknię. Zazdroszczą, że jest piękna, czy też tego, że za jej pomocą mogę manipulować tłumem?

Ciszę w końcu przerywa Finnick.

— Nie wierzę, że Cinna ubrał cię w coś takiego.

— Nie miał wyboru, dostał polecenie od prezydenta — wyjaśniam z lekkim dystansem, bo nie zamierzam nikomu pozwalać na krytykę Cinny.

Cashmere odrzuca jasne loki na ramiona.

— Wyglądasz idiotycznie! — prycha, chwytając brata za rękę i odciąga go na miejsce, z którego poprowadzą nasz pochód na scenę. Pozostali trybuci również zaczynają się ustawiać, a ja jestem skołowana, bo choć wszyscy się złością, niektórzy krzepiąco klepią nas po ramionach, a Johanna Mason przystaje, żeby poprawić mi sznur pereł.

— Niech za to zapłaci, pamiętaj — odzywa się, a ja kiwam głową, choć nie wiem, o co jej chodzi.

Zaczynam rozumieć dopiero wtedy, gdy wszyscy trafiamy na scenę, Caesar Flickerman, w tym roku z włosami i twarzą na lawendowo, recytuje słowa powitania, a potem trybuci udzielają wywiadu. Po raz pierwszy dostrzegam, jak zdradzeni czują się zwycięzcy, i jak wściekli. Mimo to sprytnie, niesłychanie sprytnie wcielają się w swoje role, i wszystko w kółko sprowadza się do refleksji na temat rządu, a w szczególności prezydenta Snowa. Jednak nie każdy to robi, bo jest tu kilka reliktyw przeszłości, takich jak Brutus i Enobarra, przybyłych wyłącznie na jeszcze jedne igrzyska, a także grupa ludzi zbyt zdeorientowanych, przyćpanych albo zagubionych, żeby przyłączyć się do ataku. Pozostaje jednak wystarczająco wielu trybutów, którzy nadal mają rozum i odwagę, żeby stanąć do walki.

Cashmere uruchamia lawinę, kiedy wygłasza mowę o tym, jak to nie może przestać płakać na myśl o mieszkańcach Kapitolu, którzy z pewnością potwornie cierpią, gdyż nas stracą. Gloss wspomina uprzejmość okazaną tu jemu i jego siostrze, a Beetee kwestionuje legalność Igrzysk Ćwierćwiecza i nerwowo, urywanym głosem zastanawia się, czy specjaliści wzięli sprawę pod rozwagę. Finnick recytuje wiersz, który napisał dla kapitolinśkiej miłości swojego życia, a każda z mniej więcej stu kobiet mdleje w przekonaniu, że chodziło mu właśnie o nią. Następnie wstaje Johanna Mason i pyta, czy nie dałoby się czegoś zrobić z tą całą sytuacją, bo przecież organizatorzy Igrzysk Ćwierćwiecza nie przewidzieli silnych emocjonalnych więzów między zwycięzcami a Kapitołem, a przecież nikt chyba nie jest na tyle okrutny, żeby naruszać tak trwałe związki. Seeder cicho rozprawia o tym, jak to w Jedenaście Dystrykcie wszyscy uważają, że prezydent Snow jest wszechpotężny, a skoro nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, to przecież mógłby zmienić zasady Igrzysk Ćwierćwiecza? Natychmiast po niej występuje Chaff i upiera się, że prezydent mógłby zmienić reguły igrzysk, gdyby zechciał, ale zapewne nie wie, iż komukolwiek na tym zależy.

Kiedy wchodzę, publiczność jest już w stanie kompletnej rozsypki, ludzie zalewają się łzami i mdleją, a nawet głośno żądają zmiany. Na widok mnie w białej, jedwabnej sukni ślubnej są bliscy wszczęcia rozruchów. Zabraknie nieszczęśliwych kochanków, którzy pożyją długo i szczęśliwie, nie ma mowy o ślubie. Widzę, że szwankuje nawet profesjonalizm Caesara, który usiłuje uciszyć widowie, żebym mogła mówić, a tymczasem moje trzy minuty szybko mijają.

Ostatecznie zapanowuje spokój i Caesar może zagaić.

— Katniss, to oczywiste, że ten wieczór jest wyjątkowo emocjonujący dla wszystkich. Czy pragnęłabyś coś powiedzieć?

Głos mi drży, kiedy się odzywam.

— Chcę tylko zapewnić, że jest mi przykro, bo nie zjawicie się na moim ślubie... ale cieszę się, że przynajmniej widzicie mnie w sukni. Czy nie jest... wyjątkowo piękna? — Nie muszę spoglądać na Cinnę, aby wiedzieć, że to odpowiedni moment. Powoli zaczynam się obracać i jednocześnie unoszę nad głowę rękawy ciężkiej sukni.

Tłum wrzeszczy, a ja myślę, że pewnie świetnie wyglądam, lecz zauważam wokół siebie coś niepokojącego. Dym i prawdziwy ogień, a nie migotanie, które zaprezentowałam rok temu podczas przejazdu rydwanem. Pożar pochłania suknię, a ja wpadam w panikę, bo dym gęstnieje, w powietrze wzlatają skrawki poczerńiałego jedwabiu, a perły grzechoczą po scenie. Nie przestaję wirować, bo ogień nie parzy mi skóry i wiem, że za tą sztuczką stoi Cinna. Robię niekończące się piruety, przez ułamek sekundy ciężko oddycham, jestem całkowicie osłonięta przez niezwykle płomienie, aż nagle, w jednej chwili pożar gaśnie, więc powoli nieruchomieję i zastanawiam się, czy zostałam całkiem goła. Dlaczego Cinna postanowił spalić moją suknię ślubną?

Nie, nie jestem naga. Mam na sobie suknię uszytą według tego samego projektu, który posłużył do wykonania sukni ślubnej, ale tym razem kreacja jest czarna jak węgiel i cała pokryta drobnymi piórami. Ze zdumieniem unoszę długie, powłóczyste rękawy i rzucam okiem na podgląd w telewizorze. Jestem cała czarna z wyjątkiem białych plam na rękawach, które do złudzenia przypominają skrzydła. Cinna przemienił mnie w kosogłosa.

Ubranie nadal tli się na mnie, więc Caesar ostrożnie wyciąga rękę, żeby dotknąć mojego nakrycia głowy. Cała biel się wypaliła i pozostał tylko gładki, dopasowany welon czerni, który opływa dekolci sukni na plecach.

— Pióra — zauważa Caesar. — Wyglądasz jak ptak.

— Chyba jak kosogłos — mówię i lekko trzepoczę skrzydłami. — To ptak z broszki, którą noszę jako talizman.

Na jego twarzy dostrzegam przeblysł zrozumienia i od razu dociera do mnie, że Caesar doskonale wie, że kosogłos jest nie tylko moim talizmanem, że symbolizuje znacznie więcej. Ze to, co kapitołińczycy uważają za efektowny pokaz, ludzie w dystryktach przyjmą zupełnie inaczej. Mimo wszystko Caesar stara się jak może ratować sytuację.

— Czapki z głów przed twoim stylistą — oświadcza. — Chyba wszyscy się zgodzimy, że to było najbardziej spektakularne show w historii naszych wywiadów Cinna, pora się uklonić! — Ruchem dłoni zachęca go do powstania, na co Cinna podnosi się z fotela i składa lekki, uprzejmy ukłon, a ja zaczynam się o niego bać. Co on zrobił? Coś niebezpiecznego, to przejaw buntu, a w dodatku zdecydował się na to dla mnie. Przypominam sobie jego słowa. Nie przejmuj się. Osobiście staram się zawsze przekuć emocje na pracę, bo w ten sposób nie krzywdzę nikogo oprócz siebie... Obawiam się, że tym razem skrzywdził siebie do tego stopnia, że już nic mu nie pomoże. Symbolizm mojej ognistej przemiany nie umknie uwagi prezydenta Snowa.

Publiczność, która zamilkła w osłupieniu, wybucha z tak gwałtownym entuzjazmem, że ledwie udaje mi się dosłyszeć brzęczyk sygnalizujący upływ moich trzech minut. Caesar dziękuje mi i wracam na miejsce w sukni, która wydaje się teraz lżejsza od powietrza.

Mijam zmierzającego na scenę Peetę, nie patrzy mi w oczy. Siadam ostrożnie, lecz chyba nic mi nie jest i tylko smużki dymu to tu, to tam przypominają o transformacji. Całą uwagę skupiam na Peecie. On i Caesar tworzą dobraną parę od pierwszego wspólnego występu przed rokiem. Gawędzą swobodnie i żartobliwie, ale potrafią płynnie przejść do tematów wyciskających łzy z oczu, jak wtedy, gdy Peeta oświadczył, że mnie kocha, dzięki czemu stali się ulubieńcami publiczności. Bez wysiłku rozpoczynają rozmowę od kilku żartów o ogniu,

piórach i rozgotowanym drobiu, ale już na pierwszy rzut oka widać, że co innego zaprzęta myśli Peety, więc Caesar kieruje rozmowę na interesujący wszystkich temat.

— Peeta, powiedz mi jak się poczułeś, kiedy po tym wszystkim, co przeszedłeś, dowiedziałeś się o Igrzyskach Ćwierćwiecza? — pyta.

— Byłem wstrząśnięty. Przecież w jednej chwili oglądałem Katniss, przepiękną w sukniach ślubnych, a w następnej... — Peeta zawiesza głos.

— Zrozumiałeś, że nie będzie ślubu? — dopowiada Caesar łagodnie.

Peeta milczy przez kilka sekund, jakby się nad czymś zastanawiał. Spogląda na zahipnotyzowanych widzów, wbija wzrok w podłogę i znowu patrzy na Caesara.

— Caesarze, czy twoim zdaniem nasi przyjaciele tutaj potrafią dochować tajemnicy?

Wśród publiczności rozlegają się pełne zakłopotania śmiechy. O co mu chodzi? Jakiej tajemnicy, przed kim? Nasz cały świat ogląda ten program.

— Ani trochę w to nie wątpię — zapewnia Caesar.

— Jesteśmy już małżeństwem — wyjawia Peeta cicho. Oniemiała publiczność milczy, a ja muszę ukryć twarz w fałdach sukni, żeby nikt nie zauważył mojego zakłopotania. Na liłość boską, do czego on zmierza?

— Ale... jak to możliwe? — zdumiewa się Caesar.

— Och, nie zawarliśmy urzędowego ślubu, nie chodziliśmy do Pałacu Sprawiedliwości, skąd. Nie wiem, jak to jest gdzie indziej, ale u nas, w Dwunastym Dystrykcie, obowiązuje obrzęd małżeński, który polega mniej więcej na tym... — wyjaśnia Peeta i w skrócie opisuje obyczaj pieczenia tostów.

— Czy były przy tym wasze rodziny? — dąży Caesar.

— Nie, nikomu nie powiedzieliśmy, nawet panu Haymitchowi. Poza tym mama Katniss przenigdy nie wyraziłaby zgody. Po prostu wiedzieliśmy, że jeśli weźmiemy ślub w Kapitolu, ominie nas pieczenie tostów, a żadne z nas nie chciało dłużej czekać. Dlatego któregoś dnia po prostu to zrobiliśmy — opowiada Peeta. — Ten rytuał jest dla nas więcej wart niż jakikolwiek świstek papieru czy huczne wesele.

— Czy to było przed ogłoszeniem Igrzysk Ćwierćwiecza?

— Jasne, że tak. Jestem pewien, że nie zrobilibyśmy tego, gdybyśmy wiedzieli o igrzyskach. — Peeta zaczyna się denerwować. — Ale kto to mógł przewidzieć? Nikt. Uczestniczyliśmy w jednych igrzyskach, zwyciężyliśmy, wszyscy wydawali się zachwyceni, że jesteśmy razem, a tu nagle, ni stąd, ni zowąd... Nie mogliśmy oczekiwać tego, co nas spotka.

— Nie mogliście — zgadza się Caesar i obejmuje go ramieniem. — Jak sam powiedziałeś, nikt nie mógł tego przewidzieć, ale muszę przyznać, że się cieszę, bo przeżyliście wspólnie kilka szczęśliwych miesięcy.

Publiczność szaleje, wszyscy biją brawo, a ja odrywam głowę od piór i podnoszę wzrok, jakby pokrzepiona reakcją widzów, do których uśmiecham się ze smutkiem i wdzięcznością. Od dymu z sukni łzawią mi oczy, co bardzo skutecznie podkreśla dramatyzm sytuacji.

— Aleja się nie cieszę — oświadcza Peeta. — Szkoda, że nie zczekaliśmy do oficjalnego dopełnienia formalności.

Caesar wydaje się zbity z tropu.

— Przecież nawet krótkie chwile szczęścia są lepsze niż nic.

— Pewnie też bym tak uważał, Cesarze — odpowiada Peeta z goryczą. — Gdyby nie dziecko.

No proszę, znowu to zrobił. Zdetonował bombę, a eksplozja przyćmiła wszystko, co starali się zaprezentować inni trybuci. A może w tym roku tylko podpałił lont przy bombie, którą zwycięzcy konstruowali w nadziei, że ktoś doprowadzi do jej wybuchu? Może myśleli, że to będę ja w sukni ślubnej, ale nie uświadamiali sobie, jak bardzo jestem zależna od talentu Cinny, podczas gdy Peeta nie potrzebuje niczego poza własnym sprytem.

Bomba eksplodowała, oskarżenia o niesprawiedliwość, barbarzyństwo i okrucieństwo rozprzestrzeniają się we wszystkich kierunkach. Nawet najgorętsi entuzjaści Kapitolu, zgłodniali igrzysk i spragnieni krwi przynajmniej chwilowo nie mogą zignorować okropieństwa sytuacji.

Jestem w ciąży.

Publiczność nie od razu pojmuje wagę oświadczenia Peety. Informacja dociera do umysłów widzów, zostaje przeanalizowana, potwierdzona przez innych, i dopiero wtedy zaczynają się zachowywać jak stado rannych zwierząt: jęczą, wrzeszczą, wzywają pomocy. A ja? Wiem, że ujęcie mojej twarzy widać w dużym zbliżeniu na ekranie, ale nawet nie próbuję jej ukryć, gdyż w tym momencie sama usiłuję przetrwać słowa Peety. Czy nie tego bałam się najbardziej w związku ze ślubem i naszą przyszłością — utraty dzieci z powodu igrzysk? I teraz mogłoby tak właśnie być, prawda? Gdybym nie poświęciła życia na wznoszenie kolejnych murów obronnych, aż w końcu sama wzmianka o małżeństwie i rodzinie budziła we mnie głęboką niechęć.

Caesar nie jest w stanie zapanować nad publicznością, która nie reaguje nawet na brzęczyk. Peeta kiwa głową na pożegnanie i bez słowa wraca na miejsce, a ja zauważam, że usta Caesara się poruszają, zupełnie jakby coś mówił, jednak wokoło panuje kompletny chaos, więc nic nie słyszę. Dopiero hymn państwowy, zagrany tak donośnie, że czuję wibracje w kościach, sprawia, że przypominamy sobie, że program się kończy. Machinalnie wstaję, a Peeta wyciąga do mnie rękę. Przyjmuję ją, a wtedy po jego policzkach spływają łzy. Czy są szczerze? Czy świadczą o tym, że Peetę prześladują te same lęki co mnie i każdego innego zwycięzcę oraz rodzica we wszystkich dystryktach Panem?

Odwracam się ponownie w kierunku publiczności, ale przed oczami widzę twarze rodziców Rue. Przypominam sobie ich smutek, ich stratę, i spontanicznie odwracam się do Chaffa. Podaję mu dłoń, zaciskam palce na kikucie, który teraz kończy jego rękę, i mocno przytrzymuję. I wtedy to się dzieje. Wszyscy zwycięzcy, w całym rządzie, podają sobie ręce. Niektórzy od razu, jak morfaliniści, Wiress czy Beetee, inni, jak Brutus czy Enobaria, z wahaniem podporządkowują się woli otoczenia. Kiedy przebrzmiewają ostatnie nuty hymnu, cała dwudziestka czwórka stoi w zwartym szeregu. To z pewnością pierwsza publiczna demonstracja jedności dystryktów od czasu Mrocznych Dni. Realizatorzy programu uświadamiają to sobie i widzimy, jak ciemność spowija ekran, lecz jest już za późno. Zamieszanie sprawiło, że nie skończyli transmisji na czas, więc widzowie przed telewizorami byli świadkami całego zdarzenia.

W ogólnym zamęcie na scenie gasną światła i, potykając się, musimy wracać do Ośrodka Szkoleniowego. Straciłam kontakt z Chaffem, ale Peeta prowadzi mnie do windy. Finnick i Johanna usiłują dołączyć do nas, lecz na ich drodze staje napastliwy Strażnik Pokoju, więc jedziemy na górę sami.

Gdy tylko opuszczamy kabinę windy, Peeta kładzie mi ręce na ramionach.

— Mamy mało czasu, więc mów od razu — czy zrobiłem coś, za co powinienem cię przeprosić?

— Nie — odpowiadam. Sporo ryzykowałam bez mojej zgody, ale cieszę się, że nie znałam jego zamiarów i nie mogłam podać ich w wątpliwość. Poza tym dzięki temu poczucie winy wobec Gale'a nie wpłynęło na to, co naprawdę myślę o czynie Peety.

Gdzieś bardzo, bardzo daleko leży miejsce zwane Dwunastym Dystryktem, i w tym miejscu moja mama, siostra i przyjaciele będą musieli poradzić sobie ze wszystkim, co wyniknie z tego wieczoru. Niedaleko, w odległości krótkiej przejażdżki poduszkwowcem, znajduje się arena, gdzie już jutro Peetę, mnie i trybutów poddadzą innej karze. Nawet jeśli nas spotka straszny koniec, to dzisiaj na scenie zdarzyło się coś, czego nikt już nie cofnie. My, triumfatorzy, wszczyliśmy własne powstanie i kto wie, być może Kapitol nie zdoła go stłumić.

Czekamy na powrót pozostałych, ale kiedy drzwi windy się rozsuwają, stoi za nimi sam Haymitch.

— Szaleństwo — oznajmia. — Wszyscy zostali wysłani do domów, a w telewizji nie będą emitować powtórek wywiadów.

Razem z Peetą pośpiesznie podchodzę do okna i usiłuję się rozeznać w tym, co się dzieje daleko w dole, gdyż na ulicach rozgorzały zamieszki.

— Co oni krzyczą? — zastanawia się Peeta. — Chcą, żeby prezydent przerwał igrzyska?

— Moim zdaniem sami dobrze nie wiedzą, czego żądać. Sytuacja jest bezprecedensowa, nawet sama myśl o przeciwstawieniu się planom Kapitolu może wywołać u tych ludzi mętlik w głowach — mówi Haymitch. — Nie ma mowy jednak, żeby Snow odwołał igrzyska. Wiecie o tym, prawda?

Tak, wiem o tym. To oczywiste, że na tym etapie już nie może się wycofać. Pozostał mu tylko kontratak, i to brutalny.

— Reszta się rozeszła? — pytam.

— Takie otrzymali polecenie, ale nie wiem, czy zdołają się przedrzeć przez tłum — wzdycha Haymitch.

— Zatem już nigdy nie zobaczymy Effie — zasepia się Peeta. W ubiegłym roku nie widzieliśmy się z nią rankiem w dniu inauguracji turnieju. — Niech pan przekaże jej nasze podziękowania.

— Zwykle podziękowania to za mało — dodaję. — Niech będą wyjątkowe, przecież chodzi o Effie. Proszę powiedzieć, że doceniamy jej wsparcie i że była najlepszą opiekunką na świecie, i jeszcze że serdecznie ją pozdrawiamy.

Przez pewien czas stoimy w milczeniu i odwlekamy nieuchronne.

— Chyba nadeszła pora także na nasze pożegnanie — odzywa się w końcu Haymitch.

— Chciałby pan nam coś doradzić na drogę? — Peeta spogląda na niego pytająco.

— Nie dajcie się zabić — radzi Haymitch burkliwie. To już niemal nasz stary prywatny dowcip. Następnie ściska nas pośpiesznie i widzę, że więcej nie zniesie. — Idźcie spać, musicie być wypoczęci.

Wiem, że powinnam mu powiedzieć mnóstwo rzeczy, ale nie przychodzi mi do głowy nic, czego już nie wie, a w dodatku mam ściśnięte gardło, więc i tak nie wykrztusiłabym ani słowa. Dlatego Peeta znowu odzywa się w imieniu nas obojga.

— Niech pan się trzyma — mówi.

Idziemy przez pokój, ale na progu zatrzymuje nas głos Haymitcha.

— Katniss, kiedy trafisz na arenę... — zwraca się do mnie, ale zawiesza głos i krzywi się tak, jakbym już go zdążyła rozczarować.

— No co? — burczę.

— Wtedy pamiętaj, kto jest twoim prawdziwym wrogiem — kończy. — To tyle. A teraz idźcie. Wyñoście się stąd.

Przemierzamy korytarz. Peeta chce wpaść do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic, zmyć makijaż i spotkać się ze mną za kilka minut, ale się nie zgadzam. Jestem pewna, że jeśli zamknie za sobą drzwi, zamek się zablokuje i będę musiała spędzić noc w samotności. Poza tym u mnie też jest prysznic, więc nie puszczam ręki Peety. Czy śpimy? Nie wiem. Przez całą noc obejmujemy się, pogrążeni w półśnie, gdzieś między marzeniami sennymi a jawą. Nie rozmawiamy, żeby sobie nie przeszkadzać, bo mamy nadzieję zbierać kilka cennych minut odpoczynku.

O świcie przychodzą Cinna oraz Portia i staje się jasne, że Peeta musi iść, bo trybuci wracają na arenę pojedynczo. Na pożegnanie muska mnie ustami.

— Do zobaczenia wkrótce — mówi.

— Wkrótce — odpowiadam.

Cinna, który pomoże mi się przebrać na igrzyska, odprowadza mnie na dach. Przymierzam się do wejścia na drabinę poduszkiowca, kiedy coś mi się przypomina.

— Nie pożegnałam się z Portią.

— Przekażę jej pozdrowienia od ciebie — zapewnia mnie Cinna.

Prąd unieruchamia mnie na drabinie, a lekarz wstrzykuje mi w lewe przedramię lokalizator. Teraz organizatorzy będą mogli mnie wytropić w każdym miejscu na arenie. Poduszkiowiec startuje, a ja wyglądam przez okna do czasu, gdy całkiem ciemnieją. Cinna ciągle zachęca mnie do jedzenia, a kiedy odmawiam, podsuwa mi picie. Przez cały czas staram się sączyć wodę, gdyż pamiętam o odwodnieniu, które prawie mnie zabiło w zeszłym roku. Poza tym muszę być silna, aby utrzymać Peetę przy życiu.

Kiedy docieramy do sali ekspedycyjnej pod areną, biorę prysznic, Cinna zaplata mi warkocz na plecach i pomaga włożyć ubranie na skromną bieliznę. W tym roku trybuci otrzymują dopasowany kombinezon z prawie przezroczystego materiału, z zamkiem błyskawicznym z przodu, do tego piętnastocentymetrowej szerokości pas z miękkimi wkładkami ochronnymi, okryty błyszczącym, fioletowym plastikiem, oraz nylonowe buty z gumowymi podeszwami.

— Co o tym myślisz? — Podaję ubranie Cinnie, żeby popatrzył z bliska, a on marszczy brwi i pociera palcami cienki materiał.

— Sam nie wiem. Coś takiego prawie nie chroni przed chłodem ani wodą.

— A przed Słońcem? — Wyobrażam sobie pałac Słońce nad rozległą pustynią.

— Jeżeli ubranie zostało odpowiednio spreparowane, to kto wie — myśli głośno. — Och, byłbym zapomniał. — Wyciąga z kieszeni moją broszkę z kosogłosem i przypinają do kombinezonu.

— Moja wczorajsza suknia była rewelacyjna — oświadczam. Rewelacyjna, ale świadczyła o lekkomyślności Cinny, który na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

— Miałem nadzieję, że ci się spodoba. — Uśmiecha się z napięciem.

Tak jak w ubiegłym roku, siadamy i trzymamy się za ręce do czasu, gdy przez głośniki otrzymuję polecenie przygotowania się do wyniesienia na arenę. Cinna odprowadza mnie do okrągłej, metalowej tarczy i starannie dopina suwak kombinezonu.

— Pamiętaj, dziewczyno, która igrasz z ogniem — odzywa się. — Nadal na ciebie stawiam.

Całuje mnie w czoło, cofa się, a wtedy opada na mnie szklany cylinder.

— Dziękuję — mówię, choć pewnie już mnie nie słyszy, unoszę brodę, jak mnie tego zawsze uczył, i czekam, aż tarcza wystrzeli w górę, ale nic się nie dzieje. Czas mija, i nadal nic się nie dzieje. Spoglądam na Cinne i unoszę brwi, jakbym oczekiwała wyjaśnienia, lecz on tylko lekko kręci głową, równie zdezorientowany jak ja. Skąd to opóźnienie?

Nagle drzwi za jego plecami gwałtownie się otwierają i do pokoju wpada trzech Strażników Pokoju. Dwaj wykręcają mu ręce i zakuwają go w kajdanki, a trzeci wymierza cios w skroń tak potężny, że Cinna osuwa się na kolana. Mimo to nadal tłuką go pięściami w rękawicach błyszczących od ponabijanych ćwieków, a uderzenia rozdzierają skórę na jego twarzy i ciele. Wrzeszczę jak opętana i walę w nieustępliwe szkło, chcę biec do Cinny, Strażnicy Pokoju jednak całkowicie mnie ignorują, kiedy wywlekają bezwładne ciało z pokoju. Po ich wizycie zostają tylko rozmazane smugi krwi na podłodze.

Wstrząśnięta i przerażona czuję, że tarcza mnie unosi. Nadal opieram się o szklany cylinder, kiedy wiatr rozwiewa mi włosy, po czym prostuję się z wysiłkiem. W samą porę, bo szyba się opuszcza i staję, wolna, na arenie. Mam wrażenie, że coś niedobrego dzieje się z moim wzrokiem, gdyż ziemia jest zbyt jasna i lśniąca, a na dodatek zdaje się poruszać. Spoglądam pod nogi i widzę, że metalową tarczę oblewają błękitne fale, które rozchlapują się o moje buty. Powoli unoszę wzrok i dociera do mnie, że dookoła rozpościera się niebieska tafla wody.

Przychodzi mi do głowy tylko jedna myśl. To nie jest miejsce dla dziewczyny, która igra z ogniem.

— Panie i panowie, Siedemdziesiąte Piąte Głodowe Igrzyska uważam za otwarte! — dudni mi w uszach głos Claudiusa Templesmitha, spikera igrzysk. Mam niecałą minutę na zorientowanie się w sytuacji, bo potem zabrmi gong i trybuci będą mogli opuścić metalowe tarcze. I co dalej?

Nie potrafię zebrać myśli, wciąż mam przed oczami skatowanego, zakrwawionego Cinnę. Gdzie teraz jest? Co mu robią? Torturują go, zabijają, przerabiają go na awoksa? To jasne, że ta zaaranżowana napaść miała wytrącić mnie z równowagi, przecież z tego samego powodu wcześniej przydzielono mi Dariusza. Cóż, udało się im. Myślę tylko o tym, że najchętniej osunęłabym się na metalową tarczę, ale nie mogę tego zrobić po tym, co przed chwilą widziałam. Muszę być silna, jestem to winna Cinnie, który podkopał autorytet prezydenta Snowa i zaryzykował wszystko, żeby moja suknia ślubna zmieniła się w pióra kosogłosa. Jestem także dłużniczką rebeliantów, którzy, zachęceni przykładem Cinnny, być może właśnie w tej chwili toczą walkę o obalenie władzy. Odmowa grania na warunkach Kapitolu będzie moim ostatnim aktem buntu. Dlatego zaciskam zęby i przygotowuję się do startu.

Gdzie jestem? Nadal nie potrafię się zorientować, co to za otoczenie. Gdzie jestem? Ponownie zadaję sobie to pytanie i świat wokół mnie zaczyna powoli nabierać ostrości. Widzę niebieską wodę, różowe niebo i rozpalone do białości Słońce, które praży niemilosiernie. W porządku, mniej więcej czterdzieści metrów stąd jest lśniący złotem Róg Obfitości. Na pierwszy rzut oka wygląda tak, jakby znajdował się na okrągłej wysepce, lecz po uważniejszych oględzinach dostrzegam wąskie paski łądu, oddalające się promieniście od wyspy niczym szprychy koła rowerowego. Wydaje mi się, że jest ich od dziesięciu do dwunastu, rozmieszczonych w równych odległościach od siebie. Pomędzy szprychami jest woda, woda i dwójka trybutów. Otóż to. Pomostów łądowych musi być dwanaście, a na każdy przypada para zawodników, balansujących na metalowych talerzach. Drugim trybutem z mojego wodnego klina jest stary Woof z Ósmego Dystryktu, znajduje się mniej więcej w tej samej odległości ode mnie, co pasmo łądu z lewej. Za wodą, ze wszystkich stron otacza nas wąska plaża, a za nią widnieje gęsta roślinność. Rozglądam się po twarzach ustawionych w krąg trybutów, nie widzę jednak Peety, którego najwyraźniej ustawiono za Rogiem Obfitości.

Nabieram w dłoń nieco wody, która ochlapuje mi nogi, wacham ją i ostrożnie dotykam języka opuszką mokrego palca. Tak jak podejrzewałam, jest słona, jak ta, którą napotkałam z Peetą podczas naszego krótkiego spaceru po plaży w Czwartym Dystrykcie, ale przynajmniej wydaje się czysta. Nigdzie w pobliżu nie ma ani łodzi, ani lin, ani nawet kawałka dryfującego drewna, którego mogłabym się ucześcić. Innymi słowy, jest tylko jeden sposób na dostanie się do Rogu Obfitości. Kiedy rozlega się gong, bez wahania nurkuję w lewo. Nie przywykłam do pokonywania tak długich dystansów, a pływanie wśród fal wymaga większych umiejętności niż pływanie po spokojnym jeziorze w Dwunastym Dystrykcie, ale moje ciało wydaje się dziwnie lekkie i bez wysiłku pruję przez toń, być może za sprawą zasolenia wody.

Gramolę się na piaszczysty pomost łądowy i ociekając, gnam ku Rogowi Obfitości. Nie widzę, żeby z mojej strony ktoś jeszcze wyszedł z wody, ale złocista konstrukcja w znacznym stopniu ogranicza pole widzenia. Tak czy owak, nie zamierzam zwalniać z powodu bliskości przeciwników, gdyż teraz rozumiem jak zawodowiec. Przede wszystkim muszę zdobyć broń.

W ubiegłym roku zapasy rozrzucono na znacznej przestrzeni wokół Rogu, najcenniejsze przedmioty znajdowały się najbliżej niego. Teraz jednak łupy piętrzą się na stosie u wylotu budowli, wysokim na jakieś siedem metrów. Z miejsca dostrzegam złoty łuk, zaledwie na wyciągnięcie ręki, więc bez namysłu wyszarpuję go ze sterty.

Nagle orientuję się, że ktoś jest za moimi plecami. Nie wiem, co mnie zaniepokoiło, może cichy szelest piasku albo ledwie wyczuwalna zmiana prądu powietrza. Wysuwam strzałę z zaklinowanego kołczana i obracam się, jednocześnie naciągając cięciwę. Kilka metrów ode mnie stoi Finnick, lśniący i zabójczo piękny, z trójzębem pochylonym do ataku w jednej ręce oraz siecią w drugiej. Uśmiecha się półgębkiem, ale mięśnie jego ramion i torsu drżą z napięcia.

— Więc potrafisz też pływać — zauważa. — Gdzie się tego nauczyłaś w Dwunastym Dystrykcie?

— Mamy dużą wannę — odpowiadam.

— Nie wątpię. Podoba ci się arena?

— Niespecjalnie, ale tobie powinna. Widać wybudowali ją specjalnie dla ciebie — dodaję ze szczyptą goryczy, ale na to wygląda. Dookoła jest mnóstwo wody, a idę o zakład, że tylko garstka zwycięzców potrafi pływać. Poza tym w Ośrodku Szkoleniowym brakowało basenu, więc nikt nie miał szansy się nauczyć. Na taką arenę trzeba przybyć z umiejętnością pływania albo naprawdę szybko się uczyć. Nawet udział w pierwszej rzezi zależy od umiejętności pokonania dwudziestu metrów wody, co daje gigantyczną przewagę Czwartemu Dystryktowi.

Przez moment stoimy nieruchomo i mierzymy się wzrokiem, oceniamy naszą broń i umiejętności. Nagle Finnick uśmiecha się od ucha do ucha.

— Dobrze, że jesteśmy sprzymierzeńcami, prawda? — zauważa.

Wyczuwam pułapkę i zamierzam wypuścić strzałę w nadziei, że przeszyję mu serce, zanim Finnick nadzieje mnie na trójząb, ale gdy porusza ręką, zauważam na jego nadgarstku coś błyszczącego. Natychmiast orientuję się, że to szczerozłota bransoleta z ognistym wzorem, ta sama, którą dostrzegłam na przegubie Haymitcha rankiem pierwszego dnia szkolenia. Przechodzi mi przez myśl, że Finnick mógł ją ukraść, aby mnie oszukać, ale zaraz wykluczam tę możliwość. Haymitch podarował mu ją, żeby dać mi sygnał, a właściwie wydać rozkaz: mam zaufać Finnickowi. Słyszę zbliżające się kroki, muszę błyskawicznie podjąć decyzję.

— Prawda — warczę, bo choć Haymitch jest moim mentorem i usiłuje utrzymać mnie przy życiu, to mnie wkurza. Dlaczego mi nie powiedział, że wcześniej to zaaranżował? Może dlatego, że oboje z Peetą wykluczaliśmy jakiegokolwiek sojusze. Haymitchowi nie pozostało nic innego, tylko wyznaczyć nam takich sprzymierzeńców, jakich sam sobie upatrzył.

— Schył się! — komenderuje Finnick stanowczym głosem, tak odmiennym od jego zwyczajowego uwodzicielskiego pomruku, że posłusznie wykonuję polecenie. Trójząb ze świstem przeszywa powietrze nad moją głową i słyszymy złowróżbne szczęknięcie, kiedy trafia w cel. Mężczyzna z Piątego Dystryktu, pijak, który wymiotował na podest do ćwiczeń z fechtunku, pada na kolana, kiedy Finnick wyszarpuje trójząb z jego piersi.

— Nie ufaj Jedyńce ani Dwójce — ostrzega mnie Finnick.

Nie mam czasu na podawanie w wątpliwość jego sugestii, muszę wyłuskać ze sterty kołczan ze strzałami.

— Ty bierzesz jedną stronę, ja drugą? — proponuję, a on kiwa głową, więc pędzę na przeciwny skraj stosu. Enobaria i Gloss właśnie docierają do wysepki, oddaleni od siebie o jakieś cztery paski ładu. Ich opóźnienie prawdopodobnie wynika z tego, że nie radzą sobie z pływaniem, ale równie dobrze mogli się bać, że woda jest naszpikowana pułapkami. Nie da się tego wykluczyć, jednak czasami lepiej nie brać pod uwagę zbyt wielu scenariuszy. Teraz są już na piasku i za kilka sekund znajdują się przy Rogu.

— Masz coś użytecznego? — słyszę krzyk Finnicka.

Szybko przeglądam stertę z mojej strony i widzę maczugi, miecze, łuki ze strzałami, trójzęby, noże, włócznie, topory, metalowe przedmioty o nieznanym mi nazwach... i nic więcej.

— Broń! — odwrzaskuję. — Sama broń!

— U mnie też — oświadcza. — Łap, co chcesz, i znikamy!

Posyłam strzałę w kierunku Enobarii, która jest niepokojąco blisko, ale spodziewa się mojego ataku i z powrotem skacze do wody, zanim udaje mi się celnie wymierzyć. Gloss nie jest taki szybki i gdy znika w falach, zdążam jeszcze przeszyć mu łydkę. Zarzucam na ramię drugi łuk oraz dodatkowy kołczan, wsuwam za pas dwa długie noże i szpikulec, by na koniec znowu się spotkać z Finnickiem przed stertą uzbrojenia.

— Zrób z nim coś, dobrze? — mówi, a wtedy dostrzegam Brutusa, gna prosto ku nam. Już wcześniej ściągnął pas i trzyma go w rękach niczym tarczę. Strzelam, ale zanim strzała zdąży przebić mu wątrobę, Brutus osłania się skutecznie pasem. W miejscu przebicia pasa tryska fioletowy płyn, który rozmazuje mu się po twarzy. Sięgam po następną strzałę, a wtedy Brutus pada na ziemię, przetacza się metr lub dwa do wody i znika pod powierzchnią. Za plecami słyszę szcęk upadającego metalu.

— Wynosimy się — mówię do Finnicka, a tymczasem Enobarii i Glossowi udaje się dotrzeć do Rogu Obfitości. Brutus jest w zasięgu strzału, także Cashmere z całą pewnością znajduje się w pobliżu. Ta czwórka typowych zawodowców bez wątplenia zawarła wcześniej przymierze, a gdybym miała na względzie wyłącznie własne bezpieczeństwo, być może spróbowałabym rozprawić się z nimi przy wsparciu Finnicka. Muszę jednak myśleć o Peecie, więc się rozglądam i widzę, że nadal tkwi na metalowej tarczy. Ruszam prosto ku niemu, a Finnick zmierza za mną bez słowa, jakby przewidział moje następne posunięcie. Po chwili przystaję możliwie blisko talerza i zabieram się do wyciągania noży z za pasa, aby popłynąć po Peetę i jakoś sprowadzić go na ląd, ale Finnick kładzie mi rękę na ramieniu.

— Ja go tutaj ściągnę — proponuje, a mnie od razu dopadają podejrzenia. Czy to nie podstęp? Może Finnick postanowił zdobyć moje zaufanie, a następnie popłynąć i utopić Peetę?

— Dam sobie radę — upieram się, ale on zdążył już zrzucić całe uzbrojenie na ziemię.

— Lepiej się nie forsuj — uprzedza mnie. — Nie w tym stanie — dodaje, wyciąga rękę i klepie mnie po brzuchu.

Ach, no tak, myślę. Mam być w ciąży. Próbuję się zastanowić, co to oznacza, jak należy się zachowywać — może powinnam wymiotować albo coś w tym stylu — a tymczasem Finnick stoi już nad wodą.

— Osłaniaj mnie — prosi i skacze w nienagannym stylu.

Unoszę łuk, gotowa odeprzeć napastników spod Rogu Obfitości, ale chyba nikt nie jest zainteresowany pościgiem za nami. Jak się nietrudno domyślić, Gloss, Cashmere, Enobaria i Brutus już stworzyli bandę, a teraz pochłonęło ich wybieranie broni. Pobieżnie rozglądam się po arenie i widzę, że większość trybutów nadal tkwi na metalowych tarczach, ale zaraz, ktoś stoi na pomoście z lewej, naprzeciwko Peety. To Mags, która jednak nie stara się iść do Rogu Obfitości ani nie próbuje uciec, tylko z pluskiem rzuca się do wody i płynie pieskiem w moją stronę. Patrzę, jak jej siwa głowa kołysze się nad falami, ale zakładam, że po osiemdziesięciu latach życia w Czwartym Dystrykcie Mags potrafi utrzymać się na powierzchni.

Finnick zdążył już dotrzeć do Peety i teraz holuje go z powrotem, obejmując jedną ręką, a drugą wykonując powolne, spokojne ruchy. Nie wiem, co powiedział czy zrobił, żeby Peeta bez oporu powierzył mu swoje życie, może pokazał bransoletę, a może wystarczyło, że Peeta zobaczył mnie na pomoście. Kiedy znajdują się przy brzegu, pomagam Finnickowi wyciągnąć Peetę na piasek.

— Witaj ponownie — mówi Peeta i mnie całuje. — Mamy sprzymierzeńców.

— Zgadza się. Tak jak chciał Haymitch — zauważam.

— Przypomnij mi, czy zawieraliśmy przymierze jeszcze z kimś? — dopytuje się Peeta.

— Chyba tylko z Mags — zastanawiam się i ruchem głowy wskazuję staruszkę, która uparcie płynie ku nam pieskiem.

— Na pewno nie mogę zostawić Mags na pastwę losu — oświadcza Finnick. — To jedna z nielicznych osób, które szczerze mnie lubią.

— Nie ma problemu, możemy ją zabrać — deklaruje. — Zwłaszcza teraz, kiedy wiadomo, jak wygląda arena. Jej haczyki na ryby to dla nas chyba największa szansa na posiłek.

— Katniss upatrzyła ją sobie już pierwszego dnia — wtrąca Peeta.

— Katniss ma świetne oko do wszystkiego — mówi Finnick, po czym sięga ręką do wody i wygarnia Mags z taką łatwością, jakby ważyła tyle co szczenię. Staruszka coś mówi, chyba pada słowo „spławik”, po czym klepie się po pasie.

— Słuchajcie, ona ma rację. Ktoś już na to wpadł. — Finnick wskazuje na Beetee'ego, który młóci fale rękami, ale udaje mu się utrzymać głowę nad powierzchnią.

— Czego się domyślił? — pytam.

— Chodzi o pasy. Służą do utrzymywania się na wodzie — objaśnia Finnick. — To znaczy, człowiek porusza się sam, ale pas chroni przed utonięciem.

Prawie proszę Finnicka, żeby zaczekał, bo chciałabym pomóc dopłynąć Beetee'emu i Wiress, a potem zabrać ich ze sobą, ale Beetee znajduje się trzy pomosty dalej, a Wiress nie ma nawet w polu widzenia. Poza tym całkiem prawdopodobne, że Finnick zabiłby ich tak samo sprawnie jak trybuna z Piątki, więc sugeruję, abyśmy już ruszali. Wręczam Peecie łuk, kołczan i nóż, a resztę zatrzymuję dla siebie, lecz Mags szarpie mnie za rękaw, i bełkocząc, prosi tak długo, aż w końcu daję jej szpikulec. Zadowolona, ściska rękę bezzębnymi dłońmi i wyciąga ręce do Finnicka, który zarzuca na ramię sieć, a potem Mags, wolną dłonią chwyta trójzab i razem odbiegamy od Rogu Obfitości.

Za plażą wznosi się wzgórze, strome i porośnięte lasem, ale nie takim, do jakiego przywykłam, tylko prawdziwą dżunglą. To obce, niemal zapomniane słowo przypominam sobie dopiero po chwili — usłyszałam je przy okazji wcześniejszych Głodowych Igrzysk albo nauczyłam się go od ojca. Nie rozpoznaję większości drzew, mają nietypowo gładkie pnie i nieliczne gałęzie. Ziemia jest bardzo czarna i gąbczasta, często zasłonięta przez płataninę winorośli o barwnych kwiatach. Choć nadal praży jaskrawe Słońce, powietrze jest ciepłe i ciężkie od wilgoci, a ja nabieram przekonania, że tutaj nigdy nie uda mi się porządnie wyschnąć. Cienki, niebieski materiał kombinezonu znacznie ułatwia parowanie morskiej wody, ale już zaczął lepić się od potu.

Peeta rusza pierwszy i długim nożem tnie gęstwinę. Przekonuję Finnicka, żeby szedł drugi, bo choć jest najsilniejszy z nas, musi dźwigać Mags, więc ma zajęte ręce. Poza tym, choć po mistrzowsku włada trójzębem, to jego broń nieporównanie gorzej sprawdza się w dżungli niż łuk. Wędrujemy stromo pod górę, w upale, więc w takich warunkach szybko można dostać zadyszki. Na szczęście Peeta i ja mamy za sobą intensywny trening wytrzymałościowy, więc wspinamy się energicznie, a Finnick jest takim okazem zdrowia i tężyzny fizycznej, że daje sobie radę nawet z Mags przerzuconą przez ramię. Dopiero po niecałych dwóch kilometrach prosi o chwilę odpoczynku, a nawet wtedy myślę, że robi to bardziej dla Mags niż dla siebie.

Liście całkowicie przesłoniły nam widok na okrąg oblany wodą, więc wdrapuję się na drzewo o gumowatych gałęziach, żeby zorientować się w sytuacji, i prawie natychmiast żałuję, że to zrobiłam. Wydaje się, że ziemia wokół Rogu Obfitości krwawi, a na wodzie widzę purpurowe plamy. Ciała leżą na łądzie i unoszą się na falach, ale wszyscy jesteśmy ubrani tak samo, więc z takiej odległości nie jestem w stanie rozpoznać, kto żyje, a kto zginął. Wiem jednak, że część maleńkich, niebieskich postaci ciągle walczy. A co sobie wyobrażałam? Ze łańcuch złączonych wczoraj wieczorem dłoni zwycięzców zaowocuje powszechnym rozejmem na arenie? No nie, w coś takiego nigdy nie wierzyłam, ale chyba miałam nadzieję, że ludzie okażą więcej... wstrzeźliwości, a przynajmniej niechęci do zabijania, zanim ruszą

na siebie, żądni mordy. I pomyśleć, że wszyscy się znaliście, wzdycham w duchu. Zachowywaliście się jak przyjaciele. Na arenie mogę liczyć tylko na jednego przyjaciela i na pewno nie pochodzi on z Czwartego Dystryktu.

Łagodny, ciepły powiew wiatru chłodzi mi policzki, kiedy podejmuję decyzję. Nie powinnam zwracać uwagi na bransoletę, trzeba od razu zakończyć sprawę. Muszę zastrzelić Finnicka. Nasz układ nie ma przyszłości, a Finnick jest zbyt niebezpieczny, żeby go dłużej tolerować. Postanawiam skorzystać ze sposobności, jaką mi daje chwiejny sojusz, i wyeliminować Finnicka, mogę nie mieć następnej szansy. Mogłabym bez trudu strzelić mu w plecy podczas marszruty. Postąpiłabym podle, to oczywiste, ale czy dłuższe odwleknięcie egzekucji nie byłoby gorsze? Co, powinnam najpierw lepiej go poznać? Więcej mu zawdzięczać? Nie, nadeszła pora. Żeby utwierdzić się w swoim postanowieniu, po raz ostatni spoglądam na bitwę w oddali, na zlaną krwią grunt, i zsuwam się na ziemię.

U podnóża drzewa orientuję się, że Finnick podążał moim tokiem rozumowania, całym jakby wiedział, co zobaczyłam i jak wpłynął na mnie ten widok. Teraz pozornie nonszalancko unosi jeden ze swoich trójzębów, jakby był gotowy na atak.

— I jak, Katniss, co tam się dzieje na dole? — pyta. — Czy wszyscy chwycili się za ręce? A może złożyli śluby pokoju? Albo cisnęli broń do morza, aby przeciwstawić się Kapiitolowi?

— Nie — mówię.

— Nie — powtarza Finnick. — A wiesz dlaczego? Bo cokolwiek dotąd się zdarzyło, należy do przeszłości, a nikt na tej arenie nie został zwycięzcą przypadkowo. — Przez moment wpatruje się w Peetę. — Może z wyjątkiem Peety.

Zatem Finnick wie o nim to, co ja i Haymitch — że Peeta jest o wiele lepszy od reszty z nas. Finnick bez mrugnięcia okiem zabił trybuta z Piątki. Ile czasu minęło, zanim ja zmieniłam się w morderczynię? Kiedy mierzyłam w Enobarię, Glossa i Brutusa, strzelałam, żeby zabić. Peeta przynajmniej podjąłby próbę negocjacji, sprawdził, czy zdołamy stworzyć szersze przymierze. Tylko po co? Finnick ma rację i ja mam rację. Zwycięzców nie koronowano za okazywanie współczucia innym.

Mierzymy się wzrokiem, a ja porównuję jego szybkość ze swoją, zastanawiam się, ile czasu zajmie mi przedziurawienie mu czaszki i czy zdążę to zrobić, zanim przesyje mi ciało trójzębem. Widzę, że czeka na mój ruch, kalkuluje, czy powinien najpierw odbić strzałę, czy też z miejsca ruszyć do ataku. Czuję, że oboje podjęliśmy już decyzję, kiedy Peeta celowo staje pomiędzy nami.

— Więc ilu ludzi zginęło? — zwraca się do mnie.

Odsuń się, durniu, myślę, lecz on nawet nie rusza się z miejsca.

— Trudno powiedzieć — oświadczam. — Chyba co najmniej szóstka, ale walka nadal trwa.

— Ruszajmy dalej, potrzebujemy wody — mówi.

Na razie nie natrafiliśmy na ślad słodkowodnego strumienia albo stawu, a słona woda nie nadaje się do picia. Znowu przypominają mi się poprzednie igrzyska, kiedy omal nie umarłam z odwodnienia.

— Musimy znaleźć ją jak najszybciej — zgadza się Finnick. — Powinniśmy się ukryć przed zbrodnią, kiedy inni urządzają polowanie na nas.

My. Na nas. Polowanie. No dobrze, może pomysł z zabójstwem był nieco przedwczesny. Jak dotąd Finnick okazuje się pomocny, a poza tym Haymitch osobiście go zaaprobował. Kto wie, co przyniesie noc? Jeżeli sytuacja dodatkowo się pogorszy, zawsze będę mogła zabić go, kiedy zaśnie, więc powściągam emocje, a Finnick idzie za moim przykładem.

Brak wody potęguje moje pragnienie, więc uważnie się rozglądam przez całą drogę pod górę, szczęście nam jednak nie dopisuje. Pokonujemy jeszcze niespełna dwa kilometry, gdy wreszcie dostrzegam granicę dżungli i zakładam, że dotarliśmy na grzbiet wzgórza.

— Może po drugiej stronie uśmiechnie się do nas szczęście. — Oddycham z ulgą. — Znajdziemy źródło czy coś.

Rzecz w tym, że drugiej strony nie ma. Uświadamiam to sobie pierwsza, przed innymi, choć jestem najdalej od szczytu. Wychwytyję wzrokiem osobliwy, falujący kwadrat, który zawisł w powietrzu niczym zdeformowana szyba. Z początku myślę, że to słoneczna poświata albo błyszczący refleks ciepłny nad ziemią, ale szkło wisi w miejscu i nie przesuwają się, gdy podchodzimy. Wtedy kojarzę kwadrat z Wiress i Beetee'em w Ośrodku Szkoleniowym i już wiem, co się przed nami rozciąga. Momentalnie biorę oddech, żeby krzyknąć ostrzegawczo, ale w tej samej chwili nóż Peety opada na płataninę winorośli. Rozlega się ostry zgrzyt. Nagle drzewa znikają na ułamek sekundy i dostrzegam otwartą przestrzeń za wąskim pasmem nagiego gruntu. Pole siłowe odrzuca Peetę, który wpada na Finnicka oraz Mags i powala ich na ziemię. Rzucam się ku niemu i widzę, że leży bez ruchu w pajęczynie winorośli.

— Peeta? — wołam i wyczuwam lekki swąd nadpalonych włosów. Ponownie wykrzykuję jego imię, lekko potrząsam jego ramieniem, ale nie reaguje, więc dotykam jego ust i nie wyczuwam ciepłego oddechu, choć zaledwie parę sekund temu głośno dyszał. Przykładam ucho do klatki piersiowej, tam gdzie opieram głowę, pewna, że usłyszę mocnej stabilne bicie serca. Tym razem nie słyszę nic. — Peeta! — wrzeszczę i trzęsę nim mocniej, wręcz go policzkuje, ale wszystko na nic. Jego serce stanęło, a ja atakuję trupa. — Peeta!

Finnick opiera Mags o drzewo i odpycha mnie z drogi.

— Ja spróbuję — mówi i dotyka palcami różnych miejsc na szyi Peety, głaszcząc go po żebrach i kręgosłupie, a potem zatyka mu nos.

— Nie! — ryczę i rzucam się na Finnicka, który niewątpliwie chce mieć pewność, że Peeta umarł, że już nie ma nadziei na jego ożywienie. Finnick unosi rękę i wymierza mi cios w pierś, tak mocno, że siła ciosu posyła mnie na pobliski pień drzewa. Na moment ból mnie oszałamia, usiłuję złapać oddech i widzę, jak Finnick znowu zatyka Peecie nos. Nie ruszając się z miejsca, wyciągam strzałę, wsuwam cięciwę w rowek i już mam wystrzelić, kiedy powstrzymuje mnie widok Finnicka całującego Peetę. To zachowanie jest tak dziwaczne, nawet jak na Finnicka, że ręka mi nieruchomieje. Nie, to nie pocałunek. Zatkanął Peecie nos, ale rozwarł mu usta i teraz wdmuchuje powietrze do jego płuc. Widzę to, naprawdę widzę, jak klatka piersiowa Peety unosi się i opada. Finnick rozpina górę kombinezonu Peety i nasadą obu dłoni zaczyna uciskać rytmicznie miejsce nad sercem. Teraz, kiedy szok minął, domyślam się, co próbuje zrobić.

Mama robiła coś podobnego, ale bardzo rzadko, wręcz od wielkiego dzwonu. Jeżeli komuś z Dwunastego Dystryktu szwankuje serce, raczej mało prawdopodobne, że rodzina zdąży go dostarczyć do mojej mamy na czas, dlatego jej pacjentami są zwykle poparzeni, ranni albo chorzy i umierający z głodu, rzecz jasna. Świat Finnicka jest inny. Cokolwiek teraz robi, z pewnością robił to już wcześniej, poznaję to po ustalonym rytmie oraz metodzie pracy. Powoli opuszczam łuk, przysuwam się, żeby lepiej widzieć, i desperacko wypatruję oznak powodzenia. W cierpieniu liczę minuty, moja nadzieja stopniowo gaśnie, a gdy dochodzę do wniosku, że jest już za późno, że Peeta już odszedł nieodwracalnie, nagle cicho kaszle, a Finnick się prostuje.

Ciskam broń na ziemię i rzucam się ku niemu.

— Peeta? — mówię cicho i odgarniam z jego czoła wilgotne, jasne kosmyki, a następnie wyszukuję palcami mocny puls. Peeta trzepocze powiekami i spogląda mi w oczy.

— Ostrożnie — oznajmia słabym głosem. — Na górze jest pole siłowe.

Śmieję się, lecz po policzkach spływają mi łzy.

— Na pewno znacznie mocniejsze od tego na dachu Ośrodka Szkoleniowego — dodaje. — Ale i tak nic mi nie dolega. Jestem tylko trochę wstrząśnięty.

— Byłeś martwy! Twoje serce przestało bić! — wybucham, nie zastanawiając się, czy to dobry pomysł, i przyciskam dłoń do ust, bo zaczynam wydawać z siebie okropne, dławiące dźwięki, jak zawsze, gdy płacę.

— Teraz jakoś działa. Już w porządku, Katniss. — Kiwam głową, ale odgłosy nie cichną. — Katniss? — Teraz on martwi się o mnie, co wydaje się kompletnym szaleństwem.

— Nic jej nie jest, to tylko hormony — wyjaśnia Finnick. — Przez dziecko.

Podnoszę wzrok i widzę, że klęczy i nadal lekko dyszy z powodu upału, wspinaczki, a także po wysiłku związanym z przywracaniem Peety do życia.

— Wcale nie... — zaczynam, ale wstrząsają mną jeszcze bardziej histeryczne spazmy, które raczej potwierdzają słowa Finnicka na temat dziecka. Patrzy mi w oczy, a ja piorunuję go wzrokiem przez łzy. Wiem, to głupie, że jego zachowanie wytrąciło mnie z równowagi. Chciałam tylko utrzymać Peetę przy życiu i nie potrafiłam, ale Finnick potrafił, więc powinienam mu być wdzięczna. Jestem, lecz przy okazji zalewa mnie krew, bo to oznacza, że nigdy, przenigdy nie przestanę być dłużniczką Finnicka Odaira. I jak mam go teraz zabić, kiedy zaśnie?

Spodziewałam się ujrzeć zadowolenie z siebie albo sarkazm na jego twarzy, ale ma dziwną minę. Spogląda raz na mnie, raz na Peetę, jakby chciał nas rozgryźć, a na koniec lekko kręci głową, chyba po to, żeby trzeźwiej myśleć.

— Jak się czujesz? — zwraca się do Peety. — Myślisz, że dasz radę iść dalej?

— Nie, musi odpocząć — wtrącam. Okropnie cieknie mi z nosa, a nie mam nawet skrawka materiału, który posłużyłby mi za chustkę. Mags zrywa garść mchu zwisającego z gałęzi, wręcza mi go, a ja jestem zbyt rozklejona, żeby odmówić. Hałaśliwie wydmuchuję nos, ocieram łzy z twarzy i myślę, że ten mech jest całkiem przyjemny, nie tylko chłonny, ale i nieoczekiwanie miękki.

Na piersi Peety zauważam błysk złota, więc wyciągam rękę i chwytam w dłoń tarczkę zawieszoną na łańcuszku. Na medalionie znajduje się grawerunek mojego kosogłosa.

— To twój talizman? — pytam.

— Tak. Wolalabyś, żebym nie używał symbolu kosogłosa? Chciałem, żebyśmy do siebie pasowali.

— Nie mam nic przeciwko temu. — Uśmiecham się z wysiłkiem. Peeta, który demonstruje na arenie kosogłosa, to zarazem błogosławieństwo i przekleństwo. Z jednej strony podniesie to na duchu rebeliantów w dystrykcie, z drugiej jednak trudno sobie wyobrazić, że prezydent Snow przeoczy tę demonstrację. Utrzymanie Peety przy życiu będzie jeszcze trudniejsze.

— Chcecie rozbić tu obóz? — upewnia się Finnick.

— To raczej nie wchodzi w grę — odpowiada Peeta. — Nie możemy tu zostać, bez wody i bez żadnej ochrony. Czuję się całkiem nieźle, poważnie. Gdybyśmy tylko ruszyli powoli...

— Lepiej powoli niż wcale. — Finnick pomaga mu wstać, a ja biorę się w garść. Od rana widziałam już, jak Cinna zostaje zbity na miazgę, trafiłam na arenę i patrzyłam na śmierć Peety. Mimo wszystko cieszę się, że Finnick nieustannie celowo wspomina o mojej ciąży, bo z punktu widzenia sponsorów niespecjalnie dobrze sobie radzę. Przeglądam broń, choć wiem, że jest w idealnym stanie, ale chcę zademonstrować, że panuję nad sytuacją.

— Pójdę przodem — deklaruję.

Peeta otwiera usta, chcąc zaprotestować, ale Finnick go ucisza.

— Pozwól jej — mówi i marszczy brwi. — Wiedziałaś, że tam jest pole siłowe, prawda? Zorientowałaś się w ostatniej sekundzie i chciałaś nas ostrzec. — Kiwam głową. — Jak to zauważyłaś?

Zwlekam z odpowiedzią. Ujawnienie prawdy mogłoby być niebezpieczne. Nie wiem, czy organizatorzy zauważyli podczas szkolenia, że Beetee i Wiress nauczyli mnie sztuczki z

rozpoznawaniem pola siłowego, ale z całą pewnością dysponuję bardzo cenną informacją. Gdyby Kapitol dowiedział się o tym, jego technicy mogliby zmienić konstrukcję urządzeń, żebym już nigdy nie zauważyła nieprawidłowości, dlatego wolę skłamać.

— Sama nie wiem. Czasem mam wrażenie, że słyszę, jak pracuje takie pole. Posłuchajcie sami — proponuję i nieruchomiejemy, ale dociera do nas tylko brzęczenie owadów, śpiew ptaków i szelest liści na wietrze.

— Nic nie słyszę — oświadcza Peeta.

— Słuchaj dalej. To brzmi jak buczenie ogrodzenia wokół Dwunastego Dystryktu, tylko o wiele, wiele ciszej. — Wszyscy znowu wsłuchują się z uwagą, a ja z nimi, choć nie mamy szansy nic usłyszeć. — No proszę! — wykrzykuje. — Teraz wiecie, o co mi chodzi? Dochodzi z miejsca, w którym pole poraziło Peetę.

— Nic nie słyszę — mówi Peeta.

— Ja też nie — dodaje Finnick. — Ale skoro ty masz wrażliwszy słuch, tym bardziej powinnaś prowadzić.

Postanawiam pójść na całość.

— Dziwne. — Kręcę głową, jakbym była dezorientowana. — Słyszę to tylko lewym uchem.

— Tym, które trzeba było rekonstruować? — domyśla się Peeta.

— Tak — potwierdzam i wzruszam ramionami. — Może poszło im lepiej, niż sądzili. Wiecie, czasami słyszę dziwne rzeczy tym uchem, takie wydawałoby się niesłyszalne. Brzęczenie skrzydeł małych owadów albo padający śnieg. — Doskonale. Teraz wszyscy skupią uwagę na lekarzach, dzięki którym odzyskałam słuch utracony po poprzednich igrzyskach. To oni będą musieli tłumaczyć, dlaczego słyszę jak nietoperz.

— Ty — odzywa się Mags i delikatnie popycha mnie naprzód, żebym ruszyła pierwsza. Będziemy szli powoli, więc Mags chce maszerować samodzielnie, podpierając się gałęzią, którą Finnick zrecznie przerobił na laskę. Przygotowuje także kij dla Peety, i dobrze, bo choć Peeta protestuje, moim zdaniem najchętniej by się położył i odpoczął. Finnick zamyka pochód, więc przynajmniej ktoś czujny osłania tyły. Wędruję tak, żeby pole siłowe pozostawało z mojej lewej, od strony nadludzkiego ucha. Ponieważ jednak cała historia jest zmyślona od początku do końca, ucinam pęk twardych orzechów, które zwisają z pobliskiego drzewa niczym winogrona, a następnie ciskam je przed siebie, nie przerywając marszu. To dobry pomysł, bo chyba częściej przegapiam niż zauważam okienka sygnalizujące obecność pola siłowego. Za każdym razem, gdy orzech zderza się z niewidzialną barierą, wybucha z niego mały kłęb dymu, a następnie, zwęglony i rozłupany, ląduje na ziemi u moich stóp.

Po kilku minutach słyszę za plecami dziwaczne cmokanie, więc się odwracam i patrzę, jak Mags zdejmuje skorupkę orzecha, a następnie pakuje ją do ust, już pełnych orzechów.

— Mags! — krzyczę. — Wypluj to! Mogą być trujące!

Mamrocze coś niezrozumiale, potem przestaje zwracać na mnie uwagę i oblizuje się, wyraźnie zachwycona. Spoglądam na Finnicka, licząc na to, że mnie poprze, ale on tylko się śmieje.

— Chyba wkrótce się przekonamy — zauważa.

Ruszam dalej, lecz rozmyślam o Finnicku, który uratował starą Mags, a teraz pozwala jej jeść nieznanne orzechy. O Finnicku, wybranym przez Haymitcha na naszego sojusznika. O Finnicku, który przywrócił Peetę do życia. Dlaczego po prostu nie pozwolił mu umrzeć? Nikt nie obarczyłby go winą, a ja na pewno nie domyśliłabym się, że potrafi wskrzeszać ludzi. Czemu chciał ratować Peetę i dlaczego tak mu zależało na sojuszu ze mną? Na dodatek nie zawahałby się mnie zabić, gdyby przyszło co do czego, ale decyzję o rozpoczęciu walki pozostawia mnie.

Idę przed siebie, rzucam orzechami, czasami dostrzegam widoczne oznaki pola siłowego i próbuję trzymać się lewej strony, żeby nie przegapić miejsca, przez które moglibyśmy

się przebić, jeszcze bardziej oddalić od Rogu Obfitości i być może znaleźć wodę. Po następnej godzinie wędrówki dociera do mnie, że nasze wysiłki idą na marne, bo wcale nie skręcamy w lewo, a pole siłowe zdaje się prowadzić nas wzdłuż ścieżki biegnącej po łuku. Przystaję i spoglądam za siebie, na kuśtykającą Mags i błyszczącą od potu twarz Peety.

— Zróbmy sobie przystanek — proponuję. — Muszę jeszcze raz rozejrzeć się po okolicy z góry.

Wybrane przeze mnie drzewo wydaje się bardziej strzeliste od pozostałych. Pokonuję splecione gałęzie, ale staram się trzymać możliwie blisko pnia, bo jestem pewna, że z łatwością się łamią. Mimo to wdrapuję się znacznie wyżej, niż nakazywałyby rozsądek, bo koniecznie muszę coś sprawdzić. Moje podejrzenia się potwierdzają, kiedy wreszcie zaciskam dłoń na czubku drzewa niewiele grubszym od gałązki, i wraz z nim kołyszę się na wilgotnym wietrze. Nie mamy szansy skręcić w lewo i nigdy nie będziemy mieli. Z tej wysokości widzę, że arena ma kształt idealnego koła, pośrodku którego znajduje się drugie idealne koło ze szprychami w postaci pomostów lądowych. Niebo powyżej korony dżungli jest zabarwione na jednolity różowy kolor, a w pewnej chwili wydaje mi się, że dostrzegam jedno lub dwa falujące okienka, zdaniem Wiress i Beetee'ego słabe punkty mechanizmu, które ujawniają coś, co powinno pozostać niewidoczne. Dla całkowitej pewności wypuszczam strzałę w przestrzeń nad linią drzew, a wtedy rozbłyska światło, dostrzegam błysk prawdziwego, błękitnego nieba i strzała powraca do dżungli, a ja schodzę, żeby przekazać towarzyszom złe wieści.

— Jesteśmy w pułapce — oznajmiam. — Otacza nas pole siłowe, a właściwie kopuła, nie wiem, jak wysoka. Na środku jest Róg Obfitości, wokół niego morze, a dalej wszędzie dookoła dżungla. Wszystko jest bardzo precyzyjne, bardzo symetryczne i niezbyt duże.

— Zauważyłaś jakąś wodę? — dopytuje się Finnick.

— Tylko słoń, tam gdzie zaczęliśmy igrzyska.

— Na pewno jest tu jakaś słodka woda — zauważa Peeta i marszczy brwi. — Inaczej już za parę dni wszyscy będziemy martwi.

— Drzewa rosną gęsto, może gdzieś w pobliżu są stawy albo źródła — mówię bez przekonania, bo instynktownie czuję, że Kapitol będzie chciał jak najszybciej zakończyć ten niepopularny turniej. Plutarch Heavensbee mógł już dostać rozkaz wykończenia nas. — Tak czy owak, nie widzę sensu w sprawdzaniu, co się kryje za szczytem wzgórza. Nie ma tam nic.

— Gdzieś pomiędzy polem siłowym a kołem ze szprychami musi być woda pitna — upiera się Peeta.

Wszyscy wiemy, co to oznacza. Trzeba będzie ruszyć na dół, prosto ku zawodowcom, na rzeź, z ledwie powłóczącą nogami staruszką i Peetą, zbyt osłabionym, żeby skutecznie walczyć. Decydujemy się zejść kilkaset metrów po zboczu i nadal krążyć w nadziei na to, że na tej wysokości natrafimy na wodę. Idę na czele i od czasu do czasu ciskam orzech w lewo, ale teraz znajdujemy się daleko od pola siłowego. Słońce nie odpuszcza, zamienia powietrze w parę i płata figle naszym oczom.

Po południu staje się jasne, że Peeta i Mags dalej nie pójda. Finnick postanawia rozbić obozowisko w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od pola siłowego. Jego zdaniem będziemy mogli wykorzystać je jako broń i w razie napaści nakierować wroga na barierę. Następnie razem z Mags zabiera się do zrywania długich i ostrych liści trawy, która rośnie w półtorametrowej wysokości kępach, i wspólnie wyplatają z nich maty. Nic nie wskazuje na to, żeby Mags doskwierały jakiegokolwiek dolegliwości po zjedzeniu orzechów, więc Peeta zbiera ich całe naręcza, rzuca nimi w pole siłowe, a one się odbijają i wracają uprażone. Skrupulatnie zdejmuje łupiny, a jądra orzechów układa na liściu. Ja stoję na straży, niespokojna, rozgrzana i przytłoczona emocjami dnia. Pić. Jestem tak spragniona, że w końcu nie wytrzymuję.

— Finnick — odzywam się. — Może zastąpisz mnie na straży, a ja spróbuję jeszcze rozejrzeć się za wodą?

Nie są zachwyceni perspektywą mojej samotnej wyprawy, ale groźba odwodnienia jest zbyt realna.

— Bez obaw, nie odejdę daleko — obiecuję Peecie.

— Idę z tobą — postanawia.

— Nie, chciałabym zapolować, jeśli się da — protestuję i nie dodaję, że nie może ze mną wyruszyć, bo jest zbyt hałaśliwy, ale zakładam, że zrozumiał aluzję. Swoim ciężkim krokiem wypłoszyłby zwierzynę i w dodatku naraził mnie na niebezpieczeństwo. — Niedługo wrócę.

Przekradam się cicho między drzewami, zadowolona, że na gąbczastej ziemi mogę się poruszać prawie bezszelestnie. Schodzę ukosem, ale nie znajduję nic poza obfitą, gęstą roślinnością. Zatrzymuje mnie huk armaty. Domyślam się, że masakra przy Rogu Obfitości ostatecznie dobiegła końca i teraz wszyscy możemy się dowiedzieć, ilu trybutów poległo na samym wstępie igrzysk. Liczę wystrzały, z których każdy oznacza jednego zabitego. Osiem, zatem nie tak wielu jak w ubiegłym roku, ale wydaje się, że ofiar jest więcej, bo prawie wszystkich znam z nazwiska.

Nagle tracę siły i muszę oprzeć się o pień drzewa. Czuję, że upał wysysa ze mnie wilgoć niczym gąbka. Mam już trudności z przełykaniem, czuję się wycieńczona. Głaszczę brzuch w nadziei, że jakaś ciężarna zostanie moją sponsorką i Haymitch podeśle mi trochę wody, ale nic z tego. Osuwam się na ziemię. Leżę nieruchomo i dopiero teraz zaczynam dostrzegać zwierzęta: dziwne ptaki o błyszczącym upierzeniu, drzewne jaszczurki z migotliwymi, niebieskimi językami, a także stworzenie wyglądające jak skrzyżowanie szczura i oposa, które wdrapuje się po gałęziach blisko pnia. Zabijam stwora, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Jest naprawdę brzydki, to wielki gryzoń z meszkiem cętkowanej, szarej sierści oraz dwoma groźnymi siekaczami nad dolną wargą. Patroszę zwierzę i obdzieram je ze skóry, lecz nagle orientuje się, że jego pysk jest mokry, zupełnie jakby przed chwilą pił ze strumienia. Z entuzjazmem zabieram się do poszukiwań i powoli wędruję spiralnie dookoła drzewa, bo woda nie może być daleko. Niestety, nic nie znajduję, nawet kropli rosy. Wiem, że Peeta będzie się o mnie martwił, więc w końcu daję za wygraną i wracam do obozu, jeszcze bardziej rozpalona i sfrustrowana niż kiedykolwiek.

Kiedy przychodzę, miejsce jest całkowicie odmienione. Mags i Finnick upletli z traw szałas, otwarty z jednej strony, ale za to z trzema ścianami, podłogą i dachem, a Mags uplotła także kilka misek, które Peeta napełnił prażonymi orzechami. Wszyscy spoglądają na mnie z nadzieją, lecz ja tylko kręcę głową.

— Nie, nie mam wody — wyjaśniam. — Ale wiem, że gdzieś tam jest. On ją pił. — Demonstruję wszystkim obdartego ze skóry gryzonia. — Zastrzeliłam go na drzewie, niedługo po tym, jak wrócił z wodopoju, którego jednak nie udało mi się znaleźć. Przysięgam, zbadalam każdy centymetr ziemi w promieniu trzydziestu metrów.

— Możemy go zjeść? — pyta Peeta.

— Tego nie wiem na pewno, ale mięso ma prawie takie samo jak wiewiórka. Powinniśmy go jakoś przyrządzić... — Waham się na myśl o rozpalaniu ognia bez żadnych narzędzi. Nawet gdyby mi się powiodło, nie potrafilibyśmy ukryć dymu, a na tak małej arenie wszyscy jesteśmy blisko siebie.

Peeta wpada na inny pomysł. Bierze kostkę mięsa gryzonia, nadziewają na koniec zaostzonego patyka i rzuca na pole siłowe. Słyszemy raptowne skwierczenie, patyk odbija się i wraca, a mięso jest zwęglone od zewnątrz, lecz dobrze upieczone w środku. Spontanicznie bijemy brawo Peecie, ale szybko przestajemy, przypomniawszy sobie, gdzie jesteśmy.

Białe Słońce na różowym niebie ma się ku zachodowi, kiedy zbieramy się w szałasie. Nadal podejrzliwie spoglądam na orzechy, lecz Finnick zapewnia mnie, że Mags rozpoznała je z innych igrzysk. Podczas treningu nie spędziłam ani sekundy przy stanowisku jadalnych roślin, bo w ubiegłym roku poradziłam sobie bez najmniejszego trudu, a teraz żałuję, że się

nie podszkoliłam. Na pewno przepadła mi okazja do zapoznania się z nieznanymi roślinami, które teraz mnie otaczają, a poza tym mogłabym nabrać pewnego pojęcia, dokąd trafimy. W każdym razie Mags wydaje się całkiem zdrowa, a przecież jadła orzechy wiele godzin temu, dlatego biorę jeden do ręki i ostrożnie nadgryzam. Ma łagodny, słodkawy smak, jakby kasztanowy, więc ostatecznie decyduję, że wszystko w porządku. Gryzoń jest nieco twardy, przypomina w smaku dziczyznę, ale okazuje się zaskakująco soczysty, więc myślę, że jak na pierwszą noc na arenie posiłek wcale nie jest zły. Szkoda tylko, że nie mamy czym go popić.

Finnick zasypuje mnie pytaniami o gryzonia, którego postanawiamy nazywać drzewnym szczurem. Muszę wyjaśniać, na jakiej wysokości się znajdował, jak długo go obserwo wałam przed strzałem i co takiego robił. Nie przypominam sobie, żeby zajmował się czymś szczególnym, chyba po prostu węszył w poszukiwaniu owadów albo czegoś takiego.

Obawiam się nocy. Ciasno splecione maty przynajmniej prowizorycznie chronią nas przed stworzeniami, które przemykają się chyłkiem po zmroku w dżungli, tuż przy ziemi. Na szczęście niedługo przed zachodem słońca wschodzi blade księżyc, gwarantujący jako taką widoczność. Rozmowa wkrótce się urywa, bo wiemy, co nas czeka. Usadawiamy się ramię w ramię przy wejściu do szałas, a Peeta bierze mnie za rękę.

Niebo się rozjaśnia, kiedy wykwita na nim symbol Kapitolu, który zdaje się płynąć przez przestrzeń. Wsłuchuję się w dźwięki hymnu i myślę, że Finnickowi i Mags trudniej będzie znieść to, co za chwilę zobaczymy. Okazuje się jednak, że mnie też czekają bardzo ciężkie chwile. Wysoko ponad wierzchołkami drzew wyświetlają się zdjęcia ośmiu zabitych.

Na początku widzimy mężczyznę z Piątego Dystryktu, którego Finnick przeszył trójzębem, co oznacza, że przeżyli wszyscy trybuci z pierwszych czterech dystryktów: czworo zawodowców, Beetee i Wiress, oraz rzecz jasna Mags i Finnick. Potem pojawia się morfalinista z Szóstki, Cecelia i Woof z Ósemki, para z Dziewiątki, kobieta z Dziesiątki oraz Seeder z Jedenastki. Na koniec znowu oglądamy symbol Kapitolu, wysłuchujemy ostatnich dźwięków hymnu i księżyc jest już jedynym jasnym punktem na ciemnym niebie.

Nie odzywamy się ani słowem. Nie mogę udawać, że dobrze znałam choć jedną z zabitych osób, ale rozmyślam o trójce dzieci, które tuliły się do wyprowadzanej Cecelii, wspominam też życzliwość Seeder podczas naszego spotkania. Kłuje mnie w sercu nawet na myśl o szklistookim morfalinieście, który malował mi na policzkach żółte kwiaty. Wszyscy zginęli. Odeszli na zawsze.

Nie wiem, jak długo byśmy tak siedzieli, gdyby nie srebrny spadochron, który frunie między liśćmi i ląduje u naszych stóp. Nikt po niego nie sięga.

— Jak myślicie, dla kogo to? — pytam w końcu.

— Trudno powiedzieć — odzywa się Finnick. — Może niech Peeta weźmie prezent, skoro dzisiaj umarł?

Peeta rozwiązuje sznurek i wygładza jedwabną czaszę. Do spadochronu przyczepiono mały, metalowy przedmiot, którego nie rozpoznaję.

— Co to takiego? — pytam, ale nikt nie wie. Podajemy sobie przedmiot, oglądamy go po kolei, lecz nie mamy pojęcia, do czego służy metalowa tulejka, lekko zaostrzona na jednej krawędzi, a z drugiej strony zakończona małym wylotem, zgiętym do dołu. Coś mi to przypomina. Jakby część, która odpadła z roweru albo z karnisza do zasłon, z czegokolwiek. Peeta dmucha w jeden koniec, żeby sprawdzić, czy przedmiot wyda z siebie dźwięk, ale nic nie słyszymy. Finnick wsuwa do środka mały palec i próbuje zrobić z przedmiotu broń. Bez skutku.

— Mags, potrafiłabyś łowić tym ryby? — pytam, a starszka, która niemal wszystko umie wykorzystać do wędkowania, tylko kręci głową i pochrząkuje.

Biorę tulejkę i turlam ją w tę i z powrotem na dłoni. Ponieważ jesteśmy sojusznikami, Haymitch będzie współpracował z mentorami z Czwartego Dystryktu i na pewno przyłożył rękę do wyboru tego prezentu. Oznacza to, że podarunek ma sporą wartość, a pewnie może

nawet uratować komuś życie. Wracam myślami do ubiegłego roku, kiedy dramatycznie potrzebowałam wody, ale on nie przysłał mi ani odrobiny, bo wiedział, że sama ją znajdę, jeśli się postaram. Prezenty od Haymitcha są zawsze do rzeczy, ich brak świadczy o czymś istotnym. Wydaje mi się, że burczy mi do ucha: „Jeśli masz rozum, to zrób z niego użytek. Co to jest?”

Ocieram pot z oczu i oglądam przedmiot w blasku księżyca. Obracam go raz w jedną, raz w drugą stronę, obserwuję pod różnymi kątami, zasłaniam fragmenty i je odkrywam, usiłuję zmusić go do wyjawienia mi, jakie ma zastosowanie. Na koniec w odruchu frustracji wbijam go w ziemię.

— Poddaję się — oświadczam z rezygnacją. — Może Beetee albo Wiress na coś wpadną, jeśli do nich dołączymy.

Wyciągam się, przyciskam rozgrzany policzek do plecionki z trawy i z irytacją patrzę na tulejkę. Peeta masuje mi zdrętwiałe mięśnie na karku i pozwalam sobie na chwilę odprężenia. Nie rozumiem, dlaczego to miejsce ani trochę nie ostygło, skoro Słońce już zaszło, zastanawiam się też, co słychać w domu.

Prim, mama, Gale, Madge, wszyscy mnie oglądają. Mam nadzieję, że są u siebie, bo przecież Thread mógł ich wsadzić za kraty, mogli zostać ukarani tak jak Cinna czy Darius. Niewykluczone, że cierpią z mojego powodu, każde z nich.

Zaczynam tęsknić za nimi, za moim dystryktem, z jego lasami, takimi jak należy, pełnymi solidnych, twardych drzew i roślin, a także zwierzyny nie budzącej odrazy. Brakuje mi wartkich strumieni, chłodnego, a jeszcze lepiej zimnego wiatru, który odegnałby ten dławiący upał. W myślach przywołuję lodowaty powiew, delektuję się jego mroźnym dotykiem na policzkach i na zziębniętych palcach, aż nagle metalowa tulejka wbita w czarną ziemię ma już nazwę.

— Sączek! — wykrzykuję, prostując się.

— Co? — zdumiewa się Finnick.

Wyrwam rurkę z podłoża, ocieram ją, po czym zaciskam dłoń na zaostrozonym końcu, żeby go zasłonić, i patrzę na wylot. Tak, widziałam już coś takiego, dawno temu, w jeden z chłodnych, wietrznych dni, podczas wyprawy z ojcem do lasu. Taki sam sączek tkwił w otworze wywierconym w pniu klonu i płynął z niego roślinny sok, prosto do naszego wiadra. Dzięki syropowi klonowemu nawet byle jaki chleb smakował jak przysmak. Nie wiem, co się stało z garścią sączków ojca po jego śmierci, zapewne pozostały gdzieś w lesie, w ukryciu, nie do odnalezienia.

— To jest sączek, coś w rodzaju kranu. Umieszcza się go w drzewie, żeby zbierać sok. — Rozglądam się po zielonych, mięsistych pniach okolicznych drzew. — Pod warunkiem, że wiadomo, które wybrać.

— Sok? — dziwi się Finnick, z czego wnioskuję, że i nad morzem brakuje odpowiednich drzew.

— Do robienia syropu — objaśnia Peeta. — Ale wewnątrz tych drzew musi być coś innego.

Wszyscy jednocześnie zrywamy się na równe nogi. Jesteśmy spragnieni, nie możemy znaleźć żadnego źródła wody, a szczer drzewny miał ostre siekacze i mokry pysk, zatem w środku drzew na pewno znajduje się coś, czego potrzebujemy najbardziej. Finnick sięga po ciężki kamień i zabiera się do wbijania sączka w zieloną korę masywnego pnia, ale go powstrzymuję.

— Czekaj, możesz go uszkodzić. Najpierw musimy wydrążyć otwór.

Nie mamy odpowiedniego wiertła, więc Mags podsuwa nam swój szpikulec, a Peeta wbija go prosto w korę na głębokość pięciu centymetrów. Następnie na przemian z Finnickiem powiększa otwór szpikulcem oraz nożami, aż wreszcie sączek mieści się w środku. Osadzam go ostrożnie i wszyscy cofamy się w napięciu. Z początku nic się nie dzieje, ale po

chwili z otworu wylotowego spływa kropla wody i ląduje na otwartej dłoni Mags, która zlizuje płyn i nadstawia rękę po następną porcję. Kręcimy i poprawiamy sącdek, dzięki czemu wkrótce cieknie z niego cienki strumyk wody. Na przemian nadstawiamy usta i zwilżamy przesuszone języki. Mags przynosi koszyk wykonany z tak ciasno splecionej trawy, że wcale nie przepuszcza wody, więc napełniamy go i puszczamy w obieg, po czym pijemy łapczywie, dużymi łykami, a następnie pławimy się w luksusie, ochlapując i myjąc sobie twarze. Podobnie jak wszystko tutaj, woda jest ciepła, ale to nie pora na wybrzydzenie.

Pragnienie już nas nie rozprasza i uświadamiamy sobie, że jesteśmy kompletnie wyczerpani, wobec czego przygotowujemy się do snu. W zeszłym roku zawsze się wcześniej pakowałam, żeby w razie konieczności szybko uciec pod osłoną nocy. W tym roku nie mam plecaka dysponuję tylko bronią, której i tak nie wypuszczam z ręki. Potem przypominam sobie o sączku, z trudem wyciągam go z pnia, a następnie oskubuję pnącze z liści i przewlekam je przez środek tulejki, aby na koniec starannie przywiązać ją do pasa.

Finnick zgłasza się na pierwszą wartę, a ja nie protestuję, bo wiem, że dopóki Peeta nie nabierze sił, to my dwoje będziemy musieli dzielić się jego obowiązkami. Kładę się u boku Peety i przykazuję Finnickowi, żeby mnie obudził, kiedy się zmęczy. Kilka godzin później sama się zrywam, a w uszach rozbrzmiewa mi dźwięk podobny do bicia dzwonów. Bum! Bum! Odgłos nie całkiem przypomina ten, który słyhać na Nowy Rok z Pałacu Sprawiedliwości, ale jest dostatecznie podobny, żebym go rozpoznała. Peeta i Mags mocno śpią, za to Finnick wydaje się tak samo poruszony jak ja. Wkrótce bicie ustaje.

— Doliczyłem się dwunastu uderzeń — odzywa się.

Kiwam głową. Dwanaście. Co to oznacza? Jedno uderzenie na jeden dystrykt? Niewykluczone. Ale dlaczego?

— To może znaczyć cokolwiek, prawda?

— Nie mam pojęcia — odpowiada.

Czekamy na jakieś polecenia, może wiadomość od Claudiusa Templesmitha, czy choćby zaproszenie na ucztę. Jedyne godny uwagi sygnał w oddali to oślepiające wyładowanie elektryczne, które trafia w wysokie drzewo i zapoczątkowuje serię błyskawic. Dochodzę do wniosku, że to zapowiedź ulewy, źródła wody dla tych, którzy nie mają tak inteligentnych mentorów jak Haymitch.

— Idź spać, Finnick — proponuję. — I tak już pora na zmianę warty.

Waha się, ale każdy musi w końcu odpocząć, więc zajmuje miejsce u wejścia do szalasu i z ręką na trójzębie zapada w niespokojny sen.

Siedzę ze strzałą na cięciwie i obserwuję dżunglę, która w blasku księżyca przybrała upiornie bladzieloną barwę. Po mniej więcej godzinie pioruny cichną, za to słyszę szum nadciągającego deszczu, którego krople bombardują liście drzew kilkaset metrów dalej. Na próżno czekam, aż ulewa dotrze do nas.

Wzdrygam się, przestraszona hukiem armatniego wystrzału, ale moi towarzysze dalej twardo śpią. Nie widzę powodu, żeby ich budzić z powodu śmierci następnego zwycięzcy, sama też nie zastanawiam się, kto tym razem zginął.

Przelotna ulewa kończy się równie nagle jak burza na zeszłorocznej arenie, a zaraz potem dostrzegam mgłę, która łagodnie napływa stamtąd, gdzie przed chwilą szalała nawałnica. To tylko naturalne zjawisko, myślę. Chłodny deszcz na parującej ziemi. Mgła spokojnie sunie prosto ku nam, jej macki wyciągają się i podkurczają niczym palce, które zagarniają wszystko pod siebie. Przyglądam się temu i nagle czuję mrowienie na karku. Ta mgła jest nienormalna, front postępuje zbyt równomiernie jak na zwykłą parę wodną, a skoro jest nienaturalna, to...

Mdłący, słodkawy odór wypełnia mi nozdrza, kiedy wyciągam ręce do towarzyszy i krzyczę, żeby się obudzili. Wyrwanie ich ze snu zajmuje mi tylko kilka sekund, lecz to wystarczy, by moją skórę pokryły pęcherze. Wszędzie tam, gdzie moje ciało styka się z drobinami mgły, czuję małe, przesywająco bolesne ukłucia.

— Uciekajcie! — wrzeszczę. — Biegiem!

Finnick momentalnie zrywa się z maty, gotów stawić czoło wrogowi, ale kiedy zauważa ścianę mgły, z miejsca zarzuca na plecy ciągle pograżoną we śnie Mags i rusza przed siebie. Peeta stoi o własnych siłach, lecz z trudem orientuje się w sytuacji, więc chwytam go za rękę i ciągnę przez dżunglę za Finnickiem.

— Co jest? Co jest? — powtarza oszołomiony.

— Jakaś dziwna mgła, trujący gaz. Peeta, pędź! — ponaglam. Dopiero teraz widzę, jak mocno odczuł skutki zderzenia z polem siłowym. Porusza się powoli, znacznie wolniej niż zwykle, a płatanina pnączy i podsycia, o którą potykam się od czasu do czasu, stanowi dla niego przeszkodę niemal nie do pokonania.

Spoglądam przez ramię na falę mgły, która rozciąga się w obu kierunkach tak daleko, że nie widać jej końca. Jakiś okropny impuls podpowiada mi, że powinnam uciec, porzucić Peetę i ratować własną skórę. To byłoby takie proste, puścić się pędem przed siebie, może nawet wdrapać się na drzewo powyżej górnej granicy trucizny, która na oko dociera do wysokości trzynastu metrów. Przypominam sobie, że właśnie tak postąpiłam podczas ostatnich igrzysk, kiedy pojawiły się zmieszające — wyrwałam do przodu i przypominałam sobie o Peecie dopiero przy Rogu Obfitości. Tym razem udaje mi się zapanować nad przerażeniem, odpycham je od siebie i staję u boku Peety. Ta gra toczy się o jego przetrwanie, nie o moje życie. Myślę o ludziach, którzy z zapartym tchem patrzą w ekrany telewizorów we wszystkich dystryktach, bo chcą się przekonać, czy ucieknę, jak tego chce Kapitol, czy też zostanę przy ukochanym.

Mocno zaciskam palce na jego dłoni.

— Patrz pod moje nogi, staraj się stawiać stopy tam, gdzie ja — mówię pośpiesznie, a moja rada odnosi skutek, gdyż idziemy chyba trochę prędzej, choć nadal zbyt pomału, żeby pozwolić sobie na chwilę wytchnienia. Mgła ciągle napiera na nas z tyłu, a drobiny substancji wyprzedzają jej czołową ścianę, osiadają i parzą, ale inaczej niż ogień. Nie czuję gorąca, tylko raczej dogłębny ból, kiedy chemikalia odnajdują nasze ciała, przywierają do nich, a na koniec wżerają się w kolejne warstwy skóry. Kombinezony nie na wiele się zdają, chronią nie lepiej niż ubrania z bibuły.

Finnick, który już na wstępie wysforował się do przodu, przystaje, bo uświadamia sobie, że mamy problemy. Cóż, przed mgłą nie da się bronić, co najwyżej możemy uciekać. Finnick wykrzykuje do nas słowa zachęty, nakłania do dalszego marszu, a jego głos służy nam jako kierunkowskaz, lecz do niczego ponadto.

Proteza Peety utyka w splątanych pnączach, a on sam wywraca się jak długi, zanim udaje mi się go złapać. Pomagam mu wstać i wtedy dostrzegam coś znacznie paskudniejszego niż pęcherze, a w dodatku bardziej osłabiającego niż oparzenia. Lewa strona jego twarzy obwisła, jakby obumarły w niej wszystkie mięśnie. Powieka mu opada i prawie przesłania oko, a usta wykrzywają się pod nienormalnym kątem.

— Peeta — zaczynam, i nagle czuję, że moją ręką wstrząsają skurcze.

Bez względu na to, z jakich chemikalii składa się mgła, wywołują nie tylko poparzenia, ale także zaburzają pracę układu nerwowego. Przeszywa mnie strach, jakiego dotąd nie znałam, i nerwowo szarpie Peetę, przez co tylko ponownie się potyka. Udaje mi się postawić go na nogi, ale moje ręce drżą w sposób niekontrolowany, a w dodatku mgła prawie nas dopadła, znajduje się w odległości niecałego metra. Coś złego dzieje się z nogami Peety, bo choć usiłuje iść, porusza się jak sparaliżowany, jak marionetka.

Nagle wystrzeliwuje przed siebie i dopiero teraz zauważam, że Finnick wrócił i ciągnie go za sobą. Jako tako sprawne ramię blokuję pod pachą Peety i robię, co mogę, żeby nadążyć za Finnickiem, który narzucił szybkie tempo marszu.

Udaje nam się oderwać od mgły na mniej więcej dziesięć metrów, kiedy Finnick przystaje.

— Nic z tego — oznajmia. — Muszę go przenieść. Dasz radę podnieść Mags?

— Tak — potwierdzam dzielnie, choć serce mi się kraje. Fakt, staruszka na pewno nie waży więcej niż trzydzieści parę kilo, ale sama nie jestem zbyt duża. Mimo to z pewnością zdarzało mi się już dźwigać większe ciężary, szkoda tylko, że ręce tak fatalnie mi podrygują. Przykucam, a wtedy Mags kładzie mi się na ramieniu, tak samo jak wcześniej na ramieniu Finnicka. Powoli wyprostowuję nogi, blokuję kolana i jakoś udaje mi się ją utrzymać. Finnick zarzucił sobie Peetę na plecy i brniemy dalej, Finnick przodem, a ja za nim, po szlaku, którym przedzieramy się wśród pnączy.

Mgła nieubłaganie sunie dalej, cicha, zwarta i gładka, z wyjątkiem wystających, chwytnych macek. Instynkt mi podpowiada, abym biegła wprost przed siebie, jak najdalej od niej, ale zauważam, że Finnick schodzi ukosem w dół zbocza. W ten sposób zachowuje odpowiednią odległość od gazu i kieruje nas ku wodzie wokół Rogu Obfitości. Tak, myślę, trzeba iść do wody. Drobiny kwasu wżerają się we mnie coraz głębiej, a ja cieszę się, że nie zabiłam Finnicka, bo niby jak wy dostałabym stąd Peetę? Dobrze, że mam sojusznika, choćby tylko na chwilę.

To nie wina Mags, że zaczynam się przewracać. Robi wszystko, co w jej mocy, aby nie być dla mnie ciężarem, ale po prostu nie jestem już w stanie dźwigać takiego obciążenia, zwłaszcza teraz, gdy sztywnieje mi prawa noga. Padam na ziemię raz i drugi, ale jakoś udaje mi się wstać. Przy trzecim upadku nie udaje mi się zmusić nogi do współpracy. Próbuję powstać, a wtedy całkiem odmawia posłuszeństwa i Mags stacza się na ziemię przede mną. Młóć rękami powietrze, rozpaczliwie chwytam się pnączy i pni, żeby wyprostować przygięty tułów.

Finnick jest już z powrotem, nadal z bezwładnym Peetą na plecach.

— To na nic — dyszę. — Możesz zabrać oboje? Idź przodem, dogonię was.

Sama nie wierzę w to, co mówię, ale staram się, żeby zabrzmiało to bardzo przekonująco. W blasku księżyca widzę zielone oczy Finnicka, równie wyraźnie jak w dzień, a w dodatku dziwnie błyszczą, zupełnie jak u kota. Może lśnią od łez.

— Nie — oznajmia. — Nie dam rady nieść obojga. Ręce mi wysiadają. — Rzeczywiście, targają nimi niekontrolowane wstrząsy, ma puste dłonie, a z trzech trójzębów pozostał tylko jeden, trzymany przez Peetę. — Wybacz, Mags, nie poradzę sobie.

To, co dzieje się później, jest tak błyskawiczne i bezsensowne, że stoję jak wryta, zamiast to powstrzymać. Mags dźwiga się z trudem, całuje Finnicka w usta i kuśtyka prosto we mgłę. Jej ciało natychmiast przeszywają szaleńcze skurcze i pada na ziemię w upiornym tańcu. Chcę wrzeszczeć, lecz gardło mi płonie, więc tylko robię krok w jej kierunku, ale w tym samym momencie rozbrzmiewa armatni wystrzał i wiem, że jej serce stanęło. Umarła.

— Finnick? — wołam chrapliwie, ale on już się odwrócił i ruszył w drogę, jak najdalej od mgły. Powłócząc bezużyteczną nogą, wlokę się za nim, bo nie mam pojęcia, co innego zrobić.

Czas i przestrzeń tracą znaczenie, gdy mgła zdaje się przenikać mój mózg, mieszać myśli, odrealniać świat. Głęboko zakorzeniony, zwierzęcy instynkt przetrwania popycha mnie naprzód, za Finnickiem i Peetą, brnę przed siebie, choć pewnie już tkwię jedną nogą w grobie. Umieram po trochu, a część mnie już umarła, tak jak Mags. Wiem to na pewno, a może tylko tak mi się wydaje, bo przecież nie dostrzegam w tym żadnego sensu.

Księżycowy blask migocze na jasnobrązowych włosach Finnicka, przeszywają mnie igielki nieznośnego bólu, a moja noga zmieniła się w kawał drewna. Uparcie sunę za Finnickiem, który w końcu pada na ziemię, wciąż z Peetą na plecach. Czuję się tak, jakbym straciła wpływ na to, co robię, więc idę, aż w końcu potykam się o ich bezwładne ciała i padam. Tak właśnie zginiemy, przychodzi mi do głowy, tu i teraz, ale ta myśl jest abstrakcyjna i znacznie mniej niepokojąca niż ból w moim ciele. Słyszę jęk Finnicka, więc z najwyższym trudem czołgam się na bok i znowu widzę ścianę mgły, która przybrała perlistobiałą barwę. Może

zawodzi mnie wzrok, może to poświata księżycy, ale obłok śmiertelnego gazu wydaje się zmieniać. Tak, niewątpliwie gęstnieje, jakby coś dociskało go do szyby i kondensowało. Wyteżam wzrok i zauważam, że nie wystają z niego mordercze macki. Mgła przestała nas ścigać. Podobnie jak wszystkie inne okropieństwa, których doświadczałam na arenie, tak i to znalazło swój finał. Zabójcze opary dotarły do kresu swojego terytorium albo organizatorzy postanowili chwilowo darować nam życie.

— Staęła — usiłuję powiedzieć, ale z opuchniętych ust wydobywa się tylko upiorne chrypienie. — Staęła — powtarzam, tym razem chyba z lepszym skutkiem, bo Peeta i Finnick zgodnie obracają głowy ku mgle, która zaczyna się unosić, jakby powoli wsysało ją niebo. Spoglądamy na umykający gaz tak długo, aż znika ostatnia smuga.

Peeta zsuwa się z Finnicka, który obraca się na plecy, i wszyscy troje leżymy zadyszani, podrygując, bo nasze ciała i umysły ciągle pozostają zatrute toksyczną substancją. Po kilku minutach Peeta niemrawo wyciąga rękę w górę.

— Małpy — mamrocze, a ja podnoszę wzrok na parę zwierząt, które chyba rzeczywiście są małpami.

Nigdy w życiu nie widziałam żywej małpy, nie występują w naszych lasach, ale na pewno oglądałam je na rysunku lub podczas innych igrzysk, bo na ich widok przychodzi mi do głowy to samo słowo. Wydaje mi się, że mają pomarańczowe futra, choć pewności nie mam, i że sięgałyby do pasa dorosłemu człowiekowi. Dochodzę do wniosku, że ich obecność to dobry znak, bo przecież nie siedziałyby tutaj, gdyby powietrze było zatrute. Przez pewien czas obserwujemy się uważnie, ludzie i małpy, a potem Peeta dźwiga się z miejsca i na czworakach pełźnie w dół zbocza. Idziemy w jego ślady, też na czworakach, bo normalny marsz wydaje się nam równie niedosiężnym wyczynem jak latanie. Brniemy centymetr po centymetrze, aż w końcu pnącza ustępują miejsca wąskiemu paskowi piaszczystej plaży, a ciepła woda wokół Rogu Obfitości ochlapuje nam twarze. Cofam się gwałtownie, jakby liznął mnie płomień ognia.

Po raz pierwszy zrozumiałam, co oznacza posypywanie ran solą. Tak się właśnie czuję, bo słona woda zwielokrotniła moje cierpienie do tego stopnia, że omal nie mdleję. Czuję też, że coś ze mnie wypływa. Postanawiam zaryzykować i niepewnie zanurzam dłoń w wodzie. Przeżywam męki, to fakt, ale już po chwili ból zdecydowanie słabnie, a pod warstwą błękitnej wody widzę mleczną substancję, która sączy się z ran na skórze. Im więcej jej wypływa, tym mniej cierpię. Rozpinam pas i ściągam kombinezon, a właściwie jego szczątki, bo wygląda teraz jak podziurawiona szmata. Sama nie rozumiem, jak to możliwe, ale buty i bielezna zachowały się w doskonałym stanie. Powoli, krok po kroku, zanurzam fragmenty ciała w wodzie i patrzę, jak wyciąga truciznę. Kątem oka widzę, że Peeta idzie w moje ślady, ale Finnick odsunął się już po pierwszej styczności z wodą i teraz leży z twarzą w piasku, jakby nie chciał albo nie mógł odtruć organizmu.

Na koniec, kiedy udaje mi się przetrwać najgorsze — bo otworzyłam oczy pod wodą, wciągnęłam wodę do zatok i wyparskałam ją nosem, a nawet kilka razy wypłukałam gardło — funkcjonuję na tyle sprawnie, by pomóc Finnickowi. Częściowo odzyskałam czucie w nodze, ale moje ręce nadal spazmatycznie podrygują, więc nie jestem w stanie przeciągnąć go do wody. Poza tym ból pewnie i tak zabiłby Finnicka, dlatego nabieram wody w drżące ręce i polewam mu pięści. Ponieważ nie znajduje się pod wodą, toksyny opuszczają jego organizm tak samo, jak do niego wniknęły, w postaci smużek mgły, której unikam jak ognia. Peeta rusza mi z pomocą i rozcina kombinezon Finnicka, a potem znajduje dwie muszle, które znacznie ułatwiają nam przenoszenie wody. Przede wszystkim koncentrujemy się na polewaniu rąk, poważnie zniszczonych przez trujący gaz, ale choć wylatuje z nich jeszcze mnóstwo białej mgiełki, Finnick nawet tego nie zauważa. Cały czas leży nieruchomo, z zamkniętymi oczami i tylko czasem słyszymy jego pojękiwanie.

Rozglądam się i coraz wyraźniej do mnie dociera, że narażamy się na ogromne niebezpieczeństwo. Co prawda nadal jest noc, ale księżyc świeci zbyt jasno, żeby można było się ukryć pod osłoną ciemności, więc mamy szczęście, że jeszcze nikt nas nie zaatakował. Zauważylibyśmy czworo zawodowców, gdyby wyruszyli spod Rogu Obfitości, ale w razie ataku nie uporalibyśmy się z nimi. Nawet jeśli nie dostrzegli nas od razu, to jęki Finnicka wkrótce muszą zdradzić naszą obecność.

— Powinniśmy go zanurzyć, choć częściowo — szepczę. Nie możemy jednak wrzucić go do wody, nie w takim stanie. Peeta ruchem głowy wskazuje jego stopy i chwytam go za nogi, ja za jedną, on za drugą. Potem jednocześnie obracamy go o sto osiemdziesiąt stopni i wciągamy do słonej wody, po kilka, kilkanaście centymetrów, stopniowo. Najpierw zanurzamy kostki, czekamy kilka minut i wsuwamy go do połowy łydek. Ponownie robimy przerwę i czas na kolana. Jęczy, gdy z mięśni wypływają mu wirujące chmury bieli, a my odtruwamy go dalej, kawałek po kawałku. Odkrywam, że im dłużej siedzę w wodzie, tym lepiej się czuję, bo poprawia mi się nie tylko stan skóry, lecz także mózgu, i wreszcie panuję nad kończynami. Także twarz Peety zaczyna powracać do normalnego stanu — rozchyła powieki, a z jego ust znika grymas.

Finnick z wolna odzyskuje świadomość. Otwiera oczy, spogląda na nas i dociera do niego, że mu pomagamy. Kładę jego głowę na swoich kolanach i przez dziesięć minut pozwalamy mu nasiąkać od szyi w dół. Wymieniamy z Peetą uśmiechy, gdy Finnick unosi ręce nad powierzchnię.

— Trzeba jeszcze tylko zająć się twoją głową, Finnick — informuje go Peeta. — To najgorsza część kuracji, ale poczujesz się znacznie lepiej, o ile ją zniesiesz.

Pomagamy mu usiąść i nie przeszkadzamy, kiedy chwyta nas za ręce podczas zanurzania oczu, nosa i ust. Gardło nadal ma zbyt obolałe, żeby mówić.

— Spróbuję odsączyć trochę wody z drzewa — postanawiam i sięgam do pasa, gdzie sączone nadal bezpiecznie wisi na kawałku pnąca.

— Poczekaj, pójdę pierwszy i wydłubię otwór — powstrzymuje mnie Peeta. — Zostań z Finnikiem, ostatecznie to ty jesteś uzdrowiaczką.

Niezły dowcip, podsumowuję w myślach, ale nie mówię tego głośno, bo Finnick i tak ma dość problemów. Najbardziej z nas zatrutą się mgłą, chociaż nie rozumiem, z jakiego powodu. Może dlatego, że jest największy albo najbardziej się napracował? Rzecz jasna, pozostaje jeszcze sprawa Mags. Ciągle nie rozumiem, co się zdarzyło w dżungli, dlaczego Finnick ją porzucił, żeby nieść Peetę. Czemu nie zaprotestowała, tylko bez wahania pobiegła na pewną śmierć. Czy dlatego, że i tak stała nad grobem? Mogli zgodnie uznać, że Finnick ma Większe szanse na zwycięstwo, jeśli pozostanie razem ze mną i Peetą jako sojusznikami. Wymierzona twarz Finnicka to widomy znak, że te pytania muszą poczekać.

W takiej sytuacji próbuję się jakoś ogarnąć. Odpinam broszkę z kosogłosem ze zniszczonego kombinezonu i przymocowuję ją do ramiączka koszulki. Pas ratunkowy z pewnością jest kwasoodporny, skoro wygląda jak spod igły. Potrafię pływać, więc nie jest mi niezbędny, ale Brutus skutecznie zablokował nim moją strzałę, więc przypinam pas z powrotem. Może zapewnić mi dodatkową ochronę, kto wie. Następnie rozplątuję włosy i czeszę je palcami, przy okazji sporo włosów wychodzi, bo drobiny mgły wyjątkowo źle na nie wpłynęły. To, co pozostało, ponownie zaplatam.

Peeta znalazł odpowiednie drzewo w odległości około dziesięciu metrów od wąskiej plaży. Prawie go nie widzimy, ale hałas towarzyszący dłubaniu nożem w pniu świetnie słychać. Zastanawiam się, co się stało ze szpikulcem — Mags pewnie go upuściła albo zabrała ze sobą w mgłę. Tak czy owak, przepadł bezpowrotnie.

Pozostaję na płyciźnie, jednak przesunęłam się na nieco głębszą wodę i teraz unoszę się raz na brzuchu, raz na plecach. Woda uzdrowiła Peetę i mnie, ale Finnicka zdaje się zmieniać nie do poznania. Z początku porusza się powoli, tylko testuje sprawność kończyn, ale

stopniowo zaczyna pływać, i to nie tak jak ja, rytmicznie i miarowo. Oglądam go niczym osobliwe morskie stworzenie, które powraca do życia, nurkuje i wynurza się na powierzchnię, przy okazji parszając mgiełką wody z ust, a potem robi serię obrotów, tworzących dziwaczny korkociąg. Od samego patrzenia kręci mi się w głowie. W pewnej chwili zanurza się na tak długo, że tracę nadzieję na jego powrót, tymczasem nagle wytyka głowę z wody tuż obok mnie, a ja podskakuję ze strachu.

— Nie rób tego — warczę.

— Czego? Mam się nie wynurzać, czy nie zostawać pod wodą?

— Tak. Nie. Ani jedno, ani drugie, po prostu siedź w wodzie i się zachowuj. A skoro energia cię rozpieszcza, chodźmy pomóc Peecie.

Droga na skraj dżungli jest krótka, od razu jednak wyczuwam zmianę. Może to rezultat wielu lat na polowaniach, a może moje zrekonstruowane ucho naprawdę funkcjonuje nieco lepiej, niż zakładano, ale z miejsca jestem świadoma obecności wielu ciepłych ciał na gałęziach drzew. Nie muszą wrzeszczeć ani nawet szeptać, wystarczy sam oddech.

Dotykam ręki Finnicka, a on wiedzie za moim wzrokiem w górę. Nie mam pojęcia, jak im się udało zjawić tak cicho. Może zresztą wcale nie zachowywały się szczególnie dyskretnie, tylko nie zwróciliśmy na nie uwagi, zajęci odtruwaniem organizmów. W tym czasie zebrały się całą gromadą, już nie pięć czy dziesięć małp, lecz pokaźne ich stado usadowiło się na konarach tropikalnych drzew. Para, którą dostrzeżliśmy po ucieczce przed mgłą, wydała się nam komitetem powitalnym, a ta grupa wygląda złowrogo.

Nakładam dwie strzały na cięciwę, a Finnick poprawia trójzab w dłoni.

— Peeta — odzywam się jak najspokojniej. — Potrzebuję twojej pomocy.

— Jasne, tylko daj mi chwilę, już prawie skończyłem — odpowiada, nadal zajęty dłubaniem w pniu. — I już, gotowe. Masz sączek?

— Mam, ale znalazłam coś, na co powinieneś rzucić okiem — ciągnę spokojnym głosem. — Podejdź tutaj do nas, ale cicho, żebyś tego nie spłoszył. — Instynktownie nie chcę, aby zauważył małpy, bo nawet przelotne nawiązanie kontaktu wzrokowego z niektórymi zwierzętami jest przez nie uznawane za przejaw agresji.

Peeta, zadyszany po pracy przy drzewie, odwraca się ku nam. Mówiłam tak zmienionym głosem, że od razu nabrał podejrzeń.

— W porządku — zgadza się i rusza przez dżunglę. Wiem, że usiłuje zachowywać się cicho, ale umiejętność skradania się nigdy nie była jego mocną stroną, nawet kiedy miał obie nogi. Nie dzieje się jednak nic niepokojącego, on idzie, a one tkwią bez ruchu na gałęziach. Na pięć metrów przed plażą Peeta wyczuwa ich obecność, na sekundę spogląda w górę, ale to wystarcza, żeby rozpętało się piekło. Wszystkie małpy rzucają się na niego, niczym skrzeczące kłębowisko pomarańczowych futer.

Nigdy nie widziałam równie błyskawicznie przemieszczających się zwierząt. Ześlizgują się po lianach tak szybko, jakby rośliny były nasmarowane, pokonują nieprawdopodobne dystanse, skacząc z drzewa na drzewo, gnają z obnażonymi kłami i nastroszonymi grzywami, a ich pazury wystrzeliwiają niczym ostrza noży sprężynowych. Może nie znam się na małpach, ale wiem, że żadne zwierzę w naturze nie zachowuje się w taki sposób.

— Zmiechy! — ryczę i razem z Finnickiem wpadam między drzewa.

Wiem, że każdy strzał musi być celny, i żaden nie chybia celu. W nieziemskim świetle kładę trupem jedną małpę za drugą, a że mierzę wyłącznie w oczy, serca i gardła, więc każda wypuszczona strzała to jeden stwór mniej. Mimo to i tak bym sobie nie poradziła, gdyby nie Finnick, który nadziewa bestie na trójzab jak ryby i odrzuca je na bok, oraz Peeta, tnący je systematycznie nożem. Czuję pazury na nodze i plecach, ale któryś z moich towarzyszy natychmiast rozprawia się z napastnikiem. Powietrze jest ciężkie od rozdeptanych roślin, woni krwi i smrodu małp. Razem z Peetą i Finnickiem ustawiam się w trójkąt, jedno parę metrów od drugiego, i walczymy, plecami do siebie. W pewnej chwili serce mi zamiera, gdy wycią-

gam ostatnią strzałę, ale natychmiast przypominam sobie, że Peeta ma jeszcze jeden kołczan, a przecież nie strzela, tylko walczy nożem. Teraz i ja zaciskam palce na nożu, lecz małpy są szybsze, potrafią doskoczyć i odskoczyć tak prędko, że niemal nie sposób zareagować.

— Peeta! — wrzeszczę. — Twoje strzały!

Odwraca się, żeby oszacować sytuację, i zdejmuję kołczan, kiedy dzieje się to, czego powinnam była się spodziewać. Małpa skacze z drzewa prosto na jego pierś, a ja nie mam już amunicji, nie zdołam zabić stwora z tej odległości. Słyszę, jak Finnick z głuchym trzaskiem przesywa ciało następnej ofiary i wiem, że teraz nie może nikomu pomóc, podobnie jak Peeta, który właśnie usiłuje ściągnąć kołczan. Rzucam nożem w zbliżającego się zmiecha, ale ten robi fikołka, w ten sposób uchyla się przed ostrzem i podąża dalej do celu.

Bezbronna, bezradna, robię jedyną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy. Gnam, aby z rozpędu powalić Peetę na ziemię i ochronić go własnym ciałem, choć wiem, że nie zdążę na czas. Ona jednak zdąża. Mam wrażenie, że materializuje się z nicości, w jednej sekundzie jej nie ma, a w następnej pojawia się przed Peetą. Cała we krwi, otwiera usta do przerażającego pisku, a jej źrenice są tak olbrzymie, że oczy przypominają czarne dziury. Szalona morfalinistka z Szóstego Dystryktu wyrzuca w górę anorektyczne ręce, jakby pragnęła objąć małpę, a ta zatapia kły w jej piersi.

Peeta upuszcza kołczan, wbija nóż w plecy małpy i dźga raz za razem, tak długo, aż zmiech rozwiera w końcu szczękę. Wtedy Peeta posyła go kopniakiem na bok i przygotowuje się do rozprawy z następnymi stworami. Mam już jego strzały, napinam cięciwę, a Finnick ciężko dyszy za moimi plecami, lecz nie walczy z napastnikami.

— Chodźcie tu! — ryczy Peeta z wściekłością. — Chodźcie do mnie!

Coś dziwnego stało się jednak z małpami. Wycofują się, umykają na drzewa i zaszywają się w dżungli, zupełnie jakby niesłyszalny głos nakazał im odwrót. Rzecz jasna, to głos organizatora igrzysk, który decyduje, że na razie wystarczy.

— Zabierz ją stąd — mówię do Peety. — Będziemy cię osłaniali.

Delikatnie podnosi morfalinistkę i niesie ją przez kilka metrów na plażę, a ja i Finnick trzymamy broń w pogotowiu, lecz nie widzimy żadnych małp poza pomarańczowymi trupami na ziemi. Kiedy Peeta kładzie ranną na piasku, przyklękam obok niej i rozcinam materiał na jej piersi, odsłaniając cztery klute głębokie rany. Krew sączy się z nich powoli, przez co nie wyglądają na śmiertelne, choć w rzeczywistości najpoważniejsze obrażenia to te wewnętrzne. Oceniam rozmieszczenie ran i nabieram pewności, że bestia uszkodziła organy niezbędne do życia, może płuco albo nawet serce.

Wychudzona kobieta leży na piasku, otwiera i zamyka usta niczym ryba wyciągnięta z wody. Jej obwisła skóra ma chorobliwie zielonkawy odcień, a żebra wystają jak u zmarłego z głodu dziecka. Z całą pewnością stacją było najedzenie, ale zmieniła się w morfalinistkę, tak jak Haymitch zmienił się w pijaka. Jest całkowicie wyniszczona, zrujnowała ciało i życie, a jej oczy wydają się puste. Trzymam ją za wstrząsaną dreszczami dłoń i sama nie wiem, czy skurcze są skutkiem trucizny, która zaatakowała nasz układ nerwowy, wstrząsu wywołanego atakiem, czy też brakiem dostępu do narkotyku, podstawy jej wyżywienia. Nic nie możemy zrobić, pozostaje nam tylko czuć przy niej, aż umrze.

— Będę obserwował drzewa — proponuje Finnick i odchodzi. Też chciałabym odejść, ale uścisk dłoni morfalinistki jest tak mocny, że musiałabym odrywać jej palce, a nie mam siły na takie okrucieństwo. Przypominam sobie Rue i myślę, że mogłabym coś zaśpiewać, jednak nawet nie znam imienia tej kobiety i nie mam pojęcia, czy w ogóle lubi muzykę. Wiem tylko tyle, że umiera.

Peeta przykuca po drugiej stronie i głaszcze ją po włosach, a potem zaczyna przemawiać do niej spokojnym głosem. Jego słowa wydają się niemal absurdalne, ale nie dla mnie.

— Mam w domu pudełko z farbami, z których potrafię stworzyć każdy możliwy kolor — opowiada. — Na przykład róż, blady jak skóra niemowlęcia albo mocny jak rabarbar. Umieć wymieszać zieleń w odcieniu wiosennej trawy i błękit błyszczący jak lód na wodzie.

Morfalinistka wpatruje się w oczy Peety i uważnie słucha.

— Któregoś razu spędziłem trzy dni na łączeniu farb, aby uzyskać odpowiedni odcień światła słonecznego na białym futrze. Długo sądziłem, że chodzi o zwykłą żółć, ale to było znacznie bardziej skomplikowane. Musiałem nakładać wiele warstw rozmaitych barw, jedną po drugiej — wspomina Peeta.

Oddech morfalinistki zwalnia, staje się płytki i niespokojny. Wolną ręką rozmazuje krew na klatce piersiowej, kreśląc drobne zawijasy, które tak lubiła.

— Jeszcze nie rozgryzłem tęczy, bo pojawia się nagle i szybko znika, i zawsze brakuje mi czasu na to, żeby którąś uchwycić. Ledwie zdążę nałożyć trochę niebieskiego tu, trochę fioletu tam, i już po tęczy, rozplywa się w powietrzu — skarży się Peeta.

Morfalinistka wydaje się zauroczona opowieścią, całkiem jakby Peeta wprowadził ją w trans. Unosi drżącą dłoń i maluje mu na policzku coś, co ma chyba przypominać kwiatek

— Dziękuję — szepcze Peeta. — Jest piękny.

Na twarzy kobiety przez moment widzę szeroki uśmiech. Z jej ust wydobywa się cichy pisk, a umorusana krwią ręka opada z powrotem na pierś. Oddycha po raz ostatni, po chwili słyszymy huk armaty. Zaciśnięta na moich palcach dłoń wiotczeje.

Peeta przenosi zwłoki do wody, po czym wraca i siada obok mnie, a morfalinistka unosi się na powierzchni, ku Rogowi Obfitości. Nadlatuje poduszkowiec, z którego wysuwa się czteroramienny chwytak. Obejmuje ciało, unosi je w nocne niebo i zapada cisza. Wtedy dołącza do nas Finnick, w jego pięści widzę pęk moich strzał, jeszcze mokrych od małpiej krwi. Rzuci je na piasek obok mnie.

— Pomyślałem, że pewnie ci się przydadzą.

— Dzięki — mówię i wchodzę do wody, żeby zmyć posokę z broni i z ran. Kiedy wracam do dżungli po mech, aby się osuszyć, nie widzę już ani jednego małpiego trupa.

— Co się z nimi stało? — dziwię się.

— Nie bardzo wiemy. Pnącza zaszeleściły i ciała znikły — objaśnia Finnick.

Wyczerpani, w milczeniu obserwujemy dżunglę. Wokoło panuje spokój i zauważam, że chore miejsca na mojej skórze, na które opadły drobiny mgły, są już pokryte strupami i przestały boleć, ale za to okropnie swędzą. Usiłuję przekonać samą siebie, że to dobry znak, że rany się goją. Zerkam na Peetę oraz Finnicka i przez chwilę patrzę, jak obaj drapią się po twarzach. Cóż, tej nocy nawet uroda Finnicka poważnie ucierpiała.

— Lepiej się nie drapcie — ostrzegam ich. Choć sama marzę o przejechaniu paznokciami po strupach, wiem, że właśnie takiej rady udzieliłaby mi mama. — Doprowadzicie do zakażenia. Myślicie, że możemy bezpiecznie wrócić po wodę?

Cofamy się do drzewa, w którym Peeta wyciął otwór. Zabiera się do instalowania sączka, podczas gdy ja stoję u boku Finnicka i oboje szykujemy się do odparcia ataku, ale tym razem nic nam nie zagraża. Peeta natrafił na dobry kanał, więc ciepła woda leje się z tulejki, a my najpierw pijemy, a potem się nadstawiamy, żeby obmyć swędzące ciała. Na koniec napełniamy kilka muszli i wracamy na plażę.

Nadal panują ciemności, choć do świtu brakuje zapewne tylko kilku godzin, chyba że organizatorzy postanowili inaczej.

— Może się prześpicie? — proponuję. — A ja przez pewien czas postoję na straży.

— Nie, Katniss, wołałbym sam się tym zająć — protestuje Finnick. Przez chwilę patrzę mu w oczy, obserwuję jego twarz i dociera do mnie, że z najwyższym trudem powstrzymuje się od płaczu. Chodzi o Mags, oczywiście. Mogę zrobić dla niego przynajmniej tyle, że pozostawię go samego, aby ją spokojnie opłakał.

— W porządku, Finnick, dzięki — mówię i kładę się na piasku razem z Peetą, który momentalnie zasypia. Ja wpatruję się w przestrzeń i rozmyślam o tym, jak wiele może się zmienić przez jeden dzień. Zaledwie wczoraj rano Finnick widniał na mojej liście osób do odstrzału, teraz jednak jest moim strażnikiem, kiedy zasypiam. Uratował Peetę, nie zaprote-
stował, kiedy umierała Mags, a ja nie wiem dlaczego. Mam tylko świadomość, że nigdy nie uda mi się spłacić długu. W tej chwili mogę tylko zasnąć i pozwolić mu cierpieć w spokoju, więc właśnie to robię.

Kiedy rankiem otwieram oczy, Peeta nadal leży obok mnie, a nad nami wisi mata z trawy, podczepiona do gałęzi, aby chronić nasze twarze przed Słońcem. Siadam i orientuję się, że Finnick nie próżnował: dwie plecione miski wypełnione są świeżą wodą, w trzeciej znajduje się sterta morskich skorupiaków, a on sam siedzi na piasku i rozłupuje je kamieniem.

— Świeże są najsmaczniejsze — zapewnia mnie, odrywa z muszli kęs mięsa i wrzuca go do ust.

Nadal ma zapuchnięte oczy, ale udaję, że nic nie widzę. Czuję zapach jedzenia, zaczyna mi burczeć w brzuchu, więc sięgam po małża i nieruchomieję na widok uwalanych krwią paznokci. Przez sen rozdrapałam rany do żywego mięsa.

— Lepiej uważaj, bo od drapania może ci się wdać zakażenie — zauważa Finnick.

— Słyszałam, że tak bywa — wzdycham i wchodzę do słonej wody, żeby zmyć krew. Sama nie wiem, co jest okropniejsze: ból czy swędzenie. Mam dosyć jednego i drugiego, więc wracam na plażę i podnoszę głowę.

— Ej, Haymitch — warczę. — Jeśli nie jesteś zbyt pijany, to mógłbyś nam podesłać co nieco na skórę.

To wręcz zabawne, że spadochron od razu pojawia się nade mną. Wyciągam rękę i na mojej otwartej dłoni ląduje tubka z lekarstwem.

— Najwyższy czas — komentuję, ale nie jestem w staniej dłużej groźnie marszczyć brwi. Haymitch. Sporo bym dała za pięć minut rozmowy.

Opadam na piasek obok Finnicka i odkręcam tubkę, w której znajduje się gęsta, ciemna maść o ostrej woni smoły i sosnowych igieł. Marszczę nos, gdy wyciskam odrobinę maści na dłoń i wsmarowuję w nogę. Z moich ust wydobywa się jęk ulgi, bo choć pokryta strupami skóra przybiera upiorny, szarzielony kolor, swędzenie momentalnie znika. Zabieram się do smarowania drugiej nogi, po czym rzucam tubkę Finnickowi, który obserwuje mnie z powątpiewaniem.

— Wyglądasz, jakbyśgniła — mówi, ale swędzenie bierze górę, bo po chwili wahania i on zaczyna smarować się lekarstwem. Fakt, maść na strupach daje odrażający efekt. Nic nie poradzę na to, że bawi mnie jego nieszczęśliwa mina.

— Biedactwo — wzdycham z udawanym współczuciem. — Chyba pierwszy raz w życiu nie wyglądasz ładnie, co?

— Na pewno — burczy. — To zupełnie nowe doznanie. Jak sobie z nim radziłaś przez tyle lat?

— Wystarczy trzymać się z dala od luster. Zapomnisz — odpowiadam.

— Nie zapomnę, jeśli będę patrzył na ciebie — odcina się.

Smarujemy wszystkie strupy, nawet nawzajem wcieramy sobie maść w plecy, tam gdzie nie chroniły nas podkoszulki.

— Obudzę Peetę — postanawiam.

— Nie, czekaj — powstrzymuje mnie Finnick. — Spróbujemy razem. Nachylimy się nad nim.

Mam tak mało okazji do zabawy, że się zgadzam. Stajemy po obu stronach Peety, pochylamy tak, żeby nasze twarze znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jego nosa, i wtedy nim potrząsam.

— Peeta, Peeta, obudź się — mówię cichym, śpiewnym głosem.

Otwiera oczy i nagle zrywa się jak oparzony.

— Aaa! — wrzeszczy, a ja i Finnick zwalamy się na piasek i ryczymy ze śmiechu. Za każdym razem, gdy próbujemy się uspokoić, patrzymy na Peetę, który raz po raz posyła nam pełne niesmaku spojrzenia, i znowu wybuchamy śmiechem. W końcu bierzemy się w garść i przychodzi mi do głowy, że Finnick Odair jest całkiem w porządku, a przynajmniej nie tak nadęty i próżny, jak mi się wydawało. W gruncie rzeczy to całkiem fajny facet. Gdy tylko dochodzę do tego wniosku, obok ląduje spadochron ze świeżym chlebem. Przypominam sobie, że w zeszłym roku prezenty od Haymitcha zjawiały się w takich chwilach, że bym wyciągnęła wnioski, więc i teraz zapamiętuję: „Przyjaźnij się z Finnickiem, to dostaniesz żywność”.

Finnick obraca bochenek w dłoniach trochę zbyt zaborczo. Nie musi tego robić tak demonstracyjnie, i tak skórka ma zielonkawy odcień, charakterystyczny dla pieczywa z Czwartego Dystryktu. Wszyscy wiemy, że chleb należy do niego. A może po prostu uświadomił sobie, jak bardzo jest cenny, a także to, że być może to jego ostatni bochenek w życiu. Niewykluczone też, że skórka kojarzy mu się z Mags.

— Dobrze smakuje z owocami morza — mówi tylko i odkłada chleb.

Pomagam Peecie wmasować maść w skórę, a Finnick sprawnie czyści mięso skorupiaków. Potem siadamy razem i delektujemy się pysznym, słodkim smakołykiem, który zagryzamy słonym chlebem z Czwórki. Wyglądamy upiornie, bo lekarstwo sprawia, że część strupów zaczęła odłazić, ale cieszę się z jego otrzymania. Nie tylko nie musimy wytrzymywać nieznośnego swędzenia, lecz w dodatku mamy zapewnioną ochronę przed palącym, białym Słońcem na różowym niebie. Z pozycji tarczy słonecznej wnioskuję, że jest około dziesiątej, czyli na arenie w przybliżeniu jesteśmy już przez dobę. Zginęło jedenaścioro z nas, trzynaścioro pozostaje przy życiu. Gdzieś w dżungli ukrywa się jeszcze dziesięciu trybutów, w tym trzech lub czterech zawodowców. Nawet nie mam ochoty przypominać sobie, kim są pozostali.

Z mojej perspektywy dżungla w krótkim czasie przeobraziła się z kryjówki w zdradliwą pułapkę. Wiem, że w pewnym momencie będziemy musieli ponownie do niej wkroczyć, albo na polowanie, albo uciekając przed zagrożeniem, ale na razie zamierzam trzymać się naszego skrawka plaży. Poza tym chwilowo ani Peeta, ani Finnick nie sugerują nic innego. Tymczasem dżungla wydaje się niemal nieruchoma, słyszymy jej cichy pomruk, widzimy, jak błyszczą, ale nie dostrzegamy żadnego niebezpieczeństwa. Nagle, gdzieś daleko rozlega się wrzask, a klin dżungli po przeciwnej stronie Rogu Obfitości zaczyna wibrować. Wysoko na grzbiecie wzgórza powstaje gigantyczna fala, która pochłania drzewa i z potężnym rykiem wali się w dół zbocza. Siła uderzenia jest tak ogromna, że choć znajdujemy się po drugiej stronie zbiornika, spieniona woda zalewa plażę na wysokość kolan i porywa nasz skromny dobytek. We trójkę wyławiamy utracone przedmioty. Na szczęście udaje nam się odzyskać wszystko z wyjątkiem przeżartych przez chemikalia kombinezonów, podziurawionych do tego stopnia, że nikomu na nich nie zależy. Słyszymy huk armaty, a tam, gdzie pojawiła się fala, zawisa poduszkowiec i wyluskuje zwłoki spośród drzew. Dwanaście, myślę.

Okrągły akwen pochłonał gigantyczną falę i teraz powoli się uspokaja, więc porządkujemy rzeczy na mokrym piasku i właśnie mamy usiąść, kiedy ich zauważam. Trzy sylwetki wyłaniają się chwiejnym krokiem z dżungli, w odległości mniej więcej dwóch szprych od nas.

— Tam — odzywam się cicho i ruchem głowy wskazuję przybyszów. Peeta i Finnick spoglądają w ich kierunku, po czym zgodnie, jakbyśmy się wcześniej umówili, znikamy w cieniu drzew.

Trójka nieznajomych jest w kiepskiej kondycji, widać to na pierwszy rzut oka. Jeden wlecze za sobą drugiego, a trzeci zatacza się chwiejnie, jakby postradał zmysły. Wszyscy są czerwoni niczym cegły — wygląda to tak, jakby ktoś zanurzył ich w farbie i zostawił do wyschnięcia.

— Kto to taki? — zdumiewa się Peeta. — Albo co? Zmieszańce?

Napinam łuk i przygotowuję się do odparcia ataku, a tymczasem ten, który nie potrafi ustać o własnych siłach, osuwa się na piasek. Stworzenie, które go wlokło, z frustracją tupie nogą i w przyplwywie irytacji agresywnie popycha krążącego w koło, oszalałego towarzysza tak gwałtownie, że ten się przewraca. Finnick momentalnie się rozpogadza.

—Johanna! — woła i rusza pędem do czerwonych istot.

— Finnick! — krzyczy Johanna w odpowiedzi. Wymieniam spojrzenia z Peetą.

— Co teraz? — pytam zwięźle.

— Raczej nie możemy zostawić Finnicka — zauważa.

— Skoro nie, to chodźmy— zgadzam się niechętnie, bo gdybym miała sporządzić listę sprzymierzeńców, Johanna Mason z pewnością by na nią nie trafiła. Brniemy przez piasek do Finnicka i Johanny, a gdy jesteśmy dostatecznie blisko, kompletnie zdezorientowana rozpoznaję jej towarzyszy. To Beetee leży na plecach, a Wiress, która zdążyła wstać, ponownie zatacza koła. —Johanna przyprowadziła Wiress i Beetee'ego.

— Pokręt i Wolta? — Peeta wydaje się zdumiony podobnie jak ja. — Muszę wiedzieć, jak to się stało.

Kiedy podchodzimy, Johanna pokazuje ręką dżunglę i bardzo szybko mówi coś do Finnicka.

— Myśleliśmy, że to deszcz, bo przecież waliły pioruny, a wszyscy umieraliśmy z pragnienia, ale kiedy się rozpadało, to zobaczyliśmy, że z nieba leci krew, gęsta i gorąca. Nic nie było widać, i nawet nie mogliśmy nic powiedzieć, bo od razu wypełniała nam usta. Kręciliśmy się bez sensu, żeby jakoś uciec, i wtedy Blight władował się na pole siłowe.

— Przykro mi, Johanna — wzdycha Finnick, a ja przez moment usiłuję sobie przypomnieć, kim był Blight. Wydaje mi się, że to partner Johanny z Siódmego Dystryktu, ale nie przypominam sobie, bym go kiedykolwiek widziała. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że wcale nie pojawił się na szkoleniu.

— No tak, niewiele był wart, ale przyjechaliśmy tu razem — ubolewa. — Na dodatek zostawił mnie samą z tą dwójką... — Końcem buta szturcha na wpeł przytomnego Beetee'ego. — Dostał nożem w plecy przy Rogu Obfitości, a ona... Wszyscy spoglądamy na Wiress, która wciąż krąży dookoła, umorusana krwią.

— Tik-tak. Tik-tak — mamrocze bez końca.

— Wiemy, wiemy — warczy Johanna. — Tik-tak, tik-tak, rozum Pokręt trafił szlag.

Te słowa najwyraźniej przykuwają uwagę Wiress, która skręca ku Johannie, na co ta odpychają z całej siły i przewraca.

— Leż i nie wstawaj, dobra? — syczy.

— Odczep się od niej — rozkazuję ostro.

Johanna mruży brązowe oczy i patrzy na mnie z nienawiścią.

— Mam się od niej odczepić? — Podchodzi do mnie i zanim zdążę zareagować, policzkuje mnie tak mocno, że gwiazdy stają mi przed oczami. — Jak ci się wydaje, kto ich wyciągnął dla ciebie z tej krwawej dżungli? Ty... — Nie kończy, bo Finnick przerzuca ją przez ramię, i choć Johanna wije się jak piskorz, zanoszą ją do wody i kilka razy zanurza, nie zważając na wyjątkowo paskudne obelgi wyrzaskiwane pod moim adresem. Mimo to nie strzelam, po pierwsze dlatego, że jest z Finnickiem, a po drugie dlatego, że powiedziała o Wiress i Beetee'em, że wyciągnęła ich dla mnie.

— O co jej chodziło z tym wyciąganiem ich dla mnie? — Spoglądam na Peetę ze zdumieniem.

— Nie wiem. Z początku chciałaś zawrzeć z nimi sojusz — przypomina mi.

— No tak, chciałam, z początku — przyznaję, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Patrzę na bezwładne ciało Beetee'ego. — Ale wkrótce nic z nich będzie, jeśli czegoś nie zrobimy.

Peeta bierze Beetee'ego na ręce, a ja chwytam Wiress za nadgarstek i wracamy do obozowiska na plaży. Siedzimy na płyciźnie, żeby się trochę umyła, ale ona tylko zaciska dłonie i od czasu do czasu mamrocze „Tik-tak”. Rozpinam pas Beetee'ego i widzę z boku przywiązany pęczkami ciężki, metalowy cylinder. Nie potrafię powiedzieć, do czego służy, ale skoro Beetee uznał ten przedmiot za wartościowy, ja na pewno go nie wyrzucę. Ciskam pas na piach i zastanawiam się, co dalej, bo zakrwawione ubranie przylepiło się do ciała Beetee'ego. Ostatecznie Peeta przytrzymuje go w wodzie, a ja powoli ściągam z niego kombinezon i wtedy okazuje się, że również bielizna przesiąkła krwią. Nie mamy wyboru, musimy rozebrać Beetee'ego do naga i dopiero wtedy umyć, ale muszę przyznać, że ta perspektywa nie robi już na mnie większego wrażenia. W tym roku przez nasz kuchenny stół przewinęło się tylu gołych mężczyzn, że po pewnym czasie przywykłam do ich widoku.

Rozpościeramy na piasku matę Finnicka, a na niej kładziemy Beetee'ego, żebyśmy mogli obejrzeć mu plecy. Rana po cięciu nożem ma długość niecałych dwudziestu centymetrów i biegnie od łopatki w dół, kończąc się poniżej ostatniego zebra. Co prawda nie jest zbyt głęboka, ale doszło do znacznej utraty krwi, co widać na pierwszy rzut oka, bo Beetee jest bledy jak kreda. Na domiar złego krwotok jeszcze nie całkiem ustał.

Przykucam na piętach i usiłuję zebrać myśli. Co mam do dyspozycji? Morską wodę? Czuję się jak mama, kiedy jej podstawowym medykamentem na wszelkie dolegliwości był śnieg. Spoglądam na dżunglę ze świadomością, że znajduje się tam cała apteka lekarstw, o ile się umie z niej korzystać. Rzecz w tym, że nie znam tutejszej roślinności. Potem przypominam sobie o mchu, który Mags podała mi do wydmuchania nosa.

— Zaraz wracam — mówię do Peety i wkrótce przekonuję się z zadowoleniem, że mchu w dżungli nie brakuje. Z pobliskich drzew zbieram naręczę i zanoszę z powrotem na plażę, gdzie robię z niego gruby okład, przyciskam go do rany i obwiązuję pęczkami, które owijam wokół tułowia Beetee'ego. Na koniec poimy go wodą i przeciągamy do cienia na skraju dżungli.

— To chyba wszystko, co możemy zrobić — zauważam.

— Zrobiłaś dużo. Dobrze ci idzie leczenie ludzi — chwali mnie Peeta. — Masz to we krwi.

— Niezupełnie. — Kręcę głową. — Odziedziczyłam krew po ojcu. — Jestem o tym przekonana, bo serce bije mi szybciej podczas polowania niż w trakcie epidemii. — Sprawdzę, co z Wiress.

Biorę garść mchu, którego chcę użyć zamiast ściereczki, i wchodzę do płytkiej wody, gdzie nadal siedzi Wiress. Nie protestuje, gdy ściągam z niej ubranie i szoruję skórę, aby zeszła krew, lecz w jej szeroko otwartych oczach widzę strach. Odzywam się do niej, ale nie odpowiada, tylko coraz natarczywiej powtarza: „Tik-tak”. Mam silne wrażenie, że pragnie mi coś przekazać, ale bez Beetee'ego jestem w kropce.

— Tak. Tik-tak, tik-tak — zgadzam się i chyba ją trochę uspokajam. Piorę kombinezon tak długo, aż nie zostaje na nim nawet najmniejsza plamka krwi, a potem pomagam Wiress włożyć go z powrotem. W przeciwieństwie do naszych, nie jest zniszczony, pas też nie, więc go zapinam. Bieliznę Wiress i Beetee'ego dociskam kamieniami i pozostawiam w wodzie, żeby odmokła.

Kończę opłukiwać kombinezon Beetee'ego, kiedy dołączają do nas Lśniaca czystością Johanna i łuszczący się Finnick. Johanna przez pewien czas łąpczywie pije wodę i opycha się owocami morza, podczas gdy ja próbuję skłonić Wiress do przełknięcia czegokolwiek. Finnick opowiada o mgłę i małpach niemal całkiem beznamiętnym głosem, a do tego całkowicie przemilcza najważniejszy szczegół.

Wszyscy chcą stanąć na warcie, żeby tylko reszta mogła odpocząć, ale ostatecznie na nogach pozostają tylko dwie osoby, Johanna i ja. Jeśli o mnie chodzi, jestem wypoczęta, a ona najzwyczajniej nie chce się położyć. W rezultacie obie siedzimy na plaży i milczymy w oczę-

kiwaniu, aż inni zasną. Johanna dla pewności zerka na Finnicka, a potem patrzy na mnie z uwagą.

— Jak straciliście Mags?

— We mgle. Finnick dźwigał Peetę, a ja przez pewien czas niosłam Mags, ale potem nie byłam w stanie jej utrzymać. Finnick powiedział, że nie da rady przenieść obojga, więc go pocałowała i poszła prosto w truciznę — opowiadam.

— Była mentorką Finnicka, jak wiesz — oświadcza Johanna oskarżycielsko.

— Nie, nie wiedziałam.

— Traktował ją niemal tak jak członka rodziny — dodaje po chwili, ale mniej zjadliwie. Patrzymy, jak woda przelewa się nad bielizną.

— Co właściwie robiłaś w towarzystwie Pokręt i Wolta?

— Już mówiłam, przyprowadziłam ich dla ciebie. Haymitch powiedział, że jeśli mamy być sojusznikami, to muszę ich do ciebie doprowadzić — tłumaczy. — To mu zakomunikowałaś, prawda?

Skąd, zaprzeczam w myślach, ale potakuję.

— Dzięki. Jestem ci zobowiązana.

— Mam nadzieję. — Wbija we mnie wzrok pełen nienawiści, zupełnie jakbym była największą kulą u nogi w całym jej życiu. Zastanawiam się, czy tak by było, gdybym miała starszą i nieznoszącą mnie siostrę.

— Tik-tak — słyszę za plecami. Odwracam się i widzę, że Wiress podeszła do mnie na czworakach, ze wzrokiem wbitym w dżunglę.

— Och, świetnie, wróciła. No dobrze, idę spać. Ty i Pokręt możecie stróżować razem — oświadcza Johanna, rozgląda się i ochoczo pada na piasek obok Finnicka.

— Tik-tak — szepcze Wiress, a ja prowadzę ją, stawiam przed sobą i układam do snu. Zasypia, kiedy głaszczę ją kojąco po ręce, ale przez sen porusza się niespokojnie i od czasu do czasu wzdycha, wypowiadając ulubione „tik-tak”.

— Tik-tak — zgadzam się cicho. — Pora spać. Tik-tak. Zasypiamy.

Słońce wschodzi i wędruje po niebie, aż w końcu znajduje się bezpośrednio nad nami. Z roztargnieniem myślę, że na pewno jest południe, co i tak nie ma znaczenia. Po drugiej stronie zbiornika, nieco z prawej, widzę gigantyczny błysk, kiedy piorun uderza w drzewo, sygnalizując początek następnej burzy elektrycznej, dokładnie w tym samym miejscu co ubiegłej nocy. Przychodzi mi do głowy, że ktoś wszedł w rejon wyładowań i uruchomił atak. Przez pewien czas siedzę, zajęta obserwacją błyskawic i uspokajaniem Wiress, która zapadła w odrętwienie, ukojona chłupotem wody. Rozmyślam o ostatniej nocy, kiedy pioruny uderzyły na krótko po dwunastu uderzeniach dzwonu.

— Tik-tak — oznajmia Wiress i na moment wynurza się do stanu świadomości, by zaraz potem ponownie pogrążyć się w otępieniu.

Dwanaście uderzeń zabrzmiało wczoraj wieczorem, zupełnie jakby wybiła północ, a potem pojawiły się błyskawice. Teraz Słońce wisi nam nad głowami, czyli chyba jest południe, i znowu pioruny przecinają niebo. Powoli wstaję i rozglądam się po arenie. Nad tamtym klinem się błyska, przez sąsiedni przetoczyła się krwawa nawałnica, która dopadła Johannę, Wiress i Beetee'ego. My trafiliśmy do trzeciego, kolejnego klina, gdzie wystąpiła mgła, a gdy tylko się cofnęła, czwarty segment opanowały małpy. Tik-tak. Odwracam głowę w drugą stronę. Dwie godziny temu, około dziesiątej, przez drugi segment po lewej stronie klina, teraz pełnego błyskawic, przetoczyła się fala. Pioruny pojawiły się w południe, o północy i znowu w południe.

— Tik-tak — odzywa się Wiress przez sen. Kiedy błyskawice przygasają i po prawej stronie od nich rozpętuje się ulewa krwi, jej słowa nagle nabierają sensu.

— Och — mamrocę pod nosem. — Tik-tak. — Rozglądam się po całym okręgu areny i wiem, że ma rację. — Tik-tak. To jest zegar. Zegar. Niemal potrafię sobie wyobrazić

wskazówki sunące po podzielonej na dwanaście segmentów tarczy areny. O każdej pełnej godzinie rozpoczyna się nowy koszmar, organizatorzy igrzysk uruchamiają następną broń i kończą poprzedni kataklizm. Błyskawice, krwawa nawałnica, mgła i małpy tworzą pierwsze cztery godziny. Potem przetacza się fala. Nie mam pojęcia, co się dzieje przez pozostałych siedem godzin, ale wiem, że Wiress ma słuszość.

A na razie z nieba leje się krew, a my przebywamy na plaży za segmentem z małpami, jak na mój gust stanowczo zbyt blisko mgły. Czy każdy rodzaj broni Kapitulu ma zasięg ograniczony wyłącznie do dżungli? Niekoniecznie. Fala wykroczyła poza jej terytorium, więc równie dobrze to samo może uczynić mgła albo małpy, które zapewne powrócą...

— Wstawajcie — rozkazuję i szarpnię Peetę, Finnicka oraz Johannę, żeby się obudzili. — Wstawajcie, musimy stąd iść.

Mamy jednak dostatecznie dużo czasu, żebym wytłumaczyła im teorię zegara, wyjaśniła, dlaczego Wiress ciągle naśladuje tykanie, i jak ruch niewidzialnych wskazówek uruchamia maszynę do zabijania w każdym segmencie. Wydaje mi się, że przekonałam każdą przytomną osobę z wyjątkiem Johannę, która z założenia neguje wszystko, co powiem. Nawet ona przyznaje jednak, że lepiej dmuchać na zimne, niż potem cierpieć.

Moi towarzysze zbierają dobytek i wkładają Beetee'emu kombinezon, a ja budzę Wiress, która gwałtownie otwiera oczy.

— Tik-tak! — mówi spanikowana.

— Zgadza się, tik-tak, arena to cyferblat. Miałaś rację, Wiress, znajdujemy się na tarczy zegara.

Na jej twarzy maluje się ulga, chyba dlatego, że ktoś w końcu zrozumiał, o czym ona wiedziała zapewne od pierwszego bicia dzwonów.

— Północ.

— Zaczyna się o północy — potwierdzam.

W moim umyśle kiełkuje wspomnienie. Widzę zegar, a właściwie zegarek, który spoczywa na dłoni Plutarcha Heavensbee'ego. „Początek wyznaczono na północ”, oznajmił Plutarch, a potem kosogłós rozjarzył się i znikł. Dopiero teraz dochodzę do wniosku, że w ten sposób mógł mi dawać wskazówkę na temat konstrukcji areny. Tylko dlaczego miałyby to robić? W tamtym czasie nie było mowy o moim udziale w igrzyskach, ale może uznał, że ta informacja przyda mi się jako mentorce. Niewykluczone też, że wszystko, co robił, stanowiło część planu.

Wiress ruchem głowy wskazuje krwawą ulewę.

— Pierwsza trzydzieści — ocenia.

— Tak jest. Pierwsza trzydzieści. O drugiej napłynie tam straszna, trująca mgła — dodaję i wskazuję ręką pobliski skrawek dżungli. — Dlatego musimy teraz przenieść się w bezpieczne miejsce. — Uśmiecha się i posłusznie wstaje. — Chcesz się napić?

Podaję Wiress plecioną miskę, z której wypija około litra wody, zaś Finnick wręcza jej ostatni kawałek chleba, a ona łapczywie zaczyna go przeżuwać. To jasne, że pokonawszy niemożność porozumiewania się, ponownie zaczęła funkcjonować.

Sprawdzam broń, a potem kładę na spadochronie saszeczek oraz tubkę lekarstwa i powstałam w ten sposób sakiewkę przywiązuję pnączem do pasa. Beetee niewiele kojarzy, ale protestuje, gdy Peeta usiłuje go podnieść.

— Zwój.

— Jesteśmy tutaj sami sami — zapewnia go Peeta. — Pokręt jest też, nic jej się nie stało, ona również idzie.

Mimo to Beetee nie ustępuje.

— Zwój — upiera się.

— Och, wiem czego on chce — wtrąca Johanna niecierpliwie. Idzie przez plażę i podnosi cylinder, który przed kąpielą odwiązaliśmy mu od pasa. Jest w całości pokryty grubą

warstwą zakrzepłej krwi. — Potrzebuje tego bezwartościowego śmiecia, to jakiś drut czy coś. Właśnie z jego powodu jest ranny, bo biegł do Rogu Obfitości, żeby go zdobyć. Nie mam pojęcia, co to za broń, ale pewnie można oderwać kawałek i zrobić z tego garotę albo coś w tym stylu. Tylko czy wyobrażacie sobie, jak Beetee kogoś dusi?

— Dzięki drutowi zwyciężył w swoich igrzyskach, udało mu się zastawić elektryczną pułapkę — przypomina jej Peeta. — To najlepsza broń, jaką mógł zdobyć.

Nabieram podejrzeń, że Johanna doskonale o tym wiedziała, bo przecież potrafiłaby skojarzyć oczywiste fakty. Zachowuje się dziwnie.

— Można by sądzić, że sama na to wpadłaś — odzywam się do niej. — Skoro nazwałaś go Wolt.

Johanna wpatruje się we mnie i groźnie mruży oczy.

— Tak, strasznie to głupie z mojej strony, co? — warczy. — Chyba przestałam logicznie myśleć, bo musiałam utrzymywać przy życiu twoich małych przyjaciół. A ty w tym czasie... Co takiego robiłaś? Przyczyniałaś się do śmierci Mags?

Zaciskam palce na rękojeści noża u pasa.

— Śmiało — zachęca mnie Johanna. — Spróbuj swoich sił. Mam to gdzieś, że jesteś w ciąży, poderżnę ci gardło jak nic.

Wiem, że w tej chwili nie mogę jej zabić, ale sprawa między mną a Johanną rozstrzygnie się w najbliższych dniach. Jedna z nas musi wykończyć drugą.

— Może wszyscy powinniśmy bardziej uważać, w co się pakujemy — wtrąca się Finnick i posyła mi ostrzegawcze spojrzenie, a następnie bierze do ręki drut i kładzie go na piersi Beetee'ego. — Weź swój zwój, Wolt. Lepiej nie podłączaj go tam, gdzie nie potrzeba.

Peeta podnosi Beetee'ego, który już nie stawia oporu.

— Dokąd? — pyta lakonicznie.

— Chciałbym wrócić do Rogu i trochę się rozejrzeć, żeby sprawdzić, czy mamy rację w związku z tym zegarem — oświadcza Finnick. Ta propozycja wydaje mi się równie dobra jak każda inna, poza tym chętnie poszperałabym jeszcze w stercie broni. Jest nas sześcioro i nawet nie licząc Beetee'ego i Wiress, czwórka z nas to silni i sprawni zawodnicy. Sytuacja jest kompletnie inna niż w ubiegłym roku na tym etapie igrzysk. Wtedy wszystko musiałam robić sama, teraz mam sprzymierzeńców. Świetnie, tylko lepiej nie myśleć o tym, że w końcu trzeba będzie ich zabić.

Beetee i Wiress pewnie we własnym zakresie znajdą sposób na to, jak umrzeć, no bo niby jak sobie poradzą, gdybyśmy musieli przed czymś uciekać? Szczerze powiedziawszy, Johannę zabiłabym bez zmrżenia oka, gdybym musiała obronić Peetę, a nawet tylko po to, żeby raz na zawsze zamknąć jej usta. Tak naprawdę przydałby się ktoś, kto zdejmie za mnie Finnicka, bo raczej nie zdołam skończyć z nim osobiście po wszystkim, co zrobił dla Peety. Zastanawiam się nad wmanewrowaniem go w potyczkę z zawodowcami. Zgoda, to cyniczne z mojej strony, ale co mi zostało innego? Teraz, kiedy już wiemy o zegarze, Finnick zapewne nie umrze w dżungli, więc ktoś musi zabić go w boju.

Te rozważania budzą we mnie obrzydzenie, więc mój umysł nerwowo poszukuje innego tematu do przemyśleń, a jedyne, co skutecznie pozwala mi się oderwać od bieżącej sytuacji, to fantazjowanie o zabiciu prezydenta Snowa. Cóż, to raczej niezbyt przyjemne marzenia jak na siedemnastolatkę, ale przynajmniej dają mi mnóstwo satysfakcji.

Idziemy do najbliższego piaskowego pomostu i zbliżamy się do Rogu Obfitości, ostrożnie, na wypadek, gdyby ukrywali się tam zawodowcy. Osobiście wątpię, żebyśmy się na nich natknęli, bo spędziliśmy na plaży wiele godzin i nikt z nas nie dostrzegł tu żadnych oznak życia. Tak jak się spodziewałam, teren jest opuszczony i zastajemy tylko wielką, złocistą konstrukcję oraz stos przebranej broni. Beetee, którego Peeta kładzie w skrawku cienia pod Rogiem Obfitości, od razu przywołuje Wiress, a gdy ta przy nim kłeka, wręcza jej zwój drutu.

— Oczyść tę szpulę, dobrze? — prosi.

Wiress kiwa głową i w podskokach biegnie na brzeg, gdzie zanurza zwój w wodzie, cicho pośpiewując zabawną pioseneczkę o myszy, która wbiegła na zegar. To pewnie piosenka dla dzieci, ale śpiew chyba sprawia jej dużo przyjemności.

— O nie, tylko nie piosenka. — Johanna przewraca oczami. — Nuciała ją godzinami, zanim zaczęła tykać.

Nagle Wiress staje wyprostowana i wskazuje palcem dżunglę.

— Druga — oznajmia.

Spoglądam we wskazane miejsce i widzę ścianę mgły, która właśnie zaczęła sączyć się na plażę.

— Rzeczywiście, patrzcie, Wiress ma rację. Minęła druga i pojawiła się mgła.

— Jak w zegarku — przyznaje Peeta. — Bardzo inteligentnie to rozgryzłaś, Wiress.

Wiress się uśmiecha i wraca do swoich czynności — zanurza zwój w wodzie i śpiewa.

— Och, jest nie tylko inteligentna — wtrąca Beetee. — Wiress ma intuicję. — Wszyscy odwracamy głowy ku Beetee'emu, który najwyraźniej odzyskuje formę. — Przeczucie podpowiada jej, co się stanie. Jest jak kanarek w waszej kopalni.

— Co takiego? — Finnick patrzy na mnie pytająco.

— Chodzi o ptaka, którego zabieramy do kopalni, żeby nas ostrzegał przed złym powietrzem — objaśniam.

— I co robi, zdycha? — pyta Johanna.

— Na początku przestaje śpiewać. To znak, że trzeba się wynosić. Ale jeśli powietrze jest silnie trujące, kanarek umiera, rzecz jasna, a razem z nim ludzie. — Nie chcę rozmawiać o śmierci śpiewających ptaków, bo przypominają mi o tym, jak umarł tata, a także Rue i Maysilee Donner, po której mama odziedziczyła kanarka. No pięknie, teraz zebrało mi się na rozmyślania o Gale'u, który tkwi głęboko w tej okropnej kopalni, a do tego wisi nad nim groźba prezydenta Snowa. Tam w dole bardzo łatwo jest zaaranżować wypadek. Milczący kanarek, iskra i koniec. Ponownie skupiam się na rozmyślaniach o zabiciu prezydenta.

Mimo że Wiress ją wkurza, Johanna jest zadowolona jak nigdy dotąd na arenie. Kiedy uzupełniam zapasy strzał, ona przetrząsa stertę i w końcu wyciąga dwa groźnie wyglądające topory. Wybór nie wydaje mi się szczególnie trafny, ale zmieniam zdanie, gdy Johanna miota jednym z toporów z taką siłą, że zatapia go w zalanej Słońcem, złocistej powłoce Rogu Obfitości. No jasne, Johanna Mason pochodzi z Siódmego Dystryktu, który dostarcza drewno dla całego Panem. Mogłabym się założyć, że rzuciła siekierami już w dzieciństwie, ledwie stanęła na nogi. To dla niej naturalne, podobnie jak trójząb dla Finnicka, drut dla Beetee'ego oraz znajomość roślinności dla Rue. Dociera do mnie, że to jeszcze jeden problem, z którym trybuci z Dwunastego Dystryktu borykają się od lat. Nie podejmujemy pracy w kopalni przed osiemnastym rokiem życia, a tymczasem większość pozostałych zawodników bardzo wcześnie dowiaduje się czegoś o fachu swojego dystryktu. W kopalniach górnicy robią rzeczy, które mogłyby się okazać użyteczne na igrzyskach: machają kilofem, wysadzają to i owo w powietrze. W kopalni można się wyrobić, tak jak ja się wyrobiłam na polowaniach, ale w Dwunastce zbyt późno rozpoczynamy naukę.

Gdy zajmowałam się bronią, Peeta kuczał na ziemi i końcem noża wydrapywał coś na dużym, gładkim liściu przyniesionym z dżungli. Zaglądam mu przez ramię i widzę, że to mapa areny. W centralnym punkcie rysunku znajduje się Róg Obfitości — na piaszczystym okręgu z dwunastoma pasami, które promieniście rozchodzą się na wszystkie strony. Wygląda to tak, jakby ktoś podzielił placek na dwanaście jednakowych klinów. Peeta nie zapomniał o jeszcze jednym kole, symbolizującym wodę, a następnę, nieco większe, oznacza skraj dżungli.

— Spójrz, jak ustawili Róg Obfitości — odzywa się do mnie. Oglądam z uwagą rysunek konstrukcji i orientuję się, co Peeta ma na myśli.

— Węższy koniec wskazuje godzinę dwunastą — odpowiadam.

— Zgadza się. Czyli tutaj mamy wierzchołek naszego zegara. — Szybko wydrapuje liczby od jedynki do dwunastki na całym cyferblacie. — Od dwunastej do pierwszej mamy strefę rażenia piorunów. — Drobnymi literami wypisuje w odpowiednim segmencie słowo „błyskawice”, a następnie, zgodnie z ruchem wskazówek pisze w odpowiednich polach „krew”, „mgła” oraz „małpy”.

— Między dziesiątą a jedenastą przetacza się fala — dodaje i Peeta oznacza wskazany przeze mnie segment.

W tej samej chwili podchodzą do nas Finnick i Johanna, uzbrojeni po zęby. Mają trójzęby, topory i noże.

— Zauważyliście coś niezwykłego w innych segmentach? — pytam Johannę i Beetee'ego, bo być może widzieli coś, czego my nie byliśmy w stanie zobaczyć, choć zapamiętali tylko potop krwi. — Możemy spodziewać się wszystkiego.

— Zaznaczę te segmenty, w których broń organizatorów wychodzi poza granicę dżungli, żebyśmy się mieli na baczności — mówi Peeta i rysuje ukośne linie na plażach atakowanych przez mgłę oraz falę, po czym się prostuje. — No, w każdym razie wiemy znacznie więcej niż dzisiaj rano.

Zgodnie kiwamy głowami i wtedy zauważam zmianę. Panuje cisza, nasz kanarek przestał śpiewać. Nie czekam: od razu sięgam po strzałę, napinam łuk, obracam się i widzę ociekającego wodą Glossa, który puszcza bezwładną Wiress. Poderżnął jej gardło głęboko, na całej szerokości, co przypomina jaskrawoczerwony uśmiech. Zatapiam grot strzały w jego prawej skroni, a w ułamku sekundy, gdy załadowuję następną, Johanna przeszywa ostrzem pierś Cashmere. Jednocześnie Finnick odtrąca włócznię, którą Brutus cisnął w Peetę, a sam obrywa nożem Enobarii w udo. Gdyby napastnicy z Drugiego Dystryktu nie mogli schować się za Rogiem Obfitości, od razu położyłabym ich trupem, a tak muszę rzucić się za nimi w pościg. Bum! Bum! Bum! Huk armaty potwierdza, że nie ma już ratunku dla Wiress i nie trzeba dobijać ani Glossa, ani Cashmere. Razem z resztą okrążam Róg i ruszamy w pogoń za Brutusem i Enobarią, którzy gnają co sił w nogach po pomoście w kierunku dżungli. Ziemia mocno drży mi pod nogami, a siła wstrząsu jest tak ogromna, że posyła mnie prosto na piasek.

Koło, na którym stoi Róg Obfitości, zaczyna wirować szybko, naprawdę szybko, przez co dżungla dookoła zmienia się w jedno rozmazane pasmo zieleni. Siła odśrodkowa spycha mnie w kierunku wody, więc wbijam dłonie i stopy w piach, żeby mieć jakiś punkt oparcia na niestabilnym podłożu. Muszę mocno zacisnąć powieki, bo w powietrzu unosi się dokuczliwy pył, a w dodatku coraz mocniej kręci mi się w głowie. Nie mogę zrobić absolutnie nic, więc czekam, aż wreszcie karuzela gwałtownie się zatrzymuje, bez hamowania.

Kaszłąc i bliska wymiotów powoli siadam i widzę, że moi towarzysze są w takim samym stanie. Finnick, Johanna i Peeta utrzymali się na kole, ale ciała trojga martwych trybutów wpadły daleko w słoną wodę. Cała sytuacja, od umilknięcia Wiress do teraz, rozegrała się w czasie nieprzekraczającym dwóch minut. Wszyscy troje siedzimy teraz, ciężko dyszymy i wydłubujemy piasek z ust.

— Gdzie Wolt? — odzywa się Johanna i raptownie zrywamy się z ziemi. Na chwiejnych nogach okrążamy Róg i dociera do nas, że Beetee przepadł. Dopiero po chwili Finnick zauważa go i bez namysłu płynie mu z pomocą, bo Beetee wpadł do wody i rozpaczliwie macha rękami w odległości około dwudziestu metrów od nas. Wtedy przypominam sobie o zwoju drutu, z jakiegoś powodu niesłychanie ważnym dla Beetee'ego. Nerwowo rozglądam się na wszystkie strony. Gdzie on może być? Gdzie go widziałam ostatnio? Nagle zauważam szpulę, która wciąż pozostaje w zaciśniętych dłoniach Wiress, daleko na wodzie. Czuję gwałtowny skurcz w brzuchu, bo wiem, co muszę zrobić.

— Osłaniajcie mnie — mówię. Odrzucam broń i biegnę po pomoście, żeby dotrzeć możliwie jak najbliżej zwłok, a potem, nie zwalniając, daję nura i płynę prosto do Wiress.

Kątem oka dostrzegam poduszkowiec, który pojawił się nad nami i zaczął opuszczać kleszcze podnośnika, żeby zabrać trupa. Mimo to wytrwale młóczę toń rękami, jak najmocniej, i w końcu wpadam na jej ciało. Wynurzam się i gwałtownie nabieram powietrza, starając się nie połknąć wody czerwonej od krwi, która ciągle wypływa z otwartej rany na szyi. Wiress kołysze się na plecach, utrzymywana na powierzchni dzięki pasowi ratunkowemu, i martwym wzrokiem wpatruje się w nieustępliwe Słońce. Unoszę się przy niej jak korek i siłą wyrywam zwój z mocnego, pośmiertnego uścisku. Już nie mogę jej w żaden sposób pomóc, więc tylko zamykam jej powieki, wyszeptuję słowa pożegnania i odpływam. Kiedy wyciągam drut na piasek i wypęlam z wody, po zwłokach nie ma już śladu, ale w ustach nadal czuję słony smak morskiej wody zmieszanej z krwią.

Powoli wracam do Rogu Obfitości i widzę, że przyholowany przez Finnicka Beetee żyje, ale jest trochę podtopiony, więc teraz siedzi i się krztusi. Szczęśliwie miał dość oleju w głowie, żeby nie zgubić okularów, więc przynajmniej normalnie widzi. Kładę mu na kolanach szpulę, idealnie czystą, bez jednej plamki krwi, a on odwija fragment drutu i przeciąga go między palcami. Po raz pierwszy w życiu widzę taki metal, bladozłoty i cienki jak włos. Zastanawiam się, jakiej jest długości — na tak dużą szpulę z pewnością można nawinać wiele kilometrów drutu. O nic jednak nie pytam, bo wiem, że Beetee myśli o Wiress.

Patrzę na poważne twarze innych. Teraz Finnick, Johanna i Beetee nie mają już partnerów z własnych dystryktów. Podchodzę do Peety, obejmuję go i na pewien czas wszyscy pogrążamy się w ciszy.

— Wynośmy się z tej śmierdzącej wyspy — przerywa milczenie Johanna.

Musimy tylko zebrać broń, której w większości nie utraciliśmy. Na szczęście miejscowe pnącza są mocne, więc spadochron z sączkiem i tubką lekarstwa wciąż tkwi przy moim pasie. Finnick ściąga podkoszulek i obwiązuje go wokół niezbyt głębokiej rany po nożu Enobarii. Beetee dochodzi do wniosku, że jest w stanie samodzielnie maszerować, ale nie możemy narzucać zbyt szybkiego tempa. Pomagam mu wstać i postanawiamy przejść na plażę przy godzinie dwunastej, co powinno zapewnić nam kilka godzin spokoju i uchronić przed wszelkiego typu pozostałościami po truciznie. Następnie Peeta, Johanna i Finnick jednocześnie wyruszają w trzech różnych kierunkach.

— Idziemy tam, gdzie wypada dwunasta, tak? — odzywa się Peeta. — Czyli tam, gdzie jest skierowany koniec Rogu.

— Był skierowany — poprawia go Finnick. — Zanim zafundowali nam karuzelę. Powinniśmy kierować się pozycją słońca.

— Z pozycji słońca dowiesz się tylko tyle, że jest koło czwartej — zauważam.

— Moim zdaniem Katniss zakłada, że znajomość czasu niekoniecznie stanowi wskazówkę do określenia, gdzie na zegarze znajduje się godzina czwarta — mówi Beetee. — Dzięki obserwacji słońca można jedynie ogólnie zorientować się co do kierunku, a poza tym trzeba brać pod uwagę, że zewnętrzny okrąg dżungli również mógł zostać przesunięty.

Cóż, tak naprawdę Katniss zakłada coś nieporównanie prostszego. Beetee sformułował teorię, która znacznie wykracza poza treść mojej uwagi o słońcu, ale tylko kiwam głową, jakbyśmy doskonale się rozumieli.

— No właśnie — przytakuję. — Dlatego każda z tych ścieżek może prowadzić do godziny dwunastej.

Okrażamy Róg Obfitości i z frustracją przypatrujemy się dżungli. Wygląda denerwująco jednolicie. Przypominam sobie wysokie drzewo, w które o dwunastej uderzył pierwszy piorun, ale nad każdym segmentem góruje podobnie wielka roślina. Johanna postanowiła podążać śladami Enobarii i Brutusa, lecz woda i wiatr zatarły wszystkie tropy. Nie mamy żadnej możliwości zorientowania się w terenie.

— W ogóle nie powinnam była wspominać o zegarze — wzdycham z goryczą. — Teraz odebrali nam także tę przewagę.

— Tylko tymczasowo — zauważa Beetee. — O dziesiątej znowu zobaczymy falę i ponownie znajdziemy się na dobrym tropie.

— Właśnie — przyłącza się Peeta. — Przecież nie przerobią całej konstrukcji areny.

— To bez znaczenia — niecierpliwi się Johanna. — Musiałaś nam powiedzieć, ciemna maso, bo inaczej wcale nie przenieśliśmy obozu. — Jak na ironię, jej logiczna, choć obelżywa odpowiedź mnie pociesza. Rzeczywiście, musiałam im to powiedzieć, żeby się przenieśli. — No dobra, pić mi się chce. Ktoś ma przeczucie, którą drogę wybrać?

Wybieramy ścieżkę na chybił trafił i ruszamy przed siebie, nie mając pojęcia, do której godziny dojdziemy. Gdy docieramy do dżungli, ostrożnie zaglądamy między drzewa w poszukiwaniu oznak tego, co może nas czekać w środku.

— To na pewno godzina małp, a na horyzoncie nie widzę ani jednej — oświadcza Peeta. — Idę zainstalować sącdek.

— Nie, teraz moja kolej — protestuje Finnick.

— No to przynajmniej będę cię osłaniał. — Peeta nie daje za wygraną.

— Katniss sama sobie z tym poradzi, a ty musisz narysować nową mapę — przypomina mu Johanna. — Poprzednią porwała woda. — Zrywa z drzewa duży liść i wręcza go Peecie.

Na chwilę nabieram podejrzeń, że Johanna i Finnick usiłują nas rozdzielić i zabić, ale przecież to nie miałyby sensu. Będę miała przewagę nad Finnickiem, jeżeli zajmie się sączeniem i drzewem, a Peeta jest znacznie większy od Johanny. Dlatego też bez sprzeciwu podążam za Finnickiem jakieś piętnaście metrów w głąb tropikalnego lasu, gdzie znajduje odpowiednie drzewo, i zabiera się do wydłubywania nożem otworu.

Stoję z łukiem gotowym do strzału i nie potrafię wyzbyć się niepokojącej pewności, że o czymś nie wiem i że ma to ścisły związek z Peetą. Aby odkryć źródło czarnych myśli, przywołuję w pamięci kolejne sceny z pobytu na arenie, począwszy od uderzenia gongu. Najpierw Finnick odholował Peetę z metalowej tarczy, potem przywrócił mu życie po porażeniu polem siłowym i zatrzymaniu pracy serca. Później Mags wbiegła w mgłę, żeby Finnick mógł nieść Peetę, a morfalinistka osłoniła go własnym ciałem przed atakiem małpy. Potyczka z zawodowcami rozegrała się błyskawicznie, a Finnick i tak zdążył ochronić Peetę przed włócznią Brutusa, choć przypłacił to raną od noża Enobarrii. Nawet teraz Johanna wołała, żeby narysował mapę na liściu i nie narażał się na nieznane niebezpieczeństwa w dżungli... Bez wątplenia, z całkowicie niewyobrażalnych dla mnie powodów, część zwycięzców usiłuje utrzymać go przy życiu za wszelką cenę. Nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia, bo po pierwsze, to mój obowiązek, a po drugie, to nie ma sensu. Tylko jedno z nas wyjdzie z igrzysk żywe, więc dlaczego objęły ochroną Peetę? Co takiego powiedział im Haymitch, co im zaproponował, że zgodzili się przedłożyć życie Peety ponad własne? Ja mam konkretne powody, żeby utrzymać go przy życiu. Przede wszystkim jest moim przyjacielem, a poza tym chcę postawić się Kapitolowi i podkopać sens tych koszmarnych igrzysk. Gdybym jednak nie była z nim osobiście związana, co takiego mogłoby mnie skłonić do ratowania mu życia kosztem własnego? Z całą pewnością jest odważny, ale nam wszystkim nie brakuje odwagi, skoro przeżyliśmy turniej. Nie sposób nie dostrzec naturalnej dobroci Peety, niemniej... Nagle uświadamiam sobie, co takiego Peeta potrafi robić znacznie lepiej od nas. Ma dar dobierania właściwych słów, przecież podczas obu wywiadów przyćmił resztę trybutów. Może dzięki wewnętrznej dobroci potrafi poruszyć tłumy, nawet cały kraj, i jednym zdaniem skłonić ludzi do opowiedzenia się po jego stronie.

Przypominam sobie, że kiedyś doszłam do wniosku, że właśnie taką umiejętnością powinien dysponować przywódca naszej rewolucji. Czyżby Haymitch przekonał o tym innych trybutów? Czy dał im do zrozumienia, że język Peety jest znacznie potężniejszą bronią w walce z Kapitolem niż siła fizyczna wszystkich nas razem wziętych? Tego nie wiem, ale wydaje mi się, że dla niektórych zawodników oznaczało to poważną przemianę intelektualną.

Przecież doświadczyła jej nawet Johanna Mason. Jakie inne powody mogły ich skłonić do zbiorowej ochrony Peety?

— Katniss, masz ten sączek? — Pytanie Finnicka przywołuje mnie do rzeczywistości. Odcinam pnącze, którym przywiązałam sączek do pasa, i podaję Finnickowi metalową tulejkę.

Nagle słyszę wrzask, przepełniony strachem i bólem do tego stopnia, że niemal ścina mi krew w żyłach. Doskonale znam ten głos. Rzucam sączek, zapominam, gdzie jestem, nie zastanawiam się nad tym, jaki los może mnie czekać, bo mój umysł wypełnia tylko jedna myśl: muszę do niej dotrzeć i ją obronić. Gnam jak szalona w kierunku głosu, nie zważam na niebezpieczeństwo, przedzieram się przez pnącza i gałęzie, chcę być przy niej i nic mnie nie powstrzyma. Muszę ochronić młodszą siostrę. Gdzie ona jest? Co jej robią?

— Prim! — krzyczę. — Prim!

Odpowiada mi następny wrzask pełen cierpienia. Jak tutaj trafiła? Dlaczego wciągnęli ją do igrzysk?

— Prim!

Liany chłostają mnie po twarzy i ramionach, pnącza owijają mi się wokół nóg, ale zbliżam się do niej, jestem już niedaleko, bardzo blisko. Pot zalewa mi twarz i sprawia, że niezagojone rany po kwasie pieką nieznośnie. Dyszę ciężko, łapczywie połykam ciepłe, wilgotne powietrze, które wydaje się całkowicie pozbawione tlenu. Rozbrzmiewa krzyk zagubionej, bezpowrotnie straconej istoty, tak dramatyczny, że nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co jej zrobili.

— Prim!

Przedzieram się przez ścianę gęstej roślinności i wypadam na małą polanę, a wtedy przejmujący dźwięk rozlega się bezpośrednio nade mną. Jak to możliwe? Raptownie podnoszę głowę i sprawdzam, czy nie przetrzymują jej wysoko na drzewie. Z rozpaczą wodzę wzrokiem między gałęziami, ale nic nie widzę.

— Prim? — pytam błagalnie. Słyszę ją, ale jej nie widzę. Wtedy uszy rozrywa mi znowu zawodzący wrzask, i nie mam już żadnych wątpliwości, gdzie jest jego źródło. Dźwięki wydobywają się z gardła małego, grzebieniastego ptaka o czarnym upierzeniu, który przypnął na gałęzi na wysokości przeszło trzech metrów nad moją głową.

Wszystko staje się jasne. To głoskułka. Nigdy dotąd żadnej nie widziałam, byłam pewna, że wymarły. Przez chwilę opieram się o pień drzewa i przyciskam ręce do boku, bo złapała mnie kolka. Wpatruję się w zmieszane, przodka i ojca. Przywołuję w myślach obraz kosa, łączę go z głoskułką i już wiem, jakie cechy odziedziczył po nich mój kosogłot. Ptak na gałęzi ani trochę nie wygląda na zmiecha i nikt nie odróżniłby go od normalnego stworzenia, gdyby nie te upiornie realistyczne krzyki Prim. Uciskam go jedną strzałą, która przeszywa mu gardło, a kiedy spada na ziemię, wyciągam strzałę i na wszelki wypadek ukrećam mu łeb. Na koniec ciskam to paskudztwo w gęstwinę dżungli, bo nie ma takiego głodu, który skłoniłby mnie do zjedzenia mięsa tego ptaka.

To nie był głos Prim, powtarzam sobie. Podobnie jak zmutowane wilki w ubiegłym roku tak naprawdę nie były martwymi trybutami. Znowu padłam ofiarą sadystycznej sztuczki organizatorów igrzysk. Finnick wpada hałaśliwie na polanę i widzi, jak wycieram strzałę garścią suchego mchu.

— Katniss?

— Wszystko w porządku, nic mi nie jest — uspokajam go, choć wcale nie czuję się dobrze. — Wydawało mi się, że słyszę krzyk siostry, a tymczasem... — Nie kończę, bo przerywa mi przenikliwy pisk. Tym razem to nie jest głos Prim, lecz innej osoby, chyba młodej kobiety. Nie rozpoznaję jej, ale na Finnicku robi piorunujące wrażenie. Twarz blednie mu jak kreda i widzę, że źrenice rozszerzają mu się ze strachu. — Finnick, czekaj! — wołam, bo pragnę go pokrzepić, ale on już wyrwał przed siebie, popędził w pogoni za ofiarą, tak samo na

oślepię jak ja, kiedy usiłowałam odnaleźć rzekomą Prim. — Finnick! — krzyczę, choć wiem, że się nie odwróci i nie zaczeka, żeby wysłuchać racjonalnego wytłumaczenia. W takiej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, tylko natychmiast ruszyć za nim.

Choć biegnie naprawdę prędko, tropię go bez najmniejszego problemu, bo zostawia za sobą wyraźną, wydeptaną ścieżkę. Niestety, ptak znajduje się jakieś pół kilometra dalej, a droga biegnie głównie pod górę, więc kiedy doganiam Finnicka, dosłownie padam z nóg. Widzę, jak krąży wokół ogromnego drzewa o pniu, którego średnica zapewne wynosi prawie półtora metra, a najniższy konar znajduje się jakieś siedem metrów nad ziemią. Kobięce wrzaski dobiegają gdzieś z głębi korony, ale głoskułka jest ukryta wśród liści. Finnick również wrzeszczy.

— Annie! Annie! — powtarza bez końca. Wpadł w panikę i nie mam szansy porozumieć się z nim, więc zabieram się do tego, co i tak bym zrobiła. Wspinam się na sąsiednie drzewo, odszukuję wzrokiem głoskułkę i strzelam do niej z łuku. Przeszyty strzałą ptak pada na ziemię, prosto pod nogi Finnicka, który go podnosi i powoli uświadamia sobie prawdę. Kiedy jednak ześlizguję się z drzewa i dołączam do niego, wydaje się jeszcze bardziej przygnębiony.

— Finnick, wszystko dobrze — pocieszam go. — To tylko głoskułka, organizatorzy wycięli nam paskudny numer. To nie był człowiek, nie ma tutaj twojej... Annie.

— Wiem, że jej tu nie ma, ale ten głos należał do niej. Głoskułki naśladują to, co usłyszą. Jak myślisz, Katniss, skąd wzięli te wrzaski? — Spogląda na mnie z bólem.

Czuję, jak krew odpływa mi z policzków, kiedy pojmuję znaczenie jego słów.

— Och, Finnick, chyba nie sądzisz, że oni...

— Właśnie tak sądzę. Dokładnie tak mi się wydaje.

Wyobrażam sobie Prim w białym pokoju, przypiętą pasami do stołu i otoczoną zamaskowanymi ludźmi w białych fartuchach, którzy wydobywają z niej jak najstraszniejsze dźwięki. Aby je uzyskać, ktoś gdzieś torturuje moją siostrę albo niedawno zadawał jej męki. Uginają się pode mną nogi, opadam na ziemię i choć Finnick usiłuje mi coś wytłumaczyć, nie dociera do mnie ani jedno jego słowo. W końcu słyszę następnego ptaka, który odzywa się gdzieś z lewej strony. Tym razem w dżungli rozbrzmiewa krzyk Gale'a. Usiłuję tam pognać, ale Finnick chwyta mnie za rękę.

— Nie, to nie on — przypomina mi i ciągnie mnie w dół zbocza, ku plaży. — Wynosimy się stąd! — rozkazuje, ale głos Gale'a jest do tego stopnia przepełniony cierpieniem, że wbrew sobie usiłuję wyrwać się z uścisku i pobiec przyjacielowi na pomoc. — Katniss, to nie on! Słyszysz zmiecha! — krzyczy do mnie Finnick. — Chodźmy! — Idzie wytrwale naprzód, jednocześnie wlecze mnie i niesie, aż wreszcie do mojego umysłu przenikają jego słowa. To prawda, słyszymy tylko jeszcze jedną głoskułkę. Ścigając ptaka, nie pomogę Gale'owi, nie zmienia to jednak faktu, że dociera do mnie głos przyjaciela, a ktoś gdzieś niedawno zmusił go do tak potwornego krzyku.

Ostatecznie przestaję walczyć z Finnickiem i uciekam przed czymś, z czym nie mogę walczyć, podobnie jak nocą umykałam przed mgłą. To, co zastałam w tym segmencie, może mnie tylko skrzywdzić, choć tym razem cierpi moje serce, nie ciało. Z pewnością zostaliśmy zaatakowani przez następną broń zegara, która moim zdaniem uruchamia się o godzinie czwartej. Kiedy mała wskazówka dociera do czwórki, małpy wracają tam, skąd przyszły, a na polu walki pojawiają się głoskułki. Finnick ma słuszność — musimy się stąd jak najszybciej wynieść. Tym razem nie ma takiego lekarstwa, które Haymitch mógłby nam przysłać na spadochronie, bo nic nie uleczy ran zadanych nam przez ptaki.

Zauważam Peetę i Johannę, którzy stoją przy granicy dżungli, i ogarnia mnie ulga przemieszana ze złością. Dlaczego Peeta nie ruszył mi na pomoc? Czemu nikt nie przybył nas wesprzeć? Nawet teraz trzyma się na dystans, ma uniesione ręce, a spody dłoni obrócił w na-

szym kierunku. Najwyraźniej coś mówi, bo porusza ustami, ale nie słyszę ani słowa. Jak to możliwe?

Ściana jest tak idealnie przezroczysta, że oboje walimy w nią z rozpędu, odbijamy się i lądujemy w poszyciu dżungli. Prawie cała siła uderzenia koncentruje się na moim ramieniu, ale Finnick nie miał tyle szczęścia, bo grzmotnął w przejrzystą tafłę twarzą i teraz zalewa się krwią z nosa. Właśnie dlatego nikt nie przyszedł nam z pomocą: ani Peeta, ani Johanna, ani nawet Beetee, który teraz stoi za ich plecami i ze smutkiem kręci głową. Przejście na plażę zablokowała niewidzialna bariera, ale nie jest to pole siłowe. Możemy bez obaw dotykać twardej i gładkiej powierzchni, całkowicie odpornej na ciosy zadawane nożem Peety i toporem Johanny. Sprawdzam tylko kilka metrów ściany, aby utwierdzić się w przekonaniu, że otacza ona cały segment od czwartej do piątej. Innymi słowy, przez okrągłą godzinę będziemy tutaj tkwili uwięzieni jak szczury.

Peeta przyciska dłoń do tafli, a ja przykładam rękę w tym samym miejscu z drugiej strony, jakbym mogła poczuć jego dotyk przez ścianę. Widzę, że porusza ustami, ale go nie słyszę, nie docierają do mnie żadne dźwięki spoza bariery. Próbuję się skoncentrować, jednak po kilku nieudanych próbach daję za wygraną i tylko patrzę na Peetę, i robię, co mogę, żeby nie stracić rozumu.

Wtedy zaczynają zlatywać się ptaki, jeden po drugim. Przysiadają na okolicznych gałęziach, a z ich dziobów wydobywa się coraz głośniejszy, starannie zaaranżowany chór odgłosów grozy. Finnick z miejsca składa broń, garbi się na ziemi i zaciska dłonie na uszach z taką mocą, jakby chciał zmiażdżyć sobie czaszkę. Ja próbuję walczyć i z początku opróżniam cały kołczan, rażąc do zniechęconego ptactwa, lecz w miejsce każdego zastrzelonego zmiecha natychmiast pojawia się nowy. W końcu rezygnuję z dalszego oporu, kulę się obok Finnicka i usiłuję odizolować się od rozpaczliwych, dramatycznych głosów Prim, Gale'a, mamy, Madge, Rory'ego, Vicka, a nawet bezbronnej, małej Posy...

Kakofonia w końcu ustaje, ale dociera to do mnie dopiero wtedy, gdy czuję na sobie dłonie Peety. Bierze mnie na ręce i wynosi z dżungli. Mimo to zaciskam z całych sił powieki i nie odrywam dłoni od uszu, mięśnie są zbyt stężałe, aby je tak szybko rozluźnić. Peeta trzyma mnie na kolanach i łagodnie kołysze, wypowiadając kojące słowa, ale dopiero po dłuższym czasie udaje mi się poluzować żelazny uścisk, który uwięził moje ciało. Kiedy wreszcie się odprężam, przeszywają mnie dreszcze jeden za drugim.

— Już dobrze, Katniss — szepcze Peeta.

— Nie słyszałeś ich — wzdycham rozdygotana.

— Słyszałem Prim, na samym początku, ale wierz mi, to nie była ona, tylko głoskułka — zapewnia mnie.

— To była Prim — upieram się. — Tylko nie tutaj. Głoskułka po prostu zarejestrowała jej głos.

— Skąd, oni chcą, żebyś tak myślała. W zeszłym roku tak samo się zastanawiałem, czy jeden ze zmiechów nie patrzy oczami Glimmer, ale teraz jestem pewien, że tamten stwór nie miał z nią nic wspólnego, tak samo jak ten nie powtarzał głosu Prim. Nawet jeśli rzeczywiście słyszeliśmy twoją siostrę, to dlatego, że wykorzystali jej nagrane wypowiedzi, choćby z wywiadów, i odpowiednio je zniekształcili. Dzięki temu głoskułka mówi to, co chcą organizatorzy.

— Nieprawda, oni torturowali Prim — podkreślam z mocą. — Pewnie już nie żyje.

— Katniss, Prim nie umarła. Jak mogliby ją zabić, skoro jeszcze trochę i zostanie finałowa ósemka. Co się wtedy dzieje? — Peeta patrzy na mnie pytająco.

— Umiera jeszcze siedmioro z nas — odpowiadam z rozpaczą.

— Nie tutaj, tylko u nas w domu. Co się dzieje, gdy w igrzyskach pozostanie już tylko ośmiu trybutów? — Unosi moją brodę, żeby na niego spojrzeć, zmusza mnie do nawiąza-

nia kontaktu wzrokowego. — Przypomnij sobie. Co robią organizatorzy, kiedy na arenie jest ośmiu finalistów?

Wiem, że usiłuje mi pomóc, więc zmuszam się do myślenia.

— Gdy zostaje finałowa ósemka? — Marszczę brwi. — Wtedy rodzina i przyjaciele w dystrykcie udzielają wywiadów.

— Otóż to — potwierdza Peeta. — Rodzina i przyjaciele udzielają wywiadów. Czy organizatorzy mogliby przeprowadzić rozmowy z twoimi bliskimi, gdyby ich wszystkich pozabijali?

— Nie? — pytam, nadal nieprzekonana.

— Nie. Stąd wiemy, że Prim żyje. Do niej pierwszej pojedą na rozmowę, prawda? — ciągnie, a ja strasznie chcę mu wierzyć. Tylko te głosy nie dają mi spokoju...

— Najpierw Prim, potem twoja mama, kuzyn Gale i jeszcze Madge — wylicza. — Katniss, to była sztuczka, upiorny podstęp, który tylko nas może skrzywdzić, bo to my bierzemy udział w grze, a nie oni.

— Naprawdę w to wierzysz? — upewniam się.

— Oczywiście — potakuje, ale ja ciągle się waham, bo przecież Peeta potrafi każdego skłonić, by mu uwierzył. W poszukiwaniu potwierdzenia spoglądam na Finnicka, ale on jak zahipnotyzowany patrzy na Peetę i słucha go w skupieniu.

— Finnick, ty też tak uważasz? — pytam.

— To może być prawda, ale nie jestem pewien — odpowiada. — Beetee, jak myślisz, mogli zrobić coś takiego? Potrafiliby nagrać czyjś normalny głos i przerobić go...

— Och, oczywiście — zapewnia go Beetee. — To nie jest specjalnie trudne, Finnick. Nasze dzieci przeprowadzają podobne próby w szkole.

— No pewnie, że Peeta ma rację — przyłącza się Johanna bez emocji. — Cały kraj uwielbia młodszą siostrę Katniss. Gdyby ją zabili, pewnie mieliby na karku powstanie, a tego by chyba nie chcieli. — Unosi głowę i krzyczy: — Cały kraj objęty rebelią? Nie chcieliby czegoś takiego!

Wstrząśnięta, rozchyłam usta z wrażenia, bo przecież nikt nigdy nie powiedział czegoś takiego podczas igrzysk. To jasne, że organizatorzy wyłączyli Johannę i teraz wycinają jej słowa, ale ja słyszałam ją doskonale i już zawsze będę patrzyła na nią innym wzrokiem. Johanna nie ma szans na nagrodę za udrzejmość, ale z pewnością nie brakuje jej tupetu, albo jest szalona. Teraz podnosi z ziemi kilka muszli i rusza do dżungli.

— Idę po wodę — oznajmia.

Gdy mnie mija, machinalnie chwytam ją za rękę.

— Nie wchodzi tam — powstrzymuję ją. — Ptaki...

Pamiętam, że ptaki już odleciały, ale mimo to nie chcę, aby ktokolwiek tam przebywał, nawet Johanna.

— Nie zrobią mi krzywdy, bo nie grozi mi to, co wam. Nie został już nikt, kogo bym kochała — cedzi Johanna i niecierpliwym gestem wyszarpuje rękę z mojego uścisku. Kiedy przynosi mi muszlę z wodą, w milczeniu dziękuję skinieniem głowy. Wiem, że nie chciałaby usłyszeć litości w moim głosie. Johanna idzie po moje strzały i zabiera dodatkowe muszle do napełnienia, Beetee poprawia coś przy zwoju drutu, a Finnick wskakuje do wody. Wiem, że też powinnam się umyć, ale wciąż tkwię w objęciach Peety. Jestem zbyt roztrzęsiona, żeby się ruszyć.

— Czyj głos wykorzystali przeciwko Finnickowi? — chce wiedzieć Peeta.

— Kogoś o imieniu Annie — wyjaśniam.

— Annie Cresta, na pewno chodzi o nią — domyśla się.

— Kto to taki?

— Annie Cresta? To dziewczyna, za którą na ochotnika zgłosiła się Mags. Zwyciężyła jakieś pięć lat temu — tłumaczy Peeta.

Pięć lat temu, czyli w pierwsze lato po śmierci taty, kiedy zostałam główną żywicielką rodziny i całą energię skupiałam na walce z głodem.

— Słabo pamiętam tamte igrzyska — wyznaję. — Czy to było w roku trzęsienia ziemi?

— Tak. Annie oszalała, kiedy jej partner z dystryktu zginął, uciekła samotnie i gdzieś się ukryła, a potem trzęsienie ziemi przerwało tamę i większość areny znalazła się pod wodą. Annie przeżyła tylko dlatego, że najlepiej pływała — wspomina Peeta.

— Doszła potem do siebie? — pytam. — Wyzdrowiała na umyśle?

— Nie mam pojęcia. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek później pojawiła się na igrzyskach, ale podczas tegorocznych dożynek nie wyglądała na szczególnie zrównoważoną.

Więc to ją kocha Finnick, myślę. Nie interesuje go kolejka atrakcyjnych kochanek w Kapitolu, tylko biedna, szalona dziewczyna z jego dystryktu.

Huk armatniego wystrzału sprawia, że wszyscy zbieramy się na plaży i patrzymy na nadlatujący poduszkowiec, zmierzający do segmentu, który naszym zdaniem znajduje się między godziną szóstą a siódmą. Obserwujemy, jak szczęka chwytaka opada pięciokrotnie, żeby zebrać wszystkie fragmenty porozdzieranych na kawałki zwłok. Nie sposób określić, kogo spotkał taki los i nawet nie chcę wiedzieć, co się dzieje o szóstej.

Peeta rysuje na liściu nową mapę, a na segmencie czwarta-piąta dopisuje litery GK, oznaczające głoskułki. Segment, z którego przed chwilą odtransportowano zmasakrowane ciało, oznacza napisem „bestia”. Teraz wiemy, czego się spodziewać po siedmiu godzinach na zegarze, a z ataku głoskułek wynika chyba tylko jedna korzyść — zorientowaliśmy się, w którym miejscu cyferblatu przebywamy.

Finnick wyplata jeszcze jeden koszyk na wodę oraz sieć rybacką, a ja przez chwilę pływam i rozsmarowuję na skórze świeżą warstwę maści. Następnie siadam na brzegu, skrobię ryby, które łowi Finnick, i patrzę, jak Słońce znika za linią horyzontu. Jasny księżyc już się wznosi na niebie i pograża arenę w dziwnym półmroku. Zamierzamy zasiąść do posiłku złożonego z surowych ryb, kiedy rozbrzmiewa hymn i pojawiają się twarze...

Cashmere. Gloss. Wiress. Mags. Kobieta z Piątego Dystryktu. Morfalinistka, która oddała życie za Peetę. Blight. Mężczyzna z Dziesiątki. Ośmiu zawodników zabitych, a do tego trzeba doliczyć jeszcze ośmiu z wczorajszej nocy, to oznacza, że dwie trzecie z nas zginęło w półtora dnia. Podejrzewam, że to chyba rekord.

— Wykańczają nas w ekspresowym tempie — komentuje Johanna.

— Kto jeszcze żyje, nie licząc naszej piątki i Drugiego Dystryktu? — pyta Finnick.

— Chaff — odpowiada Peeta bez zastanowienia. Być może interesuje się nim ze względu na Haymitcha.

W tej samej sekundzie obok ląduje spadochron z transportem małych, kwadratowych bułeczek, które wystarczają na jeden kęs.

— Są z twojego dystryktu, prawda, Beetee? — domyśla się Peeta.

— Tak, z Trójki — potwierdza. — Ile ich jest?

Finnick przelicza bułki, przy czym każdą obraca w dłoniach i dopiero potem odkłada, jedną obok drugiej. Nie wiem, dlaczego tak się zachowuje, ale wygląda na to, że obsesyjnie lubi dotykać pieczywa.

— Dwadzieścia cztery — oznajmia po podliczeniu.

— Równe dwa tuziny, zgadza się? — pyta Beetee.

— Ni mniej, ni więcej — przytakuje Finnick. — Jak mamy je podzielić?

— Niech każdy zje trzy sztuki, a ci, którzy dożyją do śniadania, przegłosują, co zrobić z resztą — proponuje Johanna. Sama nie wiem, czemu jej słowa wydają mi się zabawne, więc śmieję się cicho, chyba dlatego, że Johanna ma rację. Posyła mi spojrzenie, w którym do-

strzegam coś na kształt aprobaty. Nie, aprobata to za dużo powiedziane, to chyba lekkie zadowolenie.

Czekamy, aż przez segment dziesiąta-jedenasta przetoczy się gigantyczna fala, a gdy woda ostatecznie ustępuje, przechodzimy na tamtą plażę i rozbijamy obóz. Teoretycznie powinniśmy dysponować równo dwunastoma godzinami bezpieczeństwa, jeśli chodzi o dżunglę, ale od strony klina jedenasta-dwunasta dociera do nas nieprzyjemne, chóralne cykanie, zapewne jakichś agresywnych owadów. Na szczęście stworzenia nie przekraczają linii drzew, a my trzymamy się z daleka od sąsiedniej plaży, na wypadek, gdyby insekty zamierzały zaatakować całym rojem każdego, kto przez nieuwagę wejdzie jedną nogą na ich terytorium.

Nie rozumiem, jak to możliwe, że Johanna wciąż jest na nogach, skoro od początku igrzysk przespała zaledwie godzinę. Zgłaszam się z Peetą na pierwszą wartę, bo jesteśmy bardziej wypoczęci od pozostałych, a poza tym potrzebujemy czasu dla siebie. Nasi towarzysze momentalnie zapadają w sen, choć Finnick śpi niespokojnie i co jakiś czas słyszę, jak niewyraźnie powtarza imię Annie.

Siedzę u boku Peety na wilgotnym piasku. Patrzymy w przeciwnie strony, ale nasze ramiona i biodra się dotykają. Obserwuję wodę, podczas gdy on wpatruje się w dżunglę; to dobrze dla mnie, bo nadal prześladują mnie odgłosy wydawane przez głoskułki, i nawet owady nie są ich w stanie zagłuszyć. Po pewnym czasie opieram głowę na ramieniu Peety, a on głaszcze mnie po włosach.

— Katniss — odzywa się cicho. — Nie ma sensu udawać, że nie widzimy tego, co usiłujemy zrobić dla siebie nawzajem.

Chyba rzeczywiście nie ma to sensu, ale rozmowa na ten temat również nie zapowiada się przyjemnie, w każdym razie nie dla nas. Telewizorowie z Kapitolu z pewnością nadstawili uszu, żeby nie uronić ani jednego cholernego słowa.

— Nie wiem, jakie porozumienie zawarłaś z Haymitchem, ale powinnaś wiedzieć, że mnie też obiecywał niejedno. — Rzecz jasna, mam tego świadomość. Haymitch powiedział Peecie, że utrzymają mnie przy życiu, bo nie chciał wzbudzić w nim podejrzeń. — Moim zdaniem w takiej sytuacji możemy spokojnie założyć, że któreś z nas okłamał.

To przykuwa moją uwagę. Możliwe, że Haymitch zawarł z nami podwójny układ, złożył nam obojgu obietnice i tylko on wiedział, która z nich jest prawdziwa. Unoszę głowę i patrzę Peecie w oczy.

— Dlaczego mówisz to teraz?

— Bo nie chcę, żebyś zapomniała, jak odmienna jest nasza sytuacja. Jeśli umrzesz, a ja przeżyję, w Dwunastym Dystrykcie nie będzie dla mnie życia, bo ty jesteś całym moim życiem. Już nigdy nie odnajdę szczęścia. — Chcę zaprotestować, ale kładzie palec na moich ustach. — Dla ciebie wszystko wygląda inaczej. Nie mówię, że będzie ci lekko, ale przecież są inni, którzy nadają sens twojemu życiu.

Ściąga z szyi łańcuszek ze złotą tarczą i przytrzymuje ją tak, żebym w blasku księżyca wyraźnie widziała kosogłosa. Następnie przesuwam kciukiem wzdłuż zatrasku, którego wcześniej nie dostrzegłam, i medalion samoczynnie się otwiera. Dotąd sądziłam, że to zwykła, prosta ozdoba i nie podejrzewałam, że w środku znajdują się fotografie — z prawej strony widzę zdjęcie roześmianej mamy i Prim, z lewej Gale'a. Uśmiechniętego Gale'a. Na całym świecie nie ma skuteczniejszego sposobu na to, żebym w tym momencie dała za wygraną. Po tym, czego musiałam wysłuchać tego popołudnia, te trzy twarze są najskuteczniejszą bronią przeciwko mnie.

— Katniss, jesteś potrzebna rodzinie — przekonuje mnie Peeta.

Moi najbliżsi to mama i siostra, a także przyszywany kuzyn Gale, lecz intencje Peety są jasne. Chodzi o to, że Gale tak naprawdę jest już członkiem mojej rodziny, albo stanie się nim pewnego dnia, bo jeśli przeżyję, zostanę jego żoną. A zatem Peeta ofiarowuje mi jedno-

częśnie Gale'a i własne życie, gdyż nie chce, abym kiedykolwiek miała wątpliwości co do jego intencji. Daje mi wszystko i oczekuje, że przyjmę dar.

Czekam, aż wspomni o dziecku, żeby zagrać na emocjach widzów, lecz ani słowem nie nawiązuje do tej sprawy. Stąd wiem, że nasza rozmowa nie stanowi elementu gry, że Peeta naprawdę tak czuje.

— W gruncie rzeczy nikt mnie nie potrzebuje — wzdycha, ale nie uważa się nad sobą. To prawda, nie jest szczególnie potrzebny rodzinie, która z pewnością go będzie opłakiwać wraz z garstką przyjaciół, ale potem ich życie potoczy się dalej. Nawet Haymitch przestanie się nim przejmować, szczególnie gdy będzie się wspierał dużą ilością bimbru. Dociera do mnie, że w razie śmierci Peety tylko jedna osoba poczuje się nieodwracalnie skrzywdzona. Tą osobą jestem ja.

— Nieprawda — sprzeciwiam się. — Ja ciebie potrzebuję.

Wydaje się zdenerwowany. Bierze głęboki oddech, jakby szykował się do długiej dyskusji, i ani trochę mi się to nie podoba, bo zaraz zacznie rozprawiać o Prim i mojej mamie, i o wszystkim, co mu przyjdzie do głowy, a wtedy kompletnie się pogubię. Żeby nie zaczął mówić, zamykam mu usta pocałunkiem.

W tej chwili czuję to samo co w ubiegłym roku w jaskini, kiedy usiłowałam skłonić Haymitcha do przysłania nam żywności. W trakcie tamtych igrzysk i po ich zakończeniu całowałam Peetę tysiące razy, ale tylko jeden pocałunek poruszył mnie do głębi, tylko jeden sprawił, że zapragnęłam więcej. Wtedy jednak otworzyła się moja rana na głowie, zaczęłam krwawić i Peeta kazał mi się położyć. Tym razem nic poza nami samymi nie stoi na przeszkodzie. Po kilku nieudanych próbach Peeta ostatecznie darowuje sobie rozmowę, moje ciało się rozgrzewa, a fala ciepła rozlewa się po moich rękach i nogach, aż po czubki palców. Nie jestem jednak usatysfakcjonowana, gdyż pocałunki przynoszą skutek odwrotny do zamierzonego i tylko pogłębiają moje pragnienie. Uważałam się za specjalistkę od głodu, ale ten głód jest zupełnie innego rodzaju.

Powracamy do rzeczywistości punktualnie o północy, wraz z pierwszym rozbłyskiem pioruna, który uderzając w wysokie drzewo, daje początek burzy. Gwałtownie obudzony Finnick krzyczy przeraźliwie i siada. Zanurza palce w piasku, jakby chciał się upewnić, że koszmara z jego snu nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

— Już nie zasnę — oznajmia. — Jedno z was powinno się położyć. — Chyba dopiero teraz dostrzega nasze miny i zauważa, że się obejmujemy. — Albo idźcie spać oboje, sam też mogę stać na straży.

Peeta nie zamierza do tego dopuścić.

— To zbyt niebezpieczne — protestuje. — Poza tym nie jestem zmęczony, więc ty się prześpij, Katniss. — Nie sprzeciwiam się, bo muszę być wypoczęta, jeżeli mam utrzymać Peetę przy życiu. Daję się zaprowadzić do pozostałych, a tam Peeta zakłada mi na szyję łańcuszek z medalionem, po czym dotyka mojego brzucha. — Będzie z ciebie fantastyczna matka — mówi na pożegnanie, całuje mnie ostatni raz i wraca do Finnicka.

Wspomina o dziecku, bo chce zasygnalizować, że nasz czas wolny od igrzysk dobiegł końca. Wie, że telewidzowie zastanawialiby się, dlaczego nie skorzystał z najbardziej przekonującego argumentu w całym arsenale środków. Trzeba odpowiednio manipulować emocjami sponsorów. Kiedy jednak wyciągam się na piasku, przychodzi mi do głowy pytanie: czy Peecie chodziło o coś więcej? Czy chciał mi przypomnieć, że pewnego dnia będę mogła mieć dzieci z Galem? Jeśli tak, to popełnił błąd, bo po pierwsze, nigdy nie miałam tego w planach, a po drugie, jeśli któreś z nas miałyby zostać rodzicem, to każdy potwierdzi, że Peeta lepiej się do tego nadaje. Odpyływając w sen, usiłuję sobie wyobrazić przyszły świat bez Głodowych Igrzysk i bez Kapitola, miejsce takie jak łąka z piosenki, którą śpiewałam zmarłej Rue. Miejsce, w którym dziecko Peety byłoby bezpieczne.

Po przebudzeniu czuję przelotne, rozkoszne szczęście, powiązane z Peetą. W mojej sytuacji szczęście wydaje się kompletnym absurdem, bo zważywszy na tempo wydarzeń, jutro nie będę już żyła. I to w najlepszym wypadku, jeśli uda mi się wyeliminować pozostałych trybutów oraz siebie, dzięki czemu Peeta zwycięży w Igrzyskach Ćwierćwiecza. Mimo to uczucie jest tak nieoczekiwane i cudowne, że pragnę poddać mu się choćby na kilka minut, zanim szorstki piach, palące Słońce i swędząca skóra zmuszą mnie do powrotu do rzeczywistości.

Wszyscy są już na nogach i obserwują opadający na plażę spadochron, a ja dołączam do nich, żeby uczestniczyć w przyjęciu następnej dostawy pieczywa. Przesyłka jest dokładnie taka sama jak wczoraj wieczorem i składa się z dwudziestu czterech bułek z Trzeciego Dystryktu. Dzięki temu dysponujemy zapasem trzydziestu trzech bułek i możemy zjeść po pięć sztuk każde, osiem zostanie w zapasie. Nikt nie mówi tego głośno, ale gdy zginie następna osoba z naszego grona, wówczas będziemy mogli z łatwością podzielić resztę bułeczek. Nie wiem czemu, ale w świetle dnia dowcipkowanie o tym, kto dotrwa do następnego posiłku, straciło swój urok.

Jak długo przetrwa nasz sojusz? Wątpię, aby ktokolwiek przewidział, że liczba trybutów tak szybko zmaleje. A jeśli się mylę i tak naprawdę moi tymczasowi sprzymierzeńcy wcale nie chronią Peety? A jeśli to zwykły zbieg okoliczności albo przemyślana strategia — może usiłują zdobyć nasze zaufanie, aby tym łatwiej nas zgładzić. A jeśli po prostu nie rozumiem, co się dzieje? Nie ma żadnych jeśli, naprawdę nie rozumiem, co się dzieje. Skoro tak, to najwyższy czas na to, żebym wynosiła się stąd razem z Peetą.

Siadam na piasku obok Peety, żeby zjeść bułki. Z jakiegoś powodu trudno mi na niego patrzeć. Nie wiem, czy to z powodu nocnych pocałunków, w końcu całowaliśmy się już wiele razy, więc dla Peety nie były zapewne żadną atrakcją. A może po prostu wiemy, jak niewiele czasu nam zostało, a w dodatku mamy całkowicie odmienny pogląd na to, kto powinien przetrwać igrzyska.

Po posiłku biorę go za rękę i ciągnę do wody.

— Chodź, nauczę cię pływać — proponuję, bo musimy się oddalić od pozostałych, żeby porozmawiać o ucieczce. Oddzielenie się od grupy może być trudne, bo gdy tylko zerwiemy sojusz, natychmiast staniemy się celem ataku.

Gdybym naprawdę chciała uczyć Peetę pływać, kazałabym mu zdjąć pas, który utrzymuje go na powierzchni, ale czy teraz ma to znaczenie? Ograniczam się do zademonstrowania podstawowej techniki i patrzę, jak ćwiczy w wodzie sięgającej do piersi. Z początku Johanna obserwuje nas uważnie, ale w końcu traci zainteresowanie i ucina sobie drzemkę, Finnick plecie nową sieć z pńczy, a Beetee majstruje przy zwoju. Wiem, że nadszedł czas.

Peeta uczy się pływać, a ja odkrywam, że strupy zaczynają odpadać z mojej skóry, więc delikatnie pocieram piaskiem rękę, żeby usunąć resztki łusek. Przerывam trening pod pretekstem pokazania Peecie, jak się pozbyć swędzących strupów, a kiedy oskrobujemy się nawzajem, proponuję mu ucieczkę.

— W grze pozostało ośmiu trybutów, więc chyba pora odłączyć się od grupy — sugeruję półgłosem, choć wątpię, żeby sojusznicy mogli mnie usłyszeć.

Peeta kiwa głową i widzę, że to rozważa, zastanawia się, jakie mamy szanse.

— Powiem ci coś — odzywa się po namyśle. — Zostańmy z innymi do śmierci Brutusa i Enobarrii, zwłaszcza że Beetee chyba zamierza zastawić na nich pułapkę. Potem pójdziemy, obiecuję.

Nie jestem do końca przekonana, ale gdybyśmy teraz odeszli, mielibyśmy na karku dwie drużyny przeciwników, a może nawet trzy, bo kto wie, co zamierza Chaff? Na dodatek musimy jeszcze mieć się na baczności przed zagrożeniami związanymi z zegarem i nie wolno nam zapomnieć o Beetee'em. Johanna sprowadziła go wyłącznie przez wzgląd na mnie, więc jeśli uciekniemy, zabije go bez wahania. Nagle dociera do mnie, że nie mogę chronić także

Beetee'ego — bo zwycięzca będzie tylko jeden i musi nim zostać Peeta. Muszę się z tym pogodzić i podejmować wyłącznie takie decyzje, które pomogą mi ocalić Peetę.

— Dobrze — zgadzam się. — Zostaniemy do śmierci zawodowców i ani chwili dłużej. — Odwracam się i macham do Finnicka. — Ej, Finnick, chodź tutaj! Wiemy, co zrobić, żebyś znowu był śliczny!

Wszyscy troje ścieramy strupy ze skóry, nawzajem szorujemy sobie plecy i w końcu nasze ciała przybierają barwę różowego nieba. Skóra wydaje się jeszcze zbyt delikatna, żeby narażać ją na działanie promieni słonecznych, więc smarujemy się lekarstwem, które na gładkim ciele wcale nie wygląda tak źle i może służyć za dobry kamuflaż w dżungli.

Kiedy Beetee przywołuje nas do siebie, okazuje się, że nie marnował czasu, dłubiąc przy szpuli drutu, tylko opracował plan.

— Chyba wszyscy się zgadzamy, że naszym następnym celem jest zabicie Brutusa i Enobarii — oznajmia cicho. — Mamy nad nimi przewagę liczebną, więc raczej nie odważą się nas zaatakować. Moglibyśmy spróbować ich wytropić, lecz byłoby to niebezpieczne i wyczerpujące zadanie.

— Jak sądzisz, domyślili się, że arena to zegar? — pytam go.

— Nawet jeśli nie, to lada chwila na to wpadną, choć może nie rozgryzą wszystkiego tak szczegółowo jak my. Na pewno jednak wiedzą, że przynajmniej niektóre strefy są zaprojektowane jak pułapki, które uruchamiają się regularnie, jedna po drugiej, poza tym musieli dostrzec że nasza ostatnia potyczka została przerwana wskutek interwencji organizatorów. Chodziło tylko o to, aby nas zdezorientować, ale oni tego nie wiedzą i teraz zadają sobie pytanie, dlaczego do tego doszło. To może im pomóc w uświadomieniu sobie, że znajdujemy się na wielkim cyferblacie — peroruje Beetee. — Dlatego uważam, że najrozsądniejszym posunięciem z naszej strony będzie zastawienie pułapki.

— Czekajcie, obudzę Johannę — odzywa się Finnick. — Dostanie piany na ustach, jeśli dowie się, że ominęło ją coś tak ważnego.

— Albo nie — mamroczę, bo Johanna i tak zawsze zachowuje się, jakby ją coś ugryzło. Mimo to nie zatrzymuję Finnicka, ponieważ sama byłabym wściekła, gdyby na tym etapie nie dano mi zapoznać się z planem.

Kiedy Johanna do nas dołącza, Beetee każe nam wszystkim trochę się odsunąć, bo potrzebuje więcej miejsca na piasku. Szybko kreśli koło i dzieli je na dwanaście segmentów, symbolizujących fragmenty areny. Rysunek nie jest tak dokładny i staranny jak Peety, tylko pobieżny i uproszczony, jakby jego autor miał umysł zajęty innymi, znacznie bardziej złożonymi problemami.

— Gdybyście byli Brutusem oraz Enobarią i wiedzieli o dżungli tyle, ile wiecie teraz, gdzie czulibyście się najbezpieczniej? — pyta nas Beetee. W jego głosie nie pobrzmiewa nuta wyższości, a mimo to mimowolnie kojarzy mi się z nauczycielem, który stara się uprzystępnąć dzieciom temat lekcji. Być może w grę wchodzi znaczna różnica wieku, ale podejrzewam, że tak naprawdę Beetee jest milion razy mądrzejszy od każdego z nas.

— Tutaj, gdzie jesteśmy teraz, na plaży — odpowiada Peeta. — To najbezpieczniejsze miejsce.

— Zatem dlaczego nie ma ich na plaży? — Beetee patrzy na nas wyczekująco.

— Bo my tu jesteśmy — niecierpliwi się Johanna.

— Otóż to. My tu jesteśmy i zajmujemy plażę. Dokąd byście się udali w takiej sytuacji? — dąży Beetee.

Rozmyślam o śmiertelnie niebezpiecznej dżungli oraz plaży zajętej przez wrogów.

— Na ich miejscu ukryłabym się na skraju dżungli, żeby móc uciec w razie ataku, a w dodatku cały czas mieć nas na oku.

— Poza tym muszą coś jeść — wtrąca Finnick. — W dżungli roi się od nieznanych zwierząt i roślin, a obserwując nas, dowiedziałbym się, że żywność z morza jest bezpieczna.

Beetee uśmiecha się do nas, jakbyśmy świetnie zdali ten test.

— Zgadza się, brawo. Zatem sami rozumiecie, w czym rzecz, i w związku z tym proponuję przysiąc atak o dwunastej. Co się dzieje punktualnie w południe i o północy?

— Piorun uderza w drzewo — mówię.

— Tak jest. Wobec tego powinniśmy po uderzeniu w południe i przed błyskawicą o północy rozciągnąć mój drut od drzewa w dół, do słonej wody, która jest, rzecz jasna, doskonałym przewodnikiem. Wskutek uderzenia pioruna przewodem popłynie prąd i przeniknie nie tylko wodę, lecz również okalającą ją plażę, nadal wilgotną po przejściu fali o dziesiątej. Każdy, kto w tym momencie będzie miał styczność z jednym albo drugim, zostanie śmiertelnie porażony prądem — podsumowuje Beetee.

Zapada długie milczenie, podczas którego wszyscy przetrawiamy plan Beetee'ego. Pomysł wydaje mi się trochę fantastyczny, a nawet nieprawdopodobny. Dlaczego, skoro sama zastawiałam już tysiące pułapek? Czy to nie będą po prostu większe sidła, oparte na naukowej teorii? Nawet nie mamy prawa wątpić w jej skuteczność, skoro przyuczono nas tylko do łowienia ryb, rąbania drewna i wydobywania węgla. Co my wiemy o okiełzrywaniu mocy płynącej z nieba?

Peeta postanawia wziąć się za bary z nauką.

— Beetee, czy ten drut jest odpowiedni do przewodzenia takiej ilości energii? Wygląda tak delikatnie, jakby miał się przepalić.

— Och, oczywiście, że się przepali, ale dopiero wtedy, gdy przepłynie przez niego ładunek elektryczny. Zdziała tak jak lont, z tym że posłuży do przenoszenia prądu — objaśnia Beetee.

— Skąd wiesz? — pyta Johanna z wyraźnym powątpiewaniem w głosie.

— Bo to mój wynalazek — wyznaje Beetee, jakby lekko zaskoczony. — To nie jest drut w typowym znaczeniu tego słowa, podobnie jak tutejsza błyskawica nie jest prawdziwym wyładowaniem, a drzewo rośliną. Johanno, znasz się na drzewach lepiej niż ktokolwiek z nas i na pewno potwierdzisz, że po tylu uderzeniach piorunem drzewo rozpadłoby się w drzazgi.

— Tak — przyznaje Johanna ponuro.

— Zatem nie martw się o drut, bo zachowa się dokładnie tak, jak mówię — zapewnia ją Beetee.

— A gdzie będziemy, kiedy to się stanie? — zastanawia się Finnick.

— Na tyle daleko w głębi dżungli, żeby nic nam nie zagroziło — mówi Beetee.

— Zawodowcom też nie spadnie włos z głowy, jeśli nie znajdą się blisko wody — zauważam.

— To prawda — potakuje Beetee.

— A w dodatku cała morska żywność się ugotuje — niepokoi się Peeta.

— Podejrzewam, że „ugotuje” to za mało powiedziane — prostuje Beetee. — Co bardziej prawdopodobne, na stałe wyeliminujemy ją z naszego jadłospisu, ale przecież znaleźliśmy w dżungli inną żywność, prawda Katniss?

— Tak, orzechy i szczury — przyznaje. — Poza tym mamy jeszcze sponsorów.

— A zatem jedzenia nam nie zabraknie — podsumowuje Beetee. — Ponieważ jednak jesteśmy sprzymierzeńcami, a do realizacji przedsięwzięcia będzie konieczny nasz wspólny wysiłek, to wasza czwórka musi podjąć decyzję, czy bierzemy się do dzieła, czy nie.

Naprawdę jesteśmy jak dzieci, skoro w ogóle nie potrafimy przedyskutować jego teorii, poza tym że wyrażamy najbardziej podstawowe wątpliwości, z których większość w ogóle nie ma związku z planem.

Wodzę wzrokiem po sfrustrowanych twarzach reszty.

— Czemu nie? — pytam. — Nic nie stracimy, jeśli się nie uda. Jeżeli próba się powiedzie, mamy dużą szansę ich zabić, a nawet jeśli przeżyją i wymordujemy tylko morskie stworzenia, to Brutus i Enobaria stracą źródło żywności.

— Moim zdaniem warto zaryzykować — przyłącza się Peeta. — Katniss ma rację.

Finnick spogląda na Johannę i unosi brwi. To jasne, że bez niej nie przyłączy się do planu.

— Zgoda — postanawia Johanna w końcu. — To lepszy pomysł niż tropienie ich w dżungli, a poza tym raczej nie rozgryzą naszego planu, skoro sami ledwie go rozumiemy.

Beetee chce obejrzeć burzowe drzewo i dopiero potem przystąpić do zakładania instalacji. Z pozycji słońca wnioskuję, że jest około dziewiątej rano, więc i tak wkrótce powinniśmy opuścić naszą plażę.

Zwijamy obóz, wyruszamy na plażę przy segmencie z błyskawicami i wchodzimy do dżungli. Beetee nadal jest zbyt osłabiony, żeby samodzielnie wdrapywać się po zboczu, dlatego Finnick i Peeta wnoszą go na zmianę. Nie protestuję, kiedy Johanna staje na czele. Droga do drzewa przebiega zupełnie prosto i zakładam, że nie zgubimy się z kretesem, poza tym mój łuk i kołczan pełen strzał to znacznie skuteczniejsza broń niż jej dwa topory, więc najlepiej się nadaję na tylną straż.

Coraz bardziej dokucza mi gęste, wilgotne powietrze, zwłaszcza że taka pogoda utrzymuje się od początku igrzysk. Haymitch powinien przestać dostarczać nam pieczywo z Trzeciego Dystryktu i przysłać coś z Czwórki, bo przez ostatnie dwa dni pociłam się jak oszalała i choć jedliśmy ryby, marzę o czymś słonym. Nie od rzeczy byłaby także bryła lodu albo zimna woda. Cieszę się, że możemy pić sok z drzew, ale ma taką samą temperaturę jak morską wodą, powietrze, inni trybuci i ja. Wszyscy jesteśmy jedną wielką, ciepłą zupą.

Kiedy zbliżamy się do drzewa, Finnick proponuje, żebym przeszła na czoło wyprawy.

— Katniss usłyszysz pole siłowe — wyjaśnia Beetee'emu i Johannie.

— Usłyszysz je? — dziwi się Beetee.

— Tak, ale tylko tym uchem, które zrekonstruowali mi lekarze z Kapitolu — odzywam się. I kogo nie udaje mi się nabrać na tę historię? Beetee'ego, rzecz jasna, bo doskonale pamięta, że mi tłumaczył, jak dostrzec pole siłowe, a zresztą pewnie i tak nie sposób go usłyszeć. Mimo to z jakiegoś powodu Beetee nie podważa moich słów.

— W takim razie Katniss powinna iść przodem, bezapelacyjnie — zgadza się i na chwilę milknie, żeby wytrzeć zaparowane okulary. — W żadnym razie nie wolno lekceważyć pól siłowych.

Burzowego drzewa nie sposób pomylić z żadnym innym, góruje nad dżunglą. Znajduję kiść orzechów i każę wszystkim pozostać na miejscu, podczas gdy sama powoli wspinam się po zboczu i rzucam przed siebie orzechy. Pole siłowe zauważam niemal natychmiast, jeszcze zanim w nie trafię orzechem, bo znajduje się zaledwie piętnaście metrów ode mnie. Uważnie wodzę wzrokiem po zieleni przed sobą i wysoko z prawej strony dostrzegam w powietrzu pofałdowany kwadrat. Ciskam orzech, a głośne skwierczenie potwierdza moje przypuszczenia.

— Nie ruszajcie się spod burzowego drzewa — zalecam towarzyszom.

Potem dzielimy się obowiązkami. Finnick osłania Beetee'ego, który skrupulatnie bada roślinę, Johanna instaluje sączek, Peeta zbiera orzechy, a ja poluję w pobliżu. Drzewne szczyry najwyraźniej wcale nie boją się ludzi, więc bez trudu udaje mi się ustrzelić trzy sztuki. Szum fali o dziesiątej przypomina mi, że powinnam wracać, więc dołączam do pozostałych i oporządam zwierzynę, a potem rysuję na ziemi kreskę w odległości paru metrów od pola siłowego, żeby nikt nie wpadł na nie przypadkowo, a na koniec siadam z Peetą, żeby prażyć orzechy i opalać kostki szczurzego mięsa.

Beetee bezustannie kręci się przy drzewie, ale trudno mi powiedzieć, co konkretnie robi — chyba dokonuje pomiarów i takie tam. W pewnej chwili odrywa fragment kory, podchodzi do nas i rzuca go w pole siłowe. Kora się odbija, pada u naszych stóp, rozżarzona do czerwoności, i dopiero po chwili odzyskuje normalną barwę.

— No tak, to wiele tłumaczy — mamrocze Beete, a ja spoglądam na Peetę i mimowolnie przygryzam wargę, żeby powstrzymać się od śmiechu, bo to niczego nie tłumaczy. Nikomu poza Beete'em.

Mniej więcej w tym czasie dociera do nas cykanie z sąsiedniego segmentu, co oznacza, że minęła jedenasta. Odgłos jest znacznie donośniejszy w dżungli niż na plaży, gdzie usłyszeliśmy go wczoraj w nocy. Wszyscy zamieniamy się w słuch.

— To nie jest mechaniczny dźwięk — zauważa Beete z przekonaniem.

— Moim zdaniem to owady — dodają. — Może jakieś żuki.

— Na pewno mają szczypcę — uzupełnia Finnick.

Hałas narasta, jakby insekty usłyszały nasze przyciszone głosy i zaalarmowała je bliskość żywego mięsa. Cokolwiek tak cyka, z pewnością w kilka sekund odarłoby nas do kości.

— I tak powinniśmy się stąd wynosić — odzywa się Johanna. — Błyskawice uderzą za niecałą godzinę.

Nie odchodzimy zbyt daleko, docieramy tylko do identycznego drzewa w segmencie z krwawym deszczem i urządzamy coś w rodzaju pikniku. Przykucnąwszy na ziemi, raczymy się darami dżungli i czekamy na uderzenie pioruna, które oznajmi nadejście południa. Cykanie przycicha, a wtedy na prośbę Beete'ego wdrapuję się na koronę. Gdy piorun trafia w cel, błysk jest oślepiający nawet z mojego punktu obserwacyjnego, choć intensywnie świeci Słońce. Odległe drzewo zaczyna jaśnieć błękitnobiałym żarem, a okoliczne powietrze skrzy się od wyładowań elektrycznych. Zeskakuję na ziemię i relacjonuję przebieg zdarzeń Beete'emu. Wydaje się zadowolony, choć moje spostrzeżenia nie grzeszą naukową precyzją.

Okreśną drogą wracamy na plażę przy godzinie dziesiątej i oglądamy piasek, gładki i wilgotny po tym, jak niedawno przewaliła się przez niego fala. Można powiedzieć, że Beete daje nam wolne popołudnie, bo sam musi się zająć instalacją drutu. Ponieważ osobiście konstruuje broń, a reszta z nas musi całkowicie zdać się na jego wiedzę, mam dziwne wrażenie, że wcześniej skończyliśmy lekcje w szkole. Z początku na zmianę drzemimy na cienistym skraju dżungli, ale późnym popołudniem wszyscy jesteśmy na nogach i ogarnia nas niepokój. Ponieważ to może być ostatnia okazja do zjedzenia morskiej żywności, postanawiamy przyrządzić ucztę. Pod okiem Finnicka polujemy na ryby i zbieramy skorupiaki, a nawet nurkujemy po ostrygi, co ogromnie mi się podoba, choć nie przepadam za ostrygami. Próbowałam ich tylko raz, w Kapitolu, i nie potrafiłam przyzwyczaić się do ich śluzowatego mięsa. Teraz jednak, głęboko pod wodą, czuję się cudownie, zupełnie jakbym trafiła do innego świata. Woda jest przejrzysta, pełna ławic jaskrawo ubarwionych ryb, piaszczyste dno porastają niezwykłe morskie kwiaty.

Johanna staje na straży, Finnick, Peeta i ja czyścimy, a potem wykładamy jedzenie. Peeta właśnie podważył muszlę ostrygi i nagle słyszę jego śmiech.

— Ejże, a to co? — Unosi błyszczącą, idealnie okrągłą perłę wielkości ziarna grochu. — Wiesz, pod odpowiednim ciśnieniem węgiel zmienia się w perły — mówi do Finnicka z powagą.

— Nieprawda — odpowiada Finnick lekceważąco, ale ja pękam ze śmiechu, bo przypominam sobie, jak w ubiegłym roku głupia Effie Trinket zaprezentowała nas mieszkańcom Kapitolu, kiedy jeszcze nikt o nas nie słyszał. Przyrównała nas do pereł powstałych z węgla pod wpływem presji naszej trudnej egzystencji, do piękna wyrosłego z bólu.

Peeta opłukuje perłę w wodzie i kładzie mi ją na dłoni.

— Dla ciebie — mówi, a ja trzymam cenną opalizującą kulkę i oglądam ją pod Słońce. Tak, zachowam ją, przez kilka godzin życia, które mi zostało, nie rozstanę się z nią ani na moment. To mój ostatni prezent od Peety, jedyny, który mogę przyjąć. Może dzięki niemu zyskam siłę, tuż zanim umrę.

— Dzięki — mówię i zaciskam pięść. Chłodno spoglądam w oczy komuś, kto jest teraz moim największym przeciwnikiem, kto zamierza mnie ocalić za cenę własnego życia.

Obiecuję sobie, że pokrzyżuję mu plany, a wtedy z jego twarzy znika rozbawienie i wbija we mnie wzrok, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

— Medalion nie poskutkował? — pyta, choć Finnick jest tuż obok, a wszyscy doskonale słyszą jego słowa. — Katniss?

— Poskutkował — odpowiadam.

— Ale nie tak, jak zamierzałem — dodaje i odwraca spojrzenie. Odtąd nie odrywa oczu od ostryg.

Gdy zabieramy się jedzenia, opada spadochron z dwoma dodatkami do naszego posiłku: małym garnuszkiem pikantnego, czerwonego sosu oraz jeszcze jedną porcją bułek z Trzeciego Dystryktu. Finnick, jak się nietrudno domyślić, natychmiast przelicza pieczywo.

— Znowu dwadzieścia cztery sztuki — sumuje.

Łącznie mamy trzydzieści dwie bułki, więc bierzemy po pięć i zostaje jeszcze siedem, których nie da się równo podzielić. Ostatnia porcja pieczywa jest przeznaczona tylko dla jednego trybuta.

Rybie mięso jest przyjemnie słone, owoce morza soczyste i nawet ostrygi smakują nie najgorzej za sprawą dobrego sosu. Objadamy się tak długo, aż nie jesteśmy już w stanie przełknąć ani jednego kęsa, a i tak zostaje jeszcze całkiem sporo żywności, która szybko się popsuje, więc wyrzucamy resztki do wody, żeby zawodowcy nic nie znaleźli po naszym odejściu, ale nikt nie zaprzęta sobie głowy muszlami, bo przecież fala i tak wszystko zabierze.

Teraz nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać. Siedzę obok Peety na skraju wody, ramię w ramię, lecz nie odzywamy się do siebie ani słowem. Wczoraj w nocy Peeta wyznał już wszystko, co miał do powiedzenia, a ja nie zmieniałam zdania i nic, co powiem, nie wpłynie na jego decyzję. Czas perswazji minął.

Mam jednak perłę, bezpiecznie zawiniętą w przytroczoną do pasa czaszę spadochronu, razem z sączkiem i lekarstwem. Mam nadzieję, że dotrze do Dwunastego Dystryktu. Liczę na to, bo mama i Prim na pewno się domyśla, że przed pogrzebem powinny ją przekazać Peecie.

Słysząc hymn, ale tego wieczoru na niebie nie pojawiają się żadne twarze, co oznacza, że widownia będzie niespokojna i spragniona krwi. Pułapka obmyślona przez Beetee'ego jest jednak na tyle obiecująca, że organizatorzy powstrzymali się od zsyłania na nas nowych kataklizmów. Moim zdaniem sami są ciekawi, co wyniknie z naszych planów.

Według obliczeń moich i Finnicka jest około dziewiątej, kiedy opuszczamy nasz zasłany muszlami obóz, przechodzimy na plażę przy godzinie dwunastej i w blasku księżyca cicho wyruszamy do burzowego drzewa. Ze względu na pełne brzuchy wędruje nam się gorzej niż podczas porannej wspinaczki, a na dodatek dostaję zadyszki, więc dochodzę do wniosku, że zjadłam o tuzin ostryg za dużo.

Beetee prosi Finnicka o pomoc, reszta trzyma straż. Na początek, jeszcze przed przywiązaniem drutu do drzewa, Beetee odwija wielometrowy fragment, każe Finnickowi przywiązać go mocno do ułamanej gałęzi i położyć ją na ziemi. Potem stają po przeciwnych stronach pnia i przekazują sobie szpulę, jednocześnie wielokrotnie owijając drzewo przewodem. Ich czynności wydają mi się przypadkowe, ale po pewnym czasie dostrzegam pewien system, dzięki czemu drut po stronie Beetee'ego układa się we wzór, w blasku księżyca przypominający misterny labirynt. Zastanawiam się, czy ułożenie przewodu ma jakiegokolwiek znaczenie, czy też ma na celu jedynie zaintrygowanie widzów, których większość zna się na elektryce równie marnie jak ja.

Praca przy drzewie dobiega końca, kiedy słyszymy szum fali, zaczyna przewalać się przez segment godziny dziesiątej. Nie udało mi się zaobserwować, o której dokładnie wypływa woda, ale na początku z pewnością musi się spiętrzyć, potem przetoczyć po zboczach, a po powodzi cofnąć. Przyglądam się niebu i dochodzę do wniosku, że minęło w pół do jedenastej. O tej porze Beetee zdradza nam resztę planu. Ponieważ Johanna i ja najsprawniej poruszamy się po dżungli, musimy przenieść szpulę na dół, rozwijając po drodze drut, rzecz jasna. Mamy

przecięgnąć przewód przez plażę na godzinie dwunastej, rzucić metalowy zwój — a raczej jego resztki — prosto do głębokiej wody i dopilnować, żeby poszedł na dno. Na koniec musimy uciec do dżungli, a jeśli wyruszymy teraz, natychmiast, to powinniśmy bezpiecznie wyrobić się ze wszystkim.

— Chcę iść z nimi jako strażnik — oznajmia Peeta bez wahania. Po tym, jak ofiarował mi perłę, wiem lepiej niż kiedykolwiek, że nie zamierza spuścić ze mnie oka.

— Jesteś zbyt powolny, a poza tym potrzebuję ciebie z tego końca. Katniss będzie strażniczką — decyduje Beetee. — Nie ma czasu na dyskusje, przykro mi. Jeżeli dziewczyny mają wyjść z tego żywe, muszą niezwłocznie brać się do roboty.

Wręcza zwój Johannie, a ja myślę, że ten plan nie podoba mi się tak samo jak Peecie, bo jak mam go bronić na odległość? Cóż, mimo wszystko Beetee ma rację. Ze swoją nogą Peeta jest zbyt powolny, aby na czas dotrzeć do podnóża zbocza. Ja i Johanna jesteśmy najszybsze i najpewniej czujemy się w dżungli, więc nie przychodzi mi do głowy żaden lepszy pomysł. Zresztą, jeżeli mogę tutaj komuś ufać poza Peetą, to tylko Beetee'emu.

— W porządku — zwracam się do Peety. — Po prostu rzucimy szpulę i od razu wrócimy.

— Nie wchodźcie do segmentu błyskawic — mówi Beetee. — Musicie kierować się ku drzewu w sektorze pierwsza-druga, a jeżeli uznacie, że kończy się wam czas, idźcie do następnego segmentu. Nawet nie myślcie o powrocie na plażę, dopóki nie ocenię zniszczeń.

Obejmuję dłońmi twarz Peety.

— Uszy do góry, zobaczymy się o północy — mówię i całuję go, zanim zdąży znowu zaprotestować, a następnie spoglądam pytająco na Johannę. — Gotowa?

— Dlaczego nie? — Wzrusza ramionami, niewątpliwie tak samo zachwycona moim towarzystwem jak ja jej. Co zrobić, skoro wszyscy mamy swój udział w zastawianiu pułapki przez Beetee'ego? — Ty czuwaj, a ja będę odwijiała. Później się zmienimy.

Bez dalszej dyskusji idziemy w dół zbocza, a po drodze prawie wcale nie odzywamy się do siebie. Poruszamy się w całkiem niezłym tempie, dzięki temu, że jedna z nas obsługuje szpulę, a druga rozgląda się na boki. Mniej więcej w połowie drogi na dół słyszymy coraz głośniejsze cykanie, co oznacza, że minęła jedenasta.

— Lepiej się pośpieszmy — sugeruje Johanna. — Wolalabym jak najbardziej oddalić się od wody przed uderzeniem pioruna, na wypadek gdyby Wolt coś złe obliczył.

— Mogę przez pewien czas rozwijać szpulę — proponuję. Obsługa zwoju jest cięższa niż trzymanie straży, a Johanna już dość długo zajmuje się rozciąganiem przewodu.

— Trzymaj — zgadza się i przekazuje mi drut.

Obie dotykamy dłońmi metalowego cylindra, aż zaczynamy wyczuwać lekkie wibracje i cienki, złocisty przewód nagle spada na nas z góry, skręca się i zapętla nam wokół nadgarstków, a oderwany koniec wiję się jak wąż u naszych stóp.

Wystarcza zaledwie parę sekund, żebyśmy zorientowały się w całkowicie nowej sytuacji. Wymieniamy spojrzenia, ale żadna z nas nie musi mówić tego, co oczywiste: ktoś nieopodal przeciął drut i lada moment do nas dotrze. Puszczam zwój i momentalnie sięgam po strzałę, ale gdy tylko dotykam palcami lotki, metalowy cylinder uderza mnie w bok głowy i tracę przytomność. Kiedy ponownie otwieram oczy, leżę na plecach wśród pnączy, a lewą skroń przeszywa mi koszmarny ból. Na dodatek coś złego stało się z moimi oczami, na przemian tracę i odzyskuję ostrość widzenia, gdy usiłuję połączyć dwa księżyce na niebie w jedną całość. Z trudem chwytam powietrze i nagle orientuję się, że Johanna siedzi mi na klatce piersiowej i kolanami dociska ramiona.

Czuję, że ostry przedmiot przebija mi lewe przedramię, więc usiłuję oswobodzić się gwałtownym szarpnięciem, lecz nadal jestem zbyt osłabiona. Johanna grzebie mi w mięśniach, chyba kaleczy mnie czubkiem noża, którym obraca na wszystkie strony. Fala bólu

dociera mi do mózgu, a na nadgarstku czuję ciepłą ciecz, która spływa do wnętrza dłoni. Johanna przysuwa mi rękę do głowy i rozsmarowuje krew po połowie twarzy.

— Leż i nie wstawaj! — syczy, uwalnia mnie od swojego ciężaru i znika. Zostaję sama.

Leż i nie wstawaj?, myślę oszołomiona. Co się dzieje? Zamykam oczy, odgradzam się od niespójnego świata i usiłuję połapać się w sytuacji, ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, to wspomnienie Johanny, która jednym pchnięciem posyła Wiress na piasek plaży. „Leż i nie wstawaj, dobra?” Wtedy nie zaatakowała Wiress, nie tak jak teraz mnie, może dlatego że nie jestem Wiress. Nie jestem Pokręt. „Leż i nie wstawaj, dobra?”, kołacze mi w głowie. Wtedy słyszę kroki, dwie osoby idą prosto ku mnie, kroczą ciężko, nawet nie próbują się maskować.

Rozbrzmiewa głos Brutusa.

— Tak, jakby już nie żyła — ocenia. — Chodź, Enobaria!

Chrzęst kroków znika w nocy. Czy naprawdę umieram? Usiłuję znaleźć odpowiedź na to pytanie, kiedy na przemian tracę i odzyskuję świadomość. Czy jest tak, jakbym już nie żyła? Racjonalne myślenie to dla mnie męczarnia. Wiem na pewno, że Johanna mnie zaatakowała, przyłożyła mi zwojem drutu w głowę i przebiła nożem rękę, zapewne nieodwracalnie uszkadzając żyły i tętnice, a zanim zdążyła mnie wykończyć, zjawili się Brutus i Enobaria.

Sojusz został zerwany, Finnick i Johanna z pewnością postanowili, że tej nocy zwrócą się przeciwko nam. Wiedziałam, że powinniśmy byli odłączyć się z samego rana. Nie wiem, po czyjej stronie jest Beetee, ale ja i Peeta jesteśmy pierwszymi kandydatami do odstrzału.

Peeta! W panice otwieram oczy, kiedy dociera do mnie, że Peeta czeka przy drzewie, niczego się nie spodziewa i łatwo go zaskoczyć. Może Finnick już go zabił, kto wie?

— Nie — szepczę do siebie. Drut przecięli zawodowcy, niedaleko stąd, a Finnick, Beetee i Peeta nie mogą wiedzieć, co się dzieje tutaj, na dole zbocza. Zapewne zachodzą w głowę, co się stało, dlaczego drut jest luźny albo wręcz zwinął się z powrotem przy drzewie. To chyba nie może być sygnałem do zabijania? Z pewnością sama Johanna zdecydowała, że nadszedł czas, aby się z nami rozstać. Postanowiła mnie zabić, uciec przed zawodowcami, a następnie możliwie szybko wciągnąć Finnicka do walki. Nie wiem, nie mam pojęcia, ale na pewno muszę wrócić do Peety i ocalić go przed śmiercią. Zbieram resztki sił, z trudem siadam na ziemi i czepiając się pnia drzewa, wstaję. Dobrze, że mam się czego chwycić, bo dżungla kiwa się w przód i w tył. Nagle pochylam się i nieoczekiwanie wymiotuję, zwracam całe śniadanie złożone z ryb i owoców morza, dostaję torsji tak silnych, że w żołądku nie ma prawa pozostać ani jedna ostryga. Roztrzęsiona i śliska od potu postanawiam ocenić, w jakim jestem stanie fizycznym.

Kiedy unoszę zranioną rękę, krew tryska mi prosto w twarz, a świat ponownie chwieje się niebezpiecznie, więc zaciskam powieki i tulę się do pnia tak długo, aż zawroty głowy nieco ustają. Następnie ostrożnie pokonuję dystans kilku kroków do sąsiedniego drzewa, zrywam garść mchu i nie badając rany, mocno obwiązuję rękę. Czuję, że dobrze, a nawet zdecydowanie dobrze robię, nie patrząc na rozcięcie. Ostrożnie dotykam dłonią głowy i macam się po wielkim guzie, na szczęście nie ma zbyt wiele krwi. Rzecz jasna, odniosłam też obrażenia wewnętrzne, ale raczej się nie wykrwawię, przynajmniej nie z rany na głowie.

Wycieram dłonie w mech i lewą ręką biorę łuk, wsuwam cięciwę w rowek strzały i powoli wlokę się w górę wzniesienia.

Peeta. Moim ostatnim życzeniem przed śmiercią i zarazem złożoną sobie obietnicą jest utrzymanie go przy życiu. Nieco podnosi mnie na duchu świadomość, że z pewnością jeszcze nie umarł, bo nie padł armatni wystrzał. Może Johanna działała w pojedynkę ze świadomością, że Finnick ją wesprze, gdy jej intencje staną się jasne. Chociaż trudno jest zgadywać, co łączy tych dwoje, przypominam sobie, jak na nią patrzył, zanim wyraził zgodę na pułapkę Beetee'ego. Bez aprobaty Johanny zapewne nie przyłączyłby się do nas. Ich przymierze opie-

ra się na wieloletniej przyjaźni i nie wiadomo czym jeszcze. Jeżeli więc Johanna zwróciła się przeciwko mnie, nie powinnam już ufać Finnickowi.

Dochodzę do tego wniosku zaledwie kilka sekund przed tym, jak dociera do mnie tupot kroków kogoś zbiegającego z góry. Z taką prędkością nie mogliby się poruszać ani Peeta, ani Beetee, więc pochylam się za zasłoną pnączy w samą porę, żeby pozostać niezauważona. Tuż obok mnie przebiega Finnick, którego rozpoznaję po skórze pociemniałej od maści, sady susy przez poszycie niczym jeleń.

— Johanna! — woła. — Katniss!

Pozostaję w ukryciu, kiedy on oddala się tam, dokąd wcześniej pognała Johanna i zawodowcy. Poruszam się najszybciej, jak mogę, ale nie jestem w stanie się rozpędzić, bo świat zaczyna mi wirować przed oczami, a w dodatku łapie mnie w głowie od gwałtownego bicia serca. Owady, zapewne podniecone zapachem krwi, cykają coraz donośniej, aż wreszcie ich hałas zmienia się w jednostajny ryk.

Zaraz, a może dzwoni mi w uszach po uderzeniu? Nie zdołam tego ocenić, dopóki owady nie umilkną, ale gdy się uciszą, niebo przetną błyskawice. Muszę się pośpieszyć, muszę dotrzeć do Peety.

Zatrzymuje mnie wystrzał. Ktoś zginął, ale nie sposób określić kto, skoro wszyscy teraz biegają uzbrojeni i wystraszeni. Kimkolwiek jest następna ofiara igrzysk, jestem pewna, że jej śmierć stanie się sygnałem do chaotycznej rzezi pod osłoną nocy. Ludzie będą zabijali i dopiero potem zastanawiali się nad tym, kogo i dlaczego. Coraz bardziej niespokojna, zmuszam się do biegu.

W pewnej chwili coś oplata mi nogi. Jak długa przewracam się na ziemię i czuję, że oplatają mnie i obezwładniają ostre włókna. To sieć! Z pewnością natrafiłam na jedną z wymyślnych sieci Finnicka, a on sam niewątpliwie czyha w pobliżu, z trójzębem w garści. Chaotycznie macham rękami, przez co jeszcze bardziej się zaplątuję, aż wreszcie zauważam charakterystyczny błysk w blasku księżycy.

Zdezorientowana unoszę dłoń i dopiero teraz widzę lśniące, złociste nici. Nie wpadłam w siatkę Finnicka, tylko w drut Beetee'ego. Ostrożnie wstaję, a wtedy dostrzegam, że fragment rozwiniętego przewodu zaczepił się o jeden z pni po drodze do burzowego drzewa. Powoli uwalniam się z drutu, odsuwam od niego i kontynuuję wspinaczkę ze świadomością, że nie zablądziłam i pomimo ciosu w głowę nie straciłam orientacji. Przewód przypomni mi jednak o nadciągającej serii wyładowań. Nadal słyszę owady, ale czy przypadkiem nie cykają coraz ciszej?

Idę dalej tak, żeby pętle drutu znajdowały się parę metrów z mojej lewej strony i służyły mi za przewodnika, ale bardzo się pilnuję, aby ich nie dotknąć. Jeżeli owady rzeczywiście milkną, a pierwsza błyskawica lada moment uderzy w drzewo, wówczas cała energia pioruna popłynie przewodem, a każdy, kto go dotknie, zginie na miejscu.

W końcu dostrzegam rozmyty obraz drzewa o pniu przyozdobionym na złoto, więc zwalniam i próbuję się skradać, ale tak naprawdę mam szczęście, że mogę iść wyprostowana. Rozglądam się w poszukiwaniu towarzyszy, ale nie widzę nikogo, ani jednej osoby.

— Peeta? — wołam półgłosem. — Peeta?

Odpowiada mi przyciszony jęk. Momentalnie się odwracam i od razu zauważam człowieka, który leży na ziemi, nieco wyżej na zboczu.

— Beetee! — krzyczę. Spieszę do niego i klękam, lecz ten jęk musiał być mimowolny, gdyż Beetee jest nieprzytomny. Nie widzę na jego ciele żadnych ran z wyjątkiem rozległego skaleczenia poniżej zgięcia łokcia. Chwytam garść mchu z najbliższej gałęzi i nieporadnie robię opatrunek, jednocześnie usiłując ocucić Beetee'ego. — Beetee! Beetee, co się dzieje? Kto cię skaleczył? Beetee! — Potrząsam nim tak, jak nigdy nie należy potrząsać rannymi, ale nie mam pojęcia, co innego mogłabym zrobić. Beetee jęczy ponownie i na chwilę unosi rękę, aby mnie odpędzić.

Wtedy zauważam, że trzyma nóż, chyba ten sam, którym wcześniej posługiwał się Peeta, ale tym razem jest on luźno owinięty drutem. Zdezorientowana wstaję i podnoszę przewód, który okazuje się przywiązany do drzewa. Po sekundzie przypominam sobie, że jeszcze przed wyplataniem wzorów na drzewie Beetee przymocował do gałęzi i zostawił na ziemi drugi, znacznie krótszy fragment przewodu. Sądziłam, że ma jakieś znaczenie i przyda się później, ale nigdy nie został wykorzystany, gdyż widzę teraz około dwudziestu, może dwudziestu pięciu metrów drutu.

Wyteżam wzrok, patrząc w górę wzniesienia, i uświadamiam sobie, że pole siłowe rozciąga się zaledwie kilka kroków dalej. Wysoko z prawej strony dostrzegam charakterystyczny kwadrat, który znajduje się w tym samym miejscu co rankiem. Co wyprawiał Beetee? Czy usiłował wbić nóż w pole siłowe tak samo, jak to przypadkowo zrobił Peeta, i o co chodziło z tym drutem? Czy to był jego plan rezerwowowy? Czy zamierzał przesłać energię pioruna do pola siłowego, gdyby nie udało mu się pokierować błyskawicy do wody? Co właściwie chciał w ten sposób osiągnąć? Nic, a może bardzo dużo? Czy postanowił usmażyć nas wszystkich? Jak mi się wydaje, pole siłowe składa się prawie wyłącznie z energii. Bariera w Ośrodku Szkoleniowym była niewidzialna, a tutaj chyba odbija obraz dżungli. Poza tym widziałam, jak szwankuje, gdy uderzył w nią nóż Peety, a potem moja strzała. Prawdziwy świat rozciąga się tuż przede mną.

Nie dzwoni mi w uszach, więc jednak to były owady. Wiem to na pewno, bo szybko milkną i już po paru sekundach słyszę wyłącznie odgłosy tropikalnego lasu. Z Beetee'ego nie będę miała pożytku, nie sposób go ocucić. Nie uratuję mu życia. Nie wiem, co usiłował zrobić z nożem i przewodem, i nie mam szansy się dowiedzieć. Opatrunek z mchu na mojej ręce kompletnie przesiąkł krwią i muszę spojrzeć prawdzie w oczy. Mam takie zawroty głowy, że lada moment stracę świadomość, więc powinnam oddalić się od tego drzewa i...

— Katniss! — Słyszę głos Peety, choć dobiega ze znacznej odległości. Ale co on robi? Z pewnością się domyślił, że teraz wszyscy na nas polują. — Katniss!

Nie ocaleję go. Nie mogę poruszać się ani prędko, ani daleko, a moje umiejętności strzeleckie są w najlepszym wypadku wątpliwe, więc robię, co w mojej mocy, żeby odciągnąć napastników od niego i skupić ich uwagę na mnie.

— Peeta! — wrzeszczę. — Peeta, tu jestem! Peeta!

Tak, muszę przyciągnąć ich tutaj, wszystkich z okolicy, niech podejną blisko mnie i oddalą się od Peety, bo tu czeka na nich burzowe drzewo, które wkrótce zmieni się w skuteczną broń.

— Tu jestem! Jestem tutaj! — krzyczę. Wiem, że Peeta nie zdąży podbiec, nie w nocy, nie z taką nogą. Nie da rady zjawić się tu na czas. — Peeta!

Plan wypalił, słyszę, jak nadbiegają. Przez dżunglę przedziera się dwóch trybutów. Moje kolana dają za wygraną i opadam obok Beetee'ego, klęczę, opierając ciężar ciała na piętach. Przygotowuję łuk do strzału i zastanawiam się, czy Peecie uda się przetrwać, jeśli zdejmę tę dwójkę?

Enobaria i Finnick dobiegają do burzowego drzewa. Nie widzą mnie, bo siedzę wyżej na zboczu, a skórę mam pokrytą maścią. Celuję prosto w szyję Enobarii i myślę, że jeśli dopisze mi szczęście, to po moim celnym strzale Finnick ukryje się za drzewem w tej samej chwili, kiedy uderzy piorun, czyli lada moment. Tylko tu i tam rozbrzmiewa ostatnie, ciche cykanie. Mogę ich teraz zabić. Zdołam zabić oboje.

Grzmi następny wystrzał.

— Katniss! — ryczy Peeta, ale tym razem nie odpowiadam. Beetee nadal cicho oddycha obok mnie. Wkrótce umrzemy oboje, podobnie jak Finnick i Enobaria, ale Peeta żyje. Armata huknęła dwa razy, co oznacza, że nie żyje dwoje trybutów spośród trzech: Brutusa, Johnny i Chaffa, a zatem Peeta będzie musiał zabić tylko jednego rywala. Bardziej mu nie pomogę, pozostał mu zaledwie jeden wróg do pokonania.

Wróg. Wróg. To słowo przywodzi na myśl niedawne wspomnienia i kojarzy je z teźniejszością. Znowu mam przed oczami twarz Haymitcha w tamtej chwili. „Katniss, kiedy trafisz na arenę...” Ściąga brwi z powątpiewaniem. „Co wtedy?” Słyszę w swoim głosie napięcie wywołane niewypowiedzianym oskarżeniem. „Wtedy pamiętaj, kto jest twoim prawdziwym wrogiem”, podsumowuje Haymitch. „To tyle”. Tak brzmiała ostatnia rada Haymitcha, tylko czemu przypominał mi o tym, co doskonale wiem? Zawsze miałam świadomość, kto jest wrogiem, kto nas głodzi, torturuje i zabija na arenie, kto wkrótce wymorduje wszystkich, których kocham.

Opuszczam łuk, kiedy pojmuję intencje Haymitcha. Tak, potrafię wskazać prawdziwego wroga, i nie jest nim Enobaria. W końcu wyraźnie dostrzegam nóż Beetee'ego, więc drżącą ręką zsuwam drut z rękojeści, owijam nim strzałę tuż za lotką i zabezpieczam węzłem, którego się nauczyłam podczas szkolenia. Wstaję, odwracam się w kierunku pola siłowego i nie obchodzi mnie, że jestem doskonale widoczna. Interesuje mnie tylko to, gdzie powinnam wycelować, gdzie Beetee wbiłby nóż, gdyby miał taką możliwość. Kieruję łuk ku niewyraźnemu kwadratowi, ku defektowi... Jak Beetee nazwał kiedyś tę plamkę? To słaby punkt bariery. Wypuszczam strzałę, widzę, jak trafia w cel i znika, pociągając za sobą złotą nić.

Włosy stają mi dęba, kiedy piorun uderza w drzewo. Po drucie przebiega biały błysk i na ułamek sekundy kopułę rozświetla oślepiająca, niebieska jasność. Niewyobrazalna energia powala mnie na ziemię, moje ciało staje się bezużyteczne, sparaliżowane, szeroko otwartymi oczami śledzę obsypujące mnie pierzaste strzępy. Nie mogę dotrzeć do Peety, nie jestem nawet w stanie sięgnąć po perłę. Wyteżam wzrok, żeby zapamiętać ten ostami, piękny obraz, który ze sobą zabiorę. Tuż przed serią eksplozji dostrzegam gwiazdę.

Mam wrażenie, że wszystko wybucha jednocześnie. Ziemia eksploduje deszczem gleby i resztek roślin, drzewa stają w płomieniach, nawet niebo rozświetlają jaskrawo ubarwione pióropusze ognia. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś miałby bombardować niebo, aż w końcu uświadamiam sobie, że organizatorzy urządzili pokaz fajerwerków, podczas gdy prawdziwa fala zniszczeń przetacza się tutaj, na dole. Kapitol zaaranżował to tak, aby zapewnić widzom dodatkowe atrakcje, jakby unicestwienie areny i zagłada pozostałych trybutów nie wystarczały. Niewykluczone też, że potrzebna była odpowiednia oprawa świetlna dla naszego krwawego końca.

Czy pozwolą komuś przeżyć? Czy Siedemdziesiąte Piąte Głodowe Igrzyska będą miały zwycięzcę? Możliwe, że nie. Jakkolwiek patrzeć, Ćwierćwiecze Poskromienia jest urządzane tylko dla... Co takiego prezydent Snow odczytał z kartki? „...przypomnienia buntownikom, że nawet najsilniejsi z nich nie mogą pokonać potęgi Kapitolu...” Nawet najsilniejsi z silnych nie zatriumfują. A może w tych Głodowych Igrzyskach nigdy nie miało być zwycięzcy? Niewykluczone też, że swoim aktem buntu skłoniłam Kapitol do podjęcia ostatecznej decyzji.

Wybacz, Peeta, myślę. Przepraszam, nie potrafiłam cię ocalić. Ocalić? Co bardziej prawdopodobne, odebrałam mu ostatnią szansę przetrwania, skazałam go na śmierć, bo zniszczyłam pole siłowe. Może wszyscy powinniśmy byli przestrzegać reguł gry, a pozwolono by mu przeżyć.

Poduszkowiec materializuje się nade mną zupełnie nieoczekiwanie. Gdyby panowała cisza i w pobliżu przycupnął kosogłos, zorientowałabym się, że dżungla milknie, a potem usłyszałabym śpiew ptaka, poprzedzający przybycie kapitołińskiego pojazdu. Jednostajny grzmot bombardowania sprawia jednak, że nie jestem w stanie rozpoznać tak subtelnych odgłosów.

Z podbrzusza poduszkowca wysuwają się kleszcze i opadają ku mnie. Metalowe szczypcy wślizgują się pode mnie, a ja chcę wrzeszczeć, biec na oślep jak najdalej, lecz tkwię nieruchomo, jestem bezbronna i mogę tylko mieć głęboką nadzieję, że umrę, nim dotrę do mrocznych postaci, które na mnie czekają. Nie darowali mi życia, by ukoronować mnie na

zwycięzcę, lecz po to, żeby moja śmierć trwała jak najdłużej, wystawiona na widok publiczności.

Moje najgorsze obawy potwierdzają się, kiedy na pokładzie spogląda mi w twarz Plutarch Heavensbee, Główny Organizator Igrzysk. Obróciłam w perzynę jego piękne igrzyska z przemysłnym, sprawnym zegarem i drużyną zwycięzców. Z pewnością poniesie konsekwencje za niepowodzenie, być może nawet straci życie, ale najpierw dopilnuje, żebym została ukarana. Wyciąga do mnie rękę, myślę, że po to, by mnie uderzyć, ale robi coś nieporównywalnie gorszego. Kciukiem i palcem wskazującym zamyka mi powieki i skazuje na ciemności. Nic nie widzę i nie będę mogła się przeciwstawić, kiedy oni zaczną robić ze mną wszystko, co zechcą.

Serce wali mi z taką siłą, że krew wypływa strumieniem spod przesiąkniętego opatrunku z mchu. Coraz trudniej jest mi zebrać myśli, niewykluczone, że wykrwawię się na śmierć, zanim zdążą mnie reanimować. W duchu szepczę słowa podziękowania pod adresem Johannya Masona za tę doskonałą ranę, a w następnej sekundzie tracę przytomność.

Gdy częściowo ją odzyskuję, dociera do mnie, że leżę na stole obitym miękką okładziną, a w lewej ręce czuję szczypanie rurek, do których mnie podłączono. Jestem pewna, że Kapitol podtrzymuje mnie przy życiu, bo gdybym cicho, dyskretnie umarła, odniosłabym zwycięstwo. Nadal nie mogę się ruszać, nie jestem w stanie otworzyć oczu ani unieść głowy, lecz odzyskałam część władzy w prawej ręce. Tłukę nią niezdarnie po ciele, jak płetwą, a właściwie czymś martwym, może pałąk. Straciłam koordynację ruchową i nie potrafię nawet powiedzieć, czy nadal mam palce. Mimo to udaje mi się wymachiwać ręką tak długo, aż w końcu wyrwywam rurki, a wtedy uruchamia się brzęczyk. Nie udaje mi się jednak zachować przytomności i mdleję, zanim zdążę się przekonać, kogo wezwałam.

Kiedy ponownie wraca mi świadomość, mam ręce przywiązane do stołu, rurki wróciły na swoje miejsce. Tym razem mogę otworzyć oczy i lekko unieść głowę, więc orientuję się, że przebywam w dużym, srebrzyście oświetlonym pokoju o niskim suficie. Znajdują się tu dwa rzędy zwróconych ku sobie łóżek i słyszę oddechy ludzi, zapewne innych zwycięzców igrzysk. Zaraz naprzeciwko dostrzegam Beetee'ego, jest podpięty do około dziesięciu różnych urządzeń. Pozwólcie nam umrzeć!, wrzeszczę w myślach, mocno walę potylicą o blat i znowu zapadam się w mrok.

W końcu ostatecznie dochodzę do siebie i orientuję się, że więzy znikły, i unoszę rękę. Znowu mogę bez trudu poruszać palcami, więc odpycham się od stołu i siadam nieruchomo, w oczekiwaniu, aż odzyskam ostrość widzenia. Lewą rękę mam zabandażowaną, ale rurki wiszą na stojakach przy łóżku. Poza mną w sali jest jeszcze tylko Beetee, nadal leży przede mną, podtrzymywany przy życiu przez baterię maszyn. Zastanawiam się, gdzie są pozostali? Peeta, Finnick, Enobaria i... i jeszcze jedna osoba, prawda? Johanna, Chaff albo Brutus, bo któreś z nich jeszcze żyło, kiedy wystrzeliły rakiety. Jestem pewna, że władze będą chciały rozprawić się z nami dla przykładu, ale dokąd trafili inni trybuci? Przeniesiono ich ze szpitala do więzienia?

— Peeta... — szepczę. Tak bardzo pragnęłam go ocalić, i nadal jestem zdecydowana go chronić. Ponieważ nie udało mi się zapewnić mu bezpiecznego życia, to muszę go zabić, zanim Kapitol zrobi to samo w dużo bardziej okrutny sposób. Zsuwam nogi z blatu, rozglądam się w poszukiwaniu broni i na stole przy łóżku Beetee'ego zauważam kilka strzykawek w sterylnych opakowaniach z plastiku.

Doskonale, wystarczy mi odrobina powietrza i celny zastrzyk w jedną z żył Peety. Na moment nieruchomię i zastanawiam się, czy zabić Beetee'ego. Jeśli to zrobię, urządzenia kontrolne zaczną piszczeć, a wówczas zostanę złapana, zanim dotrę do Peety. W myślach obiecuję sobie, że jeśli się uda, to wrócę, żeby i jego wykończyć.

Jestem prawie goła, tylko w cienkiej nocnej koszuli, więc wsuwam strzykawkę pod bandaż na ranie na ręce. Przy drzwiach nie ma strażników, a zatem przebywam głęboko pod

Ośrodkiem Szkoleniowym, albo w jednej z kapitoliańskich twierdz, z których nie da się uciec. Wszystko jedno, i tak nie zamierzam uciekać, tylko dokończyć to, co zaczęłam.

Skradam się wąskim korytarzem do metalowych, lekko uchylonych drzwi. Ktoś za nimi jest, więc wyciągam strzykawkę i zaciskam ją w garści, a następnie rozplaszczam się na ścianie i wsłuchuję w głosy dochodzące ze środka.

— Ciągi komunikacyjne do Siódemki, Dziesiątki i Dwunastki zostały odcięte, ale Jedenastka przejęła kontrolę nad transportem, więc możemy mieć nadzieję, że uda im się wywieźć trochę żywności.

Wydaje mi się, że to głos Plutarcha Heavensbee'ego, choć rozmawiałam z nim tylko raz. Ktoś pyta o coś chrapliwym głosem.

— Nie, przykro mi. Nie mam możliwości przerzucenia cię do Czwartego Dystryktu, ale wydałem specjalne rozkazy, żeby ją odszukano. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić, Finnick.

Finnick. Nerwowo usiłuję rozgryźć sens tej wymiany zdań i zrozumieć, dlaczego doszło do niej między Plutarchem Heavensbee'em a Finnickiem. Czyżby Finnick był takim ulubieńcem Kapitolu, że postanowiono wybaczyć mu popełnione przestępstwa? A może naprawdę nie miał pojęcia o zamiarach Beetee'ego? Finnick chrypi niezrozumiale, w jego głosie po-brzmiewa głęboka rozpacz.

— Nie bądź głupi, to najgorsze, co mógłbyś zrobić. W ten sposób na pewno doprowadziłybyś do jej śmierci. Dopóki żyjesz, oni jej nie zabiją, żeby nie tracić nad tobą przewagi — słyszę głos Haymitcha.

Haymitch! Gwałtownie otwieram drzwi i chwiejnym krokiem mijam próg. Haymitch, Plutarch i fatalnie poobijany Finnick siedzą przy zastawionym stole, ale nikt nic nie je. Przez okrągłe okna wpada światło dnia, w oddali dostrzegam wierzchołki leśnych drzew, zatem lecimy.

— W końcu przestałaś pozbawiać się przytomności, skarbie? — zwraca się do mnie Haymitch, a w jego głosie z miejsca wyczuwam irytację. Gdy niepewnie idę przed siebie, chwytam mnie za nadgarstki i pomaga mi się wyprostować, a potem patrzy na moją dłoń. — Zatem wyruszasz na Kapitol uzbrojona w strzykawkę? Sama widzisz, właśnie dlatego nikt nie pozwala ci niczego planować. — Spoglądam na niego zdezorientowana. — Rzuć to. — Ucisk na mój prawy nadgarstek jest coraz silniejszy, aż w końcu jestem zmuszona rozewrzeć palce i puścić strzykawkę. Haymitch sadza mnie na krześle obok Finnicka, a Plutarch stawia przede mną talerz rosołu i bułkę, a do ręki wsuwa mi łyżkę.

— Jedz — zachęca mnie znacznie miłszym tonem niż Haymitch, który siada naprzeciwko mnie.

— Katniss, wytłumaczę ci, co się stało, i nie chcę, żebyś mi przerywała pytaniami. Rozumiesz?

Kiwam głową otepiąłem i słucham tego, co ma mi do powiedzenia.

Od momentu ogłoszenia Igrzysk Czwierćwiecza istniał plan wydostania nas z areny. Zwycięscy trybuci z Trójki, Czwórki, Szóstki, Siódemki, Ósemki i Jedenastki znali go w mniejszym lub większym stopniu, a Plutarch Heavensbee od kilku lat należy do podziemnego ugrupowania, które postawiło sobie za cel obalenie władzy Kapitolu. To on dopilnował, żeby wśród rozmaitych rodzajów broni pojawił się zwój drutu dla Beetee'ego, który odpowiadał za wysadzenie dziury w polu siłowym. Pieczywo, które otrzymywaliśmy na arenie, było zakodowaną informacją o czasie nadejścia pomocy. Dystrykt, w którym upieczono chleb, oznaczał dzień — trzeci. Liczba bułek była godziną — dwudziesta czwarta.

Poduszkowiec należy do Trzynastego Dystryktu, co oznacza, że Bonnie i Twill, kobiety z Ósemki, które spotkałam w lesie, nie myliły się w sprawie jego istnienia i możliwości obronnych. Obecnie podążamy bardzo okrężną trasą ku Trzynastce i wiemy, że w większości dystryktów w Panem trwa powstanie.

Haymitch na moment milknie, żeby sprawdzić, czy nadażam, a może chwilowo już skończył. Dowiedziałam się tyle, że bardzo trudno mi to sobie przyswoić. Okazało się, że byłam częścią skomplikowanego planu, podobnie jak stałam się pionkiem w Głodowych Igrzyskach. Wykorzystano mnie bez mojej wiedzy i zgody. Podczas Głodowych Igrzysk przynajmniej byłam tego świadoma. Moi domniemani przyjaciele okazali się o wiele bardziej tajemniczy.

— Nic mi pan nie powiedział — mówię równie chrapliwie jak Finnick.

— Oboje nic nie wiedzieliście, ani ty, ani Peeta. Nie mogliśmy ryzykować — odzywa się Plutarch. — Bałem się, że podczas igrzysk wspomnisz o moim niedyskretnym zachowaniu z zegarkiem. — Wyciąga kieszonkowy zegarek i głaszcze kciukiem kryształowe szkiełko, żeby rozświetlić kosogłosa. — Co oczywiste, kiedy pokazywałem ci go, dawałem ci tylko wskazówkę na temat areny, jako mentorce. Uznałem, że muszę zacząć zdobywać twoje zaufanie i ten sposób wydał mi się odpowiedni. Wówczas nie przyszło mi do głowy, że ponownie zostaniesz trybutem.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego nie wtajemniczyliście ani mnie, ani Peety — oznajmiam.

— Ponieważ po wysadzeniu pola siłowego bylibyście najbardziej poszukiwanymi przez władze trybutami, więc im mniej wiedzieliście, tym lepiej — objaśnia Haymitch.

— Bylibyśmy najbardziej poszukiwani? Dlaczego? — zdumiewam się i usiłuję uważnie śledzić tok rozumowania rozmówców.

— Z tego samego powodu, dla którego reszta z nas zgodziła się umrzeć, byle utrzymać was przy życiu — zapewnia mnie Finnick.

— Przecież Johanna usiłowała mnie zabić — oponuję.

— Johanna wycięła ci z ręki lokalizator i odciągnęła od ciebie Brutusa i Enobarię — objaśnia Haymitch.

— Co takiego? — Boli mnie głowa, więc wolę słyszeć jednoznaczne odpowiedzi. — Nie wiem, co takiego...

— Musieliśmy cię chronić, bo jesteś kosogłosem, Katniss — informuje mnie Plutarch. — Dopóki żyjesz, rewolucja żyje razem z tobą.

Ptak, broszka, piosenka, jagody, zegarek, suchar, sukienka, która staje w płomieniach. Jestem kosogłosem. To ja przetrwałam wbrew zamierzeniom Kapitolu, jestem zatem symbolem rebelii. Podejrzywałam to już w lesie, kiedy spotkałam uciekiniarki Bonnie i Twill, ale nigdy nie docierało do mnie, jak ogromne ma to znaczenie. Inna rzecz, że nie miałam tego rozumieć. Przypominam sobie, jak Haymitch z wyższością potraktował moje plany ucieczki z Dwunastego Dystryktu, wzniesienia powstania, a nawet powątpiewał w istnienie Trzynastki. Uniki i oszustwa. Skoro tak skutecznie i długo potrafił się ukrywać pod maską sarkazmu i pijaństwa, skoro był tak przekonujący, jakimi jeszcze kłamstwami mnie uraczył? Wiem, jakimi.

— Peeta — szepczę z ciężkim sercem.

— Inni utrzymywali Peetę przy życiu, bo gdyby umarł, od razu zerwałabyś sojusz — tłumaczy Haymitch. — A przecież nie mogliśmy ryzykować, pozostawiając cię bez ochrony. — Jego słowa są rzeczowe, wciąż ma taką samą minę, ale nie potrafi ukryć nagłej bladeści.

— Gdzie Peeta? — syczę.

— Został zatrzymany przez Kapitol, razem z Johanną i Enobarią — wyjaśnia Haymitch i w końcu znajduje w sobie dość przyzwoitości, żeby opuścić wzrok.

Zasadniczo nie jestem uzbrojona, ale nikt nie powinien lekceważyć zagrożenia, które stwarzają paznokcie, zwłaszcza jeśli obiekt ataku niczego się nie spodziewa. Rzucam się nad blatem stołu i zatapiam je w twarzy Haymitcha tak mocno, że ranię go do krwi i uszkadzam mu jedno oko. Potem oboje wyrzaskujemy do siebie okropne, naprawdę paskudne rzeczy, a

Finnick usiłuje mnie wywlec. Wiem, że Haymitch najchętniej rozszarpałby mnie na strzępy, ale jestem kosogłosem, więc musi mnie utrzymać przy życiu, co i tak jest wyjątkowo trudne.

Finnickowi pomagają inni i wkrótce z powrotem ląduję na stole, unieruchomiona i ze spletanymi nadgarstkami, więc w furii tłukę głową o blat, raz za razem, wielokrotnie. W końcu ktoś wbija mi igłę w rękę, a głowa boli mnie tak mocno, że przestaję walczyć i tylko upiornie wyję jak umierające zwierzę, aż w końcu zupełnie tracę głos.

Lekarstwo mnie uspokaja, ale nie tracę świadomości, więc wpadam w pułapkę mętnego ośpienia, bolesnej rozpacz, która nie chce mnie opuścić chyba przez całą wieczność. Znowu podłączają mnie do rurek, przemawiając do mnie kojącymi głosami, których nie słyszę. Myślę tylko o Peecie, który pewnie leży gdzieś na podobnym stole, a jacyś ludzie usiłują wydobyć z niego informacje, którymi nawet nie dysponuje.

— Katniss, Katniss, przepraszam — dociera do mnie głos Finnicka z sąsiedniego łóżka i przenika moją świadomość, może dlatego, że doskwiera nam ten sam rodzaj bólu. — Chciałem wrócić po niego i po Johannę, ale nie mogłem się poruszyć.

Nie odpowiadam. Dobre intencje Finnicka Odaira nic a nic mnie nie obchodzą.

— Jest w lepszej sytuacji niż Johanna, bo nic nie wie, i bardzo szybko się tego domyślą. Poza tym nie zabiją go, jeśli dojdą do wniosku, że można go wykorzystać przeciwko tobie — przekonuje mnie Finnick.

— Jak przynęte? — mówię do sufitu. — Tak samo, jak wykorzystają Annie przeciwko tobie, Finnick?

Słyszę, jak płacze, ale nic mnie to nie obchodzi. Pewnie nawet nie zamierzają jej przesłuchiwać, skoro jest z nią tak źle. Przepadła z kretelem przed laty, oszalała podczas swoich igrzysk. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że zmierzam w tym samym kierunku, może zresztą już tracę rozum, ale nikt nie ma serca wyjawić mi prawdy. Czuję, że jestem bliska szaleństwa.

— Szkoda, że ona żyje — mówi Finnick. — Wszyscy powinniśmy byli umrzeć, tak byłoby najlepiej.

Na takie słowa nie ma dobrej odpowiedzi. Nawet nie mogę zaprotestować, bo niedawno sama krążyłam uzbrojona w strzykawkę, żeby zabić Peetę. Czy naprawdę chcę jego śmierci? W gruncie rzeczy... pragnę go odzyskać, ale teraz już nie powinnam na to liczyć. Nawet jeśli siłom powstańczym uda się obalić władzę w Kapitolu, jestem pewna, że ostatnim czynem prezydenta Snowa będzie poderżnięcie gardła Peecie. Nie. Nigdy do mnie nie wróci, więc najlepiej byłoby, gdyby nie żył.

Pytanie brzmi, czy Peeta będzie o tym wiedział, czy też nie złoży broni? Jest przecież bardzo silny i doskonale kłamie. Czy uważa, że ma szansę przeżyć, czy w ogóle ma ochotę żyć? Wcześniej na pewno nie planował, że przetrwa igrzyska. Skoro ocalałam, to może teraz jest szczęśliwy i uważa swoją misję za spełnioną. Chyba nienawidzę go jeszcze bardziej niż Haymitcha.

Daję za wygraną. Przestaję mówić, reagować, nie zamierzam nic jeść ani pić. Mogą pompować mi w rękę, co zechcą, to i tak nie wystarczy, żeby utrzymać mnie przy życiu, kiedy stracę wolę przetrwania. Przychodzi mi nawet do głowy dziwna myśl: jeśli rzeczywiście umrę, wówczas władze pozwolą przeżyć Peecie. Co prawda nie będzie mógł liczyć na wolność, pewnie zrobią z niego awoksa i skierują do obsługi przyszłych trybutów z Dwunastego Dystryktu. Wtedy może znajdzie sposób na to, by uciec, więc umierając, mam szansę go ocalić. Jeśli nie, to trudno. Mam dość powodów, żeby umrzeć im na złość. Swoją śmiercią ukarzę Haymitcha, bo kto jak nie on na tym zgniłym świecie zmienił mnie i Peetę w pionki w swoich Głodowych Igrzyskach. Zaufałam mu, ofiarowałam mu to, co najcenniejsze, a on mnie zdradził. „Sama widzisz, właśnie dlatego nikt nie pozwala ci niczego planować”, powiedział. To prawda. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby mi opracowywać żadnych planów, bo najwyraźniej nie potrafię odróżnić przyjaciela od wroga.

Mnóstwo ludzi przychodzi ze mną rozmawiać, ale ich słowa są dla mnie warte tyle, ile cykanie owadów w dżungli — pozbawione znaczenia, odległe i groźne, ale tylko wówczas, gdy się do nich zbliżyć. Kiedy słowa stają się wyraźne, zaczynam jęczeć i nie przestaję, dopóki nie dadzą mi kolejnego znieczulenia, po którym obojętnieję.

Wszystko się zmienia, kiedy otwieram oczy i widzę, że patrzy na mnie ktoś, od kogo nie mogę się odgrodzić. Ktoś, kto nie będzie prosił, wyjaśniał ani uważał, że jest w stanie zmienić moje zamiary namowami, bo tylko on naprawdę mnie rozumie.

— Gale — szepczę.

— Hej, Kotna. — Wyciąga dumnie rękę i odgarnia mi z oczu kosmyk włosów. Na jednym policzku ma świeże ślady oparzeń, rękę trzyma na temblaku, a pod górniczą koszulą zauważam bandaże. Co mu się stało? Dlaczego tu jest? W domu musiało dojść do czegoś strasznego.

Nie chodzi o to, że zapomniałam o Peecie, lecz raczej o to, że przypomniałam sobie o innych. Wystarczy rzut oka na Gale'a, aby bliscy pojawili się w mojej rzeczywistości i zaczęli domagać się ode mnie należnej im uwagi.

— Prim? — pytam i wstrzymuję oddech.

— Żyje, twoja mama też. Wydostałem je w ostatniej chwili.

— Opuściły Dwunasty Dystrykt?

— Po igrzyskach przyleciały samoloty i rzuciły bomby zapalające. — Waha się. — Sama wiesz, co się stało z Cwikiem.

Tak, wiem. Widziałam, jak ten stary magazyn pokryty węglowym pyłem stał w płomieniach. Cały dystrykt jest przyprószone tym cholernym pyłem. Ogarnia mnie nowa fala przerażenia, kiedy wyobrażam sobie bomby spadające na Złożysko.

— Nie ma ich w Dwunastym Dystrykcie? — powtarzam, zupełnie jakbym w ten sposób mogła oddalić od siebie prawdę.

— Katniss — mówi Gale cicho.

Rozpoznaję ten ton. Takim samym głosem przemawia do rannych zwierząt, kiedy podchodzi, by je dobić. Instynktownie unoszę rękę, jakbym chciała odgrodzić się od jego słów, ale Gale bierze mnie za rękę i mocno zaciska palce.

— Nie — szepczę.

Gale jednak nie ma przede mną tajemnic.

— Katniss, Dwunasty Dystrykt już nie istnieje.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

SUZANNE COLLINS zaślęła jako autorka pięciotomowego cyklu o podziemnym świecie i Gregorze — chłopcu, który odkrywa nieznane nikomu obszary. Igrzyska śmierci, pierwsza część trylogii o futurystycznym państwie Panem, już 56 tygodni utrzymuje się na liście best-sellerów „The New York Timesa”, zbierając nagrody i świetne recenzje, natomiast część druga — W pierścieniu ognia — na I miejscu tej listy jest od pięciu tygodni, czyli od momentu ukazania się.

Suzanne Collins mieszka wraz z rodziną w Connecticut. Informacje o niej można znaleźć na stronie www.suzannecollinsbooks.com.